



Uzależniająca historia młodszej
fascynacji i skrywanego pożądania, wpleciona
w intrygujący życiorys słynnego pisarza

Publishers Weekly

SŁUŻĄCA HEMINGWAYA

ERIKA ROBUCK

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału

HEMINGWAY'S GIRL

Copyright © Erika Robuck, 2012

All rights reserved

Kto zamordował weteranów?

Relacja z pierwszej ręki dotycząca huraganu na Florydzie Ernesta Hemingway'a
przedrukowano za zgodą International Publishers, New York, NY

Projekt okładki Anthony Ramondo

Zdjęcia na okładce © Claudio Marinesco, aceshot1, David M. Schrader, penguin,
AJP/ Shutterstock Images

Opracowanie graficzne okładki Ewa Wójcik

Redaktor prowadzący Grażyna Smosna

Redakcja

Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta

Małgorzata Denys

ISBN 978-83-7961-526-1

Warszawa 2013

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

Dla mojej matki Charlene

Wrzesień 2012

Drogi Czytelniku,

zakochałam się w Erneście Hemingwayu, kiedy jako dziewiętnastolatka przeczytałam *Pożegnanie z bronią*. Po lekturze wszystkich jego dzieł i wizycie w jego domu na Key West zapragnęłam o nim napisać i zachęcić innych do czytania jego książek.

Mariella Bennet, protagonistka *Dziewczyny Hemingwaya*, jest wytworem mojej wyobraźni. Za jej pośrednictwem opowiadam historię Key West i dzieje życia Ernesta Hemingwaya w dobie wielkiego kryzysu. Jeśli w książce pojawiają się błędy chronologiczne czy rzeczowe, wynikają one wyłącznie z mojej winy.

Istnieją sprzeczne informacje na temat tego, czy Hemingwaya nazywano Papą w czasie, gdy dzieje się akcja tej powieści. Przyjęłam, że tak, ponieważ odpowiadało to moim celom.

Na koniec chciałabym podkreślić, że według wnuka Ernesta Hemingwaya w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym w domu na Key West nie było kotów polidaktylicznych, przeniesiono je później z willi na Kubie. Mam nadzieję, że ich absencja w tej książce nie umniejszy przyjemności z lektury.

Erika Robuck

Na południe od Key West

24°N, 82°W

3 lipca 1961

Mariella stała na rufie i wpatrywała się w mroczne kształty. Wiedziała, że jest pośród nich jej ryba. Gdyby tylko miała siłę ją wyciągnąć.

Podskakująca na falach łódź, latające ryby, zataczające łuki w powietrzu, i refleksy światła tańczące na powierzchni morza – wszystko to sprowadziło ją tutaj. Wzięła wędkę i powiodła po horyzoncie uważnym wzrokiem. Linka wygięła wędkę ponad burzę, kołysząc się tam i z powrotem w reakcji na szarpnięcia ryby. Mariella zaparła się piętami o pokład, odgarniając z oczu poprzetykane siwizną czarne włosy. Miała ochotę zawołać Jake'a, ale była na to zbyt dumna. Dość szybko poczuła zmęczenie w napiętych mięśniach ramion. Mimowolnie przypomniała sobie zmagania bohatera książki *Stary człowiek i morze*.

Nikt nie da rady walczyć tak długo, Papa.

Jeszcze mocniej napięła szczupłe ręce, a krople potu zmieszały się z morską bryzą, pozostawiając na jej skórze warstewkę soli. Uwielbiała upał, wilgoć i wysiłek – dzięki temu czuła, że żyje, ale jej mięśnie aż drżały z wysiłku. Spojrzała na zegarek: minęło dopiero pół godziny.

– Jake! – zawołała syna, zniesmaczona tym, że jednak się poddała.

Zaspany chłopak wytoczył się z kabiny. Wzięła go ze sobą, bo chciała, żeby odetchnął od szpitala, w którym odbywał staż, i odbudował więź, jaka łączyła go z morzem.

– Duża? – zapytał, przyglądając dłonią włosy.

– Na tyle, żeby mnie wciągnąć.

– Poważnie?

Powiódł dłonią po naprężonej lince.

– Gotowy?

– To się okaże. – Gdy Jake się uśmiechnął, w kącikach jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki.

Boże, jest taki sam jak jego ojciec, pomyślała Mariella.

Kiedy się odsunęła, złapał wędkę i usiadł. To było jak taniec zgranej pary: jedno szarpiące się na haczyku, drugie w odpowiedzi cofające się i zbliżające do burty. Matka i syn zmieniali się przy wędce z taką desperacją, aż pozdierali dłonie do krwi.

Po trzech godzinach wreszcie wygrali – skrępowali pysk marlina sznurem, podcięli mu skrzela i zawrócili łódkę. Popłynęli do brzegu tak szybko, jakby ich ktoś gonił, żeby rekiny nie zdążyły dobrać się do ich zdobyczy.

Na przystani w Key West zaczepili dwóch kręcących się beczynnymi mężczyzn i poprosili o pomoc przy zważeniu ryby. Kiedy waga pokazała trzysta dwadzieścia sześć funtów, mały tłum, który ich otoczył, zaczął wiwatować.

– Ile, *Hermosa*? – zapytał pomarszczony starzec, przepychając się przez zbiegowisko gapiów.

Mariella uściskała go z uśmiechem.

– *Quince, guapo*.

– Nieży, trzeba przyznać – odezwał się Jake. – Zajęło mi to wiele godzin.

– Zamknij się, chłopcze. – Nicolas trzepnął go w tył głowy.

Mariella podała staruszkowi aparat fotograficzny, po czym razem z Jakiem ustawili się po obu stronach wielkiej ryby. Słońce świeciło jej w oczy, utrudniając rozpoznanie twarzy w tłumie, ale była niemal pewna, że widzi postawnego mężczyznę z białą brodą i siwymi włosami. Serce zaczęło bić jej szybciej, ale nagle mężczyzna zniknął. Rozejrzała się uważnie, jednak nigdzie go nie było. Ze zdziwieniem stwierdziła że ma ściśnięte gardło.

*

Liście na banianie wisiały nieruchomo, niemal niewidoczne na tle nocnego nieba, ale Mariella wciąż wyczuwała jego obecność, a także to, jak trawi jakieś dawno zapomniane drzewo. Pamiętała, jak Hemingway sadził baniana przed swoim domem – mówił, że jego pasożytnicze korzenie są jak ludzkie żądze. Wtedy uznała, że to romantyczne; nie zrozumiała przestrogi.

Zapaliła papierosa. Żar rozbłysnął w ciemności i po chwili otoczył ją słodki aromat dymu. Dwie przecznice dalej na Duval Street grała muzyka, choć Mariella lepiej słyszała brzęczenie owadów za otwartymi drzwiami jej domu. Oparła się o framugę i pstrykając palcami, zrzucała ćmy z moskitiery, by mieć lepszy widok na Whitehead Street.

Z mroku ostrożnie wyłoniły się Bumby i Mouse.

– Cześć, chłopcy – powiedziała i poszła po talerz z resztkami ryby z kolacji. Gdy przez szparę pod drzwiami wsunęła go na ganek, koty natychmiast złapały po kawałku i cofnęły się w cień.

Z sofy, na której posłała Jake'owi na noc, dobiegło jego senne mamrotanie. Podniosła „The Key West Citizen”, zwinięty przed progiem obok porzuconych wędkarskich butów jej syna, po czym ustawiła obok swoje. Zdawało się, że to było wczoraj, kiedy buty Jake'a były mniejsze. Teraz, w wieku dwudziestu pięciu lat, był o głowę wyższy od swojej matki. Podeszła do sofy i pocałowała go w głowę. Jego

włosy pachniały morskim powietrzem.

Weszła po schodach, odprowadzana kojącymi trzaskami drewna reagującego na jej kroki. Na piętrze wciąż unosił się zapach smażonej ryby; Mariella wiedziała, że będzie wyczuwalny jeszcze przez wiele dni, przypominając jej o dzisiejszej wyprawie. Rzuciła gazetę na łóżko i poszła się umyć. Gdy wróciła, jej wzrok padł na nagłówek: *Papa odszedł. Dzwon bije dla pisarza. Ernest Hemingway zginął od kuli.*

Nie wiedziała, ile czasu minęło, gdy usłyszała kroki syna na schodach i odgłos otwieranych z rozmachem drzwi. Poczowała ciepłe ramiona, w których ją zamknął, krzyczącą i lamentującą. Nie był w stanie jej uspokoić.

Rozdział pierwszy

Key West

styczeń 1935

To przez sposób, w jaki go przedstawiono, Mariella sparzyła się w palec.

– ...Oraz sędzia, cieszący się międzynarodową sławą milioner, sportowiec i playboy, pan Ernest Hemingway!

Podniosła wzrok. Uśmiechnięty od ucha do ucha, kroczył przez ring, unosząc rozłożone ręce. Już wcześniej słyszała, jak go zapowiadają, ale po raz pierwszy został nazwany milionerem.

– Au... – syknęła i upuściła zapalną na ziemię. Machając piekącą dłonią, podeszła do ogrodzenia z łańcucha, żeby się lepiej przyjrzeć.

– Jak się bawicie?! – krzyknął Hemingway. Tłum ryknął w odpowiedzi, tupiąc głośno. Składał się z setki biednych czarnych robotników, garstki białych i Kubańczyków. Wszystkich owinął sobie wokół palca. – Wielki Niedźwiedź z Bahama Village walczy z Małym Timem!

Mariella uśmiechnęła się, gdy Hemingway podniósł rękę Małego Tima, potężnego mężczyzny z czarną jak węgiel skórą i karkiem szerokim jak jej talia. Była pewna, że nowi będą stawiać na niego, ale wiedziała też, że Wielki Niedźwiedź nigdy nie przegrał, więc sama obstawiła jego wygraną. Stos rachunków od doktora leczącego jej siostrę rósł, zalegali z czynszem – potrzebowała tej wygranej.

Obok przepchnęła się grupka hałaśliwych, pijanych weteranów, omal jej nie przewracając. Wyprostowała się i poprawiła starą baseballową czapkę ojca, upewniając się, że nie wystają spod niej włosy. Nie chciała zwracać na siebie uwagi, więc powstrzymała się przed obrzuceniem towarzystwa obelgami, choć miała na to ochotę. Zwróciła wzrok na ring, ale zamiast obserwować bokserów, raz po raz zerknęła na Hemingwaya. Key West to małe miasteczko, więc widywała go tu i ówdzie, jednak aż do dzisiejszego wieczoru nie zwracała na niego nadmiernej uwagi. Miał nieco przydługie ciemne włosy, buty równie znoszone jak jej i szorty związane sznurkiem. W żadnym razie nie wyglądał na milionera.

Hal, jej ojciec, od czasu do czasu mówił o Hemingwayu, którego spotykał na przystani. Uważał go za przyzwoitego faceta, ale matka przeczytała jedną z jego książek i uznała ją za wulgarną. Ta opinia bardziej zaintrygowała Mariellę, niż zniechęciła, ale na co dzień nie miała czasu na książki. Opieka nad siostrami i próby

zarobienia jakichkolwiek pieniędzy pochłaniały ją bez reszty. Zwłaszcza teraz, po śmierci ojca.

W pierwszej rundzie każdy cios Wielkiego Niedźwiedzia trafiał w Małego Tima. Tim był potężny, ale miał nieskoordynowane ruchy i szybko się męczył. Po drugiej rundzie wszystko wskazywało na to, że przegra, i przyjazne na początku wieczoru okrzyki ustąpiły miejsca odgłosom oburzenia i szoku. Przegrany zakład to nie przelewki.

Hemingway także jakby otrzeźwiał. Angażował się w walkę i prowadził ją z przejęciem arbitra sędziującego na profesjonalnych zawodach sportowych. Marielli wydawało się interesujące, że człowiek z jego pozycją bierze udział w meczu bokserskim biedaków i traktuje to jak najbardziej poważnie.

Podobało jej się to.

Dopaliła papierosa i polizała oparzone opuszki palców, dmuchając raz po raz. Napięcie ją wykańczało, a w trzeciej rundzie, gdy szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Tima, wpadła w przygnębienie. To oznaczało, że straci wszystkie pieniądze, które zarobiła przez ostatni tydzień, wykonując dorywcze prace w porcie. Że będzie musiała znów błagać właściciela o przesunięcie terminu opłat. Że lekarz nie przyjdzie, kiedy będą go potrzebowały. Że nie odłoży nic na sekretny stosik.

Z walącym głośno sercem przeklinała siebie, że tak dużo obstawiła. Była cholernie głupia i zasłużyła na awanturę, którą z pewnością urządzi jej matka. Jak mogła tak bez troski bawić się pieniędzmi?

Siła Tima wzbierała niczym gwałtowny przypływ, podczas gdy Niedźwiedź nie potrafił wyprowadzić celnego ciosu – przeciwnik zapędził go do narożnika, waląc w niego jak w bęben, aż w końcu z niezwykłą łatwością znokautował.

Mariella zacisnęła dłonie na łańcuchu, kuląc się w sobie. Wokół mężczyźni wiwatowali i przeklinali siarczyście. Było jej niedobrze i miała zawroty głowy, ale zmusiła się, by puścić ogrodzenie i ruszyć do domu. Kątem oka zobaczyła jeszcze drobnego białego mężczyznę, który przeskoczył linę i zaatakował Wielkiego Niedźwiedzia skrywającego głowę w rękawicach.

– Ty głupi czarnuchu! – wrzeszczał. – Oddawaj moje pieniądze! Postawiłem na ciebie wszystko, co miałem!

Mariella poczuła, jak na dźwięk tego okropnego słowa ścisną się jej żołądek. Znała tego człowieka z mariny i nienawidziła go z całego serca za to, że oszukiwał ojca i pobierał od niego za wysokie opłaty. Bez namysłu ruszyła, by odepchnąć go od Niedźwiedzia, ale wtedy między mężczyzn wkroczył Ernest Hemingway i pchnął agresora na liny. Zaciskając ze złości szczękę, pogroził mu pięścią.

– Nie przychodź tu więcej, dupku – warknął. – Skoro nie stać cię na przegraną, po co obstawiasz w zakładach?

Po tych słowach bezceremonialnie zrzucił go z ringu. Mężczyzna wyładował u

stóp Marielli, szybko wstał i klnąc, pobiegł w noc. Pisarz kucał na ringu, trzymając dłoń na ramieniu Niedźwiedzia. Wzruszyło ją, że Hemingway stanął po stronie przegranego, ale jednocześnie przypomniało jej to o własnej stracie.

Boże, tyle pieniędzy, pomyślała, czując, jak z nerwów znów robi jej się niedobrze, i chwiejnym krokiem pijanego powlekła się w stronę domu.

*

Cichutko zamknęła za sobą drzwi wejściowe. Panujący w pokoju mrok rozpraszała tylko słaba księżycowa poświata. Mariella z ulgą stwierdziła, że fotel jest pusty, co oznaczało, że matka poszła się położyć, ale bez wątpienia spędziła w nim cały wieczór – z podwiniętymi nogami i oczami zaszklonymi od łez, wpatrując się w okno, zgarbiona pod ciężarem żałoby.

Mariella objęła się ramionami. Miała wyrzuty sumienia z powodu zakładów, przepełniały ją poczucie straty i stres, spowodowane patrzeniem, jak ból codziennie coraz silniej zżera jej matkę, zamiast łagodnieć. Ona i młodsze siostry pogodziły się ze śmiercią ojca najlepiej, jak umiały, ale Eva tonęła, a Mariella zupełnie nie wiedziała, jak ją uratować.

Przy każdym kroku czujne podłogowe deski mogły ją zdradzić, zdołała jednak przemknąć obok sypialni matki i wejść do pokoju, którzy dzieliła z siostrami. Dziewczynki spały na materacu: zwinięta w kłębek dwunastoletnia Estelle i pięcioletnia Lulu z jedną ręką zarzuconą na siostrę, a drugą zwisającą bezwładnie.

Mariella poczuła, jak jej serce zalewa ciepła fala miłości do dziewczynek. Delikatnie położyła rękę Lulu na materacu, przykryła obie przetartym prześcieradłem i każdą pocałowała w czubek głowy. Miała wielką ochotę położyć się obok nich i zasnąć, kołysana ich miarowymi oddechami, zamiast tego jednak wróciła do frontowego pokoju, żeby rano, zanim reszta domowników się obudzi, ruszyć do portu.

*

Pomimo zmęczenia i niewyspania Mariella wyszła z domu bardzo wcześnie. Niebo było różowo-pomarańczowe od promieni wschodzącego słońca. Miarowe uderzenia fal o drewniane pale kołysły jej nerwy i pozwoliły otrząsnąć się z przygnębienia po wczorajszej przegranej. Ciemne kształty łodzi znaczyły już horyzont, a na nabrzeże zjeżdżali turyści i bogaci żeglarze, by przygotować się do rejsów.

Ciszę poranka zakłócił nagle odgłos plującego silnika. Mariella rozejrzała się i zobaczyła mężczyznę w białej bluzie i spodniach khaki, który usiłował rozmontować silnik łodzi, podczas gdy jej pasażerowie – dwie eleganckie kobiety w barwnych jedwabnych chustkach na głowach oraz nieskazitelnie ubrany dżentelmen – przyglądali mu się bezradnie. Mężczyzna włożył rękę do silnika, ale zaraz odskoczył

z głośnym przekleństwem, bo się sparzył.

Mariella domyślała się, jak bardzo jest zakłopotany, świadczyły o tym krople potu na jego czole i niepewny uśmiech. Podeszła do łodzi.

– Sir... – zagaiła.

Jedna z kobiet z niesmakiem zmierzyła wzrokiem wyświechtane męskie ubranie Marielli, po czym odwróciła się od niej bezceremonialnie. Mariella poczuła, jak policzki płoną jej z zażenowania i gniewu i już miała odejść, ale druga z pasażerek uśmiechnęła się do niej uprzejmie.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zapytała.

– Właściwie to ja mogę pomóc wam – odparła Mariella. – Jeśli pozwolicie, żebym zerknęła na silnik.

– Znasz się na łodziach? – zapytał mężczyzna, wycierając gładkie dłonie w ręcznik.

– Tak, sir.

– Świetnie, bo jakbym rozmontował to cholerstwo, wyszedłbym na prawdziwego dupka. Wejdz.

Mariella wskoczyła do łodzi. Jej wzrok od razu padł na wiaderko z lodem, w którym chłodziły się woda i wino. Były tu też starannie poskładane koce, pluszowe siedziska i ogromne kosze piknikowe, bez wątplenia wypełnione owocami i serami przygotowanymi na przedpołudniowe przekąski. Podeszła do silnika, ignorując burczenie w brzuchu.

Dość szybko dostrzegła winowajcę: zaplątany w środku pojemnik rozpadł na kawałki, przez co silnik ssał mocniej niż powinien. Ze względu na wysoką temperaturę nie mogła wydobyć go gołymi rękami, ale w stojącej obok skrzynce z narzędziami dostrzegła śrubokręt i szczypce do drutu.

Niewielka grupka obserwowała ją w milczeniu. Mimo że powietrze wciąż wypełniał przyjemny poranny chłód, koszula kleiła się Marielli do spoconych pleców. Czuła na sobie wzrok tych eleganckich ludzi i żałowała, że przed wyjściem z domu nie włożyła większego wysiłku, by zadbać o swój wygląd.

Gdy skończyła, dała mężczyźnie znak, by zapalił silnik. Przekręcił kluczyk i rozległ się warkot, który po krótkiej chwili przeszedł w cichy pomruk. Uradowani pasażerowie nagrodzili Mariellę oklaskami. Kiwnęła głową i już chciała wyskoczyć na brzeg, gdy mężczyzna zatrzymał ją i wsunął jej w dłoń banknot. Podziękowała grzecznie i wysiadła, po czym rozwiązała cumę.

Dopiero gdy łódź wypływała na otwarte morze, Mariella otworzyła zaciśniętą w pięść dłoń i spojrzała na banknot. Zaparło jej dech. Dziesięć dolarów! To prawie tyle, ile wczoraj przegrała.

W duchu zmówiła dziękczynną modlitwę; serce podpowiadało jej, że ojciec nad nią czuwa.

*

Blask promieni słonecznych odbijających się od wody zapowiadał powrót rybaków. Mariella stała przed jedną z restauracji i wypatrywała Marka Bishopa. Przyjaciel ojca często zlecał jej dostarczanie ryb kupującym. Dostawała za to niewielki procent od utargu, a na pożegnanie dodatkowo spore porcje dla rodziny.

– *Hermosa!* – zawołał Nicolas Oliva z piętra nad swoim lokalem, gdzie mieszkał z żoną i sześciorgiem dzieci.

– *Hola!* – odkrzyknęła Mariella.

– Wcześniej przysłaś!

– Próbuję wykaraskać się z kłopotów.

– Liczę na to. Mam cię na oku!

Nicolas cofnął się do pokoju i z wnętrza dobiegł dziewczęcy chichot, zmieszany z głębokim, dudniącym śmiechem mężczyzny. Przed oczami Marielli mignął obraz ojca, poczucie pustki na chwilę odebrało jej oddech. Odwróciła się, podwinęła rękawy starej ojcowskiej koszuli i wytarła pot z czoła. Zapaliła papierosa, którego zwędziła Markowi, zapisując go na poczet długu, jaki u niego miała. Przez dym wyczuła jakiś straszliwy smród, gorszy niż fetor gnijącej ryby. Ponieważ na pomoście nie leżało nic podejrzanego, spojrzała na wodę. W starą sieć koło pali zaplątało się coś, co przypominało but. Mariella złapała leżącą obok wędkę i szturchnęła sieć, próbując wyłowić przedmiot, i wtedy dostrzegła, że to nie but, ale... ludzkie zwłoki.

Zastygła, przerażona. Ciało było bardzo napuchnięte i leżało na brzuchu. Obawiała się, że to ktoś ze znajomych, ale nie rozpoznawała żadnych szczegółów. Odór wznosił się falami i Mariella musiała zakryć usta, by stłumić odruch wymiotny. Rzuciła papierosa i pobiegła po pomoc.

*

– Wielka szkoda, że musiałaś to oglądać, panienko – powiedział Bowler, zastępca szeryfa. – Głupiec pewnie był pijany i wpadł do wody. Kto to był?

Trzy miesiące temu, kiedy znaleziono łódź Hala obijającą się o skały w pobliżu najbardziej na południe wysuniętego punktu wyspy, to Bowler przyjął zgłoszenie. Gdy przekazywano tragiczne wieści rodzinie, ciało Hala leżało już w ambulansie koronera. Mariella natychmiast pobiegła na miejsce, ale zastępca ją zatrzymał; nie odpowiedział na żadne jej pytanie ani nie pozwolił zobaczyć ojca. Do dziś go za to nienawidziła. Po spotkaniu z policją matka powiedziała tylko, że Hal umarł na atak serca, a jego łódź uległa zniszczeniu. Mariella pomyślała, że pewnie przyczynił się do tego fakt, że ojciec ostatnio dużo pił i zamartwiał się brakiem pieniędzy. Nie potrafiła pogodzić się z jego odejściem, żałowała też utraty łódki. Ich plany na przyszłość, marzenia o długim rządzie błyszczących łodzi, którymi będą wozić bogatych turystów

na rejsy po zatoce, pomysł, by zarabiać na życie dzięki wodzie, a równocześnie uświadamiać innym jej piękno – wszystko to w jednej chwili legło w gruzach.

Mariella pokręciła głową, by rozproszyć mroczne myśli. Teraz jest pora na pracę, nie na żalobę. Ktoś musi zatroszczyć się o nich wszystkich.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Nie zgłoszono żadnego zaginięcia.

Kiedy ciało pakowano do ambulansu, Mariella znów poczuła falę żalu. Pragnęła zapamiętać ojca jako zdrowego i silnego mężczyznę, a nie nieruchomą postać w trumnie z pozbawioną życia twarzą. Zaciśnęła pięści, wbijając paznokcie w skórę, i zamrugła, by odpędzić łzy.

Mark położył jej dłoń na ramieniu.

– Chodźmy, sporo dziś złowiłem.

Pomogła mu przeładować ryby do wypełnionych lodem skrzyń, w których potem rozwiezie je po restauracjach i wytarguje od właścicieli kilka parszywych dolarów. Nie miała ochoty się odzywać i Mark zdawał się to wyczuwać. Lubiła go, nie próbował na siłę zapełniać ciszy i płakał na pogrzebie jej taty. Cieszyła się z tego prostego, monotonnego zajęcia, bo miała nadzieję, że choć trochę oderwie jej myśli od ojca i nieznanego topielca, za którym nikt nie płakał i którego najwyraźniej nikomu nie brakowało.

Nie wybaczyła sobie, że tamtego dnia nie popłynęła z ojcem. Hal zwykle budził się przed świtem i uchylał drzwi jej sypialni na znak, że niedługo wychodzi. W tamtym okresie Mariella albo zostawała w domu, by pomagać matce przy siostrach, albo towarzyszyła ojcu. Wkładała jego stare rybackie ubranie, wiązała długie czarne włosy w koński ogon i robiła kawę. Szli przez miasto, nie zakłócając ciszy wczesnego poranka, witali się z innymi rybakami tylko kiwnięciem głowy. Dopóki słońce nie wyłoniło się znad horyzontu, nie odzywali się ani słowem. To był święty czas.

Mark wrócił dość szybko, ale nie miał dla niej wiele, ledwie dwadzieścia centów i rybę na obiad. Mariella podziękowała, pokroiła na stole lucjana czerwonego, owinęła w starą gazetę i wypłukała dłonie w wiadrze z morską wodą. Podkraśla następnego papierosa i ruszyła przez pomost.

Nagle usłyszała, jak ktoś woła ją po imieniu. Odwróciła się. To był Chuck Thompson, właściciel sklepu z żelazem, który za niewielkie pieniądze zlecał jej drobne prace. Obok niego na pokładzie łodzi stał Ernest Hemingway, opalony i uśmiechnięty. Jego ciemne włosy rozwiewał wiatr, a białe zęby błyskały pod wąsem. Mariella poczuła dreszcz i także się uśmiechnęła – ale zaraz uświadomiła sobie, jak okropnie musi wyglądać w umazanej rybią krwią starej koszuli ojca i z brudnymi wilgotnymi włosami. Przygładziła je z nadzieją, że mężczyźni nie zauważą jej pałających z zakłopotania policzków.

– Dzień dobry, panie Thompson, panie Hemingway.

– Mów mu Papa – polecił Chuck.

– Papa – powtórzyła Mariella.
– Wyglądasz, jakbyś ciężko pracowała – zauważył Hemingway. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, a kiedy spojrzął jej w oczy, znowu poczuła dreszcz.
– Ale nadal jest piękna – powiedział Chuck.
– Chodź, zobacz, co mamy – zaproponował Papa. Mariella przekroczyła wielki zwój liny i podeszła do burty. Hemingway wyciągnął do niej dłoń, wielką i gorącą. Gdy ją ujęła, po ramieniu przebiegł jej prąd. Wskoczyła na podkład, na którym leżał gigantyczny marlin. – O mało nie powyrywał mi rąk. Ale w końcu się poddał.
– Jest piękny – powiedziała i zaraz poczuła się jak idiotka, która zachwyca się wielką martwą rybą. Ale to była prawda. Marlin miał ostry i groźny pysk, wielkie i smutne oczy i srebrzystoszarą, lśniąca skórę. Mariella pogładziła ją powoli.
– Rzeczywiście jest piękny – zgodził się Hemingway. – Wychodzisz czasem w morze?
– Dawniej wychodziłam. Z tatą.
– Widziałaś kiedyś takiego marlina?
Widziała, mimo to skłamała:
– Nie.
– Może wybierzesz się ze mną?
Puścił do niej oczko. Czyżby flirtował? Mariella poczuła, jak serce bije jej coraz szybciej.
– Jasne – odparła, udając nonszalancję. – Nauczę pana paru rzeczy.
Papa odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.
Po tej krótkiej wymianie zdań Mariella wróciła na pirs i ruszyła w stronę domu. Wyjęła z kieszeni papierosa, zapaliła, po czym odwróciła się, by pomachać do mężczyzn. Ale oni byli już zajęci swoją rybą.

*

Nie potrafiła przyzwyczać się do kobiety, którą stała się jej matka. Eva siedziała w fotelu koło okna z pełną popielniczką przy boku i wytartym różańcem w dłoni. Piła lurowatą kawę, której fusy zalewała przez trzy dni. Nie miały cukru, a mleka bardziej potrzebowały dziewczynki, więc cienki brudny płyn musiał smakować tak, jakby ktoś wlał starą kawę do gorącej wody.

Eva była kiedyś piękną: miała błyszczące czarne włosy, wielkie brązowe oczy i drobne, acz wyraziste rysy. Teraz wychudła wręcz chorobliwie, włosy przyprószyła siwizna, a jej oczy były puste, zaszklone i okalane sinymi obwódkami.

– Przyniosłam obiad – powiedziała Mariella.
Matka zamrugnęła, jakby otrząsając się ze wspomnień.
– Od Marka?
– Tak. I dziesięć dolarów.

Spodziewała się, że Eva choć na chwilę wyjaśnienie, słysząc o takiej sumie, ale zniechęcona stwierdziła, że oczy matki ciemnieją od podejrzliwości.

Twarz jej matki przybierała ten nowy wyraz zawsze, ilekroć Mariella wychodziła wieczorami albo przynosiła do domu jakąś przyzwoitą sumę pieniędzy. Dziewczyna nie była przyzwyczajona do takiej kontroli i zawsze reagowała na nią gniewem. Teraz postarała się jednak stłumić iskrę, którą rozpałiło spojrzenie matki. Podeszła do szafki, żeby wyjąć patelnię; miała nadzieję, że prosta czynność gotowania pozwoli jej się uspokoić.

Z kubka koło zlewu nabrała łyżkę tłuszczu i roztopiła. Kiedy zaczął skwierczeć, odwinęła lucjana z gazety i położyła na patelni. Posypała go solą, po czym potoczyła po blacie limę, którą zwędziła po drodze ze stoiska z warzywami, rozkroiła i wycisnęła na rybę. Zadymiło i w powietrze uniósł się cierpki zapach. Mariella odwróciła rybę, nalała wody do czterech szklanek i do każdej dodała po parę kropli soku z limy.

Gdy nakrywała do stołu, była już spokojniejsza, choć ciągle czuła na sobie wzrok matki. Wolałaby, żeby zaoferowała jej pomoc, była przekonana, że gdyby bardziej angażowała się w codzienne czynności, a może nawet rozejrzała za pracą, jej stan by się poprawił.

– Jutro poszukam jakiejś pracy – odezwała się Eva, jakby czytała córce w myślach. Ale Mariella dobrze wiedziała, że matka nie ma zamiaru szukać pracy. Gniew powrócił ze wzmożoną siłą. – Idź po dziewczynki, a ja popilnuję ryby – dodała kobieta.

Jednak Mariella nie wierzyła też, że matka na czas zdejmie patelnię z ognia. Kiedy ostatnim razem zostawiła ją samą w kuchni, po powrocie zastała spaloną, niejadalną rybę i matkę patrzącą za okno pustym, nieprzytomnym wzrokiem.

– Nie trzeba – odparła. – Pójdę po nie, jak ryba się upiecze.

Eva gwałtownie zgasiła papierosa i wyprostowała się.

– *¿Crees que no lo puedo hacer?* Kto twoim zdaniem gotował, zanim umarł twój ojciec?

Mariellę zszokował ten wybuch.

– Nie powiedziałam, że nie umiesz gotować. Chodzi tylko o to, że prawie skończyłam.

Eva nabrała powietrza w płuca i spojrzała w okno, mamrocząc coś po hiszpańsku. Mariella zwróciła płonącego gniewem wzrok na rybę.

Po chwili drzwi otworzyły się z rozmachem i trzymając się za ręce, do kuchni wpadły dziewczynki. Na polecenie starszej siostry poszły umyć ręce przed obiadem. Eva w tym czasie usiadła przy stole, patrząc na talerz, jakby w oczekiwaniu, że ktoś ją nakarmi.

Kiedy dziewczynki wróciły, Lulu od razu zaczęła trajkotać o zakonnicach w

szkole. Estelle, od śmierci ojca praktycznie niema, czepiała się każdego słowa siostry jak boi ratunkowej. Matka wciąż wpatrywała się w talerz.

Mariella usiłowała przypomnieć sobie, jak to było, kiedy Hal przy kolacji opowiadał historie o połowach. Minęło dopiero kilka miesięcy, a jego obraz już się zamazywał, za to wspomnienia kłótni rodziców stawały się coraz silniejsze. Pamiętała, jaki przygnębiony był tata, kiedy właściwie na wszystko zaczęło brakować pieniędzy i Eva powiedziała mu, żeby rzucił rybołówstwo. Odparł, że nic innego nie potrafi robić, na co odgryzła się, żeby się nauczył. Kiedy odrzekł, że los się odwróci, nazwała go głupcem. Hal namawiał ją, żeby zwróciła się do rodziny na Kubie, jednak Eva argumentowała, że nie rozmawiają ze sobą od lat. Przekonywał, jak wiele łowienie ryb znaczy dla niego i dla Marielli i jak doskonale będzie się im wiodło, kiedy zaczną wynajmować łodzie. Ale Eva twierdziła, że jeśli kryzys szybko się nie skończy, nie będzie żadnych bogatych turystów chętnych do wędkarskich wypraw. I tak to trwało. Ojciec zaczął wracać do domu coraz później i pił coraz więcej. Było tak, jakby w jego oczach zgasło światło. A potem zgasł i on.

– Wybierzemy się niedługo na Point? – zapytała Lulu, wyrywając Mariellę z bolesnych rozmyślań.

– Jasne. Dawno nie byliśmy na plaży.

W pokoju nagle zapadła cisza, ale Mariella słyszała te niewypowiedziane słowa. Nie były na plaży od śmierci ojca.

Chciała jak najszybciej skończyć posiłek, więc wstała, pozbierała naczynia i zniosła je do zlewu. Usłyszała, jak krzesło Ewy ze skrzypnięciem przesuwają się po podłodze, a potem zamykają się drzwi do jej pokoju. Mariella wysłała siostry do pokoju i kazała odrobić lekcje, po czym zabrała się do zmywania.

Nareszcie została sama.

*

Tamtej nocy śniła o Hemingwayu.

Był cudowny słoneczny dzień. Płynęli starą łodzią Hala, pili i łowili ryby. Kiedy zrobiło się za gorąco, Papa zrzucił koszulę i buty i wskoczył do wody. Namawiał Mariellę, by zrobiła to samo.

Reszta snu rozplynęła się we mgle. Mariella nie pamiętała, żeby się rozebrała, ale nagle otoczyła ją chłodna woda i jego silne ramiona przyciągnęły ją do siebie. Obudziła się spocona i zadyszana, zaniepokojona, ale jednocześnie podniecona. Potem nie mogła już zasnąć.

Pomyślała, że to dziwne, by ktoś, kto jeszcze kilka dni temu tak niewiele dla niej znaczył, teraz nawiedzał jej sny, i poczuła wyrzuty sumienia, że śni o żonatym mężczyźnie. Ale śniła. Jego obraz towarzyszył jej od tamtego meczu bokserkiego. Następnego dnia zostali sobie przedstawieni, a to, co poczuła, kiedy wziął ją za rękę,

wyprowadziło ją z równowagi i zdeorientowało.

Ale jej zainteresowanie pisarzem miało też aspekt praktyczny.

Wpatrywała się w okno, aż różowa poświata brzasku zalała szyby. Wtedy wstała, ubrała się i uczesała, po czym po cichu opuściła dom, by nie obudzić matki i dziewczynek. Ruszyła do sklepu Thompsona. Do głowy wpadł jej pewien pomysł.

Rozdział drugi

Kiedy Mariella po raz pierwszy weszła do domu Hemingwaya, gospodarz siedział w ogrodzie na przyniesionym z jadalni krześle, a jego żona Pauline strzygła jego kręcone brązowe włosy. On był wielki, krzesło małe; posłał Marielli uśmiech z rodzaju tych, jakie zwykle wymienia się z przyjaciółmi. Mariella pomyślała, że Pauline wygląda tak, jakby próbowała obłaskawić wielkie zwierzę, i absurdalność tego skojarzenia sprawiła, że także się uśmiechnęła.

Po chwili błysnął flesz.

– Papa, wyglądasz jak wielki lew zbierający się do skoku. – Sprężysta, urocza kobieta, podobna do Pauline, opuściła aparat.

– Nie podchodź za blisko, Jinny, bo ugryzę – ostrzegł Hemingway.

– Postaraj się siedzieć nieruchomo jeszcze przez minutę – upomniała go Pauline.

Jinny okrążyła Mariellę, po męsku mierząc ją wzrokiem.

– Przyszłaś w sprawie posady gospodyni?

Mariella spojrzała jej w oczy. Jinny pierwsza odwróciła wzrok.

– Tak. Nazywam się Mariella Bennet.

– Przysłał ją Chuck Thompson – odezwała się Pauline, nie odrywając spojrzenia od głowy męża. – Wykonuje dla niego różne prace w porcie.

– Powiedziała, że przydałaby się wam pomoc – dodała Mariella.

– Mariella Bennet? – powtórzył Papa. – Niech zgadnę: twoja matka jest Kubanką, a ojciec Amerykaninem.

– Tak. I rybakiem.

– Jesteś córką Hala Benneta? – Mężczyzna zmarszczył czoło, a w jego oczach smutek mieszał się z sympatią.

– Tak. – Mariella kiwnęła głową.

– Masz tę robotę! – oznajmił Papa.

– Jeszcze z nią nie rozmawiałam – wtrąciła Pauline.

– Więc porozmawiaj i zostaw moje włosy w spokoju. – Wielki kot zerwał się z krzesła, klepnął Jinny w pośladek, puścił oczko do Marielli i pobiegł do żółtego forda zaparkowanego na ulicy. Po chwili samochód zniknął z pola widzenia kobiet.

Pauline bez cienia uśmiechu pokręciła głową, gestem dając znać Marielli i Jinny, by poszły za nią do domu. Gdy tylko Mariella przekroczyła próg salonu, o mało nie zwałił jej z nóg mniej więcej pięcioletni chłopiec, któremu deptał po piętach młodszy malec, zapewne braciszek. Za chłopcami biegła wielka spocona guwernantka.

– Usiądź. – Pauline wskazała kanapę w jasnobłękitnym pokoju. Mariella zajęła miejsce, a Jinny usiadła obok niej. Pachniała papierosami i wodą różaną. Mariella, która w obecności tych eleganckich, pretensjonalnych kobiet nagle poczuła się bardzo

uboga, pochyliła ramiona, rozważając, czy powinna skrzyżować nogi w kostkach, czy założyć jedną na drugą. – To twoje referencje? – Gospodyni wzięła od niej stosik kartek.

– Tak, proszę pani.

– Możesz mnie nazwać panią Hemingway.

– Tak, pani Hemingway.

– Masz dopiero dziewiętnaście lat?

– Tak, pani Hemingway.

– Chuck mówił, że potrzebujesz pracy blisko domu. Bardzo cię chwalił.

– Znam pana Thompsona od dawna – odparła Mariella. – Zleca mi drobne prace w sklepie i porcie, ale potrzebuję stałego zajęcia.

– Twój ojciec był rybakiem?

– Tak. Umarł w październiku. Mam na utrzymaniu mamę i dwie siostry. – Mariella patrzyła na Pauline nieruchomym wzrokiem. Wcześniej przećwiczyła to zdanie i była zadowolona z siebie, bo głos nawet trochę jej nie zadrżał.

– Współczuję ci. – Kobieta poprawiła się na krześle, najwyraźniej zakłopotana. Przejrzawszy referencje, odłożyła je na stolik, gdzie na niebieskim talerzu brązowała w słońcu nadgryziona brzoskwinia, nad którą latała bzycząca mucha. Obok talerza leżała książka. Mariella zerknęła na okładkę. *Wojna i pokój*. Zastanawiała się, kto jest jej autorem. – Umiesz czytać? – zapytała Pauline.

– Oczywiście – odparła Mariella, prostując się z urazą. Miała straszną ochotę odpalić: „A ty?”, ale ugryzła się w język.

Wyczuwała, że tamta ją testuje, zastanawia się, czy będzie mogła kłócić się, płakać – po prostu żyć, nie zauważając jej obecności. Rozluźniła mięśnie, by nie wyglądać na zbyt agresywną, i zaplotła dłonie na kolanach.

– Jinny to moja siostra – podjęła Pauline. – Ma tutaj tyle samo do powiedzenia co ja. Ada Stern jest guwernantką chłopców. Lepiej schodzić jej z drogi. Zawsze słuchaj Ernesta, kiedy jest w domu, ale prawem jest tutaj moje słowo. Jedyna obowiązująca tu reguła to absolutny zakaz przeszkadzania mojemu mężowi, kiedy pisze. Wstaje bardzo wcześnie, o piątej albo szóstej, i zamyka się w pracowni nad garażem. Pracuje, dopóki nie jest zbyt gorąco, zwykle do dziesiątej, potem idzie na ryby. Czytałaś jego książki?

– Tak – skłamała Mariella.

Pauline wyprostowała się, jakby w oczekiwaniu na zwykłe wynurzenia dotyczące talentu Ernesta, ale Mariella nie powiedziała nic więcej. Sposób, w jaki kobieta się zgarbiła, kazał jej pomyśleć, że całym życiem Pauline jest Hemingway i komplementy dla niego przyjmuje tak, jakby dotyczyły jej samej.

– Podobały ci się? – zapytała Jinny.

Mariella spojrzała jej w oczy.

– Tak, bardzo.

Ciszę zaburzały tylko stłumione dziecięce głosy dobiegające z podwórka i miarowe tykanie zegara. Pauline sięgnęła do kieszeni sukni Jinny i wygrzebała z niej papierosa. Mariella wyjęła zapałki, odpaliła jedną i wyciągnęła w jej stronę. Dym zasnuł twarz Pauline niczym jedwabny woal.

– Zaczynasz w poniedziałek – oznajmiła. – Bądź o siódmej.

Potem wstała, wzięła książkę i wyszła z pokoju. Jinny podążyła za siostrą. Kiedy Mariella została sama, schowała do kieszeni brzoskwinię dla sióstr i wyszła do ogrodu. *Jak miło musi być, gdy ma się brzuch tak pełny, że nadgryzioną brzoskwinię zostawia się dla much*, pomyślała i myśl ta sprawiła, że poczuła do Pauline antypatię. Przyczynił się do tego także fakt, że pani Hemingway najwyraźniej wiedziała, kim był Hal, ale udawała, że jest inaczej, żeby nie musieć o nim rozmawiać. A także jej przypuszczenie, że Mariella nie potrafi czytać.

Jezu, nie wiadomo, czy to wszystko warte będzie pieniędzy, które tu zarobię.

Odchodząc, czuła na sobie wzrok obu kobiet. Odwróciła się i uniosła głowę. Stały na balkonie i odprowadzały ją wzrokiem.

– Do zobaczenia! – zawołała Jinny.

– Do widzenia – odparła Mariella.

Szła przed siebie, ale wciąż słyszała ich głosy: – No i co myślisz? – zapytała Jinny.

Pauline milczała chwilę. Mariella nadstawiła uszu, by usłyszeć jej odpowiedź.

– Prawdziwa kubańska brzoskwinia.

Rozdział trzeci

Mariella ze ściśniętym żołądkiem otworzyła poobijaną puszkę po kubańskiej kawie. Niemal słyszała chrapliwy głos ojca: *Żadnych wypłat, tylko wpłaty na nowy interes. Udawaj, że tej puszki nie ma.*

Ale wszystko się zmieniło. Sięgała do puszki, by zapłacić za czynsz i kupić jedzenie. Zostało w niej już tylko czterdzieści jeden dolarów i trzynaście centów. Będzie musiała dać wszystko właścicielowi domu, lekarz musi poczekać.

Wrzuciła do środka swoje napiwki i drobne za butelki, które wygrzebała ze śmietników. Z niesmakiem zamknęła puszkę i wepchnęła w kąt pod swoim łóżkiem, po czym przykryła ją starym, przetartym kocem.

Dlaczego wciąż snuje te swoje głupie marzenia? Otwarcie biznesu kosztowałoby ją tysiąc dolarów, może więcej. Matka powiedziała, że z łodzi ojca został wrak, którego nie da się naprawić, więc odholowano ją na cmentarzysko na Stock Island, a może nawet dalej na północ. Było fatalnie, już kiedy musieli wymienić silnik. Teraz Mariella potrzebowała nowej łodzi, miejsca na nabrzeżu, pieniędzy na paliwo i miliona innych rzeczy.

Włożyła jedną z dwóch sukienek do pracy, które przysłała jej Pauline: granatową, obszytą białą lamówką i solidnie wykrochmaloną. Wprawdzie cierpiała na myśl o pracy w domu, z dala od wody, do tego przez cały dzień w sukience, ale przynajmniej nie będzie musiała tego robić w swoich starych, źle dopasowanych ubraniach.

Wyszła na palcach z sypialni, zadowolona, że matka jeszcze śpi. Wieczorem znów się pokłóciły. Gdyby Mariella oznajmiła, że jest prostytutką, matka zareagowałaby na to bardziej przychylnie niż na wieść o tym, że będzie pracowała u Hemingwayów. Eva uważała, że Hemingway pisze świństwa i ma fatalną reputację. Mariella odparła, że może i tak, ale płaci dobrze i regularnie – cztery dolary na dzień plus dodatkowo za weekendy albo przyjęcia. To niemal wystarczy na czynsz, a gdyby Marielli udało się wygrywać na zakładach i dalej wykonywać dorywcze prace, jakoś dałyby sobie radę.

W drodze do kuchni zajrzała do pokoju matki. Eva spała, wtulona w starą koszulę Hala. Ten widok nappełnił Mariellę smutkiem, poczuła wyrzuty sumienia, że tak źle traktuje matkę. Ale ona tak bardzo wszystko utrudniała.

W kuchni zrobiła szybkie śniadanie dla Estelle i Lulu. Musiały się podzielić dwoma jajkami i piętka chleba. Mają szczęście, że w ogóle coś zjedzą. Mariella знаła wiele rodzin, które nie miały nic na śniadanie, sama też wiele razy chodziła do szkoły z pustym żołądkiem. Cieszyła się, że w katolickiej szkole dziewczynki dostaną porządny lunch.

Odprowadziła siostry na poranną modlitwę i udała się prosto do Hemingwayów. Dom, oblatany promieniami wczesnoporanego słońca, zrobił na niej duże wrażenie.

Bliźniacze ganki okalały fasadę w stylu hiszpańskim, gęsta tropikalna roślinność wyglądała jak pozostałości rajskiego ogrodu. Mariella minęła dwa pawie i weszła po schodach na ganek. Zapukała, ogarnięta nagłym niepokojem i poczuciem, że zupełnie tu nie pasuje.

Upłynęła minuta, może dwie. Mariellę aż mdliło z nerwów; zastanawiała się, czy powinna zapukać do innych drzwi, czy po prostu odejść. Już chciała zejść z ganku, kiedy drzwi się otworzyły i w progu stanęła dobrze zbudowana czarnoskóra kobieta. Nawet nie próbowała ukryć zniecierpliwienia. Jednak kiedy zmierzyła Mariellę wzrokiem, nieoczekiwanie jej twarz rozświetlił szeroki, serdeczny uśmiech.

– Bóg mnie wysłuchał! – zawołała głośno. – Ty to zapewne Mariella! – Otworzyła drzwi i rzuciła dziewczynie fartuch. – Jestem Isabelle i potrzebuję pary młodych rąk.

Złapała dłonie Marielli, mruknęła coś z aprobatą, po czym zaprowadziła ją do kuchni. Mariella szybko zorientowała się, że dom nie jest w środku tak spokojny, jak mogłoby się wydawać.

Synowie Hemingwayów, sześciolatek Patrick i trzyletni Gregory, przez cały poranek z niespożytą wręcz energią bawili się w Indian i kowbojów. Skakali po meblach, trzaskali drzwiami, grzechotali porcelaną. Pauline wypędziła ich na podwórze, ale ogrodnik Jim zaraz kazał im wracać do domu. Isabelle dawała im po łapach, kiedy próbowali zwędzić jedzenie z kuchni, a Ada wymierzała klapsy w tyłek, kiedy się kłócili, płakali albo wrzeszczeli.

Ku oburzeniu kucharki Pauline zabrała Mariellę z kuchni, by poinstruować ją, które piętra ma sprzątać w które dni. Później pojechała do miasta na zakupy. Mariella weszła do rodzinnego pokoju i potknęła się o Patricka, z którego rąk wyrwał się wielki paw. Miotłą wygoniła ptaka na podwórze i już miała nagadać malcowi do słuchu, gdy wpadła na Ernesta Hemingwaya.

– Jezu, córko, mam nadzieję, że nigdy nie zrobię nic, żeby zasłużyć sobie na takie spojrzenie – powiedział.

Zaląła się rumieńcem i przygładziła włosy.

– Chyba nie jestem przyzwyczajona do małych chłopców. Mam dwie siostry.

– Szczęściara z ciebie. Zawsze chciałem mieć córkę, ale chyba po prostu nie umiem jej zrobić. – Mariella roześmiała się, nieco zszokowana tą uwagą. – Właśnie cię szukałem. Chodź za mną. – Mariella posłuchała, nie wypuszczając miotły z ręki. Hemingway wszedł na piętro i skierował się do swojej sypialni. Gdy przystanął koło łóżka, uśmiechnął się szelmowsko do Marielli, która oblała się zimnym potem, i dodał: – Nie tutaj. – Odwrócił się i otworzył drzwi. Prowadziły na wąski pomost łączący dom z pracownią Papy. Mariella szła, starając się nie patrzeć w dół. Nienawidziła wysokości. Hemingway wyjął z kieszeni klucz i przekręcił w zamku. Weszła za nim do środka. To była prawdziwa oaza. Panował tu rześki chłód, a w powietrzu unosił się zapach książek ustawionych na regałach, którymi zastawione

były wszystkie ściany. Stół zajmował centralne miejsce – niczym ołtarz – a stojąca na nim maszyna do pisania wydawała się świętym instrumentem przeistoczenia. – Chciałbym, żebyś tu posprzątała – powiedział. – Ufam, że niczego nie przestawisz i nie będziesz z nikim rozmawiała o mojej pracy i rzeczach, które tu wywieszysz.

Mariella miała ochotę zaprotestować, oznajmić, że nie węszy, ale uznała, że Hemingway wie lepiej.

– Więc nie przeszkadza panu moje węszenie – powiedziała tylko.

– Możesz sobie węszyć do woli, bylebyś nikomu o tym nie mówiła. Nigdy nie mówi się o książce, dopóki nie jest skończona.

Mariella była zdumiona tym, jak szybko Papa ją polubił i jak łatwo jest jej być sobą w jego obecności. Uznała, że ich poprzednie spotkanie było właściwym sposobem na zapoczątkowanie znajomości, ponieważ port był neutralnym gruntem. Teraz już nie muszą zaprzętać sobie głów formalnościami.

– Dlaczego mi pan ufa? – zapytała.

– Bo jesteś szczerą – odparł bez chwili namysłu. – Gdybyś próbowała mnie przekonywać, że nie wieszysz, zmieniłbym zdanie. Zdałaś egzamin.

Mariella cieszyła się, że jednak nie próbowała kłamać. Wyglądało na to, że mało co umyka uwadze tego mężczyzny. Odwróciła się i oparła miotłę o drzwi, by móc swobodnie przejść się po pokoju. Na ścianie wisiała wypchana antylopa, a na podłodze leżała lwia skóra. Kucnęła, by z bliska przyjrzeć się kłom.

– Pamiątki z naszej wyprawy do Afryki – wyjaśnił Hemingway.

Mariella podniosła się i podeszła do biurka. Z maszyny wystawała do połowy zapisana kartka. Spojrzała na słowa, a potem na ich autora. Kiwnął przyzwalająco głową, więc nachyliła się nad maszyną.

– *Tutaj mój towarzysz mówił o wielkich pisarzach. Podziwiał ich, ale ja wiedziałem, że to banda żalonych durni* – przeczytała na głos i spojrzała na Papę. – A zapytał pana, kto jest największym pisarzem?

– Mój mąż – rozległ się głos Pauline. Stała w progu, mierząc Mariellę lodowatym spojrzeniem.

– Tak szybko wróciłaś? – zapytał Hemingway.

– Okropnie boli mnie brzuch. – Pauline rzeczywiście była blada. – Mariello, chodź ze mną. Zaciągniesz zasłony i dopilnujesz, żeby dzieci trzymały się z dala od mojego pokoju. Muszę się położyć.

– Tak, pani Hemingway.

Mariella wzięła miotłę i skierowała się do wyjścia. Kiedy zamykała drzwi pracowni, kątem oka złapała wzrok Papy. Sposób, w jaki mężczyzna na nią patrzył, sprawił, że się zarumieniła. Odwróciła się pośpiesznie, by nie dostrzegł jej płonących policzków, i pobiegła za Pauline.

Rozdział czwarty

Mariellę bolały ramiona od wieszania i składania prania, dłonie miała popękane, ale czuła satysfakcję z dobrze wykonanej pracy. Ściągnęła ze sznura ostatnie ręczniki i włożyła do kosza. Minął jej pierwszy tydzień u Hemingwayów i czuła się już tutaj całkiem swobodnie. Z chwilą gdy Jinny wyjechała i Mariella przestała być obiektem jej badawczych spojrzeń, zaczęła doświadczać prawdziwej przyjemności z prowadzenia domu. Poza naburmuszoną, roztargnioną guwernantką reszta służby traktowała ją uprzejmie. Chłopcy stopniowo zdobywali jej serce żywiołowością i słodkimi buziami. Co do gospodarzy – Pauline schodziła jej z drogi, Ernest Hemingway wręcz przeciwnie. I choć Mariella niechętnie się do tego przyznawała, taki układ bardzo jej odpowiadał.

Po pierwszym dniu pracy zapisała się do biblioteki i wypożyczyła *Słońce też wschodzi*. Uznała, że dzięki temu zrozumie, jaki naprawdę jest Hemingway. Zaskoczyło ją, jak szybko powieść ją wciągnęła. Identyfikowała się z Jakiem, głównym bohaterem, człowiekiem, który nie miał cierpliwości dla pozerów, i zastanawiała się, jaką częścią własnej osobowości obdarzył go Hemingway. Trudno było oderwać się od lektury, jednak Mariella co wieczór zmuszała się do odłożenia książki, żeby wyspać się przed kolejnym dniem.

Kiedy skończyła czytać, była jeszcze bardziej zaintrygowana swoim pracodawcą i przekonana, że powieść w pełni odzwierciedla jego osobowość. Opisywani w niej ludzie bez wątpienia byli prawdziwi. Fascynowała ją mieszanina miłości i pogardy, którą obdarzał ich autor, a także złożoność postaci głównego bohatera. Myślała, że Jake jest pod każdym względem podobny do Ernesta – naturalnie z wyjątkiem impotencji. Zastanawiała się nad tym, idąc po schodach z wielkim naręczem ręczników. Gdy weszła do sypialni Hemingwayów, natknęła się na obiekt swoich rozważań. Zaskoczona, upuściła ręczniki. Oboje w tym samym momencie pochylili się, by je pozbierać.

– Nie trzeba, sama to zrobię – powiedziała Mariella.

– Pomogę ci.

Uporali się z tym szybko i jednocześnie sięgnęli po ostatni ręcznik. Jego dłoń zamknęła się na jej dłoni, ich twarze dzieliło kilka centymetrów. Gdy nie cofnął ręki, spojrzała na niego.

– Masz spierzchniętą skórę – zauważył.

– Dzisiaj dzień prania. – Chciała się uwolnić, ale trzymał ją mocno, kciukiem gładząc wysuszone wnętrze jej dłoni.

– Pauline na pewno ma jakiś krem.

W końcu udało jej się zabrać rękę. Podniosła ręcznik i poskładała go szybko.

Usłyszała, jak Hemingway opuszcza pokój i schodzi na parter, i ze zdziwieniem stwierdziła, że wstrzymuje oddech. Zerknęła na swoje odbicie w lustrze po drugiej stronie pokoju: jej twarz pałała rumieńcem. Wiedziała, że on też to zauważył.

*

Wieczorem w Bahama Village odbywała się walka i Mariella postanowiła spróbować pomnożyć swoją tygodniówkę. Zastanawiając się, czy Papa także tam będzie, przebrała się w starą koszulę i spodnie ojca, po czym powiesiła roboczą suknię koło fartucha w szafie dla służby.

W drodze do drzwi pożegnała się z Isabelle, kamienną ścieżką wyszła na chodnik i ruszyła do baru Sloppy Joe, żeby coś przegryźć i napić się piwa. Wciąż myślała o tym, czy jej pracodawca w miejscu publicznym potraktuje ją równie przyjacielsko, jak w domu.

Poprzedniego wieczoru poszła na targ, żeby kupić coś na dzisiejszą kolację dla matki i sióstr. Uprzedziła, że w piątek wróci bardzo późno. Eva wyraźnie miała ochotę przepytac Mariellę, ale uznała chyba, że i tak niczego się nie dowie, więc zrezygnowała. Nie pochwalała hazardu, a chociaż Mariella miała wyrzuty sumienia, że postępuje wbrew życzeniom matki, uważała, że to dla nich największa szansa na spłatę długów bez uciekania się do kradzieży.

Niebo nad końcem Duval Street wciąż mieniło się czerwienią zachodzącego słońca, resztę ulicy skrywały już cienie. Mariella podeszła do stoiska z gazetami i poprosiła o paczkę papierosów, którą zamierzała podrzucić tam, gdzie zwykle stoi łądź Marka. Wtem usłyszała głos Hemingwaya:

– Córeczko. – Odwróciła się gwałtownie. Ernest wchodził do baru wraz z kilkoma znajomymi. Rzucił coś w ich stronę i podszedł do niej. Próbowwała ukryć radość z tego spotkania, ale nie potrafiła powstrzymać się od uśmiechu. Odwróciła się, by podać sprzedawcy pieniądze i schować papierosy do kieszeni. – Powinnaś to rzucić – powiedział.

– Równie dobrze może mi pan powiedzieć, żebym przestała oddychać – odparła lekko.

– Kiedyś też paliłem, ale to obrzydliwy i kosztowny nałóg.

– Mnie uspokaja.

Roześmiał się.

– Dokąd się wybierasz?

Nie chciała mu mówić, że zamierzała pójść do Sloppy'ego, ponieważ wszyscy wiedzieli, że to teren Papy.

– Chcę coś przegryźć przed walką – odparła wymijająco.

– Jakie walki oglądasz? – W jego głosie zabrzmiało szczere zainteresowanie.

– Pańskie.

– Skąd wiesz o moich piątkowych walkach?

– W końcu tu mieszkam, prawda?

– Nie powinnaś wałęsać się po takich miejscach. To nie bezpieczne dla takiej młodej i ślicznej dziewczyny. – Mariella w milczeniu wyjęła baseballówkę z kieszeni, zwinęła długie włosy i naciągnęła daszek głęboko na oczy. Papa wybuchnął śmiechem, a potem zdjął jej czapkę. – Na razie ją schowaj – powiedział. – Nie ukrywaj swojej cudownej główki, dopóki nie musisz. Chodź, postawię ci kolację.

Wzruszyła ramionami i weszła z nim do baru, próbując zachowywać się swobodnie, mimo że w środku drżała z emocji. Połowa zebranych powitała Hemingwaya okrzykami. Barman Skinner postawił na kontuarze dwie szkockie z wodą, Joe rzucił jakiegoś turystę ze stołka, który zwykle zajmował Papa, i podsunął krzesło pisarzowi. Kiedy zobaczył Mariellę, mrugnął do niej i bez skrępowania pozbawił miejsca następnego turystę.

Mariella usiadła obok Hemingwaya, czując, jak jego nogi naciskają na jej. Z całych sił starała się ignorować żar, który ją zalał.

– I pan mówi o złych nawykach – powiedziała, wskazując stojące przed nim szkło.

Papa zerknął na nią kąciakiem oka, opróżnił jedną szklanekę i uśmiechnął się.

– To mnie uspokaja.

Wtedy o bar oparł się Chuck Thompson.

– Czy ten knur już się do ciebie doбира? – zapytał bezpretensjonalnie. – Chryste, Papa, minął dopiero tydzień, a ty już zawlokłeś ją do baru.

– Trochę za młoda dla ciebie – stwierdził chudy mężczyzna w okularach, po czym wyciągnął rękę do Marielli. – Nazywają mnie Dos, ale możesz mówić do mnie John.

Mariella uścisnęła jego dłoń, ale Hemingway odpędził go jak natrętną muchę.

– Przepraszam, że wprowadziłem cię między tę hołotę – powiedział – ale jak pójdziemy na walkę, będzie jeszcze gorzej.

– No nie! – zawołał Joe. – Najpierw Sloppy, a potem mecz bokserski? Jakie to romantyczne.

– Romantyzm? – spytał Skinner, podchodząc do nich. – Mam podać *Dobles Papy*?

Hemingway przewrócił oczami, a Mariella spojrzała na niego pytająco.

– Wymyślił dla mnie jakiś idiotyczny drink – wyjaśnił. – Dziękuję, wystarczy mi szkocka z wodą, ale pani podaj, co sobie zażyczy.

– Piwo proszę – powiedziała Mariella.

– Grzeczna dziewczynka – pochwalił Papa. – Zawsze poznasz turystów po tych wymyślnych owocowych drinkach z parasolkami.

– Oraz po sposobie, w jaki rzucają się na Papę – dodał Skinner i wskazał głową wysoką, długonogą i rudowłosą kobietę, która zbliżała się do Hemingwaya z niezapalonym papierosem w uszminekowanym na czerwono ustach. Miała na sobie czarno-białą suknię w grochy, a w dłoni trzymała łupinę orzecha kokosowego

wypełnioną jaskraworóżowym drinkiem z parasolką. Gdy oparła się o kontuar między Papą i Mariellą, owiał ich zapach jej tanich perfum – gorszy niż unoszący się w powietrzu odór alkoholu i spoconych ciał.

– Masz ogień? – zapytała, patrząc przenikliwie na Hemingwaya.

Przez chwilę się jej przyglądał, a potem przeniósł wzrok na jej przyjaciół, trójkę równie błazeńsko ubranych turystów, którzy palili papierosy, poszturchując się z rozbawieniem.

– Powinnaś poprosić o ogień swoich kumpli, zamiast podstawiać tyłek pod twarz mojej dziewczyny i mnie denerwować – oznajmił bez cienia uśmiechu.

Kobieta odskoczyła, jakby wymierzył jej policzek, wyjęła papierosa z ust i spojrzała na Mariellę, jakby dopiero teraz ją zauważyła. Mariella czuła, jak wzrok tamtej wędruje po jej ciemnej skórze, starym roboczym ubraniu i brudnych paznokciach, mimo to wyprostowała się, bo wiedziała, że Papa jest po jej stronie. Poza tym nie miała wątpliwości, że nawet w tym stroju urodą przyćmiewa tę zdzirę.

– Gdybym wiedziała, że taki jest twój typ, nie marnowałabym czasu – odparła turystka.

Odwróciła się zamasyżycie, ale stanęła na topniejącą na podłodze kostkę lodu i z hukiem wylądowała na czterech literach. Zebrani ledwo tłumili śmiech, gdy chwiejnie się podnosiła.

– Uważaj na lód – rzuciła Mariella z uśmiechem. – Nie bez powodu ten bar nazywa się Sloppy1.

1 niechlujny, niedbały – przyp. tłum.

*

Skończyli jeść kolację po dziewiątej. Towarzystwo się rozproszyło i Mariella została w barze sama z Hemingwayem. Towarzystwo przyjaciół Papy sprawiło jej wielką przyjemność. Byli nieokrzesani, ale życzliwi i od pierwszej chwili ją zaakceptowali. Rozumiała już, dlaczego jej ojciec tak lubił Hemingwaya, a to, że Papa stanął po jej stronie w starciu z tą dziwką, zdecydowanie poprawiło jej samopoczucie.

W drodze na walkę rozmawiali o poprzednich zwycięzcach i nokautach. Papa nie znał dzisiejszych zawodników.

Niebieska Gęś składała się z burdelu na piętrze, szulerni na dole i podwórza wykorzystywanego jako ring do walk kogutów i meczy bokserskich. Teraz zapełniał je tłum spoconych, opryskliwych, ubogich ludzi. Mariella poprawiła czapkę, spuściła rękawy i lekko się przygarbiła.

– Jak wyglądam? – zapytała.

– Jak cudowna myszka usiłująca schronić się w jaskini lwa. Trzymaj się mnie. – Papa objął ją w talii i przyciągnął do siebie. – Tak jest lepiej.

Miał wielką dłoń, Mariella czuła jego siłę. Pożądanie walczyło w jej sercu z wyrzutami sumienia. Z tego wszystkiego aż zakręciło się jej w głowie i musiała oprzeć się o Papę.

– Dlaczego nie prowadzisz dzisiaj wieczorem walki? – Wielki czarnoskóry mężczyzna zwrócił się do Hemingwaya.

– Ty to zrób – odparł. – Ja przyszedłem tylko oglądać.

– Zapowiada się dobry wieczór. Jeden żołnierz, Gavin jakiś tam, walczy z Niedźwiedziem.

– Duży ten żołnierz? – zapytał Papa.

– Właśnie nie. Waga średnia, ale bardzo silny. Dwa tygodnie temu znokautował Shine'a.

Mariella odsunęła się od swojego towarzysza i powiodła wzrokiem po tłumie. Żołnierz z surową miną sznurował właśnie rękawice – choć twarz miał raczej chłopięcą pomimo głębokiej blizny, która przecinała jego prawy policzek. Jego głowa z ostrzyżonymi niemal do skóry włosami błyszczała od potu. Na prawym ramieniu miał wytatuowane liczby: 11-11-18, na lewym coś, co przypominało granat, choć trudno było stwierdzić to jednoznacznie, ponieważ tatuaż zniekształcała brzydka blizna. Na oko mógł mieć jakieś metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i dziewięćdziesiąt kilogramów wagi. Szczupły, ale solidny. Złapał jej wzrok, więc odwróciła głowę, ale za późno. Kiedy znowu tam spojrzała, już go nie było.

– Panie Hemingway. – Mariella i Papa odwrócili się i zobaczyli żołnierza. – Jestem Gavin Murray. Miło pana poznać.

Mariella skrzyżowała ręce na piersi i przesunęła się w cień pod ringiem.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział Papa. – Wiesz, co czeka cię dzisiaj wieczorem?

– Mam jako takie pojęcie – odparł żołnierz. – Stawiam osiem do jednego na mojego przeciwnika.

– Ja też obstawię przeciwko tobie, ale nie pogniewałbym się, gdybym się pomylił. Niedźwiedzia w zeszłym tygodniu znokautowano.

– A pański przyjaciel? Na kogo on postawi?

Mariella oblała się potem. Wołałaby się nie odzywać, żeby nikt jej nie zdemaskował, ale gdy spojrzała bokserowi w oczy, zrozumiała, że odkrył jej sekret. Najeżyła się i wyprostowała.

– Na ciebie – powiedziała. Obaj spojrzeli na nią, zaskoczeni, że nawet nie próbowała zmienić głosu. – Więc lepiej, żebyś wygrał, bo potrzebuję pieniędzy – dodała buńczucznie.

Natychmiast zezłościła się jednak na swoją impulsywność. Niedźwiedź w żadnym razie nie da się pokonać temu żołnierzowi. Kiedy wreszcie nauczy się trzymać język za zębami? Poczwała, jak jej żołądek ścisną się ze zdenerwowania, ale udawała

pewność siebie.

Bokser patrzył na nią, tak jakby czytał w jej myślach. Kiedy się do niej uśmiechnął, siateczka zmarszczek otoczyła jego oczy – były niebieskie i rozświetlone. Brwi miał wygięte, a w uśmiechu nie pokazał zębów.

– Wygram – powiedział. – Zobaczysz.

Prowadzący wezwał bokserów na ring i Gavin kiwnął im głową na pożegnanie. Mariella i Hemingway przepchnęli się do trybun, które wyglądały, jakby zaraz miały się załamać pod ciężarem widzów. Znaleźli miejsca w pierwszym rzędzie.

Dziewczyna westchnęła ciężko, gdy zobaczyła wchodzącego na ring Niedźwiedzia. Sprawiał wrażenie, jakby od ostatniej walki urósł, choć zdawała sobie sprawę, że wynika to tylko z faktu, że stoi obok Gavina, a nie Malutkiego Tima. Bary miał potężne, kark szeroki, oczy wąskie jak szparki i ciemnobrązową skórę, błyszczącą od potu. Twarz Gavina nie wyrażała żadnych emocji, była pusta. Mariella wolała nie myśleć, co stanie się z tą twarzą, kiedy Niedźwiedź z nim skończy.

– Napalony mały sukinsyn – mruknął Hemingway. Spojrzała na niego przelotnie i stwierdziła ze zdziwieniem, że sprawia wrażenie zazdrosnego. Kiedy ponownie na niego zerknęła, złapała jego wzrok. Patrzyli na siebie do chwili, gdy głos prowadzącego wzniosł się do krzyku:

– Oto nasz czterokrotny mistrz, Wielki Niedźwiedź z Bahama Village! – Tłum ryknął entuzjastycznie. – Metr osiemdziesiąt sześć wzrostu, dziewięćdziesiąt sześć kilogramów! – Niedźwiedź, zachęcany wiwatami, przestępował z nogi na nogę, boksując powietrze. Mężczyźni na trybunach zaczęli tupać i Mariella poczuła, jak uginają się pod nią deski. – A to Gavin Murray. Metr osiemdziesiąt sześć wzrostu, osiemdziesiąt sześć kilogramów, weteran spod Argonny i mistrz brygady. – Z publiki rozległo się przeciągłe buczenie. Gavin stuknął rękawicą o rękawicę. Mariella z ulgą stwierdziła, że Niedźwiedź jednak nie jest od niego dużo większy, choć zdawała sobie sprawę, że dziesięć kilogramów może oznaczać wielką różnicę, gdy w grę wchodzi siła i wytrzymałość. Zastanawiała się, dlaczego Niedźwiedź wydaje się przytłaczać Gavina, i uznała, że powodem muszą być jego masywne ramiona i bary.

Gdy rozległ się dzwon, poczuła mdłości. *Cholera, dlaczego znowu to robię? Dlaczego znowu ryzykuję?* Starła pot z czoła i całą uwagę skupiła na Gavinie w nadziei, że jakimś sposobem zwiększy to jego moc.

Bokserzy rozpoczęli powolny taniec wokół ringu. Niedźwiedź wyprowadził pierwszy cios, ale Gavin uchylił głowę. Przy kolejnej serii trzech ciosów prawą ręką ostatni trafił Gavina w lewe ramię.

Tłum zawiwatował.

Gavin nadal krążył.

Niedźwiedź zaatakował i hakiem uderzył przeciwnika w szczękę.

– On nic nie robi – sapnęła Mariella.

– Próbuje go wybadać, chce go zmęczyć – ocenił Papa. – Zmusza do ciosów i krążenia po całym ringu. Kiedy ten się zmęczy, Murray go zniszczy. Błyskotliwe – mruknął, zaciskając dłonie w pięści.

Minęła minuta.

Dwie minuty.

Niedźwiedź trafił przeciwnika w szczękę, zaliczył hak i jeden prosty.

– Co on wyprawia?! – wykrzyknęła Mariella, kompletnie wytrącona z równowagi na myśl o utracie tygodniówki. Tłum wiwatował na cześć Niedźwiedzia. Marielli wciąż było niedobrze, ale nie była w stanie oderwać oczu od ringu. Podniosła się z miejsca tak jak większa część widowni.

Wtedy Gavin eksplodował.

Seria czterech krótkich ciosów.

Hak.

Trzy krótkie i prosty.

Trzy krótkie.

Na koniec solidny zamach i cios z siłą pociągu ciężarowego.

Z mdlącym trzaskiem ręce Niedźwiedzia opadły bezwładnie i mężczyzna zwałił się na ring.

Nokaut.

Tłum milczał przez pełną minutę. Później zaczął się harmider. Wszyscy stali, wrzeszczeli i wiwatowali. Mariella spojrzała na Hemingwaya szeroko otwartymi oczami, a on uniósł brwi. Ogarnięta nagłym uniesieniem, zwróciła wzrok na ring i przekonała się, że Gavin patrzy tylko na nią. Gdy kiwnął głową, odpowiedziała mu tym samym.

Przecisnęli się do ringu, gdzie na krześle wciąż siedział Niedźwiedź z głową ukrytą w dłoniach. Gavin podszedł do niego i poklepał go po plecach.

– Dobra walka, stary.

Niedźwiedź tylko coś burknął.

Zwycięzca wspiał się na liny i zeskoczył z ringu. Drogę zastąpił mu Hemingway.

– Ładny nokaut – powiedział bez większego entuzjazmu.

– Dzięki.

– Chciałbym kiedyś stoczyć z tobą walkę – oznajmił Papa. – Nigdy nie przegrywam.

Mariella uznała, że dziwnie mówić tak do człowieka, który przed chwilą powalił na deski czterokrotnego mistrza, ale nie zastanawiała się nad tym dłużej. Jej myśli zajmowała teraz wygrana. Pieniądze rozwiążą problemy z czynszem, przynajmniej na ten miesiąc.

– Jasne – odparł Gavin jak gdyby nigdy nic.

Przez chwilę obaj mężczyźni badawczo mierzyli się wzrokiem, jakby zaraz mieli

zacząć wokół siebie krążyć. Napiętą atmosferę przerwał Gavin, wyciągając rękę do Hemingwaya. Papa uściskał ją mocno, po czym położył dłoń na plecach Marielli i lekko popchnął ją w stronę wyjścia.

*

Gavin szybko przeliczył pieniądze, po czym schował je do worka pod głodnym wzrokiem bukmacherów.

– Dobranoc – powiedział na odchodne. Tamci milczeli, ale czuł na plecach ich spojrzenia. Żołądek mu się ścisnął i zmysły miał wyostrzone, na wypadek gdyby któryś oszust postanowił za nim pójść, chociaż w to wątpił. Byli twardzi, ale uczciwi.

Nie był jednak głupcem, więc skręcił na Duval Street, ulicę zatłoczoną nawet o tej porze. Ludzie siedzieli, palili i obserwowali upływającą noc; niektórzy pozdrawiali go głośno. Na Olivia Street minął dom Beverly.

Siedziała sama na ganku i głaskała kota.

– Zwyciężyłeś, przystojniaku? – zapytała.

Ukryta w cieniu, opierała nogi o balustradę. Suknia podciągnęła jej się wysoko na uda, stopy miała bose. Gavin wiedział, że nie powinien się zatrzymywać, ale nie potrafił się powstrzymać.

– Zwyciężyłem.

– Nikogo nie ma w domu. Może wejdiesz?

Już kiedyś to zrobił i przekonał się, że Beverly oznacza kłopoty.

– Skończyłem z tym. – Uśmiechnął się.

– Łamiesz mi serce. – Nie odwzajemniła uśmiechu.

– Ty nie masz serca – stwierdził dobrodusznie. Beverly westchnęła i machnęła dłonią, jakby go odprawiała. – Dobranoc – rzucił jeszcze, patrząc, jak odwraca głowę.

Uśmiechnął się, ruszając dalej ulicą. Czuł się wyzwolony. Udowodnił jej i samemu sobie, że nie ma nad nim władzy. Przyjemne uczucie.

Po drugiej stronie ulicy zobaczył chłopaka w baseballowej czapce i przypomniał sobie o tamtej pięknej dziewczynie na walce. Zastanawiał się, kim jest i skąd zna Hemingwaya, a potem przypomniał sobie tę dziwną, niepokojącą wymianę zdań z pisarzem. Doszedł do wniosku, że Hemingway popisывał się przed dziewczyną; jego zachowanie wobec niej było zaborcze, choć przecież jest żonaty, a dziewczyna wygląda na młodszą o co najmniej dziesięć lat.

Ale to bez znaczenia, pomyślał. Pewnie i tak nigdy więcej ich nie zobaczę.

W domu wszystkie światła były zgaszone. Wyjął klucz z sęku w desce pod gankiem i otworzył drzwi. Na powitanie wybiegł mu Kundel; Gavin uciszył go i poskrobał między uszami. Za zamkniętymi drzwiami pierwszego pokoju słychać było głęboki, regularny oddech. Otworzył drugi pokój i cicho położył worek na podłodze, po czym poszedł do łazienki, żeby się umyć przed snem. Po powrocie przeliczył

pieniądze i schował je do kasetki. Cieszył się, że wygrana pozwoli mu wkupić się w firmę wuja i nie będzie musiał dłużej nadstawiać karku na ringach bokserskich i mostach na Keys.

Siniaki i skaleczenia przypomniły o sobie pieczeniem na torsie i bólem szczęki, ale Gavin wiedział, że sen mu pomoże. Rozebrał się więc i położył. Zasypiał z obrazem nieznanym dziewczyny pod powiekami.

*

Zanim Hemingway położył dłoń na jej plecach, Mariella nie miała ochoty rozstawać się z Gavinem. Czuła do niego dziwny, niewytłumaczalny pociąg i pragnęła porozmawiać z nim o walce. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Papa chce już iść, a ona nie potrafiła się mu sprzeciwić.

Hałas z ringu cichł za ich plecami. Mariella z trudem koncentrowała się na marszu, dłoń Papy na jej plecach wywoływała dreszcze i sprawiała, że jej ciało zalewały fale ciepła. Przerwała milczenie, dopiero gdy byli blisko jej domu.

– Wkracza pan do części kubańskiej – oznajmiła.

– Więc będę pilnował portfela – odparł Hemingway, śmiejąc się z własnego dowcipu.

Spojrzała na niego z naganą, ale nie skomentowała jego słów.

– Mój dom stanowi granicę pomiędzy białą a kubańską częścią ulicy.

– Więc jest mieszany.

– Ha, fatalnie.

– Co się stało z twoją kubańską dumą? – zapytał niespodziewanie. – Kubańczycy należą do najdumniejszych ludzi, jakich znam.

– Czasy się zmieniły – odparła Mariella. – W każdym razie teraz ludzie czują się wobec nas swobodniej.

– Jak to?

– Taty nie ma i jesteśmy po prostu Kubankami. To ludziom bardziej odpowiada. Nie wiedzieli, jak nas traktować, kiedy byliśmy mieszaną rodziną.

Hemingway chwilę milczał.

– A teraz biali mogą zapomnieć, że w twoich żyłach płynie ich krew, i uznać, że jesteś Kubanką. Kubańczycy robią to samo i traktują cię jak swoją. – Mariella pokiwała głową. Podobała jej się jego szczerość. – A ciebie stosunek jednych i drugich guzik obchodzi.

– Owszem. – Uśmiechnęła się.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– Podobał ci się ten żołnierz – zauważył w końcu Papa.

– Podobało mi się, jak walczył – sprecyzowała. – Nie jestem jeszcze gotowa, by za niego wyjść.

– Nie spiesz się z małżeństwem, w ogóle się nie spiesz – poradził. – I nie miej dzieci, jeśli możesz coś na to poradzić.

– Nie mam takich planów.

– Powiem tak: zawsze chciałem mieć córkę. Byliśmy bardzo rozczarowani, kiedy po Patricku urodził się Greg.

– I dlatego do wszystkich kobiet mówi pan „córko”?

– Tak, ale ty jesteś moją ulubienicą.

Gdy stanęli przed domem Marielli, Papa pocałował ją w czoło.

– Świetnie się bawiłem na naszej pierwszej randce – powiedział.

– Ja też.

Odwrócił się i dodał przez ramię:

– Idę już, bo inaczej będzie mnie kusilo, żeby pocałować cię w usta!

– To dobrze. W przeciwnym razie miałyby pan podbite oko – odparła Mariella.

Gdy wchodziła na ganek, słyszała jeszcze jego śmiech. Była podekscytowana tym, że ma gotówkę na utrzymanie rodziny i jeszcze wrzuci coś do swojej sekretnej puszki. Czuła też w sercu ciepło wywołane czymś innym, poczuciem przynależności. Wyłączając rybaków na przystani, od dawna nie czuła się częścią żadnej grupy. Gdy w lustrze nad barem obserwowała Papę, jego przyjaciół i siebie, myślała o tym, że wygląda jak jedna z nich.

Ale pod tą radością czuła też niepokój.

Gorący dotyk uda Papy na jej udzie.

To, jak nazywał ją swoją dziewczyną.

Jego zazdrość, kiedy rozmawiała z bokserem.

I wstyd, że chciała, by uległ pokusie i przed odejściem pocałował ją w usta.

Otworzyła drzwi, wkroczyła w mrok domu i pośliznęła się na bucie leżącym za progiem. Zirytowała się, że matka nie posprzątała, i nie przyszło jej na myśl, żeby zostawić włączone światło. Klnąc pod nosem, złapała się ściany i wtedy zobaczyła siedzącą w fotelu Evę. Jej twarz oświetlały tylko promienie księżyca. Z głęboko osadzonymi oczami i cieniami na kościach policzkowych wyglądała jak szkielet.

– Co masz do powiedzenia na swoją obronę? – zapytała Eva wolno, starannie dobierając angielskie słowa.

Mariella wiedziała, że matka musiała widzieć ją i Hemingwaya przez okno i uznała zapewne, że córka jest pijana, ponieważ zatoczyła się, wchodząc do domu. Wiedziała też, że zapach alkoholu w jej oddechu, zatechły odór papierosowego dymu na koszuli, plik banknotów w kieszeni i aromat perfum, które uparcie przywarły do jej spodni w miejscu, gdzie dotknęła ich suknia tamtej dziwki, z pewnością wcale jej nie pomogą.

Próbowała nad sobą zapanować.

– Dość trudno jest chodzić po podłodze zasypanej różnymi rzeczami – powiedziała, idąc ciemnym korytarzem do swojego pokoju. Za sobą usłyszała

mruknięcie matki:

– Twój papa byłby bardzo rozczarowany.

Zapagnęła uderzyć Evę. Nigdy dotąd z taką siłą nie chciała zrobić krzywdy drugiej osobie. Zacisnęła dłonie w pięści i ruszyła przez pokój, kopniakami usuwając ze swojej drogi zabawki i śmieci. Zapomniała o tym, jak pachnie, chciała tylko skrzywdzić Evę. Gwałtownym ruchem wyciągnęła pieniądze z kieszeni i rzuciła nimi w matkę.

– Weź je – warknęła. Ten wybuch gniewu zaskoczył nawet ją, ale nie potrafiła się opanować. – Chcesz mieć dach nad głową? A może przestaniemy wzywać doktora? Przystaniemy jeść? Palić?

Eva wstała i zbliżyła twarz do twarzy córki.

– *¿Cómo pudiste?*

– Jak mogłam zrobić co?!

– *Se trata de dinero sucio!* – Eva wybuchnęła histerycznym płaczem.

– Brudne pieniądze?! – Mariella złapała matkę za ramiona. – Tak myślisz? Myślisz, że mu się sprzedałam? Myślisz, że jestem prostytutką? – Eva pokręciła głową, zasłaniając dłońmi uszy. – No wiesz! – Eva cofnęła się i padła na zasypany banknotami fotel, wciąż przyciskając ręce do uszu. Mariella oderwała je siłą i położyła matkę na kolanach. Płacz Lulu w drugim pokoju sprawił, że obie odwróciły głowy. Momentalnie zapomniały o gniewie. Gdy po chwili dziewczynka ucichła, Mariella puściła dłonie matki i cofnęła się. – Naprawdę myślisz, że mogłabym się sprzedać? – Eva pociągnęła nosem, ale unikała wzroku córki. – Naprawdę? – Matka podwinęła nogi, zakryła dłońmi twarz. Mariella czuła, jak ulatuje z niej wściekłość, zostawiając w ustach ostry i metaliczny smak podobny do smaku krwi. – Skoro w to wierzysz, to zasłużyłaś, żeby cierpieć z tego powodu.

Rozdział piąty

Lower Matecumbe Key

Obóz pracy dla weteranów,

budowa drogi Overseas Highway

Bonefish za słabo wachlował. Gavin uderzył dłonią w kark, gdzie owady znalazły odkryte miejsce, i odwrócił się do stojącego za nim mężczyzny.

– Do diabła, co wyprawiasz?

Kościsty, poznaczony śladami po ospie weteran wzruszył ramionami.

– Przepraszam, kapitanie. Myślę o żonie, która jest na północy.

– Marzenia zostaw sobie na wieczór, Bonefish – poradził Gavin. – W przeciwnym razie osobiście dopilnuję, żebyś zobaczył ją szybciej, niż zamierzałeś.

– Tak jest.

Gavin nie potrafił się zdecydować, co jest bardziej irytujące: owady czy uderzenie o plecy liści palmy sabalowej. W końcu doszedł do wniosku, że woli znosić te cholerne gałęzie, niż nie spać przez całą noc, drapiąc bąble po ukąszeniach. Przyspieszył, wycinając namorzyny na skraju Matecumbe Key, by oczyścić miejsce dla ramp nowej przystani i mostu.

Gavin bardziej niż czeokolwiek innego na świecie nienawidził nieustępliwych, wijących się gałęzi namorzynów, ale wziął na siebie obowiązek wycinania, kiedy jeden z ludzi z jego oddziału zaczął wymiotować i nie potrafił przestać. Kazał natychmiast odwieźć go do lekarza, by nie dopuścić do zarażenia. Epidemie zapalenia opon mózgowych i infekcji pasożytniczych były dość częste w brudnych obozach. Gavin wiedział jednak, że weterani przypuszczalnie cierpią na odwodnienie, bo piją za dużo alkoholu i za długo pracują w upale. Nie żałował im drinka czy dwóch na uśmierzenie bólu, ale był zły, kiedy wpływało to na ich produktywność.

Nagle grzechotanie sprawiło, że zastygł z uniesioną ręką uzbrojoną w maczetę. Przyjrzał się ziemi wokół swoich stóp i choć nie widział źródła tego przerażającego odgłosu, był pewien, że grzechotnik jest w pobliżu.

Bonefish oczywiście machał jak oszalały – teraz, gdy potrzebny był bezruch.

– Przestań – syknął Gavin, łapiąc za gałąź. – Grzechotnik.

Bonefish wstrzymał oddech i znieruchomiał. Gavin powiódł wzrokiem wokół korzeni namorzynu. Wąz wił się, machając ogonem, jakiś metr od niego. Poczł, jak

oblewa go kolejna warstwa potu; koszulę miał teraz kompletnie moką. Nie chciał wykonać żadnego gwałtownego ruchu, który sprowokowałby węża do ataku, ale nie sądził, że uda mu się zadać czysty cios maczetą przez gałęzie.

Wolno opuścił broń do lepszej pozycji i zrobił krok w tył. Wąż poruszył się, Bonefish wrzasnął i uciekł, a wtedy zwierzę zaatakowało. Gavin odskoczył, o włos unikając ukąszenia, i z całej siły uderzył maczetą. Jednym ciosem odrąbał grzechotnikowi łeb. Stojący w pobliżu ludzie klaskali i gwizdali, a Gavin czuł, jak rozpiera go duma, aż do chwili gdy podszedł do nich komendant, pułkownik Ed Sheeran.

– Zabierajcie się do pracy, zamiast się bawić ze zwierzętami – polecił.

Gavin nie był zadowolony, że udzielono mu nagany jak szeregowcowi, ale nie miał sił na konfrontację i nie chciał dawać złego przykładu swoim podwładnym. Kiwnął głową, kopnięciem odsunął martwego węża z drogi i wrócił do wycinania namorzynów.

*

Potężny żuraw z jękiem opuścił na most kamień z kamieniołomu w pobliskiej Plantation Key.

Gavin cieszył się, że obsługuje tę maszynę. Wolał to od pracy fizycznej przy budowie mostu, choć zdawał sobie sprawę, że to dzięki niej zasłużył sobie na szacunek swoich ludzi. Po spotkaniu z grzechotnikiem doszedł jednak do wniosku, że należy mu się nagroda.

Raz po raz zerkał na Freda, który podobnie jak on był weteranem pierwszej wojny światowej, czekając, aż ten drżącymi dłońmi da mu znak. Dygotanie dłoni rozpoczęło się podczas wojny i choć minęło prawie dwadzieścia lat, dręczyło go nadal. Kiedy stan się pogorszył, coraz trudniej było znaleźć pracę dla Freda, ale Gavin nie poddawał się.

Czekając, aż Fred i inni ustawią kamień we właściwej pozycji, zapatrzył się w otaczającą go błękitnozieloną przestrzeń. Rozkoszował się brakiem owadów i przyjemną bryzą, która wpadała do jego kabiny. Wyobrażał sobie, jak steruje łodzią przez fale, zarzuca kotwicę w ciemnobłękitnej wodzie i przez całe leniwe popołudnie łowi ryby z piękną dziewczyną u boku.

Pomyślał o dziewczynie, która była na walce. O jej głębokich ciemnych oczach. O jej zadziornej pewności siebie. O uśmiechu, którym obdarzyła go po walce.

– Murray! – wrzasnął z dołu Al. – Przestań marzyć i spuść wreszcie ten kamień, żebyśmy mogli coś zjeść.

– Przepraszam, Al, myślałem o łowieniu ryb z łodzi z twoją siostrą – odkrzyknął.

– Taa, a ja myślałem o twojej matce.

Gavin wykonał niecenzuralny gest w stronę Ala i wrócił do pracy. Wreszcie

kamień trafił na właściwe miejsce.

Zszedł z żurawia, zamierzając palnąć kolegę w głowę, ale stwierdził, że ten właśnie kłóci się z Fredem.

– Spadaj – powiedział Fred.

– Uspokój się, trzęsawko, ja tylko żartowałem – odparł Al.

– Nie jestem w nastroju na twoje żarty.

– Nigdy nie jesteś, trzęsawko.

– Jak nie przestaniesz nazywać mnie w ten sposób, to tak tobą potrząsnę, że nigdy tego nie zapomnisz.

– Czyżby? – Al spojrzął po otaczających ich mężczyznach, a potem zwrócił spojrzenie na Freda.

Gavin złapał Freda w ostatniej chwili, zanim ten uderzył Ala. Al śmiał się i trząśł rękoma przed twarzą Freda, który w końcu wyrwał się z uścisku Gavina i pomaszerował do obozu.

– Dlaczego musisz być takim dupkiem? – zapytał Gavin.

– Tylko robiłem sobie z niego jaja – odparł Al. – Daj spokój. Powiedziałem mu, że zajmę się tym kamieniem, bo nie chcemy rozdygotanego mostu.

– To nie jest szkolne podwórko, a ja nie mam ochoty dyscyplinować was jak dzieci, więc zostaw go w spokoju, chyba że chcesz, żebym włączył w całą sprawę Sheerana.

Al machnął lekceważąco i odszedł. Gavin miał wielką ochotę pobiec za nim i wymierzyć mu solidny cios, ale zamiast tego pomyślał, że w trakcie następnej walki wyobrazi sobie twarz Ala jako cel.

*

Stock Island, na północ od Key West

Wszystkie porzucone, zniszczone, poobijane łodzie, które zostawiono, by gniły w słońcu, wprawiały Gavina w przygnębienie.

Przesunął dłonią po starym kutrze, wyobrażając sobie, jak w szczęśliwszych czasach woda biła o jego burtę. Przez chwilę wydało mu się, że wyczuwa w drewnie smutek, ale zaraz się roześmiał, myśląc, że to refleksja godna cholernego idioty.

Poprawił na ramieniu worek z częściami i kiwnął głową do nadzorca złomowiska, krępego, bezzębego człowieka z przeżutym tytoniem kapiącym mu z brody na poźółkłą koszulę bez rękawów. Nadzorca burknął coś i wrócił do oglądania czasopisma z panienkami, którego nawet nie próbował ukryć. Gavin nie mógł doczekać się dnia, gdy nie będzie musiał odbierać dla szefa części zapasowych od

tego obrzydliwego niechluj. Zazdrościł znajomym rybakom. Żałował, że nie może zarabiać na życie, pływając łodzią po morzu, zamiast wisieć nad nim na wysokości trzydziestu metrów.

Oczywiście wszyscy mieli problemy. Mnóstwo ryb, ale za mało ludzi, którzy by je kupowali. Większość rybaków, których znał, wymieniła wędki na młotki, klucze francuskie albo flaszki. To były ciężkie czasy, nie oszczędzały nikogo.

Wyrzucił z głowy te myśli. Był szczęśliwy, że spędzi weekend na Key West, a nie w obozie. Kumpel z miasta cieszył się na jego wizytę, Gavin zaś chętnie pomoże mu przy domu. Jego uwagę zwrócił nagle jakiś ruch za szkieletem brązowego kutra. Dziewczyna w podwiniętych męskich spodniach i starej koszuli obchodziła łódź i uważnie się jej przyglądając, przesuwała dłonią po dziobie. Kiedy się odwróciła i złapała jego spojrzenie, poczuł, jak serce mu rośnie. To była dziewczyna z walki bokserskiej. Nie wierzył własnym oczom.

Uśmiechnęła się i podeszła do niego.

– Gavin Murray, bokser i rybak – powiedziała.

– W gruncie rzeczy ani jedno, ani drugie – odparł.

Roześmiała się.

– No, nie wiem. Na pewno w zeszły piątek napeliłeś mi kieszeń.

– Cieszę się, że mogłem pomóc. Jesteś rybaczką?

– Tak, choć niestety chwilowo na emeryturze.

– A masz jakieś nazwisko, rybaczek?

– Mariella Bennet.

– Skąd znasz Hemingwaya?

– Jestem jego pokojówką.

Gavin był zaintrygowany. Dlaczego Hemingway zabiera swoją pokojówkę na walkę bokserską? Patrząc na jej długie, ciemne rzęsy, pełne usta i jedwabiste włosy, podejrzewał, że zna powód. Poczul ukłucie nieprzyjemnej i zaskakującej zazdrości.

– Cóż, chyba już pójdę – powiedział.

– Pójdę z tobą – odparła. – I tak już tu skończyłam.

Ciekawość wzięła w nim górę nad negatywnymi uczuciami.

– Co właściwie robisz na tym cmentarzysku? – zapytał.

– Szukam łodzi, którą znałam. Albo takiej, którą dam radę naprawić.

– Umiesz naprawiać łodzie?

– Tak. A dziwi cię to?

– W sumie tak.

– Typowe.

Jej przyjacielskie zachowanie sprawiło, że Gavin odprężył się i uśmiechnął. Kiedy doszli do starego niebieskiego roweru opartego o ogrodzenie, Mariella zatrzymała się i chwyciła za kierownicę. – Miło było znowu cię widzieć – powiedziała. – Walczysz

w najbliższym czasie?

– Przez dwa tygodnie na pewno nie – odparł.

– W takim razie do zobaczenia przy następnej okazji.

Zgrabnie przełożyła nogę nad siedzeniem i odjechała. Gavin zarzucił ciężką torbę na drugie ramię, odprowadzając dziewczynę wzrokiem. Pomimo jej tajemniczych związków z pisarzem miał nadzieję, że jeszcze ją spotka.

*

Po mniej więcej stu metrach Mariella obejrzała się przez ramię. Bokser wciąż stał w miejscu, w którym się rozstali, i patrzył na nią. Odwracając głowę, czuła na sobie jego spojrzenie. Była trochę zirytowana, że jego zdaniem nie potrafiłaby naprawić łodzi, i bardzo zła, że uważa ją za kochankę Hemingwaya. A na pewno tak myślał. Miał to wypisane na twarzy.

Dlaczego wszyscy osądzają ją na podstawie czasu, który spędza z pisarzem? Czy to takie niezwykle, że trzydziestopięcioletni mężczyzna i prawie dwudziestoletnia kobieta są przyjaciółmi?

Tak.

To rzeczywiście jest dziwne, zwłaszcza że pracuje w jego domu jako pokojówka. Zwłaszcza że on jest żonaty. A przede wszystkim dlatego, że w jego obecności sama wyczuwa łączącą ich energię. Ciekawe, czy inni też ją wyczuwają.

Po części pragnęła odseparować się od Papy, by nie dawać innym powodu do plotek. Nie chciała zadawać się z mężem innej kobiety. Papa był dla niej za stary, a ona z całą pewnością nie znaczyła dla niego nic poza rozrywką. Ale inna część, część, której istnienia nie chciała przyznać nawet przed sobą, nie dbała o to, co myślą inni, i przekonywała, że tak jest dobrze.

Tymczasem Mariella cieszyła się rowerem. Znalazła go w piwnicy, kiedy poszła tam po wino dla Pauline. Był cały pokryty rdzą. Zapytała, czy może go pożyczyć, a Pauline odparła, że nie da się na nim jeździć, bo łańcuch ciągle spada. Jednak Mariella przy pomocy Toby'ego, złotej rączki Hemingwaya, bez problemu doprowadziła go do stanu używalności.

Przez całe popołudnie spadała i klęła, ale uczyła się szybko, wiedziała bowiem, że od zdobycia tej umiejętności zależy, kiedy będzie mogła pojechać na Stock Island i sprawdzić, czy łódź ojca da się jeszcze uratować.

Niestety okazało się, że łodzi nie ma ani na pierwszym cmentarzysku, ani na drugim. Trzecie znajdowało się na No Name Key, za daleko, żeby zdążyła wrócić do miasta przed zmrokiem. Będzie musiała wybrać się tam kiedy indziej.

*

Kiedy zobaczyła na ganku siostrzyczki, serce jej się ścisnęło. Estelle siedziała

stopień wyżej niż Lulu i szcztokowała jej splątane włosy. Na widok Marielli Lulu skoczyła na nogi i pobiegła się z nią przywitać.

Oparłszy rower o drzewo, Mariella uściskała najmłodszą siostrę. Przestraszyła się, czując, że dziewczynka jest rozpalona.

– Jak się czujesz? – zapytała, kładąc dłoń na jej zaczerwienionym policzku. Nie potrafiła rozstrzygnąć, czy jest to spowodowane słońcem, czy gorączką. Ataki gorączki i bóle brzucha dręczyły Lulu przez większość jej krótkiego życia, choć ostatnio wyraźnie przybrały na sile. Lekarz leczył symptomy, ale wciąż nie był w stanie sformułować diagnozy.

Dziewczynka odsunęła się, robiąc zniecierpliwioną minę.

– Dobrze – odparła.

Mariella zajrzała jej w oczy, by sprawdzić, czy nie są szkliste.

– Na pewno? Lepiej schowaj się w cieniu.

*

Wieczorem nie spuszczała siostry z oczu, ale z ulgą stwierdziła, że Lulu wydaje się zdrowa, choć wyjątkowo zmęczona. Eva wcześniej poszła do swojego pokoju, zostawiając zmywanie córkom. Potem Mariella ułożyła siostry do snu, ale kiedy chciała wyjść, Lulu zatrzymała ją.

– Połóż się z nami – poprosiła.

Mariella nie miała na to ochoty, ponieważ postanowiła wpaść jeszcze do baru Sloppy Joe. Wybrała nawet sukienkę, którą rzadko nosiła, i na wszelki wypadek powiesiła ją w łazience. A jeśli teraz się z nimi położy, niewykluczone, że zaśnie.

– Już późno.

– Proszę. – Lulu nie ustępowała. – Opowiedz nam o tym bogatym domu, w którym pracujesz.

Wzdychając, Mariella wyciągnęła się obok sióstr. Odkąd zaczęła pracować u Hemingwayów, Lulu co wieczór domagała się historyjek o bogatym domu. Mariella była przekonana, że młodsze siostry same mogły sobie o nim opowiedzieć, ale spełniała życzenie, w wyobraźni prowadząc je koło pawli, ogromnych tropikalnych kwiatów i kutych żeliwnych balustrad do pokoi, gdzie wykwintne żyrandole odbijały się w okrągłych oknach i lustrach na ścianach, a potem dalej przez pomost do pracowni, gdzie nieżywe zwierzęta strzegły słów sławnego pisarza.

– Pracowni pilnuje lew – mówiła. – Każdy, kto tam wchodzi, najpierw widzi na podłodze szeroko otwarty pysk i boi się go zdenerwować.

– Co to lew? – zapytała sennie Lulu.

– To ogromny kot z wielkimi kłami i grzywą, która otacza jego głowę jak promienie słońca.

– Boisz się, że cię ugryzie?

Mariella pomyślała, że lew przypomina jej Hemingwaya. Zalała ją fala ciepła na wspomnienie spojrzenia mężczyzny, którym obdarzył ją w pracowni, dotyku jego dłoni na swojej, gdy upuściła ręczniki, nacisku jego uda w barze.

– Nie – odparła.

Niedługo potem pokój wypełnił się dźwiękiem regularnych oddechów. Przez chwilę Mariella zapragnęła przytulić się do siostrzyczek, ale myśl o nim kazała jej wstać i pójść do łazienki. Włożyła sukienkę, z której zaczynała już wyrastać, wyszczotkowała włosy i spięła spinkami, a usta pomalowała szminką matki. Odganiała od siebie myśl, że do baru gna ją nadzieja na spotkanie z Hemingwayem. Powtarzała sobie, że chodzi o poczucie koleżeństwa, wolność, przyjaźń.

*

Weszła do baru, ogarnięta nagłym przerażeniem, że zobaczy Hemingwaya. Czy pomyśli sobie, że wystroiła się dla niego? Czy naprawdę dla niego tak się wyszykowała? Uzna, że jest natrętna? Zirytuje się? A może powita ją, tak jak zrobił w ubiegły weekend? Mariella nie wiedziała nawet, czy rzeczywiście przysła tu ze względu na niego. Nie miała pojęcia, czego od niego oczekuje, gdyby się spotkali.

Biuściasta tleniona blondyna z czerwonymi ustami śmiała się głośno, otoczona grupką żołnierzy. Na podłodze z łoskotem rozbiła się butelka, jakiś pijak pchnął Mariellę na ścianę, gdy przeciskał się obok, by wyjść na ulicę i tam zwymiotować.

Przesunęła serdecznym palcem po dolnej wardze, wygładzając szminkę, poprawiła sukienkę. Spojrzała na stałe miejsce Papy przy barze, ale na szczęście nie było go tam. Wspięła się na palce, wiodąc spojrzeniem po tłumie, choć z powodu niskiego wzrostu widziała tylko twarze stojących najbliżej. Na końcu kontuaru dostrzegła ukrytego w cieniach mężczyznę, który wydał się jej znajomy. Miał na sobie białą koszulę schowaną w niebieskie robocze spodnie, krótko ostrzyżone włosy i młodą, niemal kobiecą twarz, ale jego oczy były stare i niebieskie. Pod jednym widniał żółknący siniak i blizna przypominająca linę. Czubek papierosa rozżarzył się pomarańczowym blaskiem, kiedy zaciągał się dymem.

Gavin.

Ich spojrzenia spotkały się. Mariella zastanawiała się, czy ją rozpoznał. Czowała się zażenowana bez baseballowej czapki i roboczego ubrania, postanowiła więc wyjść, ale pijani żołnierze zagradzali jej drogę do drzwi, a jedyna wolna ścieżka prowadziła do niego. Wzięła głęboki oddech i ruszyła. Gavin nie odrywał od niej oczu, a kiedy się zbliżyła, uśmiechnął się.

– Ciągłe na siebie wpadamy – powiedział.

– Fakt. Wcześniej nigdy cię nie widziałam, a teraz spotykamy się trzy razy z rzędu.

– W tym stroju bardziej ci do twarzy – zauważył.

– Jakim? – Uniosła brwi. – Kobięcym?

Roześmiał się i wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

– Zapalisz? – Przyjęła papierosa i odpaliła od jego. Kiedy się nachyliła, poczuła ciepły, przyjemny aromat płynu po goleniu.

– Szukasz go? – Wskazał głową bar. Odwróciła się i zobaczyła Hemingwaya siadającego na stołku. Śmiał się głośno z czegoś, co powiedział Skinner. Mariella zarumieniła się, zadowolona, że w lokalu panuje półmrok. Nagle jakiś mężczyzna obok spadł ze stołka prosto na pijanego weterana. Weteran uderzył go w twarz i zaczęła się regularna bijatyka. Rozdzielił ich Skinner, który wyszedł zza baru, złapał obu za kołnierze i powlókł do drzwi.

– Trochę tu za ostro dla damy – skomentował Gavin.

– Tu jest mnóstwo kobiet – zaoponowała.

– Nie takich jak ty. – Mariella rozejrzała się i dopiero teraz zauważyła, że większość kobiet bez wątplenia próbuje zarobić tu na życie. Nie poczuła jednak odrazy, raczej litość. Zdała sobie sprawę z tego, jakie to szczęście, że ma stałe, uczciwe zatrudnienie. – Więc jak to jest pracować u niego? – Gavin przerwał jej rozmyślenia.

– No cóż... interesująco – odparła z wahaniem. – Przyjmują mnóstwo gości. Jestem bardzo zajęta.

– A on sam? Jaki jest?

– Nie widuję go zbyt często. Wcześniej wstaje i pisze, idzie na ryby, kiedy robi się gorąco, a wieczorami siedzi w barze. A ty? Pracujesz przy budowie autostrady Overseas?

– Taa. Mieszkam na Matecumbe Key.

– Wy, weterani, macie tutaj fatalną opinię – zauważyła szczerze Mariella.

– Hemingway też ma tutaj fatalną opinię – odciął się Gavin.

– Wygląda na to, że otaczają mnie same zbiry.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

Mariella zerknęła w kierunku Papy, który wyciągnął w jej stronę szklankę i sugestywnie spojrzał na jej sukienkę. Uniósł brwi, kiwając głową na Gavina. Pewnie pomyślał, że przyszła na randkę z bokserem. W pierwszym impulsie nie chciała, by wyciągał takie wnioski, ale potem się zreflektowała. Hemingway jest przecież żonaty, a ona nie chce męża innej kobiety. Nie wiedziała nawet, czy w tej chwili chce jakiegokolwiek mężczyznę. Związki prowadzą do kłopotów. Nauczyła się tego, obserwując rodziców.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Gavina.

– Zatańczysz?

Odruchowo spojrzała na tabliczkę nad drzwiami: „Wulgarnie tańce zakazane”, a potem na parkiet, gdzie żołnierze okręcali pijane kobiety w wydekoltowanych bluzkach i obcisłych sukienkach. Machnęła głową w kierunku tabliczki, ale Gavin

roześmiał się i złapał ją za rękę.

– Nie, naprawdę. – Wyrwała się. – Okropnie tańczę.

– A kogo to obchodzi. – Nie dawał za wygraną. – Ja też nie jestem mistrzem parkietu.

Zerknęła na Hemingwaya, który obserwował ich z zainteresowaniem, a może nawet zazdrością. Odwróciła się do Gavina i już dobrowolnie podała mu dłoń.

Pociągnął ją w stronę zespołu i zaczęli chaotycznie poruszać się w rytm dudniącej muzyki. Kiedy znowu spróbowała zerknąć na Hemingwaya, już go nie było. Serce jej się ścisnęło. Zastanawiała się, czy naprawdę wzbudziła w nim zazdrość, ale potem uświadomiła sobie szaleństwo całej sytuacji: wystroiła się i przyszła tu, a potem chciała go rozgniewać. Takie zachowanie przeraziło ją, ponieważ było przemyślane i miało w sobie element desperacji. Nie poznawała samej siebie.

Jakaś para wpadła jej na plecy, popychając na Gavina. Zderzyli się głowami i wybuchnęli śmiechem. Perkusista zaczął solówkę, podczas której żołnierze przerzucali dziewczyny nad sobą. Gavin zrobił to samo, ale Mariella zamiast zgrabnie zeskoczyć za nim, wylądowała pupą na podłodze. Podniósł ją i przeprosił, zakłopotany, zaraz jednak oboje zaczęli się tak serdecznie śmiać, że nie potrafili złapać tchu.

Poprowadził ją do kąta i musnął dłonią jej czoło.

*

– Mówiłam, że nie umiem tańczyć – powiedziała. – Nie wiem, dlaczego mi nie uwierzyłeś.

– Myślałem, że próbujesz mnie zniechęcić – odparł, ciągle się śmiejąc. – Teraz wiem, że mówiłaś prawdę. – Po raz pierwszy tego wieczoru spojrzała mu prosto w oczy i zobaczyła w nich tę tajemniczą intensywność, którą dostrzegła w dniu, kiedy się poznali. Zalała ją fala ciepła, miała tylko nadzieję, że Gavin nie dostrzegł, że wcześniej uwagę miała podzieloną. Zespół zaczął grać wolną i zmysłową piosenkę *All Through the Night* i Gavin sięgnął po dłoń Marielli. – Spróbujmy jeszcze raz – zaproponował. – Jak teraz stukniemy się głowami, na zawsze skreślimy taniec z listy ulubionych zajęć.

– No dobrze – odparła i pozwoliła mu poprowadzić się z powrotem na parkiet, ciesząc się z delikatnego nacisku jego dłoni na swoich plecach i sposobu, w jaki wpasowała się w jego objęcia. Uniosła wzrok, przyglądając się jego bliźnie i cieniom pod oczami. Gavin najwyraźniej nie był w stanie na nią spojrzeć z tak bliska. Ciekawe, dlaczego nagle zrobił się taki nieśmiały? Wydawało jej się, że próbował tak odwrócić twarz, by ukryć bliznę, i żałowała, że nie potrafi mu powiedzieć, że nie musi tego robić, ale nie chciała wprawiać go w zakłopotanie.

Kiedy piosenka dobiegła końca, poszli do baru. Hemingwaya nadal nie było.

Mariella była zadowolona z siebie, że dała radę przez całe pięć minut o nim nie myśleć.

– Gdzie mieszkasz? – zapytał Gavin.

– Na rogu Whitehead i Louisa. A ty gdzie się zatrzymałeś?

– U kumpla na Olivia Street. Może odprowadzę cię do domu? Tu robi się dość paskudnie.

Mariella zawahała się. A jeśli chodziło mu o to, żeby zostać z nią sam na sam? Jednak gdy spojrzała mu w twarz, stwierdziła, że mu ufa. Zresztą gdyby czegoś próbował, znała wszystkie tajemne zaułki i przejścia, a na każdym rogu miała przyjaciół. Nic by jej nie zrobił.

– Okay. Chodźmy.

Wyszli na Greene Street, z rozkoszą zamieniając duszny hałaśliwy bar na świeże nocne powietrze. Gavin zaprowadził ją na Duval, by zajrzeć do lokali i posłuchać muzyki. Wstawieni ludzie tracili nad sobą panowanie i Gavin opiekuńczym gestem znów położył dłoń na plecach Marielli. Spojrzała na niego, unosząc brwi.

– Przepraszam – powiedział. – Nic nie mogę na to poradzić. Wiem, do czego zdolni są weterani.

– W zeszłym tygodniu jeden rozebrał się na podwórku sąsiadów i musieli zabrać go do więzienia.

– No dobra, przyznam się, to byłem ja – odparł Gavin z powagą, ale gdy Mariella uderzyła go w ramię, roześmiał się.

Dość szybko dotarli na jej ulicę. Mariella już z daleka zauważyła, jak do ich domu wchodzi lekarz.

Z okrzykiem przerażenia zerwała się do biegu; w jej głowie kotłowały się tysiące przepełnionych wyrzutami sumienia myśli, za którymi podążały modlitwy do Najświętszej Pani, do ojca, do świętej Teresy – do wszystkich oprócz Boga, ponieważ wstyd z powodu wyjścia do baru nie pozwalał jej zwrócić się do Najwyższego. W parę minut była przed domem wraz z Gavinem deptającym jej po piętach. Dopiero wtedy przystanęła i odwróciła się do niego:

– Proszę, idź już. Nie wiem, jak zareaguje na ciebie matka.

Wbiegła po schodach, nie czekając na odpowiedź.

*

Stojąca w kącie Estelle wykręcała dłonie. Mariella słyszała szum wody wypełniającej wannę; w progu zobaczyła Evę, miała włosy w nieładzie i dziki wzrok, w palcach przesuwała paciorki różańca. Zmierzyła Mariellę od stóp do głów, a potem spojrzała ponad jej ramieniem, jakby spodziewała się zobaczyć tam Hemingwaya.

Z pokoju dziewczynek wyszedł lekarz, niosąc ledwo przytomną Lulu.

– Jaką ma temperaturę? – zapytała Mariella.

- Trzydzieści dziewięć i cztery. Podałem jej aspirynę.
- A brzuch?
- Straszny... – szepnęła Eva.

Doktor Wilson cuchnął alkoholem, miał pogniecioną koszulę i wyglądał, tak jakby właśnie się obudził. Mariella pomyślała, że mężczyzna w takich sytuacjach musi przeklinać fakt, że mieszka tuż za rogiem. Popędziła do swojego pokoju, wyjęła z puszkki trzy dolary, wróciła do lekarza i wcisnęła mu pieniądze do ręki. Sprawiał wrażenie zażenowanego i chciał je oddać, ale powstrzymała go.

- Nie, tak dużo pan dla nas robi.

Wymamrotał podziękowanie, wsunął banknoty do kieszeni i obszedł Mariellę, żeby zanieść Lulu do łazienki. Zszokowana dziewczynka płacząco krzyknęła i zaczęła się rzucać, gdy zanurzał ją w lodowatej wodzie.

- Cii... – próbował ją uspokoić. – Wiem...

Po chwili dziewczynka znieruchomiała, jakby zimno ją otepiło. Wtedy lekarz wyjął ją z wody, owinął w ręcznik i zaniósł z powrotem do łóżka. Kiedy Eva poszła ubrać córkę, Mariella podeszła do rozgrzanej Estelle. Zaprowadziła ją do sypialni matki, posadziła na łóżku i otarła łzy.

– Nic jej nie będzie – zapewniła. Estelle spuściła wzrok na swoje dłonie, którymi wciąż manipulowała nerwowo. Mariella przykryła je ręką i oparła czoło o czoło siostrzyczki. – Wiem, że wszystko będzie dobrze – dodała, ale to nie była prawda. Nie wiedziała, czy Lulu nic nie będzie. Nie wiedziała, czy matka zdoła przeżyć większy stres. Nie wiedziała, czy Estelle wyjdzie z tego bez trwałych blizn. Jej średnia siostra bardzo zamknęła się w sobie. W zeszłym tygodniu Mariella widziała, jak bawiła się lalkami, których nie dotykała od lat.

Kiedy dziewczynka się uspokoiła, Mariella zabrała ją do pokoju, w którym spała już Lulu, położyła ją do łóżka, a sama wyciągnęła się obok. Słyszała, jak w kuchni doktor Wilson mówi coś cicho do matki.

Wyrzuty sumienia powróciły. Gdyby nie wyszła z domu, może wcześniej wezwałaby lekarza i gorączka Lulu nie wzrosłaby tak bardzo. Pomogłaby Estelle podczas jej ataku paniki. Kolejny raz, kiedy nie było jej przy rodzinie w trudnej chwili.

*

Gavin okrążył przecnicę i wrócił pod dom Marielli. Lekarz, który właśnie z niego wyszedł, o mało na niego nie wpadł.

– Nie stój tak, żołnierzu – powiedział, Gavin jednak zignorował go, wpatrując się w okno. Na ulicy nikogo nie było, ale nie chciał, by ktokolwiek go zauważył i wziął za podglądacza, zapalił więc papierosa i ruszył w swoją stronę.

Zastanawiał się, ile lat ma Mariella. Na oko nie mogła mieć więcej niż

dwadzieścia, ale przecież sam nie wyglądał na swoje trzydzieści dwa lata. Była piękna i pełna werwy. Musiał także przyznać, że intryguje go możliwość, że jest dziewczyną Hemingwaya.

Nagle potknął się o dziurę w chodniku i wpadł na kogoś.

– Przepraszam – rzucił.

– Piłeś, żołnierzu? – usłyszał głos z wyraźnym niemieckim akcentem.

Stał przed nim chudy starzec w małych okularach. W jednej ręce trzymał bukiet kwiatów, a w drugiej papierową torbę. Odór formaldehydu i czegoś jeszcze, czego Gavin nie potrafił nazwać, sprawił, że się cofnął.

– Nie, sir, jestem tylko niezgrabny.

– Bez wątpienia myśli masz zajęte dziewczyną. – Gavin uśmiechnął się, pocierając kark. Mężczyzna wyciągnął do niego rękę. – Hrabia van Cosel.

Nazwisko wydało się Gavinowi znajome, choć nie wiedział, gdzie je umiejscowić. Uścisnął dłoń mężczyzny, patrząc na kwiaty i torbę.

– To dla pańskiej damy?

Cosel spowaźniał.

– Tak. Wszystko dla mojej miłości.

Wpatrywał się w Gavina tak długo, że tego aż ogarnął niepokój, pożegnał się więc pospiesznie. Po kilku krokach odwrócił się i patrzył, jak hrabia znika w ciemności.

Rozdział szósty

Mariella stała na drabinie w salonie Hemingwayów i polerowała żyrandol. Pocierała miękką szmatką każdy kryształowy sopel tak długo, aż zaczynał błyszczeć. Pomyślała, że żyrandol wisi pod sufitem jak tłusty, bezużyteczny diament.

Pauline wyszła z Lorine, żoną Chucka Thompsona, na lunch i zakupy, Ada zabrała gdzieś chłopców. Mariella mogła się cieszyć spokojem, choć nie trwało to długo – wkrótce usłyszała na schodach kroki Papy.

– O której kończysz? – zapytał.

– O piątej. – Udawała obojętność, choć musiała użyć całej woli, żeby się do niego nie odwrócić. Wiedziała, że jej uczucia do niego są złe, i zamierzała za wszelką cenę je stłumić.

– Dopiero trzecia! Co mam przez ten czas robić?

– Nie ma pan ryb do złowienia, książki do napisania albo czegoś w tym rodzaju?

– Rano pisałem przez cztery godziny i musiałem przestać. Zaczęło mi świetnie iść.

– Przerwał pan, kiedy zaczęło panu świetnie iść? – zapytała, nic z tego nie rozumiejąc.

– Zawsze tak robię, bo wtedy następnego dnia mogę bez problemu pisać dalej – wyjaśnił Papa. – Jeśli przerywam, kiedy jest zastój, takiej gwarancji nie ma.

– Czy to nie jak zostawienie ryby na wędce, zanim się ją wciągnie?

– Nie, to jak zostawienie kobiety w łóżku, zanim... – W kuchni trzasnęło naczynie w zlewie. Pewnie Isabelle ich usłyszała. Twarz Marielli zalała się rumieńcem. – Chce więcej, prawda? – zapytał figlarnie Papa. Mariella nie była w stanie na niego spojrzeć. Nadal polerowała żyrandol. – Przepraszam, posunąłem się za daleko. – Z kuchni dobiegło gniewne prychnięcie Isabelle. – No, córko, złaż z tej drabiny. Chodźmy na lemoniadę i pooglądajmy ludzi. Ja jestem tu szefem i zarządzam, że na dzisiaj skończyłaś.

W końcu na niego spojrzała. Oparty o drabinę, nie odrywał od niej wzroku. Strasznie chciała z nim pójść, ale wiedziała, że Isabelle podsłuchuje, i nie zamierzała wydać się zbyt chętna.

– Powinnam zrobić to dzisiaj, bo jutro muszę zająć się dywanami, a lubię pracować od góry do dołu. Niech pan idzie, później do pana dołączę.

– Nie, poczekam tutaj – upierał się. – I tak niewiele ci zostało. – Uśmiechnął się do niej i podszedł do kanapy, gdzie na oparciu leżała gazeta, którą wcześniej czytał. Wziął ją, otworzył i sponad kartki przyglądał się Marielli. Z całej siły koncentrowała się na żyrandolu, żeby na niego zerkać. Zdawała sobie sprawę, że zaleje się rumieńcem od stóp do głów, jeśli napotka jego spojrzenie. Wcześniejsze wyjście w sumie nie byłoby takim wielkim grzechem. I tak prawie już kończyła. Poza tym to on

jest szefem. – Do diabła, kto zastępuje wentylatory żyrandolami w cholernych tropikach? – zapytał, jakby czytał w myślach Marielli.

– Nie jestem tu od wydawania opinii, tylko od sprzątnia – odparła.

Burknął coś, szeleszcząc gazetą.

Skończyła pucować krysztalek i zeszła z drabiny. Hemingway natychmiast był przy niej. Złożył drabinę, która w jego rękach zdawała się nic nie ważyć, i zniknął za balkonowymi drzwiami, nim Mariella zdążyła mrugnąć. Wrócił równie szybko i zarządził:

– Chodźmy.

*

Cytrynowy aromat rozłożystej magnolii unosił się w popołudniowym powietrzu. Na ulicach panował gwar, na chodnikach tłoczyły się dzieci, które wyszły właśnie ze szkoły, i rybacy wracający z połowów. Kiedy usiedli przy stoliku w kawiarni, Papa zamówił dwie lemoniady i dwa kawałki ciasta z limą, po czym zaczął głaskać kota, który podszedł, by pocierać się o jego nogę.

– Jest taka jak ty – powiedział. – *Mi pequeño gato*.

Mariella spojrzała na puszystą białą kotkę.

– Pański kotek? To pan jest kotem. Lwem.

Roześmiał się.

– Już mi to mówiono.

Szybko podano im napoje i ciasto. Mariella powstrzymywała się, by nie połknąć swojego od razu, bo chciała trochę zanieść siostrze. Było wyśmienite, cierpkie, a kwaskowata lemoniada doskonale je uzupełniała.

Przez jakiś czas obserwowali przechodzących ludzi, potem Papa zapytał, czy Marielli nie będzie przeszkadzać, jeśli zrobi kilka notatek. Po kilku minutach przed ich stolikiem zatrzymał się wysoki, chudy mężczyzna w okularach.

– Hemingway? Ernest Hemingway? – Lew uniósł głowę bez cienia serdeczności. – Jezu Chryste, to naprawdę ty? Do diabła, jak się miewasz? – Hemingway wciąż milczał. – Jestem Mike, Mike Johansen z baru Josiego. Graliśmy kiedyś w bilard z Larrym i jego dziewczyną i widzieliśmy bijatykę w barze. Cholera jasna, to było coś, no nie?

– Powinieneś uważać na to, co mówisz w obecności damy – upomniał go Papa. – Nie widzisz, że pracuję?

– Jezu, Hem, przepraszam.

– Dobra. A teraz spadaj. – Mariella skuliła się na krześle, gdy tamten odchodził, upokorzony i zgarbiony. Spojrzała na Hemingwaya, który wrócił do swoich notatek. Po kilku minutach przestał pisać i podniósł na nią wzrok. Jego twarz była przyjacielska i otwarta. Mariella zmarszczyła brwi, zdezorientowana. – Co? – zapytał,

poważniejąc.

– To nie było miłe.

– A twoim zdaniem było miłe, kiedy ten nieudacznik przeszkodził mi w pracy swoim wstrętnym językiem i idiotycznymi wspomnieniami z wieczoru, którego nawet nie pamiętam?

– Nie, ale spławił go pan w bardzo przykry sposób.

– To akurat było dobre. W przeciwnym razie przysunąłby sobie krzesło i doprowadzał nas do szaleństwa swoimi bredniami. Czy człowiek nie może posiedzieć i popisać w spokoju?

– Jest pan w miejscu publicznym, Papa.

– Ale zajmuję się sprawami osobistymi.

– Jest pan sławnym pisarzem – upierała się. – Nie może pan oczekiwać, że będzie siedział w miejscu publicznym przez nikogo niezauważony i robił to, z czego jest pan sławny.

– Ale ja muszę obserwować ludzi, żeby czerpać pomysły. – Mężczyzna też nie dawał za wygraną.

– W takim razie niech się pan spodziewa, że od czasu do czasu ktoś panu przeszkodzi.

– Ty możesz siedzieć i mi nie przeszkadzać. – Hemingway upił wielki łyk lemoniady.

– To dlatego że jestem zajęta ciastem. Gdybym go nie miała, pewnie bym panu przeszkadzała. – Mariella uśmiechnęła się do niego.

Odwzajemnił uśmiech, kręcąc głową. Znowu ugryzła kawałek, a Papa spuścił wzrok na swój notatnik. Po kilku minutach sięgnął do kieszeni.

– Właśnie sobie przypomniałem, że coś dla ciebie mam – powiedział i położył jej na dłoni czarną króliczą łapkę na kółku do kluczy. – Na szczęście.

– A gdzie reszta? – zapytała.

– A skąd mam wiedzieć, do diabła? Łapka to jedyna przynosząca szczęście część królika.

– Jemu, jak widać, nie przyniosła szczęścia.

Roześmiał się głośno i upił kolejny łyk lemoniady.

– Wiesz, mam zamiar napisać o tobie opowiadanie, Mariello.

– Proszę tego nie robić.

– Dlaczego?

– Nie chcę, by mnie wykorzystano.

– Wykorzystano?

– Kiedy przenosi pan ludzi na karty swoich książek, coś im pan zabiera – powiedziała z powagą.

Przyjrzał się jej uważnie.

– W sumie i tak nie chcę się tobą z nikim dzielić. – Ukośną linią przekreślił wszystko, co napisał, i przewrócił kartkę na czystą stronicę. Mariella poczuła gęsią skórę na ramionach. *Już. Po wszystkim.* Po kolejnym kęsie odłożyła widelczyk i napiła się lemoniady. Znowu na nią spojrzął. – Coś nie tak z tym ciastem?

– Nie. Po prostu chcę zanieść siostrze.

Przez chwilę patrzył na nią, a potem wstał i zniknął w kawiarni. Zastanawiała się, po co tam poszedł, i zaczynało ogarniać ją skrepowanie, bo ludzie przy sąsiednich stolikach zerkali podejrzliwie w jej stronę. Pewnie zadawali sobie pytanie, co robi tu Ernest Hemingway ze swoją służącą.

Wrócił po kilku minutach.

– Zjedz do końca – polecił.

– Ale moje siostry...

Gdy uniósł dłoń, podszedł do nich kelner i położył na stole ciężką brązową torbę.

– Ciasto dla twojej rodziny – wyjaśnił Papa. – A także kilka kanapek.

Mariella z zakłopotaniem poczuła, jak w oczach wzbierają jej łzy. Hemingway mrugnął do niej i wrócił do pracy. Siłą woli powstrzymała się od płaczu, jedząc ciasto i rozpluwając się w szczodrości i serdeczności swojego towarzysza.

Z tego błędnego nastroju niespodziewanie wyrwał ją padający na stolik cień.

Pauline.

– Witaj, mamie – rzucił Hemingway bez entuzjazmu.

Tego już za wiele, pomyślała Mariella.

Papa zerwał się od stolika i objął Pauline, która nie odrywała wzroku od Marielli.

– A gdzie Lor? – zapytał.

Pauline nie odpowiedziała, spojrzała za to na zegarek. Mariella zaczerwieniła się, bo wiedziała, że jeszcze nie ma piątej i Pauline będzie zła, że wyszła wcześniej z pracy.

– Nie wiedziałam, że pracujesz dziś krócej – powiedziała Pauline zgodnie z jej obawami.

Mariella zaczęła bąkać niewyraźne przeprosiny, ale Papa jej przerwał:

– Chciałem, żeby dotrzymała mi towarzystwa. I tak na dzisiaj skończyła.

– Nie zatrudniamy jej do wykonania określonych zajęć, tylko na cały dzień.

– To właściwie nie jest twoja sprawa – oznajmił Papa.

– Wręcz przeciwnie – odparła Pauline.

Ludzie przy sąsiednich stolikach zaczęli gapić się na nich bez skrepowania. Mariella żałowała, że nie może rozpluć się w powietrzu. Z czerwonej twarzy Papy mogła wyczytać, że zaraz wybuchnie.

– Może z nami usiądziesz, zamiast urządzać scenę – powiedział.

– Tak mi dobrze...

– Siadaj – rozkazał ostro.

Pauline przyglądała mu się przez chwilę, a potem usiadła, kładąc u stóp torby z zakupami.

Mariella czuła się odpowiedzialna za tę kłopotliwą sytuację i martwiła się, że Pauline obetnie jej pensję.

– Wróć i popracuj jeszcze – powiedziała. – Nie powinnam była wychodzić wcześniej.

– Wykluczone – odparł Papa. – Kazałem ci wyjść. Dajmy temu spokój.

– Tak. – Pauline zamknęła oczy i roztarła skronie. – Dajmy temu spokój. I tak chcę już wracać do domu. Jestem wyczerpana. – Do stolika podszedł kelner i zapytał, czy Pauline chce coś zamówić, ale odprawiła go. – Idę do domu – oznajmiła. – Mariella, bądź tak dobra i pomóż mi zanieść torby. Zostawimy Papę samego, żeby mógł dokończyć pracę.

Mariellę zapiekły policzki i ogarnęła nagła ochota, by znokautować Pauline, wymierzając prawy hak w jej triumfującą twarz. Musiała się zmusić, by wstać i podnieść torby. Pamiętała o jedzeniu, które kupił dla niej Papa, ale nie chciała go zabierać, bo miała wrażenie, że to tylko pogorszy sytuację. Było jej jednak żal rezygnować z tego poczęstunku.

Pauline cmoknęła męża w głowę i ruszyła w stronę chodnika. Kiedy się odwróciła, Mariella spojrzała znacząco na Papę, a potem na torbę. Pokręcił głową i bezgłośnie wyszeptał:

– Ja się tym zajmę.

Pobiegła za Pauline, nakazując sobie w myślach, by nie reagować na żadne obelgi. Jednak kobieta przez całą drogę do domu nie powiedziała ani słowa, a jej milczenie bardziej wyprowadziło Mariellę z równowagi, niż dokonałyby tego krzyki. Szła kilka kroków przed Mariellą, wyprostowana jak struna, pełna dostojnego wdzięku niczym królowa. Mariella odruchowo także się wyprostowała. Postawa i pewność siebie czyniły Pauline atrakcyjną, a Mariella dostrzegła tkwiącą w tym moc.

Kiedy doszły do wielkiego muru otaczającego dom, Pauline z twarzą zarumienioną od szybkiego marszu odwróciła się i odebrała torby. Mariella przełknęła dumę i powiedziała:

– Przepraszam za dzisiaj. Jutro przyjdę wcześniej i odpracuję ten czas.

– Dobrze. – Pauline ruszyła do bramy, ale po kilku krokach zatrzymała się i odwróciła na pięcie. Jej mina wskazywała, że strasznie chce coś powiedzieć. Mariella przygotowała się na ostre słowa, na naganę, za przemowę w stylu „Trzymaj się z daleka od mojego męża”, Pauline jednak sprawiała wrażenie znużonej. – On jest niepoprawny. Jak dziecko szuka sobie towarzyszy zabawy. Ale ty możesz powiedzieć „nie”. – Mariella kiwnęła głową, spuszcżając wzrok. – Prawdę mówiąc, żądam tego od ciebie – dodała Pauline tonem zimnym jak stal.

Kiedy Mariella wróciła do domu, torba z jedzeniem leżała na ganku. *To ładnie z jego strony*, pomyślała, z zachwytem rozważając, że potrafią czytać sobie w myślach jak Catherine i Henry w *Pożegnaniu z bronią*. Powinna jednak nie dopuszczać do tego – te ich myśli odbijały się echem w ciszy, z ich powodu Pauline była podejrzliwa, Mariella rumieniła się, a inni surowo ją osądzali.

Kiedy weszła do domu i wypakowała zawartość torby na kuchenny stół, Lulu aż zaklaskała z radości. Dziewczynka wyglądała znacznie wiele lepiej, odkąd gorączka ustąpiła. Marielli od razu poprawił się humor.

– Skąd to masz? – zapytała Eva, patrząc na leżące na stole pyszności.

– Papa nam kupił – odparła Mariella, momentalnie żałując, że nazwała tak Hemingwaya. – Siadły do posiłku. Matka nie odzywała się słowem, ale kiedy wstała od stołu, nie kosztując deseru, Mariella położyła jej dłoń na ramieniu. – Musisz zjeść kawałek ciasta – powiedziała.

– *Por que?*

– Postąpiłabyś źle, gdybyś nie zjadła. Zepsuje się, a ty przecież nie chcesz marnować jedzenia.

Kobieta spojrzała na córkę, a potem na ciasto. Usiadła, a Lulu podsunęła jej łyżkę ze swojego talerza. Przy pierwszym kęsie Eva popatrzyła na córkę szeroko otwartymi oczami, ale zaraz je zamknęła, smakując doskonałą cierpkość delikcji.

– Niebo w gębie, prawda, mamó? – zapytała Lulu.

Eva kiwnęła głową, nie otwierając oczu. Jej usta powoli wygięły się w uśmiechu. Estelle także nieznacznie się uśmiechnęła. Wszystkie karmiły się na zmianę i dokładały kolejne porcje, aż został tylko jeden kawałek. Zgodnie zdecydowały, że poczęstują nim staruszka mieszkającego po drugiej stronie ulicy. Lulu i Estelle w podskokach pobiegły do sąsiada, zostawiając Mariellę i matkę w kuchni.

– To szczodry gest, nie sądzisz? – zapytała Eva, kiedy Mariella zaczęła zbierać naczynia.

Dziewczynie ścisnęło się serce. W głębi duszy podejrzewała, że matka znajdzie sposób, by nadać prezentowi Hemingwaya dwuznaczny sens, ale liczyła, że jednak tego nie zrobi.

– On jest szczodry – odparła, zdecydowana nie chwytać przynęty. Chciała cieszyć się pełnym brzuchem.

– Mam tylko nadzieję, że niczego od ciebie nie oczekuje – powiedziała Eva. – Musisz się pilnować. Mężczyźni tacy jak on nie rozdają prezentów za *nada*.

Mariella kurczowo złapała ścierkę i zacisnęła zęby, by powstrzymać się od odpowiedzi. Czuła na sobie wzrok matki, kiedy ta ustawiła resztę talerzy koło zlewu i usiadła w fotelu. Już przygotowała sobie odpowiedź, gdy do kuchni wbiegły dziewczynki. Lulu wesoło paplała o dobrym jedzeniu, dobrych bogatych ludziach i

staruszkę, którego uszczęśliwiły ciastem. Po raz drugi tego dnia Mariella stłumiła gniew i zmusiła się do uśmiechu.

Nocą nie mogła zasnąć. Myślała o matce. Fantazjowała, że odnajdzie starą łódź ojca, naprawi ją i popłynie aż do Gulf Stream. Kiedy wreszcie zasnęła, śniła o łodzi płynącej po nocnym morzu. Za nią stał mężczyzna, obejmował ją w pasie, ale nie potrafiła dostrzec jego twarzy.

Rozdział siódmy

Mariella wrzuciła resztę lodu do wanny na jachcie, schowała pieniądze i podziękowała za napiwek. Patrzyła, jak łódź wychodzi z portu, i czuła tęsknotę długo po tym, jak zniknęła jej z oczu. Boleśnie pragnęła wrócić na morze. Zamknęła oczy, wyobrażając sobie, że stoi za sterem własnej łodzi i płynie do Gulf Stream.

– Córko. – Uniosła powieki i zobaczyła, że stoi przed nią. – Tęsknisz za morzem.

– Strasznie.

– W takim razie dzisiaj jest twój szczęśliwy dzień.

– Dlaczego?

– Bo właśnie wypływam i chcę, żebyś mi towarzyszyła.

– Nie, to wykluczone.

– Czemu?

Mariella szukała w myślach wiarygodnej wymówki.

– Nie uprzedziłam matki, że wychodzę na tak długo.

– Przecież nie masz sześciu lat.

– Ja nie, ale moje siostry tak – zaprotestowała.

– Mają matkę. Dadzą sobie radę.

– Ale pan nie chce mnie zabrać.

– Zaprosiłem cię, prawda? Nie robię rzeczy, których nie chcę robić. – Gdy obłok rzucił na nich cień, Mariella rozejrzała się z trwogą, oczekując, że zobaczy Pauline. Przypomniała sobie jej ostatnie żądanie. Ale to był jej wolny dzień. Zarobiła trochę pieniędzy... Spojrzała na wodę i z tęsknoty aż zakręciło jej się w głowie. – Płyniesz ze mną – powiedział Papa. – Nalegam jako twój pracodawca.

*

Kiedy odpływali z przystani, Mariella obejrzała się i zobaczyła stojącego przed restauracją Nicolasa. Obserwował ją z ponurą miną i splecionymi na piersiach rękami. Uśmiechnęła się i pomachała do niego. Uniósł dłoń, ale nie odwzajemnił uśmiechu. Papa dostrzegł to.

– Martwi się o ciebie – powiedział. – Nicolas to dobry człowiek. Wielu z tych ludzi na przystani to dobrzy ludzie.

– Tylko szczęście ich opuściło.

– Skądś to znam. – Mariella zerknęła na niego z niedowierzaniem, jakby chciała powiedzieć: „Brednie”. – Co? – zapytał Papa. – W Paryżu byłem biedny jak mysz kościelna. Hadley i ja czasami nie jedliśmy całymi dniami. I nigdy nie byłem szczęśliwszy niż wtedy.

– Nie może pan twierdzić, że lepiej jest być biednym niż bogatym.

Milczał przez chwilę.

– Jeśli człowiek jest szczerzy wobec siebie, swojej żony i pracy, a jada i pije z takimi samymi ludźmi jak on, to tak, lepiej być biednym – powiedział.

Mariella pokręciła głową.

– Pan po prostu wspomina dobre czasy. Zapomina o bólu brzucha, bezsenności, o tym, że nigdy nie wiedział pan, czy wystarczy pieniędzy na opłacenie dachu nad głową.

– Nie mówiłem, że było mi wygodnie – sprostował. – Powiedziałem, że byłem szczęśliwy i szczerzy.

– A teraz pan nie jest?

Znowu zamilkł. Przed nimi otwierało się pełne morze. Niedaleko przepłynął statek wycieczkowy, posyłając na nich wielką falę. Zaskoczona tym Mariella wpadła na Papę. Uśmiechnął się do niej.

– Trochę za wcześnie, ale piszę się na to – powiedział z figlarnym błyskiem w oku.

Mariella próbowała powstrzymać rumieniec, szukając stosownej riposty.

– Błagam, jest pan za stary – powiedziała.

Papa wybuchnął swoim szczerym, dudniącym uśmiechem.

Zmieniali się przy sterze, wolno prowadząc „Pilar” na pełne morze. Mariella nigdy dotąd nie prowadziła trzydziestoośmiostopowego jachtu i cieszyła się, że jest to dla niej równie naturalne, jak prowadzenie małej rybackiej łodzi ojca. Papa pokazywał jej specjalne wyposażenie: pojemnik na żywe ryby, podwójne silniki, potężne zbiorniki na paliwo, dzięki którym mógł spędzać na morzu tyle czasu, ile chciał.

Kiedy zostawili za sobą przybrzeżne wody, Mariella zwiększyła prędkość.

– Jesteś do tego stworzona – stwierdził Ernest.

– Dla mnie to raj. Nic innego nie chcę robić.

– Więc dlaczego tego nie robisz?

– Potrzebuję łodzi.

– A łódź twojego ojca?

– Zniszczona. Rozbita. Poza tym i tak nie wiadomo, gdzie jest. – Słuchał jej w milczeniu. – Pewnego dnia... – dodała.

– Będziesz łowiła ryby?

Przez chwilę się wahała. Obawiała się, że nie weźmie poważnie jej słów albo gorzej, weźmie, a zdradzenie tego marzenia innej osobie będzie oznaczało, że powinna na serio się tym zająć.

– Będę kapitanem lśniącej floty łodzi czarterowych.

Naprawdę to powiedziała?

– Teraz mówisz do rzeczy. – Więc potraktował ją poważnie. – Dokąd teraz? – Nie rozwodził się nad jej słowami. To było dobre. Sama nie chciała się nad tym zastanawiać.

- Na południe od Tortugas są o tej porze roku najlepsze ryby.
- Prowadź, kapitanie.

Sterując jachtem, Mariella ukradkiem zerkała na Papę, podziwiając jego profil na tle fal. Jej uczucia miotały się między wdzięcznością, pożądaniem i wyrzutami sumienia. Czy matka miała rację, mówiąc o długu wobec niego? Czy Papa traktuje ją jak rozrywkę, odmianę od nudy i rutyny codzienności? Nie podobała się jej myśl, że może ją wykorzystywać, ale kiedy Hemingway obdarzał kogoś swoją uwagą, nikt nie potrafił mu odmówić. Ona na pewno nie. Argumentowała w myślach, że dopóki nie przekroczą pewnej granicy, prowadzenie tej gry jej nie zaszkodzi.

– Nie odpowiedział mi pan na pytanie – odezwała się po długiej chwili.

– Jakie?

– Jest pan szczęśliwy?

– Nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie osobie, która jest biedna, nie wydając się przy tym kompletnym dupkiem.

– Niech pan po prostu powie, co pan myśli.

Kiedy na nią spojrział, nie odwróciła wzroku. Chciała się przekonać, czy stać go na szczerłość.

– Ja sam wcale nie jestem taki bogaty.

– Jak to?

– Dom kupił nam wuj Pauline. To ona jest bogata. Pieniądze należą do niej.

– Odnosi pan sukcesy jako pisarz.

– To prawda, i nieźle sobie radzę, ale bez jej pieniędzy nie stać by mnie było na to wszystko. Czasami czuję się z tego powodu brudny. – Mariella milczała. Zawsze sądziła, że dzięki pisarstwu Papa może sobie pozwolić na taki styl życia. Nie zdawała sobie sprawy, jak wiele Pauline wniosła w to małżeństwo. Zaczynała rozumieć, o co mu chodziło, kiedy powiedział, że bogactwo nie zawsze oznacza lepsze życie. Pomyślała o różnicach dzielących Hemingwaya i Pauline. Ona miała żyrandole, on – ekstrawagancką fryzurę i przyjaciół wśród bezzębnych rybaków. Ona chodziła na zakupy, on na mecze bokserskie w Bahama Village. Ona spędzała czas ze swoją dobrze wychowaną, elegancką siostrą, on łowił ryby z pokojówką. – Pokażę ci coś, co ci się bardzo spodoba – powiedział, wyrywając ją z zadumy, po czym zniknął w kabinie, skąd po chwili wyłonił się z mannlicherem w ręku.

– Jezu, Papa! – krzyknęła Mariella.

– Piękny, prawda? – Uśmiechnął się z dumą. – Mam dość tych przeklętych rekinów. Kiedy ostatnio wypłynąłem, jeden o mało nie odgryzł mi ręki.

– Zabije się pan tą strzelbą.

Hemingway spoważniał.

– Nie. – Poglądził lufę. – Nie jestem taki jak mój ojciec. – Mariella, zawstydzona, wbiła wzrok w pokład. Nie miała o tym pojęcia. – Słyszałaś o nim?

Spojrzała na Papę. Czoło miał zmarszczone, a w oczach smutek. Sprawiał wrażenie, jakby chciał o tym porozmawiać.

– Nie – odparła.

– Czasami myślę, że to dobry sposób na odejście – powiedział po chwili. – Był chory, wiedział, że jego stan się nie poprawi. Matka go wykończyła.

– Był pan z nim blisko?

– Czasami tak... Tak, powiedziałbym, że byłem.

Mariella poczuła, że może wreszcie porozmawiać o Halu z kimś, kto ją zrozumie, kto kochał swojego ojca, czasem nienawidził matki i rozumiał, czym jest strata.

– Ja też byłem blisko z tatą – powiedziała cicho.

– Było mi przykro, kiedy dowiedziałem się o jego śmierci.

– Nie potrafię uwierzyć, że nie byłem z nim tamtego dnia.

– Dzięki Bogu, że nie byłaś.

– Ale może mogłabym go uratować. – Hemingway spojrzał na nią, wyraźnie zdezorientowany. – Nie jestem lekarzem – ciągnęła Mariella – ale może zauważyłabym, jaki jest blady, i namówiłabym go, żeby poszedł do szpitala. Nie dostałby ataku serca i nasza łódź byłaby cała.

Nie odrywał od niej wzroku, wprawiając ją w zakłopotanie. Zaczynała żałować, że nie zatrzymała tych przemyśleń dla siebie. Po długiej chwili odchrząknął.

– Ile masz lat?

– Dziewiętnaście. Prawie dwadzieścia.

– I nadal mieszkasz z mamą?

– Muszę, ze względu na siostry.

– Na litość boską, czy twoja matka nie zdaje sobie sprawy, że jesteś już dorosła? – zapytał ostro. Mariella nie rozumiała, dlaczego nagle tak się rozgniewał, i chciała wrócić do rozmowy o drobiazgach, ale on nie pozwolił. – Niekiedy myślę, że mój ojciec był strasznym tchórzem – ciągnął. – Nie robi się takich rzeczy, kiedy ma się dzieci. Sam nie zrobiłbym tego przede wszystkim z jednego powodu: ze względu na moje dzieci.

– Może myślał, że pan zrozumie, a może wcale nie myślał. Człowiek na pewno nie myśli jasno, kiedy decyduje się na taki czyn i zostawia rodzinę, żeby uporządkowała po nim bałagan.

Papa roześmiał się z goryczą. Mariella zakryła twarz.

– Przepraszam.

– Tylko on powinien przeproszać.

Odgarnęła z twarzy kosmyk włosów i przeniosła wzrok na wodę. Ta rozmowa jej się nie podobała, chciała ją zakończyć i zająć się wypatrywaniem ryb.

Przekonała się, że z wielkiej łodzi trudniej jej poczuć jedność z wodą. Tu było zupełnie inaczej niż w małym kutrze, gdzie znajdowała się bliżej morskiej tafli.

Musiła bardziej skupiać się na ruchach fal, choć nie minęło wiele czasu i mogła sobie wyobrazić, że jacht znika, a ją prowadzi woda.

*

– Piwa?

– Dziękuję.

Papa podał Marielli butelkę, a drugą otworzył dla siebie. Stuknęli się szkłem i napili. Piwo było gorzkie i pyszne.

– Twój bokser często bywa u Joego – powiedział Papa. Mariella zarumieniła się, przeklinając własną słabość. – Co za słodki rumieniec. – Roześmiał się. – Nie wstydz się. Niedługo będziesz kobietą i zapomnisz, jak to się robi. – Była zła, że w ciągu kilku minut zdegradował ją z osoby dorosłej do poziomu niedojrzałej dziewczyny. Jednym haustem wypila resztę piwa. – Proszę. – Ich palce zetknęły się, gdy podał jej drugą butelkę. Mariella poczuła prąd w ramieniu. Żadne z nich nie cofnęło ręki. Nagle uświadomiła sobie, że Papa zdjął koszulę i stoi bardzo blisko. Pachniał solą i alkoholem. Zacisnęła dłoń na butelce, a on pogładził ją po palcach. Minę miał śmiertelnie poważną.

Nagle jego uwagę rozproszył plusk.

– Rekin – powiedziała Mariella.

Papa spojrzął za burtę: wodę zygżakiem cięła szara płetwa. Skoczył po karabin i wystrzelił. Trysnęła wysoka fontanna wody, rekin skręcił w prawo i znowu się wynurzył.

– Drań – skomentował Papa.

– W ogóle się nie przejął – powiedziała z niedowierzaniem Mariella.

– Popatrz na wędkę. – Wędka podskakiwała. Czemu wcześniej tego nie zauważyła? Gdy odpowiedziała sobie na to pytanie, znowu się zarumieniła. – Głód zwycięża u nich wszystkie inne instynkty. Te sukinsyny nadgryzają każdą rybę, którą łowią. Tym razem na mojej rybie nie będzie śladów ich zębów. – Rekin wrócił do łodzi, odurzony rybią krwią. Mariella spojrzała na karabin i Papa to dostrzegł. – Chcesz spróbować? – zapytał. Wzruszyła ramionami, choć w myślach krzyknęła: „Tak!” – Trzeba sporo sił, żeby go utrzymać w odpowiedniej pozycji. Strzela raz po raz i ma potężny odrzut. Strzelałaś kiedyś?

– Nie.

– A więc dziewica.

Popatrzyła mu prosto w oczy, wszystkie siły wkładając w to, by się nie zarumienić.

– Tak.

Sprawił wrażenie, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć. Serce Marielli waliło jak szalone, była pewna, że widzi to przez jej koszulę. Głośny plusk zwrócił ich uwagę na morze. Mężczyzna podał jej karabin.

Broń była cięższa, niż myślała, i dziwnie chłodna w ten upalny dzień. Papa udzielił kilku instrukcji, choć karabin leżał w jej dłoni naturalnie – jak przedłużenie uczuć wobec rekina. Podniosła go i przyjęła taką pozycję, by lufa była wycelowana tuż przed pyskiem rekina. Koszula przylgnęła do jej pleców. Nigdy dotąd nie zabiła żadnej istoty z broni palnej i ta myśl sprawiła, że Mariella na moment znieruchomiła. Odebranie życia to poważna sprawa, rekin przecież też ma swoje potrzeby. Bóg jej świadkiem, że dobrze poznała głód. Zaraz jednak doszła do wniosku, że przesadza. Słońce zakryła chmura i Mariella widziała w wodzie ciemną sylwetkę rekina.

Wystrzeliła.

Broń próbowała podskoczyć, ale zdołała ją utrzymać.

W powietrzu trysnęła fontanna wody i krwi.

– Cholera jasna! – huknął Papa. – Trafiaś!

Chmura przesunęła się i znów zalało ich słońce. Hemingway śmiał się i kręcił głową z niedowierzaniem. Mariella oddała mu karabin i zaczęła rozcierać dłonie, wciąż białe od kurczowego zaciskania na kolbie. Spojrzała na czerwoną plamę w wodzie, która rozlewała się, by po chwili zniknąć.

*

– Pfeiff dobrze strzela – powiedział Papa, nakładając nową przynętę na haczyk. – W Afryce świetnie sobie radziła. I była doskonałą towarzyszką. – Mariella po raz pierwszy słyszała, jak mówi o Paulinie. W jego głosie brzmiały żal i tęsknota. – Ale robiła to tylko po to, żeby mnie zadowolić, co zmniejszyło przyjemność – ciągnął. – Ty wzięłaś broń, bo tego chciałaś. To mi się podoba.

– To nic złego, jeśli chcesz robić to samo co człowiek, którego kochasz – powiedziała, choć ją samą zaskoczyły te słowa.

– Oczywiście, ale cała ironia polega na tym, że człowiekowi, którego kochasz, większą przyjemność sprawia, jeśli sama też tego chcesz.

– Rozumiem.

– Wiem. – Mariella zajrzała do zbiornika z żywymi rybami. Była zadowolona z różnorodności ryb, które złowili w tak krótkim czasie. Wciąż jednak brakowało im jakiejś wielkiej, spektakularnej zdobyczy. Linka poruszała się tam i z powrotem, ale nie dość mocno, by wiadomo było, że na haczyk złapała się ryba. – Wiesz, to jest jak narkotyk – powiedział Papa.

– Co?

– Bogactwo. Pieniądze. Władza.

– Dam panu znać, co o tym myślę, kiedy już będę je miała.

– Mam nadzieję, że zawsze wystarczy ci na to, żeby mieć pełny brzuch i dach nad głową – skwitował. – Wszystko ponad to oznacza tylko kłopoty. – Zanim Mariella zdążyła odpowiedzieć, linka napięła się mocno raz, potem drugi. – No proszę! –

krzyknął Papa. Wstał, przewracając butelkę z piwem; Mariella podniosła ją, ale napój zdążył wylać się na koszulę, którą Papa rzucił na pokład. Wzięła ją, strzepnęła i powiesiła na krześle do wysuszenia. – Niezła sztuka! – zawołał.

Gdy się odwróciła, zobaczyła ogromną bestię wyskakującą nad wodę.

*

Kiedy wracali do przystani, przy pirsie szwendali się miejscowi. Starzy, z twarzami pobrużdżonymi od słońca i ciężkiej pracy bardziej, niż wskazywałyby na to ich wiek, ustawili się na nabrzeżu i machali im na powitanie. Mariella pomyślała, że są piękni.

– Mają tysiąc opowieści o rybach, które nigdy mi się nie nudzą – powiedziała.

– Zamierzam kiedyś napisać opowiadanie o rybach – odparł Papa.

– Niech pan to zrobi.

– Ale nie będzie takie ładne jak to, co dzisiaj zrobiliśmy.

Mariella spojrzała na ich połów. Podczas drogi powrotnej oprawiła lucjana i cieszyła się, że na kolację będą miały świeżą rybę. Kiedy przybili, Papa zawołał gapiów, żeby przyszli obejrzyć marlina, który nie ma na sobie śladów po rekinich zębach. Patrząc na tych biedaków, Mariella pomyślała o ojcu. Jednak gdy przypomniała sobie o matce, nagle ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że nie próbowała nic dzisiaj zarobić.

Zapadał wczesny wieczór. Hemingway polecił miejscowym, żeby przygotowali marlina do zdjęcia. Mariella spojrzała w stronę domu i poczuła, że coś ją tam ciągnie.

– Muszę iść – powiedziała.

– Poczekaj, chcę, żebyś była na zdjęciu.

– Nie, to pan wszystko zrobił. Do zobaczenia w poniedziałek.

– Zostań.

– Naprawdę nie mogę. – Wydał wargi jak nadąsane dziecko. Roześmiała się. – Następnym razem. – Wzięła rybę i ruszyła po pomoście. Już na drodze się obejrzała. Papa wciąż na nią patrzył.

Dziękuję, pomyślała.

Kiwnął głową, nie odrywając od niej spojrzenia.

*

Niepewne dotąd niebo w końcu zdecydowało się na deszcz i Mariella zerwała się do biegu. Kiedy dotarła do domu, dziewczynki bawiły się na ganku. Lulu napełniała puszkę po zupie deszczówką, która kapała przez dziury w dachu. Estelle siedziała na dolnym stopniu, wpatrując się przed siebie i bez mrugnięcia przyjmując lejące się na nią strugi.

– Przemokłaś do suchej nitki – powiedziała Mariella, pomagając jej wstać.

Dziewczynka ze zdziwieniem spojrzała na swoje ubranie. Mariella zaprowadziła ją do domu. Minęły śpiącą na kanapie matkę i weszły do łazienki, gdzie dziewczyna owinęła siostrę w ręcznik i pocałowała w policzek. – Idź się przebrać, *Cariño*.

Estelle poszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Mariella miała nadzieję, że zdoła sama sobie poradzić, i poczuła znajomy niepokój o młodszą siostrę. Z dnia na dzień Estelle sprawiała wrażenie coraz bardziej zamkniętej w sobie, Mariella jednak próbowała sobie wmówić, że takie zachowanie jest normalne w okresie przeżywania żałoby. Z irytacją zauważyła, że matka spała, podczas gdy Estelle siedziała na deszczu, ale złość odpędziło jej własne poczucie winy. W końcu cały dzień spędziła z Papą na jachcie.

Ogarnęło ją znużenie wywołane ciężarem fizycznych i emocjonalnych brzemion, które spoczywały na jej barkach. Stała przed lustrem i rozwiązała włosy. Czowała własny odór po dniu spędzonym na jachcie, słyszała, jak burczy jej w brzuchu. W głowie jej pulsowało z braku jedzenia, nadmiaru piwa i słońca. Odkręciła kurek przy wannie. Woda była lodowata, bo nie miały pieniędzy na ogrzewanie. Mariella ściągnęła brudne ubranie, weszła do wanny i się wykąpała. Dość szybko przywykła do niskiej temperatury; siedziała nieruchomo, rozkoszując się przyływem energii spowodowanym zimną wodą.

W ciszy w jej myśli wkradł się Hemingway – dotyk jego palców i pocałunek w czoło. Wiedziała, że chciał pocałować ją w usta, i była zaskoczona, że wcale się tego nie bała. Doprowadzi ją do zguby.

Słyszając trzask wejściowych drzwi i paplaninę Lulu, Mariella wyszła z wanny. Brudne ubranie wrzuciła do namoczenia, wytarła się, włożyła wiszącą na drzwiach sukienkę, uczesała mokre włosy i bosą poszła do kuchni, żeby zająć się kolacją.

– Opałiłaś się dzisiaj – zauważyła Eva ze swojego fotela. – Byłaś na przystani?

Mariella zastanawiała się, czy powinna zdradzić matce, że wypłynęła z Hemingwayem, postanowiła jednak powiedzieć prawdę. Kłamstwo oznaczałoby, że ma coś do ukrycia.

– Na początku. Potem popłynęłam na ryby z panem Hemingwayem.

– Był z wami ktoś jeszcze?

Do kuchni weszła Estelle w suchej sukni; obie z Lulu przyglądały się starszej siostrze wielkimi, brązowymi oczami.

– Nie.

Eva uniosła wzrok do sufitu, mamrocząc coś po hiszpańsku.

– Złapałaś rybę? – zapytała Lulu. Którejś z dziewczynek jak na zawołanie zaburczało w brzuchu i Mariella uśmiechnęła się.

– Tak, bardzo dużo ryb. Nawet wielkiego marlina. A na kolację przyniosłam lucjana.

– O czym rozmawialiście przez cały dzień? – zapytała Eva. – O ile w ogóle

rozmawialiście.

Mariella posłała matce gniewne spojrzenie, ale ta wpatrywała się w okno, za którym właśnie rozległ się grzmot.

– Wygląda na to, że niebo też jest głodne – powiedziała Lulu.

Roześmiały się, a Mariella pocałowała siostrę w policzek, po raz kolejny wdzięczna za to, że dziewczynka zawsze potrafi rozładować napięcie. Nawet Eva musiała się uśmiechnąć.

– Rozmawialiśmy o rybach i rekinach. I o tacie.

Matka spojrzała na nią ostro.

– Co mówiliście o *tu padre*?

– Niewiele, tylko że jego ojciec także umarł i że było mu przykro, kiedy dowiedział się o naszym.

Mariella miała wrażenie, że w kuchni brakuje powietrza. Zdawała sobie sprawę, że śmierć jej ojca jest stałym źródłem zdenerwowania, ale ta cisza wydawała się inna. Jakby ktoś wstrzymał oddech. Rozległ się kolejny grzmot, tym razem głośniejszy.

Przy kolacji nikt się nie odzywał. Napięcie nie zniknęło, trwało także wtedy, gdy pozmywała naczynia i położyła siostry spać. Gdy wróciła do pokoju, Eva zmierzyła ją mrocznym spojrzeniem. Mariella poczuła, że żołądek jej się ściska, ale zaraz przypomniała sobie, że jest dorosła, i wyprostowała się. Splotła ręce na piersiach i oparła się o framugę. Matka zgasiła papierosa i odgarnęła z czoła pasmo włosów.

– Uważam, że nie powinnaś spędzać z nim tyle czasu.

– Dlaczego?

– Muszę to mówić?

– Musisz, ponieważ w moim przekonaniu nasza znajomość jest niewinna.

– *¿De verdad?* – zapytała z ironią Eva. – Kiedy pada jego nazwisko, zalewasz się rumieńcem od stóp do głów. Wychodzisz z nim wieczorami, spędzasz z nim całe dni. On ma żonę i oznacza kłopoty.

– Nie jestem dzieckiem.

– To bez znaczenia. Mam więcej lat niż ty, możesz skorzystać z mojego doświadczenia.

– Jeśli będę chciała znać twoje zdanie, zapytam. – Eva znów odwróciła się do okna, obejmując głowę dłońmi. – Gdyby tata żył, nawet byś mnie nie zauważyła – powiedziała Mariella. – Zajmij się dziewczynkami, a o mnie się nie martw.

– Jak mogę się o ciebie nie martwić? Chcesz skończyć z dzieciakiem? Chcesz skończyć jak ja?

– Nie jestem głupia. – Na te słowa Eva poderwała głowę jak spoliczkowana. – Przepraszam... – dodała natychmiast Mariella. – Nie to miałam na myśli.

Deszcz przybrał na sile, po każdej błyskawicy dudnił grzmot.

– Nie chodzi o *estupidez* – odparła kobieta. – Chodzi o pożądanie. Pożądanie

zawsze wygrywa.

Mariella nie miała ochoty rozmawiać z matką o pożądaniu.

– Nie w moim przypadku – ucieła i poszła do pokoju, który dzieliła z siostrami.

Rozebrała się, włożyła koszulę nocną i wyciągnęła się na sienniku obok materaca dziewczynek. Słyszała, że matka włączyła *Suitę na gitarę a-moll* Ponce’a. Kilka lat temu Hal kupił jej przenośny nakręcany gramofon, choć ledwo było ich stać na utrzymanie domu, i kiedy tylko mógł, przynosił płyty. Melancholijne dźwięki gitary sprawiły, że Mariella zatęskniła za ojcem.

Utwór dobiegł końca, zazgrzytała igła i w korytarzu zgasło światło. Mariella usłyszała, jak matka idzie po omacku, trzymając się ściany. Otworzyła pokój córek i przez kilka minut stała w progu, potem zamknęła drzwi i poszła do siebie.

Było tak gorąco, że Mariella zdjęła koszulę i leżała zupełnie naga. Prześcieradło lepiło się jej do skóry, ale nie chciała odsłaniać się przed siostrami. Tkanina otuliła zarys jej ciała przyjemnym ciężarem, zaczęła się więc odprężyć.

To w takie upalne, frustrujące noce Mariella żałowała, że nie mieszka sama albo z kochankiem czy nawet mężem. Przez chwilę bawiła się myślą, jak by to było, gdyby poślubiła Papę. Wspominała wyprawę na ryby i wyobrażała sobie, że kocha się z nim na pokładzie. Ale nie mogła zapuszczać się za daleko. Poczucie winy sprawiło, że fantazja rozplynęła się, a pożądanie zniknęło.

Pomyślała o Gavinie. Tak, to była zupełnie inna sprawa, mieszcząca się w granicach prawdopodobieństwa. Do tego stopnia, że znajomość z nim nagle przeraziła Mariellę bardziej niż flirt z Hemingwayem. W przypadku Papy była bariera w postaci jego małżeństwa, w przypadku Gavina żadnych podobnych barier nie było. Jej matka i jego wiek stanowiły niejaką przeszkodę, ale do pokonania.

Kiedy z nim tańczyła, pociągał ją. Ta myśl sprawiła, że serce zaczęło bić jej szybciej. Był wysoki jak Hemingway, ale nie tak gruby. Podobał jej się dotyk jego szczupłego, muskularnego ciała. Lubiła zapach jego płynu po goleniu zmieszany z zapachem tytoniu.

Przesunęła dłonie w dół i poczuła, jak ciało jej mięknie.

W tej samej chwili w uszach zabrzmiały jej słowa matki: *Nie chcesz skończyć jak ja*. Miała rację. Trzy córki, uboga, owdowiała – nie, Mariella nie skończy jak Eva.

Z zamyślenia wyrwał ją głos majaczącej Lulu. Nasłuchiwała, czy dziewczynka znowu zaśnie, ale minuty mijały, a ona nadal marudziła. Mariella odrzuciła prześcieradło, wciągnęła przez głowę koszulę i na palcach podeszła do łóżka, by uspokoić siostrę. Nie chciała, by Estelle się obudziła.

– Co się dzieje, Lu?

Miękkie, ciemne kędziory przykleiły się do spoconego czoła dziewczynki.

– Gorąco mi.

Mariella położyła jej dłoń na głowie, ale na szczęście Lulu nie była rozpalona,

tylko mokra od potu.

– Jak twój brzuszeczek? – zapytała szeptem.

– Nie boli.

– To dobrze. Zaraz wrócę.

Poszła do kuchni po mokrą ścierkę i szklanekę wody, bo wiedziała, że Lulu zaraz o to poprosi. Po powrocie do pokoju usiadła na skraju łóżka. Wytarła zimną ścierką czoło siostry, a potem podmuchała na nie delikatnie. Dziewczynka zamknęła oczy i uśmiechnęła się.

– Pić mi się chce – powiedziała po chwili.

Mariella przystawiła jej szklanekę do ust, nie przejmując się, że trochę wody wylało się na małą. Przesunęła ścierką po klatce piersiowej dziewczynki i znowu dmuchnęła. W księżycowej poświacie wpadającej przez okno widziała, jak na jej ciele tworzy się gęsia skórka.

Kiedy Lulu ułożyła się wygodnie, Mariella na palcach wróciła na swoje łóżko. Nie zdjęła koszuli. W głowie krążyły jej ponure myśli o matce; w końcu doszła do wniosku, że nie zaśnie. Wyjęła spod poduszki wypożyczoną z biblioteki książkę *Pożegnanie z bronią* i poszła do salonu poczytać.

Dotarła do miejsca, gdzie ksiądz odwiedził Fredericka Henry'ego i rozmawiał z nim o Bogu i miłości. Powiedział, że Henry pewnego dnia kogoś pokocha i że miłość sprawi, iż będzie gotów do poświęceń.

Mariella nigdy dotąd nie była zakochana. Przy każdym spotkaniu z Hemingwayem czuła coraz większe drzenie w brzuchu, ale to chyba nie może być miłość. To musi być to drugie. Potem pomyślała o Gavinie, o tym, jak dobrze jej było w jego ramionach, kiedy tańczyli. Nie znała go na tyle, żeby go kochać, i sądziła, że pewnie nigdy więcej go nie zobaczy – zwłaszcza po tym, jak wtedy uciekła.

Jej myśli wróciły do Lulu, Estelle, rodziców. Znow poczuła, jak ściska jej się serce. Próbowwała się modlić, ale sądziła, że podobnie Henry trochę boi się Boga. Bez przekonania powtarzała sobie, że kiedyś naprawdę się zakocha.

Rozdział ósmy

Mariella miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Otworzyła jedno oko i tuż nad sobą zobaczyła twarz Lulu.

– Siostra Theresa mówi, że to śmiertelny grzech, jak nie idziesz do kościoła. – Mariella jęknęła i przewróciła się na drugi bok, zakrywając głowę poduszką. W nocy za długo czytała. – Chyba nie chcesz iść do piekła? – ciągnęła Lulu. Mariella znowu jęknęła, czując się jak pięciolatka, nad którą stoi dorosły moralizator. – Nie chcesz zobaczyć tatusia, jak umrzesz?

Zdjęła poduszkę i spojrzała na siostrę, zaniepokojona, że takie słowa wyszły z ust dziecka. Nie była pewna, czy Lulu w nie wierzy, czy nie, ale to, że w ogóle mówiła w taki sposób, chyba nie było dobre.

– Mama cię przysłała, żebyś mnie obudziła?

– Tak. Powiedziała, że nie odmówisz, jeśli ja cię poproszę.

Nie, Eva wcale nie była głupia. Mariella uśmiechnęła się i delikatnie zepchnęła siostrę z łóżka.

– Dobrze, już dobrze, wstaję. A teraz znikaj, bo chcę się ubrać, zgoda?

– Mamo, Mariella zaraz będzie gotowa! – zawołała Lulu, wybiegając z pokoju.

Kościół był jedynym miejscem, do którego przez cały tydzień Eva ośmielała się wychodzić. Dokonywała nawet mało przekonujących wysiłków, by się ładnie ubrać. Od śmierci Hala Mariella miała mieszane uczucia wobec całej tej sprawy. Jedynym miejscem, które wydawało jej się naprawdę święte, było morze. Czuła, że jeśli Bóg istnieje, musi przebywać właśnie tam.

Z wysiłkiem wstała, przemyła twarz, uczesała włosy i dyskretnie się pomalowała, ale kiedy włożyła jedyną sukienkę do kościoła, okazała się za ciasna. Opinała się na biodrach i biuście. Poszła do kuchni pokazać się matce.

– Nie mogę tak iść.

Eva przyjrzała się jej, szeroko otwierając oczy.

– Nie. Ta sukienka się nie nadaje – zdecydowała.

– Pomódlcie się za mnie – odparła Mariella i odwróciła się, by pójść do siebie, ale zatrzymały ją słowa matki: – Możesz pożyczyć jedną z moich.

Mariella przystanęła, zdumiona tą propozycją. Matka ostatnimi czasy nie myślała o sposobach na rozwiązanie problemów, zwłaszcza jeśli dotyczyły innych ludzi. Dziewczyna kiwnęła głową i poszła do pokoju Ewy.

Otworzyła szafę i spojrzała na kilka koszul i jedną parę spodni, które należały do ojca. Jego jedyna para eleganckich butów stała pod spodniami. Resztę szafy wypełniały ubrania Ewy. Trudno było uwierzyć, że zaledwie kilka miesięcy temu matka codziennie stroiła się i malowała dla Hala. Teraz wkładała wyłącznie spłowiałą,

poplamioną domową suknię, która wyglądała jak więzienny strój, i czarną bezkształtną suknię do kościoła.

Mariella wiedziała, na której sukni jej zależy: tej ze zdjęcia Ewy i Hal, które stało na toalecie. Nowożeńcy wpatrywali się w siebie z otwartym pożądaniem, Eva trzymała dłoń na piersi męża. Zdjęcie było tak intymne, że Mariella czuła zażenowanie zawsze, gdy na nie patrzyła, i zadawała sobie pytanie, kto je zrobił. Biała sukienka w wielkie czerwone kwiaty miała wielki dekolt i należała do tych, które aż prosiły się, by w nich tańczyć.

Wyjęła ją z szafy, zamknęła drzwi pokoju i rozebrała się ostrożnie, uważając, by nie rozerwać swojej przyciasnej sukienki, którą będą mogły nosić siostry, kiedy podrosną. Matczyna sukienka pasowała jak ulał. Biel i czerwień idealnie kontrastowały z ciemną cerą i włosami Marielli. Przejrzała się w lustrze, po czym wróciła do kuchni, nie wiedząc, dlaczego serce tak jej wali.

Dziewczynki znieruchomiały, wpatrując się w siostrę.

– Jesteś śliczna – wyszeptała z zachwytem Lulu.

Estelle zaczerwieniła się i spuściła wzrok. Mariella wiedziała, że pamięta tę suknię i obawia się reakcji matki. Eva przyjrzała się córce, ale nie kazała jej się przebrać. Mariella nie była pewna, czy grymas matki dotyczy tego, że chce iść w tej sukience do kościoła, czy też wspomnień o Halu, które sukienka musiała przywołać, i nagle pożałowała, że nie wybrała innej.

– Mogę ją zmienić – powiedziała.

– Nie – zaproponowała Eva. – Za późno. *Vamonos*.

*

Mariella weszła do kościoła, spojrzała na wiszący za ołtarzem krucyfiks i schyliła głowę. Gdy przekraczała ostatnio próg świątyni, w twarz uderzały ją popełniane w ciągu tygodnia występki. Hazard, kradzieże, pyskowanie matce, a teraz pożądanie żonatego mężczyzny. To dlatego ostatnio wymigiwała się od chodzenia do kościoła. Zastanawiała się, czy w takim stanie powinna iść do komunii, ale uznała, że skandalem byłoby tego nie zrobić. Wyczuwała obecność Matki Boskiej i ośmieliła się unieść wzrok ku potężnemu witrażowi, który ją przedstawiał. Twarz Marii była tak łagodna, że Mariella od razu się odprężyła.

Kiedy przyszły, msza już się zaczęła i kościół wypełniali wierni. Dla Marielli nie było miejsca w rzędzie, w którym usiadły Eva i dziewczynki, zajęła więc miejsca na końcu rzędu za nimi. Uklękła, przeżegnała się i skłoniła głowę do modlitwy.

Boże, błagam, wybacz mi, bo zgrzeszyłam. Przepraszam, że w taki sposób się przed Tobą spowiadam, ale nie chcę mówić tego księdzu. Pożądałam i pragnęłam pana Hemingwaya. Uprawiałam hazard, często przeklinałam, kradłam papierosy Markowi i limy ze stoiska z owocami. Błagam, wybacz mi i pomóż mi stać się lepszą osobą.

Proszę, pobłogosław moją matkę, Lulu, Estelle, Hemingwayów, Nicolasa i jego rodzinę, Marka Bishopa, człowieka, który umarł w przystani, Gavina, a przede wszystkim biedną duszę mojego zmarłego ojca. Matko Boska, pomóż mi stać się dobrą córką, siostrą i kobietą, taką jak Ty. Jezu Chryste, modlę się do Ciebie. Amen.

Mariella przeżegnała się i wstała, by odśpiewać hymn na otwarcie. Kiedy otwierała śpiewnik, poczuła czyjeś ciepło. Spojrzała w prawo – jej ławka była pełna, ale w rzędzie za nią widziała wiele wolnych miejsc. Przybrała najbardziej zirytowaną minę, na jaką było ją stać, i odwróciła się w stronę mężczyzny, który się na nią pchał.

To był Gavin.

Irytację zastąpił uśmiech.

– Za nami jest pełno miejsca, Murray – szepnęła.

Nachylił się do jej ucha i odszepnął:

– Wiem.

Poczuła jego oddech na karku i zawróciło się jej w głowie.

Przez całą pieśń wymieniali ukradkowe spojrzenia i uśmiechy, a kiedy wierni usiedli, Gavin naparł na nią, dotykając ją ramieniem. Odchyliła się i zobaczyła, że po jego drugiej stronie zostało trochę miejsca. Zmrużyła oczy i głową dała mu znak, żeby się przesunął, ale on z uśmiechem pokręcił głową.

Dla Marielli msza upłynęła jak we mgle. Próbowwała się skupić, ale widziała tylko tatuaż wyłaniający się spod podwiniętego rękawa jego koszuli, czuła żar jego ciała i słodki zapach tytoniu, który go otaczał. Kiedy trzeba było uklęknąć, przycisnął nogę do jej nogi. Dotknął jej sukni i pewnie by zemdląca, gdyby nie uświadomiła sobie, że włożył jej coś do kieszeni. Gdy msza się skończyła, Gavin jeszcze raz uśmiechnął się do niej i opuścił kościół, zanim zdążyli porozmawiać.

Mariella wyjęła z kieszeni pognieciony kawałek papieru. Napisano na nim: „Mallory Square, o zachodzie słońca”. Schowała kartkę, rozważając w duchu, czy powinna tam pójść. Powinna skoncentrować się na zarabianiu pieniędzy na swoją firmę. Zdawała sobie także sprawę z tego, że jej brak zdecydowania po części wiąże się z mężczyzną, który do niej nie należy. Hemingway i Gavin w jednakowym stopniu sprawiali, że puls jej przyspieszał. Różnica polegała na tym, co odczuwała później. W pierwszym przypadku były to wyrzuty sumienia, w drugim fala ciepła.

Zadecydowała, że spotka się z Gavinem.

Eva poszła zapalić świecę w intencji Hala, a Lulu zaczęła się wiercić, więc Mariella wyprowadziła ją na dziedziniec. Tam znalazła nowy powód do zalania się rumieńcem. Pod posągami Najświętszej Dziewicy na fasadzie kościoła stał Hemingway z przyklejonym do twarzy uśmiechem Kota z Cheshire. Wokół niego biegali synowie. Pauline dostrzegła Mariellę i zawołała ją.

– Dobrze cię widzieć – powiedziała z twarzą jaśniejącą aprobatą. – Zwykle przychodzisz tu na mszę?

– Trochę czasu minęło – odparła Mariella. – Powinnam przychodzić częściej.
– Chciałabym, żeby on też częściej przychodził. – Pauline głową wskazała Papę.
– Słyszałaś, w jaki sposób zostałem katolikiem? – Hemingway zwrócił się do Marielli, ale Pauline uderzyła go w ramię.

Roześmiał się głośno, złośliwie i ruszył w stronę ulicy. Mariella odprowadzała go wzrokiem, czując w sercu wir sprzecznych emocji.

*

Przez całe popołudnie po niebie przetaczały się burze, dlatego Mariella siedziała w domu z dziewczynkami. Czytały i malowały. W przeciwieństwie do Estelle Lulu nie dbała o końcowy rezultat, obchodziło ją tylko mieszanie pastelii, które Mariella kupiła im za ostatnią wypłatę. Podłogę zaścielały wielobarwne kartki, a pulchne rączki Lulu pokrywał tęczy kurz. Estelle natomiast cały czas poświęciła starannemu przedstawieniu łodzi Hała na morzu o zachodzie słońca. Mariella znieruchomiała, a kiedy zobaczyła, że na łodzi jest pięcioro członków ich rodziny, chciało się jej płakać. Rzadko wychodzili gdzieś razem, a jeśli nawet, to jeszcze w czasach gdy Estelle i Lulu były małe. Przełknęła narastającą w gardle gulę.

– To jest piękne – powiedziała, podczas gdy Estelle wpatrywała się w kartkę bez słowa. – Ja też bardzo bym tego chciała.

Dziewczynka milczała, więc Mariella tylko ścisnęła jej dłoń i pinezkami przypięła rysunki do kuchennych ścian.

Po raz nie wiadomo który spojrzała na zegar z nadzieją, że deszcz wkrótce przestanie padać i będzie mogła spotkać się z Gavinem. Radosne wyczekiwanie przez całe popołudnie przybierało na sile. Przyszło jej do głowy, że Gavin może oderwać jej uwagę od wszystkich tych rzeczy, które budziły w niej wyrzuty sumienia, jak Hemingway, matka, hazard. Wydawał się odpowiedzią na jej modlitwę, choć nawet nie zdawała sobie sprawy, że o niego prosiła.

Ku jej uldze chmury w końcu się przerzedziły. Wcześniej przygotowała dziewczynkom kolację; czuła się winna, że zostawia je z matką, która odpala jednego papierosa od drugiego i słucha klasycznej gitarowej muzyki, ale przecież musiała mieć swoje życie. Poleciała Estelle, żeby o ósmej położyła się z Lulu do łóżka, a Evie powiedziała, że idzie na Mallory Square. Celowo pominęła informację o spotkaniu z Gavinem, przypuszczała bowiem, że Eva wygłosiłaby jakąś nieprzyjemną uwagę o weteranach.

Szła Whitehead Street, mijając latarnię morską i dom Hemingwaya. Przed bramą stała grupa gapiących się turystów. Dom był cichy, rodzina pewnie gdzieś wyszła. Mariella zastanawiała się, czy jedzą kolację z Thompsonami, czy w barze. Ciekawe, czy gdzieś na nich wpadnie?

Przed kawiarnią przystanąła, przyglądając się swojemu odbiciu w szybie.

Przyglądziła włosy, odgarniając je z oczu i twarzy. Z kieszeni wyjęła czerwoną szminkę, którą znalazła w szafce z lekarstwami w łazience, i pomalowała usta. Była zdenerwowana i żałowała, że nie ma papierosa.

U szczytu Whitehead skręciła na Mallory Square. Trwało już świętowanie zachodu słońca. Żonglerzy, śpiewacy, magicy i uliczni sprzedawcy zebrali się, by oddać cześć słońcu i rozpocząć przyjęcie na Duval Street. To, co zaczęło się jako mało znacząca impreza, na przekór ciężącemu nad miastem kryzysowi zmieniło się w pogański rytuał i turystyczną atrakcję. Wszyscy potrzebowali wytchnienia.

Nad Sunset Key słońce jeszcze nie zaszło. Mariella wróciła myślami do drugiej klasy w katolickiej szkole, kiedy siostra Theresa opowiadała im o wszechogarniającej miłości boskiego Syna do swoich dzieci, a jej siedmioletnie uszy usłyszały *słońce* i skojarzyła je z Bogiem. Dziecięce wyobrażenie wzmocniło się podczas dalszej edukacji: płonący krzew, transfiguracja, wizje, w których Bóg był tak jaśniejący, że nie można było na niego patrzeć. Jego wszechogarniająca miłość była niczym ogień. Później czytała, że aniołowie to wiatr poruszający drzewami, i odczuwała ich działanie na wodzie. Utwierdziła się w przekonaniu, że woal pomiędzy oboma światami jest cienki, a ludzie wraz z wiekiem tracą zdolność dostrzegania go.

Nagle poczuła na plecach czyjąś dłoń.

Gavin.

Kiedy ją objął, wciągnęła w nozdrza słaby zapach jego płynu po goleniu i ślady ostatniego papierosa. Podał jej rękę i ruszyli przed siebie.

– Myślałem, że jednak się ze mną nie spotkasz – powiedział.

– Dlaczego? Zbyt wiele nadziei utraconych w przeszłości?

– Coś w tym rodzaju.

– Nigdy wcześniej nie widziałam cię w kościele.

– Zwykle mnie tu nie ma. Większość weekendów spędzam na Matecumbe.

– Mieszkasz u przyjaciela na Olivia Street?

– Tak. Chyba będę musiał płacić mu czynsz. Ostatnio często tu przyjeżdżam.

Marielli podobał się sposób, w jaki to powiedział: jakby to ona była powodem.

Żonglerzy na Mallory Square rozstępowali się przed nimi. Słońce już zachodziło.

Nagle oboje zobaczyli, jak chudy chłopak ociera się w tłumie o kobietę i wyciąga portfel z jej torebki. Mariella złapała go za ramię – to był jej sąsiad Manuel. Spojrzał na nią wstrząśnięty, zmarszczył czoło i uwolnił się z jej uścisku.

– Odłóż to – poleciła.

Wrzucił portfel do torebki kobiety, która niczego nie zauważyła. Manuel odwrócił się i zniknął równie szybko, jak się pojawił. Gavin uniósł pytająco brwi.

– To sąsiad i złodziej – wyjaśniła Mariella, kręcąc głową z dezaprobatą.

– A także twój wielbiciel.

– Pewnie tak. Nie lubi, kiedy rasy się mieszają.

- Nie on jeden.
- Przypuszczam, że ciebie to nie obchodzi, w przeciwnym razie by cię tu nie było.
- Ani trochę. Dlaczego tak źle go potraktowałaś? Ty nigdy nie kradniesz?
- Nigdy mnie nie złapano.
- I taką nauzkę chciałaś mu dać?

Mariella tylko się uśmiechnęła. Po chwili powiedziała: – A ty dlaczego jesteś taki dobrze wychowany? W weekendy weterani zwykle urządzają tu burdy, a ty chodzisz do kościoła i zapraszasz dziewczyny na spacer o zachodzie słońca.

- Panuję nad alkoholem. Nie zawsze tak było.
- Co się zmieniło?
- Dojrzałość. Zmęczenie.
- Zmęczenie? A ile masz lat?
- Pewnie dość, żeby być twoim ojcem.
- Mało prawdopodobne. Mam prawie dwadzieścia, a ty?
- Trzydzieści trzy.
- Czemu się nie ożeniłeś?
- Wojna wszystko popieprzyła. Teraz to naprawiam. – Gavin zamilkł na chwilę. –

Mój wiek ci przeszkadza?

- Nie. Moja skóra ci przeszkadza?

– Nie. A moje blizny? – Mariella przesunęła dłonią po bliźnie na jego ramieniu i Gavin się wzdrygnął. Cofnęła rękę, natychmiast żałując tego intymnego gestu. Odwrócił się ku niej, tak by mogła widzieć bliznę na jego twarzy. Ujął ją za rękę i położył na swoim policzku. – Nie uważasz mnie za potwora?

– Kiedy długo na ciebie patrzę, znika. Ale i tak czasem mam ochotę ją zetrzeć. Jest jak smuga na obrazie. Chyba masz szczęście, że nie straciłeś oka.

– Odłamek szrapnela wbił się bardzo głęboko, lekarze nie mogli uwierzyć, że ominął oko. Bez oka nie mógłbym boksować.

Mariella cofnęła rękę. Tłum wokół nich bił brawo, podczas gdy słońce tonęło w oceanie. Mariella patrzyła, jak znika, pochłaniane przez fale. Gavin odwrócił jej twarz ku sobie, odgarnął jej kosmyk włosów z czoła i założył za ucho. Potem pochylił się i pocałował ją, a ona odwzajemniła pocałunek. Miała wrażenie, że rozpływa się w jego ramionach. Ile czasu minęło? Dwie minuty, pięć, dziesięć? Odsunęła się i spojrzała na horyzont, na którym nie było już słońca. Odruchowo przycisnęła dłoń do ust.

- Przepraszam – powiedział Gavin bez tchu. – Przesadziłem?

Mariella spojrzała na niego bez żadnego skrępowania.

- Nie.

Chciała na zawsze zapamiętać tę obramowaną zachodem słońca chwilę.

Ze splecionymi ramionami szli Duval Street, mijając bary, z których wylewały się muzyka i śmiech. Było wcześniej, pijacy jeszcze nie wylegli na ulicę i miło było słuchać, jak piosenki łączą się w ciągłą, energetyczną ścieżkę dźwiękową. Gavin kupił lody i spacerowali, czerpiąc przyjemność z chłodnej świeżości smakołyku i ze swojego towarzystwa.

– Kiedy droga będzie skończona, jadę do Miami do mamy – powiedział Gavin. – Będę tam pracował. Oszczędziłem całkiem przyzwoitą sumkę.

– Co będziesz robił?

– Wuj od jakiegoś czasu prowadzi firmę budowlaną. Kiedy wspólnik przejdzie na emeryturę, kupię jego udziały. Ojciec umarł, jak byłem na wojnie, a mama nie jest w najlepszym zdrowiu.

– Na co choruje?

– Cierpi na chorobę systemu nerwowego, stwardnienie zanikowe boczne. Przez jakiś czas dobrze sobie radziła, ale ostatnio jej stan naprawdę się pogorszył.

– Może się tu przenieść?

– Myślałem o tym, ale wuj ma firmę w Miami i ciotka pomaga w opiece nad mamą, więc nie mam wyjścia.

– Często ją widzisz?

– Mniej więcej raz na miesiąc. Żałuję, że nie częściej. A co z twoją rodziną?

Mariella jakby zeszywniała i Gavin pomyślał, że chyba nie powinien o to pytać. Po chwili wahania odparła: – Tata umarł kilka miesięcy temu.

– Boże, tak mi przykro... – Przystanął gwałtownie. – Jak sobie radzisz?

– To zawsze jest ze mną. Czai się za każdą moją myślą, rozumiesz?

– Rozumiem. – Przytulił ją i ruszyli dalej.

– Wiesz, czego mi najbardziej brakuje? Moi rodzice byli świetną parą. Tańczyli po kuchni, kiedy w radiu grali ich ulubione piosenki. Siedzieli na huśtawce na ganku i rozmawiali długo w nocy, kiedy myśleli, że ja i moje siostry już śpimy. Razem jedli jedno jabłko, a podczas burzy ona mu czytała.

– To bardzo miłe.

– Ale mam też wyrzuty sumienia.

– Dlaczego?

– Tata miał wspaniałą, głęboką, chrapliwą głos i przez cały czas śpiewał. Nieważne, na ulicy, w domu, w kościele, po prostu uwielbiał śpiewać. Kiedy gdzieś wychodziliśmy, mówiłam mu, żeby przestał, bo strasznie się wstydziałam. Ale teraz oddałabym wszystko, żeby usłyszeć jego szorstki głos.

*

Gdy stanęli przed jej domem, Gavin zapytał:

– Miałybyś ochotę pójść z siostrami w sobotę na Point? Dzisiaj wieczorem wracam

na Matecumbe, ale bardzo chciałbym się z tobą spotkać.

– Dobrze – odparła Mariella. – Dziewczynki się cieszą.

– A ty?

– Ja też. Ale nie możemy iść tam zbyt późno. Będę pracowała na przyjęciu w domu Hemingwaya.

– Możemy wybrać się rano.

Stała blisko, dość blisko, by Gavin mógł ją pocałować, i bardzo tego chciał. Ale chciał jej też pokazać, jak bardzo ją szanuje. Kiedy spojrzał w jej oczy, zalała go fala uczucia, wolał jednak nie okazywać go zbyt wyraźnie. Pocałował więc Mariellę w dłoń i zniknął w cieniach wieczoru.

Rozdział dziewiąty

Poranne słońce odłoniło wszystko to, co dom Marielli zdołał ukryć nocą: połamane okiennice, łuszczącą się farbę, dziury w moskitierze. Gavin pomyślał, że to jak obudzenie się przy kobiecie, którą po pijanemu spotkało się poprzedniego wieczoru; miał nadzieję, że to wrażenie nie przeniesie się poza dom.

Rzucił niedopałek na ulicę i ruszył na ganek. Chudy pomarszczony Kubańczyk obserwował go z drugiej strony ulicy. Gavin pomachał do niego, ale tamten tylko zmrużył oczy i zaciągnął się dymem z cygara.

Z niepokojem myślał o wyprawie na plażę. Martwił się, że nazbyt gwałtownie pocałował ją na Mallory Square, ale z kolei na pożegnanie okazał zbyt wielką powściągliwość. Nie chciał przytłaczać jej objawami swojego uczucia po tym, jak rozmawiali o swoich ojcach, choć wiele go kosztowało, by jej nie pocałować.

Zanim doszedł do drzwi, na ganek wyszła Mariella, za nią gęsiego podążały jej siostry. Jego niepokój rozwiązał się w jednej chwili. Słońce rozświetliło jej twarz, nadając brązowym oczom barwę złota. Podeszła bliżej i uśmiechnęła się do niego serdecznie. Spontanicznie ją objął, ale szybko się odsunęła i wyprowadziła całą gromadkę na chodnik.

– Może nas przedstawiś? – zaproponował Gavin.

– Przepraszam. To jest Estelle, a to Lulu. Dziewczynki, to Gavin. Chodźmy już.

– Twoja matka jest w domu? – zapytał nieoczekiwanie. – Nie chce poznać gościa, który zabiera jej córki na plażę?

Mariella obejrzała się za siebie.

– Myślałam o tym, ale nie wiem, czy to byłoby dobre.

– Nie dowiesz się, póki nie spróbujesz. Co jej właściwie powiedziałaś?

– Że idziemy na plażę z przyjacielem.

– To wszystko?

Uśmiechnęła się. Odwzajemnił uśmiech, zabierając od niej torbę.

– Przedstawimy cię po powrocie – zdecydowała. – W razie czego nie stracimy dobrej zabawy.

Gavin pomyślał, że to nie najlepszy pomysł, ale Mariella wzięła Lulu na rękę, wolną dłonią trzymając Estelle, i szybko oddaliła się od domu. Spojrzał na starca, który wciąż przyglądał mu się podejrzliwie. Kiedy się odwrócił, Mariella i jej siostry przechodziły przez ulicę. Pobiegnął za nimi.

*

W cieniu palmy Mariella patrzyła, jak Gavin wyciąga z jej torby miękki kapelusik i kuca przed Lulu. Dziewczynka odgarnęła z oczu brązowe loki, a on ostrożnie

zawiązał tasiemki, uważając, by jej nie uszczypnąć. Jego czułość wobec jej małej siostry wzruszyła ją.

Później Gavin wstał i spojrzał na Estelle, która pytająco obserwowała Mariellę.

– Będziemy się tak gapić jedno na drugie czy się bawić? – Mariella złapała Lulu i połaskotała ją, a potem pobiegła z siostrami do wody. Gavin ruszył za nimi.

Point to najbardziej wysunięty na południe kraniec wyspy, gdzie Atlantyck spotyka się z Zatoką Meksykańską. Krajobraz poznaczony był drewnem wyrzuconym przez morze, palmami i coccolobami, wiał przyjemny wiaterek, łagodząc upał i poruszając liśćmi drzew.

Woda była zimna, więc Mariella, Gavin i Lulu zajęli się budową zamku z piasku. Gavin zaproponował Estelle, żeby się do nich przyłączyła, ale bez słowa pokręciła głową. Uklepali stos piasku, z którego Lulu formowała osypującą się budowlę zdobioną wodorostami i kawałkami muszli. Estelle tymczasem stanęła na linii morza i wpatrywała się w horyzont.

– To przeze mnie? – zapytał Gavin

– Nie. Jest taka od śmierci taty.

Powiódł spojrzeniem od Estelle do Lulu.

– A ona? – Wskazał głową na dziewczynkę przesypującą piasek nad szczytem stosu.

– Już przestała o niego pytać.

Obserwowali małą, pogrążoną w swoim zajęciu. Mariella myślała, jakie to dziwne, że ojciec mógł stać się do tego stopnia nieważny dla dziecka, z chwilą gdy umarł. To wprawiało ją w przygnębienie.

– Delfiny! – zawołała nagle Estelle, jakby zapominając się z zachwytem. Mariella i Gavin ucieszyli się z tej próby nawiązania kontaktu. Gavin wziął Lulu na ręce i pobiegli do Estelle. Patrzyli, jak stado kieruje się do zatoki.

– Nie widzą zmiany? – zapytała Mariella. – Przecież z otwartych wód wpływają do zamkniętych.

Pomyślała o dzikim i nieprzewidywalnym oceanie, o ciepłej, nieruchomej zatoce, a potem o Hemingwayu i Gavinie. Uznała, że Gavin przypomina zatokę. Spojrzała na niego: trzymał na rękach jej siostrzyczkę i uśmiechał się. Przysłoniła oczy dłonią, by lepiej ich widzieć. Nagle od strony wody dobiegł krzyk. Mężczyzna, mniej więcej pięćdziesięcioletni, szamotał się kilkadziesiąt metrów od brzegu. Próbował zwrócić na siebie ich uwagę, ale wciąż zniknął pośród wysokich fal. – On potrzebuje pomocy! – zawołała Mariella, bez namysłu ruszając w morze.

– Mari, poczekaj – powstrzymał ją Gavin. – Nic dobrego mu z tego nie przyjdzie, jeśli się utopisz razem z nim. – Wiedziała, że miał rację, ale nie mogła tak stać i patrzeć, jak umiera człowiek. – Potrzebujemy liny – dodał trzeźwo.

– Nie rzucimy jej tak daleko.

– Nie. Ja do niego popłynę, a ty będziesz trzymała linę i wyciągniesz nas na mój znak.

Mariella kazała Estelle pilnować Lulu i nie podchodzić do wody. Potem z Gavinem pobiegli przez plażę, rozglądając się za liną. Za skałą dostrzegła rybacką łódź, odwiązała ją i wyciągnęła na brzeg. Gavin zdjął koszulę, złapał linę i skoczył w morze.

Widziała, że jej towarzysz walczy z prądem. Wstrzymała oddech, bo woda musiała być bardzo burzliwa, skoro sprawiała tyle problemów młodemu, zdrowemu mężczyźnie. Po czterech uderzeniach fal Mariella straciła ich obu z oczu. Oblał ją zimny pot, lina bezwładnie zwisała jej z dłoni.

– Nie widzę ich – powiedziała Lulu.

– Ja też nie – szepnęła Mariella.

Sekundy ciągnęły się jak godziny, a w jej serce coraz bardziej wkradała się panika. Weszła do wody po łydki. Patrzyła na fale i w duchu błagała, by bezpiecznie wyrzuciły obu na brzeg. W końcu, kiedy myślała już, że eksploduje, poczuła mocne szarpnięcie.

– Wypłynął! – zawołała Lulu.

Mariella ciągnęła z całych sił, a fale jej pomagały. Ku jej zaskoczeniu Estelle stanęła za nią i też złapała linę. Dziewczynka była silna, we dwie szybko sobie poradziły.

Kiedy mężczyźni bezpiecznie znaleźli się na brzegu, padli na piasek, dysząc ciężko.

– Uratowaliście... mi... życie... – powiedział nieznajomy. – Bez was nigdy bym nie dopłynął z powrotem.

Mariella pomogła mu wstać, a Gavin uściskał mu dłoń. Mężczyzna, dygocząc na całym ciele, podszedł do stojącego niedaleko stołu piknikowego. Zabrał swój ręcznik, spojrzął na morze i odszedł. Mariella odprowadzała go wzrokiem, myśląc, jak szybko katastrofa może wedrzeć się w życie. Nie wiedziała, czy ta myśl sprawia, że pragnie tym głębiej przeżywać każdą chwilę, czy zwinąć się w kłębek na łóżku w zamkniętym pokoju.

– Jestem głodna – powiedziała Lulu, na co oboje wybuchnęli śmiechem.

– I o to chyba chodzi – skomentowała Mariella, kręcąc głową.

Gavin ścisnął ją za ramiona i wytarł się ręcznikiem. Patrzyła, jak strzepuje piasek z koszuli, podziwiając jego szerokie bary i muskularną klatkę piersiową. Gdy włożył koszulę, z wysiłkiem odwróciła wzrok i zajęła się przygotowaniem lunchu. Spakowała chleb i ser, Gavin przyniósł papaję i lemoniadę. W końcu usiedli do posiłku. W pewnej chwili Lulu wstała i poszła wysuszyć się za drzewo. Nawet Estelle śmiała się głośno, kiedy Mariella rugała siostrzyczkę za brak skromności.

– A ty mówiłaś, że to weterani mają fatalne maniery – powiedział Gavin.

Lulu tańczyła, klaszcząc w dłonie, zadowolona z zamieszania, które wywołała. Potem razem z Estelle pobiegła gonić mewy i Mariella została sam na sam z Gavinem.

– Żałuję, że nie możemy zostać tu przez cały dzień – westchnęła, rozkoszując się chwilą. – Szkoda, że muszę dzisiaj pracować u Hemingwayów.

– Chciałbym pójść z tobą.

– Niewykluczone, że mógłbyś. Dobrze płacą za nadgodziny. Może będą potrzebowali dodatkowego barmana.

– Daj mi znać. Zamierzałem spędzić noc w Key West. – Nagle Mariella poczuła niepokój na myśl o Gavinie i Hemingwayu w tym samym pokoju. Podejrzewała, że się nie lubią i że ma to związek z nią. Miała nadzieję, że nie napytała sobie kłopotów. Patrzyła na fale, których regularny rytm ją uspokajał. Po chwili wyciągnęła się na plecach, krzyżując nogi w kostkach, i cieszyła się słońcem. Kiedy Gavin zaczął sprzątać po lunchu, podparła się na łokciu, żeby wstać.

– Nie ruszaj się – powstrzymał ją.

– I mam tobie zostawić całą pracę?

– Zaslugujesz na odpoczynek, a ja lubię na ciebie patrzeć.

Mariella spojrzała mu w oczy. Nie umknął wzrokiem. Uśmiechnęła się do niego szelmowsko.

– Zrób coś z tym bałaganem, Murray, w przeciwnym razie złożę raport stosownym władzom. – Znowu się położyła i zamknęła oczy, podciągając lekką sukienkę. Kiedy Gavin zagwizdał, roześmiała się. Wiedziała, że specjalnie ociąga się ze sprzątaniami, żeby móc jej się przyglądać. Odwróciła się na brzuch i podparła na łokciach. Twarz miała zarumienioną od słońca. – Lubię cię – powiedziała.

– To już jakiś początek – odparł ze śmiechem. – Ja chyba cię kocham.

– Nie znasz mnie.

– Znam wystarczająco.

– To znaczy?

– Podoba mi się, że masz ikrę. – Gdy pytająco zmarszczyła czoło, Gavin położył się obok niej. – Przyszłaś do burdelu w niebezpiecznej okolicy na walkę bokserką, przebrana za chłopaka.

– Co jeszcze?

– Masz dobre serce. Opiekujesz się siostrami. Czujesz się swobodnie w cuchnącej łodzi rybackiej, w barze, w kościele. Masz swoją religię. – Przysunął się do niej, tak że stykali się ramionami, ale nie spuszczał wzroku z dziewczyny. – Rozśmieszasz mnie, a to mało komu się udaje. Robię się sentymentalny?

– Nie, mów dalej.

Spojrzał na nią ze śmiertelną powagą i z jej twarzy także zniknął uśmiech. Przysunęła się do niego jeszcze bliżej. Przez długą chwilę patrzyli na siebie. Mariella

musiała z całych sił się powstrzymać, by go nie pocałować.

– I jeszcze jedno – powiedział Gavin.

– Tak? – zapytała już niemal bez tchu.

– Masz najpiękniejszą pupę, jaką w życiu widziałem.

Gdy wymierzyła mu kuksańca w bok, roześmiał się, osłaniając się przed atakiem. Wreszcie zdołał złapać ją za ręce i przygwoździć do koca. Zerknął na dziewczynki: stały plecami do nich. Kiedy znowu się odwrócił, jego usta napotkały usta Marielli.

Poczuła, że cały świat znika. Smakowała sól na jego wargach, czuła na sobie jego ciężar i promienie słońca. Gavin puścił jej ręce i zaczął gładzić jej ciało. Przeszedł ją dreszcz.

I wtedy padł na nich cień.

Eva.

Gavin zerwał się na równe nogi. Mariella także się podniosła, strzepując piasek z sukni. Dziewczynki biegły w stronę koca.

– Mama! – zawołała Lulu. – Chodź popływać!

– Pani Bennett... – zaczął niepewnie Gavin.

Eva wpatrywała się w Mariellę płonącym wzrokiem. Kiedy Lulu i Estelle znalazły się przy nich, syknęła:

– Wkładajcie buty.

– Nie chcę! – krzyknęła Lulu.

– *Ahora!*

– Mamo, dziewczynki dobrze się bawią, nie rób tego, bardzo proszę – powiedziała Mariella i dodała z taką pokorą, na jaką tylko było ją stać: – Przepraszam.

– Nie – odparła Eva. – Bez nich ty będziesz się lepiej bawiła, si?

– To nie tak...

Widziała, jak w matce wzbiera furia, zdawała sobie sprawę, że najlepiej będzie, jeśli stąd pójdą. Odwróciła się, by pomóc Gavinowi, który wkładał Lulu buciki.

– Nie chcę iść! – krzyczała dziewczynka.

Gavin ujął jej buzię w dłonie.

– To był przyjemny dzień. Może kiedyś go powtórzymy.

– Ha – mruknęła Eva, łapiąc lamentującą Lulu za rękę i ciągnąc ją w stronę ulicy. Estelle szła za nimi w milczeniu, ze spuszczoną głową.

– Tak mi przykro – powiedział Gavin.

– Mnie nie – odparła Mariella. Wzięła torbę i ruszyła w ślad za matką, ale po kilku krokach zawróciła i pocałowała go w usta. Delikatnie odsunął ją od siebie.

– Musisz iść – powiedział. – Myślisz, że to pomoże, jeśli pójdę z tobą?

– Nie, ale przyjdę do ciebie później.

– Dobrze.

– Później. – Mariella skradła mu jeszcze jednego całusa, po czym pobiegła ulicą za

matką.

*

Eva wyprzedzała ją o kilka kroków. Zdążyła wejść do domu i zatrzasnąć córce drzwi przed nosem. Gdy Mariella otworzyła je, Eva postawiła Lulu na ziemi i odwróciła się do najstarszej córki.

– To z nim włączysz się po nocach? Jest żołnierzem! Masz pojęcie, jak bardzo niebezpieczni są żołnierze!

– Jak śmiesz! – krzyknęła Mariella. Estelle ukradkiem poszła do pokoju, ciągnąc za sobą Lulu. – Jestem dorosła! Nie możesz mi już rozkazywać!

– *No me importa*, ile masz lat. Moim obowiązkiem jest cię chronić. On ma pewnie *treinta* i myśli tylko o jednym.

– Ma trzydzieści trzy lata, a o tamym nawet nie wspomniał. Jestem bezpieczniejsza przy nim niż w przystani, na Duval Street czy nawet w domu Hemingwaya.

– W żadne z tych miejsc też nie powinnaś chodzić.

– To moje życie, czy ci się to podoba, czy nie. Nie sprzeciwiałaś się, kiedy żył tata, nie możesz teraz nagle dochodzić do wniosku, że będziesz kontrolować coś, na co wcześniej nigdy nie zwracałaś uwagi.

– Wtedy było inaczej. Teraz musisz się pilnować. Tu jest mnóstwo biednych, zdesperowanych ludzi.

– My też jesteśmy biedne i zdesperowane.

– W takim razie trzymaj się swoich.

Mariella pomyślała, że matka chyba oszalała. Zapomniała o swoim małżeństwie z Halem, Amerykaninem tak białym, jak ona była śniada.

– Tak jak ty? Mój Boże, dla taty zostawiłaś na Kubie całą rodzinę. A ja i Gavin tylko spacerujemy. Poza tym aż tak się nie różnimy.

– Dla nich się różnicie! – Eva wskazała drzwi. – Twój ojciec i ja musieliśmy z tego powodu cierpieć: brzydkie spojrzenia, komentarze.

– Chryste, przecież wiesz, że nie obchodzi mnie, co ludzie gadają.

Evie nie podobał się jej język, ale Marielli to nie obchodziło. Była wściekła, że matka właśnie teraz postanowiła się wtrącić – po tym wszystkim, co się zdarzyło. A przecież ona wreszcie mogła cieszyć się życiem. Uderzyła ją ta myśl. Rzeczywiście znalazła radość. Uwielbiała przebywać z Gavinem. Uwielbiała przebywać z Papą. Sama nie wiedziała, co sprawia jej większą przyjemność, ale chciała się dowiedzieć. I nie zamierzała znosić ingerencji matki teraz, gdy było już na to za późno.

– Wciąż mieszkasz *en mi casa* i jestem za ciebie odpowiedzialna – powiedziała Eva.

– W twoim domu? Mieszkamy w nim tylko dzięki mojej pracy!

– Jak możesz tak do mnie mówić? – zapytała płacząco matka.

– Jezu, a teraz wyskakujesz z mową świętej męczennicy. Oszczędź mi tego.

– Ja tylko staram się ciebie kochać. – Eva jęknęła i pobiegła do swojego pokoju, zatrząskując za sobą drzwi. Mariella poczuła wyrzuty sumienia z powodu swoich ostatnich słów. Były podłe i musi za nie przeprosić. Ale krew się w niej burzyła, więc na razie nie mogła tego zrobić.

Podeszła do fotela Ewy, wyjęła papierosa z paczki i zapaliła. Opadła na fotel i zapatrzyła się w okno. Roześmiała się gorzko na myśl, że zajęła miejsce matki. Wypuściła dym, spoglądając na domy po drugiej stronie ulicy. Rozdzielał je ogród, na pergolach pięły się wielkie róże. Ponad krzewami krążyły ptaki i motyle, a w środku stała figura Matki Boskiej, która z rozpostartymi rękoma patrzyła na świat. Na jej marmurowej twarzy malowała się mieszanina spokoju i akceptacji.

Spokój i akceptacja. Mariella pomyślała, że brakuje jej obu tych cech.

Gdy jej gniew się wypalił, doszła do wniosku, że chyba rozumie, dlaczego matce podoba się ten widok. Zgasła papierosa i potarła twarz dłońmi. Kiedy uniosła głowę, stała przed nią ziewająca Lulu.

– Spać ci się chce?

Dziewczynka pokiwała głową, więc Mariella zaniósła ją do pokoju. Na łóżku siedziała Estelle i układała lalki. Nie odwróciła się, kiedy weszły, a Mariellę ogarnęły jeszcze większe wyrzuty z powodu kłótni z matką. W żadnym razie nie powinna tego robić w jej obecności.

Położyła Lulu i wyciągnęła się obok niej. Gładziła dziewczynkę po włosach, burząc się z powodu gniewu matki. Ale jej frustracja podszyta była poczuciem winy. Może rzeczywiście powinna była przed wyjściem powiedzieć matce o Gavinie. Eva zastała ich, gdy na niej leżał, podczas gdy dziewczynki bawiły się same na plaży. Ale przecież Evie nie podobałoby się to, nawet gdyby siedzieli obok siebie na kocu.

Kiedy Lulu smacznie zasnęła, Mariella gestem poleciła Estelle, by też się położyła, a sama wstała, ustępując jej miejsca. Estelle posłuchała, obejmując młodszą siostrzyczkę.

Mariella zasłoniła jeszcze okno, by do pokoju nie wpadało światło, po czym ubrała się w strój do pracy i odświeżyła. Potem poszła pod pokój matki i już chciała zapukać, gdy zdało jej się, że słyszy płacz. Pomyślała, że powinna załagodzić sytuację, jednak upór jej na to nie pozwalał. Gdyby teraz weszła do pokoju, oznaczałoby to, że zgadza się na wtrącanie się matki w swoje życie.

Odchrząknęła.

– Dziewczynki śpią – powiedziała przez drzwi, jednak nie doczekała się odpowiedzi. – Wieczorem muszę iść do Hemingwayów. Urządzają przyjęcie. – Usłyszała pociąganie nosem. – Na kolację macie chleb i szynkę.

Stała przez minutę, rozważając, czy jednak nie otworzyć drzwi. W końcu doszła do

wniosku, że gniew przeważył w niej nad współczuciem, a ponieważ nie chciała kolejnej kłótni, odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

Rozdział dziesiąty

Rozżarzone słońce stało wysoko, ale Mariella czuła dreszcze po opalaniu, a to przypominało jej o pobycie na plaży z Gavinem. Wyrzuciła z głowy kłótnię z matką i ruszyła na Olivia Street, gdzie mieszkał jego przyjaciel.

Pomachała do starca, który na ganku palił cygaro, i wciągnęła w nozdrza aromat. Starzec kiwnął do niej głową. Gdzieś w pobliżu ktoś smażył rybę, w oddali szczekał pies. Kiedy skręciła na Olivia Street, zaczęła się rozglądać za jasnoniebieskim domem, o którym mówił jej Gavin. Wiatr niósł dźwięki klasycznej gitary. To była ulubiona suita Evy i Mariellę nagle ogarnęła melancholia.

Niebieski dom zobaczyła od razu. Otaczający go trawnik był starannie przystrzyżony, płot białął od świeżej warstwy farby, o kwiaty rosnące wokół domu zapewne ktoś dbał, a dach wyglądał na nowy. Kontrastował z sąsiednimi, znajdującymi się na różnych etapach ubóstwa i ruiny: poszarzała farba łuszczyła się, podwórko zarastało zielsko, winorośle przebijały się przez pustaki, okna były popękane, a po chodnikach wałęsały się brudne dzieci. Dom przyjaciela Gavina był przytulny i schludny, przywoływał dawne dobre czasy i dawał nadzieję na te, które niedługo nadejdą.

Muzyka gitarowa dobiegała z domu. Mariella zatrzymała się, by wysłuchać utworu do końca, ale nie pozwolił jej na to huk walącego miarowo młotka. Wydało jej się, że ten, kto trzyma go w dłoni, bije nim w takt muzyki.

Zza domu wyszedł stary brązowy kundel. Na widok Marielli ruszył pędem w jej stronę; merdał ogonem i szczerzył zęby, jakby się uśmiechał. Kucnęła, by się z nim przywitać, a wtedy pies przyśpieszył i zanim zdążyła się przygotować na zderzenie, już leżała na plecach, a jego gorący język lizał ją po twarzy. Roześmiała się, odepchnęła psa i wstała, otrzepując ubranie.

– Mariella? – usłyszała nagle.

Uniosła głowę: na dachu stał Gavin, w ręku trzymał młotek, brzuch opasany miał pasem z narzędziami. Był bez koszuli. Mariella westchnęła cicho, podziwiając jego zgrabną sylwetkę.

– Zarabiasz na miskę ziemniaków?

– Można to tak ująć. Poczekaj, już do ciebie schodzę. – Zniknął jej z oczu, by po chwili wyjść na podwórze. – Poznałaś już Kundla.

– Bardzo serdeczny z niego pies – przyznała.

Gavin ujął ją za rękę.

– Wejdz, poznasz mojego przyjaciela. Zakocha się w tobie.

Mariella poczuła, że ścisną ją jej żołądek. Nie wiedziała, czego się spodziewać. Nie była pewna, czy powinna wchodzić do domu, w którym będzie sama z dwoma w

gruncie rzeczy nieznanymi mężczyznami, i pomyślała, że matka może mieć rację, martwiąc się o nią.

Weszła jednak za Gavinem na biały zadaszony ganek, z którego zwisały równo przycięte winorośle. Muzyka po krótkiej przerwie znowu zabrzmiała. Powaga pierwszego utworu ustąpiła lekkości drugiego.

Mariella nigdy dotąd nie widziała wnętrza pomalowanego na taki odcień błękitu. Pomyślała, że jest piękny, przypominał jej ocean i szatę Matki Boskiej z kościelnego posągu. Na ścianach wisiały akwarele przedstawiające plaże, łodzie i miejskie zakątki. Kundel, który wpadł za nimi do pokoju, pobiegł prosto do mężczyzny, który siedział na kanapie barwy muszli z kocem okrywającym mu nogi. Wyglądał na trochę starszego od Gavina, miał zmarszczki wokół oczu i brązowe włosy, siwiejące na skroniach. Nie przestając grać, uśmiechnął się do Marielli i jakby się jej spodziewał, głową wskazał stojące tuż koło kanapy krzesło. Gdy zauważyła wózek inwalidzki, uważniej spojrzała na koc i przekonała się, że osłania dwa kikuty.

Gitara umilkła.

– Mariella – powiedział mężczyzna, nie czekając, aż się przedstawi. Wyciągnął dłoń, a ona uścisnęła ją, zaskoczona jego siłą. – Jestem John Bates Junior.

– Miło cię poznać, Johnnie Bates Juniorze.

– Jak się dzisiaj czuje Lulu?

Mariella uśmiechnęła się. A więc wszystko o niej wiedział.

– Lepiej. Ale od początku jest chorowita. Dzięki, że zapytałeś.

John wziął paczkę papierosów ze stolika, poczęstował Mariellę i podał jej ognia. Gavin tymczasem zniknął w korytarzu.

– Więc to ty jesteś powodem, dla którego Gavin spędza tu tyle czasu? – zapytała Mariella.

– Nie Wydaje mi się raczej, że powodem jesteś ty – odparł John ku jej radości.

Do pokoju wrócił Gavin; miał na sobie czarne spodnie, a przez głowę wciągał właśnie biały T-shirt.

– Przyniosę coś do picia – powiedział, kierując się prosto kuchni.

– Świetnie sobie radzę bez niego – oznajmił John. – Jest prawdziwym wrzodem na dupie, ciągle wali młotkiem i coś naprawia.

– Pocałuj mnie w dupę, kaleko! – krzyknął Gavin.

Mariella wzdrygnęła się, zerkając na Johna, ale ten uśmiechał się.

– Lepiej się pilnuj, bo zacznę opowiadać, jak po szczeniacku się w niej zadurzyłeś!

Spojrzała na swoje dłonie, usiłując stłumić uśmiech. Z kuchni przycłapał pies i oparł na jej kolanach mokry od wody pysk. Pogłaskała go po grzbiecie.

– Wybacz mu, Mariello – powiedział Gavin, niosąc trzy piwa. – John doznał uszkodzeń mózgu podczas ostrzału. Daj mi znać, kiedy będziesz chciała, żebym go zakneblował.

– Chętnie dłużej go posłucham.

John nie zdążył odpowiedzieć, bo nagle na ulicy wybuchło zamieszanie. Mężczyźni spojrzeli po sobie, po czym Gavin wstał i ruszył do drzwi. Kundel poszedł za nim.

Kiedy zniknął za drzwiami, Mariella podeszła do okna. Dwaj miejscowi i trzej wyraźnie pijani weterani obrzucali się obelgami i przepychali, z boku stała śliczna dziewczyna z tlenionymi włosami, wpatrując się w ziemię. Mariella rozumiała tylko niektóre słowa, ale domyślała się, że jeden z żołnierzy obraził siostrę któregoś z miejscowych. Dziewczyna uśmiechała się pod nosem – nie ulegało wątpliwości, że awantura sprawia jej przyjemność. Któryś z weteranów walnął przeciwnika w twarz, co stało się zapalnikiem bójki. Gavin zerwał się do biegu. Krzyknął coś do Kundla, a ten posłusznie usiadł na ulicy, choć widać było, że bardzo chciałby się przyłączyć.

Mariella odstawiła piwo i zacisnęła dłonie na parapecie, martwiąc się, że Gavin wyjdzie z tego z nową blizną na twarzy.

– Co się dzieje? – zapytał John. – Pijani żołnierze?

– Tak. Wygląda na to, że jeden z nich zaczął tutejszą dziewczynę, a jej bratu to się nie spodobało.

– Stara śpiewka.

Znów spojrzała w okno: Gavin rozdzielał i uspokajał grupę. Żołnierzy zepchnął na chodnik, podniesionymi rękoma odgradzając ich od miejscowych. Blondynka patrzyła na niego z podziwem i Mariella odruchowo zacisnęła dłonie w pięści.

Gavin i brat dziewczyny przez jakiś czas krzyczeli na siebie, w końcu jednak najwyraźniej doszli do porozumienia, bo tamten uściśnął Gavinowi dłoń, rzucił jakąś nieprzyjemną uwagę do siedzących na krawężniku weteranów i odszedł, ciągnąc siostrę za rękę. Dziewczyna obejrzała się przez ramię i puściła do Gavina oko; Mariella musiała zwalczyć w sobie chęć, by wybiec i ją spoliczkować. Gavin odwrócił się do żołnierzy, klepnął jednego po głowie, po czym ruszył do domu. Pies, który ciągle posłusznie czekał na swoim miejscu, poszedł za nim, następując mu na pięty.

Zza chmury wyrzało słońce. Gavin uśmiechnął się, widząc w oknie Mariellę. John znowu zaczął grać, a ona napiła się piwa, czując się miło i swobodnie.

*

Gavinowi aż brakowało tchu.

Przytłaczała go obecność kobiety w domu, w dodatku tak pięknej, pełnej życia i interesującej jak Mariella. Tego uczucia często doznawali żołnierze przez długi czas przebywający wyłącznie w męskim towarzystwie. Kobieta jest jak narkotyk. Jej miękkość, zapach, lekkość są magnetyzujące, hipnotyzują. Kobieta wprowadza równowagę. Pragnienie, by ją dotknąć, sprawiało mu niemal fizyczny ból.

Przeprosił i usiłując poskromić zdenerwowanie, poszedł do kuchni. Musiał jeszcze ugotować kolację i na czas dotrzeć do domu Hemingwaya. Wciąż nie wiedział, czy znajdzie się dla niego praca, ale chciał na własne oczy zobaczyć relacje Marielli z pisarzem. Kiedy w rozmowie padało jego nazwisko, reagowała z nadmierną swobodą, która sprawiała wrażenie wymuszonej. Uznał, że może się sporo dowiedzieć, gdy poobserwuje ich razem.

Teraz jednak nie miał zamiaru się nad tym zastanawiać, ponieważ jej obecność dawała mu tyle radości. Widział, że John ją zaakceptował, a to wiele dla niego znaczyło. Rozkoszował się jej głosem, lekkim i delikatnym, ze śladem obcego akcentu.

– Więc jesteśmy na plaży z dziewczynkami – opowiadała Johnowi – a mniej więcej pięćdziesiąt metrów od brzegu jakiś mężczyzna zaczyna krzyczeć. Tonął i nie był w stanie zawrócić.

– A Mariella wchodzi w wodę, jakby zamierzała go uratować! – zawołał z kuchni Gavin.

– Mogłam to zrobić. Ja i morze doskonale się rozumiemy.

– Czyżby? – Gavin stanął w progu.

– Mówimy tym samym językiem.

– Może i tak, ale przypomniałem jej, że musi się opiekować dziewczynkami, i szybko wrócił jej rozsądek – znów wtrącił Gavin.

– Czyli pozwoliliście mu utonąć? – zapytał John.

– Nie, znaleźliśmy linę. Ja do niego popłynąłem, a Mariella z dziewczynkami nas wyciągnęły.

– Bez jaj. Facet miał szczęście, żeście tam byli.

– Miał szczęście, że Gavin tam był – sprostowała Mariella. – Nigdy więcej nie pójdę bez niego na plażę.

Gavin uśmiechnął się i znów zniknął w kuchni. Po chwili usłyszał zbliżające się kroki Marielli. Rozejrzała się i bez słowa zaczęła czyścić krewetki leżące w misce w zlewie. Gavin obok obierał ziemniaki. Miał wrażenie, że powietrze między nimi drży.

– Naprawdę cieszę się, że przysłaś – powiedział, rzucając obierkę Kundlowi.

– Przepraszam za to na plaży.

– Rozumiem, dlaczego twoja matka mogła się zdenerwować.

– Ja chyba też. W końcu znalazła nas obłapiających się na kocu.

Spojrzeni na siebie i jednocześnie wybuchnęli śmiechem; z pokoju zawtórowały im dźwięki gitary. Gavin nie potrafił się dłużej powstrzymać. Pochylił się i pocałował Mariellę. Dłonie miała brudne od świeżych krewetek, więc nie mogła go objąć. Pogładził ją po bokach, zatrzymując ręce nad jej biodrami. Odpowiedziała na jego pocałunek, jakby przez całe popołudnie na to czekała. Odskoczyła ze śmiechem dopiero wtedy, gdy połaskotał ją w talii. John przestał grać.

- Mniej całowania, więcej gotowania. Umieram z głodu! – zawołał.
- Mariella ze zdziwienia otworzyła usta.
- Jak on to robi? – szepnęła.
- Zmysły mi się wyostrzyły, odkąd straciłem nogi – odpowiedział.

*

Ponieważ Gavin uparł się, że pozmywa, Mariella została z Johnem, który przy kolacji lekko się wstawił. Przesuwał dłonie po kikutach, jakby próbował je naciągnąć i uzupełnić braki. Mimo kalectwa wciąż zajmował zaskakująco wiele przestrzeni. Łatwo było się domyślić, że w przeszłości był potężny. Miał szerokie bary, gruby kark i mocno umięśnione ręce. On także nosił tatuaż z datą ofensywy argońskiej.

– Wybacz, że to mówię – zaczął – ale jesteś zbyt mądra, żeby zarabiać na życie sprzątaniem cudzych domów, i za ładna, żeby nosić uniform pokojówki.

– Dziękuję. To tylko środek do celu.

– A jaki jest twój cel?

Zawahała się. Zwierzyła się już ze swojego marzenia Hemingwayowi. Mówienie o nim Johnowi, którego kompletnie nie знаła, było sprawą poważną i jakby bardziej przerażającą. Papa rozumiał jej związki z oceanem, John nic o nich nie wiedział. Przełknęła spory łyk piwa.

– Wynajem łodzi. Wyprawy na ryby, rejsy o zachodzie słońca, rozumiesz, rozrywki dla turystów.

– Mogę to sobie wyobrazić – oznajmił John i Mariellę ogarnęła ulga. – Oszczędzasz na łódź?

– Owszem, a jeśli dalej tak pójdzie, skończę pięćdziesiąt lat, zanim będę miała dość gotówki.

Chwilę milczał.

– Wiesz, że Gavinowi zależy na tym samym?

Nie wiedziała i z jakiegoś powodu ta informacja nią wstrząsnęła. Jak to możliwe, że jej marzenie należy do innej osoby? Co łączy Gavina z oceanem? Odezwało się jej poczucie niezależności i Mariella poczuła irytację.

– A co z firmą jego wuja? – Słyszała, jak Gavin puszcza wodę w kuchni.

– To tylko środek do celu – odparł John.

– W takim razie będzie musiał znaleźć inną przystań, bo Key West jest moje.

Roześmiał się i dopił piwo, powiększając liczbę pustych butelek na stole.

– Wystarczy miejsca dla was obojga. Możecie zostać współnikami. – Mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Zobaczymy. Najpierw będzie musiał udowodnić, na co go stać, zanim w ogóle wezmę to pod uwagę.

John pobladał i spoważniał. Kiedy zamknął oczy, Mariella zaczęła się niepokoić, że

zasnął, ale po chwili uniósł powieki i sięgnął po następne piwo.

– Nie mogłabyś znaleźć lepszego współnika – powiedział. – Gavin uratował mi życie. – Szum wody ucichł i John pochylił się ku Marielli, ciągnąc cicho: – Nie chciałby, żebym ci o tym mówił, ale o mało nie wyleciał w powietrze, kiedy wyciągał mnie i naszego kumpla Jordana spod ostrzału. Jordanowi się nie udało, wykrwawił się. Ja z tamtego dnia pamiętam tylko to, jak moje nogi oddalały się ode mnie, podczas gdy Gavin ciągnął mnie przez kałużę krwi Jordana do okopu przy drzewie. Na spalonej trawie została ciemnoczerwona smuga. Wyglądała jak granica pomiędzy nami a nimi. – Urwał, w jego oczach zabłyśły łzy. Na widok jego wzruszenia Mariella poczuła, jak ściska się jej gardło. Nie potrafiła wyobrazić sobie Gavina i Johna w żadnym innym miejscu, tylko w tym małym, błękitnym domku, jedzących potrawkę i palących papierosy. Dopiero teraz pojęła, że wcześniej Gavin wiódł zupełnie inne życie. Poczuła się nieważna i niedojrzała, zwłaszcza gdy uświadomiła sobie, że obaj byli mniej więcej w jej wieku albo młodszy, gdy walczyli na wojnie. – Jezu, Mariello, przepraszam. – John położył dłoń na jej dłoni, a ona nieświadomie zacisnęła ją w pięść. – Nie mam pojęcia, dlaczego musiałem ci o tym powiedzieć.

Jego twarz była tuż przy jej twarzy. Miał takie same stare oczy jak Gavin. Mariella zamruwała, odpędzając łzy. Słowa nie chciały jej przejść przez zduszone gardło, ujęła go więc za rękę. W tej samej chwili w progu stanął Gavin.

– Chryste, John, na minutę zostawiam cię z moją dziewczyną, a ty już mi ją kradniesz? – Mariella i John roześmiali się, wycierając oczy. – Mam was zostawić samych?

– Nie, ta dziewczyna by mnie wykończyła – odparł John. – Lepiej zbierajcie się, bo nie zdążycie na czas.

Mariella uściskała go serdecznie i wstała. Kiedy wychodzili z domu, John znowu zaczął grać. Samotne dźwięki odprowadziły ich aż do ulicy.

*

Gavin żałował, że John upił się w czasie pierwszego spotkania z Mariellą. Podejrzewał, że przyjaciel opowiedział jej o Argonny, a Gavin nie był jeszcze gotowy, by zwierzać się z tamtych przeżyć.

– Co ci powiedział, że się tak rozkleiłaś? – zapytał.

– Nie chciał, żebym ci mówiła.

– Opowiadał o wojnie?

– Tak.

Gavin westchnął, odwracając wzrok. Martwił się, że Mariella nie będzie chciała ponownie ich odwiedzić.

– Szkoda.

– Dlaczego?

– Bo to cię zdenerwowało.

– Chcę wiedzieć.

– Dlaczego?

– Z tego samego powodu, dla którego ty chcesz dowiedzieć się o mnie różnych rzeczy. Zależy ci na jasnym obrazie.

– Niektóre sprawy lepiej zachować w tajemnicy.

– Chyba w to nie wierzysz?

Gavin zatrzymał się i poczekał, aż kwoka przeprowadzi kurczęta przez chodnik.

– Masz rację – powiedział, ruszając dalej. – Po prostu chcę cię przed tym chronić.

Mariella puściła jego dłoń.

– Nie potrzebuję twojej ochrony.

Rozgniewał ją, a powinien był to przewidzieć; matka traktowała ją w taki sam sposób. Byli już prawie przy domu Hemingwaya. Mariella wyprzedziła go, więc ją dogonił i znów złapał za rękę.

– Hej, poczekaj – powiedział, gdy odwróciła się do niego. – Przepraszam. Oczywiście, nie potrzebujesz ochrony.

Spojrzała na niego nieufnie.

– Potrzebuję wyłącznie szczerości.

– W porządku, ale ja potrzebuję czasu.

– Czasu?

– Tak, żeby opowiedzieć ci o różnych sprawach we własnym tempie. Powiem ci o wszystkim, ale nie przy Johnie i potrawce z krewetek, kiedy za pięć minut musimy wychodzić. Wtedy umarła jakaś część mnie i skończyło się tamto życie, a to nie są sprawy, o których łatwo mi mówić.

Mariella spuściła wzrok; Gavin widział, że ją zawstydził, a nie miał takiego zamiaru. Uniósł jej twarz, tak by na niego spojrzała. Oczy wciąż miała mroczne. Pocałował ją i napięcie zelżało.

– Hej, to publiczna ulica – zabrzmiał głos, gdy obok nich zahamowało auto Papy prowadzone przez Toby’ego. Mariella odskoczyła od Gavina. Hemingway uśmiechał się, ale nie był to przyjazny uśmiech. – Wsiadaj, córko, uwolnię cię od tego nicponia.

Wodziła oczami od samochodu do Gavina, ale stała w miejscu jak sparaliżowana.

Synowie Hemingwaya podbiegli do auta, ratując ją przed koniecznością dokonania wyboru. Za nimi toczyła się zadyszana Ada. Włosy wysunęły się jej ze spinek, a obfity biust podnosił się i opadał ciężko w rytm kroków.

– Chcemy się przejechać! – zawołał Patrick.

Chłopcy wskoczyli do samochodu, a Ada ruszyła do domu pieszo. Zanim odjechali, Papa spojrzał na Gavina i powiedział:

– Bądźcie grzeczne, dzieci.

Gavin zacisnął szczękę, słysząc ten protekcyjny ton. Kiedy auto odjeżdżało,

Papa nie odrywał od nich wzroku. Gavin uznał, że tego wieczoru nie chce spędzić w pobliżu Hemingwaya. Nie był w nastroju na nieprzyjemne uwagi, poza tym doszedł do wniosku, że niezdecydowanie Marielli, czy zostać z nim, czy pojechać z Hemingwayem, powiedziało mu wszystko, co chciał wiedzieć.

– Chyba jednak dam sobie spokój z tym przyjęciem – powiedziała, a gdy Mariella zaczęła protestować, przerwał jej: – Spotkamy się później.

Zawrócił i przez chwilę jeszcze nasłuchiwał jej kroków w nadziei, że będzie go gonić, ale ona pozwoliła mu odejść. Na rogu obejrzał się i już jej nie zobaczył.

*

Kiedy weszła do domu, Papy nigdzie nie było. Nie miała jednak czasu martwić się nim czy Gavinem, bo Isabelle od razu włożyła jej fartuch przez głowę i popchnęła w kierunku garnka z zupą rakową.

– Mieszaj! Nie może się przypalić.

Mariella przez ramię zajrzała do jadalni: Pauline wręczyła Adzie pieniądze i poleciła, by została z chłopcami w mieście do ósmej, a po powrocie od razu położyła ich spać.

– I pamiętaj, żadnego picia, dopóki z nimi jesteś – zakończyła.

Ada burknęła coś pod nosem, popychając chłopców w stronę drzwi.

Pauline podeszła do okna i patrzyła, jak cała trójka odchodzi. Mariella pomyślała, że z kieliszkiem w dłoni kobieta wygląda ślicznie w wieczornym świetle padającym na jej szczupłą sylwetkę. Przypominała fotografię z „Vogue”, w którym pracowała, zanim wyszła za Papę i urodziła dzieci. Pauline odwróciła się i zobaczyła Mariellę. Uśmiech wykrzywił jej usta, ale oczy pozostały nieruchome. Na moment spojrzała jeszcze przez okno, a potem wyszła do holu.

Mariella zajęła się mieszaniem zupy, próbując zrozumieć, co mogło pociągać Papę w Pauline. Jej wdzięczne kształty, będące przeciwieństwem jego pierwszej, wysportowanej żony? Jej wyniosła światowość? Pauline nikogo poza nim nie traktowała serdecznie, do wszystkich z wyjątkiem męża odnosiła się chłodno. Jaśniała, tylko gdy był w pobliżu.

Była też bardziej nieprzyjemna kwestia – jej pieniądze. Czy Papie tak bardzo dokuczyla bieda, że postrzegał Paulinę jako wybawienie? Mariella była pewna, że w tamtym okresie nigdy nie przyznałby się przed sobą, iż pociągały go jej pieniądze i styl życia. A może jednak? Albo też Pauline wzięła go na cel. Bogaci zawsze dostają to, na czym im zależy.

Wydawało się jej dziwne, że kiedy w rozmowie wspomiano pierwszą żonę Papy, Hadley, wszyscy mówili o niej wyłącznie dobrze. Nawet Pauline nie pozwalała sobie na nieprzyjemne uwagi. Mariella pomyślała, że musi jeszcze wiele się dowiedzieć o mężczyznach i kobietach.

Przed oczami stanął jej Gavin i poczuła dziwne, nieprzyjemne ukłucie. Próbowwała ustalić, w którym momencie nastrój tego popołudnia prysnął. Kiedy wyobraziła sobie Gavina jako kapitana czarterowej łodzi rybackiej? Kiedy zauważyła jego niechęć do opowiadania o swojej przeszłości? A może podczas wymiany zdań z Hemingwayem? Ostatecznie uznała, że właśnie to przeważało – jej reakcja na Papę. Miała wyrzuty sumienia, bo nie potrafiła się zdecydować i porzuciła Gavina, ale przecież szła do pracy.

– Okay, wyłącz palnik – powiedziała Isabelle. – I pomóż mi obrać krewetki, skarbie.

– Jaka to okazja?

– Spotkanie z przyjaciółmi. Będą Thompsonowie, John i Katy Dos Passos. Sara Murphy jest w mieście, ale jej mąż z jakiegoś powodu nie mógł przyjechać, oraz Jane i Grant Masonowie. – Isabelle znacząco uniosła brwi.

– Kim są Masonowie?

– Bogatą parą z Kuby. Ona w przeszłości była modelką, on pracuje w liniach lotniczych. Dawniej spędzali wiele czasu z Papą i panią, ale dość długo już się nie widzieli. Pani jej nie lubi. – Mina kucharki mówiła: „Sama się przekonasz dlaczego”.

– Wygląda na to, że w tej historii jest coś więcej – powiedziała Mariella.

Isabelle na palcach poszła do drzwi i wyjrzała do korytarza, potem zerknęła do jadalni. Gdy wróciła do Marielli, nachyliła się ku niej i szepnęła:

– Jakiś czas temu pani Mason wypadła z okna domu na Kubie i złamała sobie kręgosłup. Podobno stało się to po kłótni z Papą.

Mariella wstrzymała oddech.

– Próbowwała się zabić?

– Nie wiem. Niektórzy tak mówią.

– A jej mąż o tym wie?

– To małżeństwo jest dziwne – odparła Isabelle.

Hałas w korytarzu sprawił, że obie pośpiesznie wróciły do pracy. Isabelle przygotowała krewetki, a Mariella poszła do baru urządzonego w salonie, by pokroić cytryny i limy. Zastała tam Papę z Pauliną. Zamilkli na jej widok. W powietrzu wyczuwało się kłótnię.

Mariella skuliła się, nie odrywając wzroku od krojonych owoców. Kwaśny aromat i lepki sok zamaskowały odór krewetek na jej dłoniach. Z drugiego końca pokoju dobiegł ją głos Papy:

– Nie zaczynaj.

– Zaprosiłeś Jane, żeby mnie dręczyć? – zapytała nerwowo Pauline.

– Nie do twarzy ci z zazdrością.

– Nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

– A muszę? Jane to nasza bliska przyjaciółka, twoja także, więc nie traktuj jej

dzisiaj źle.

– Pisziesz do niej częściej niż ja.

– Wiesz, że to nieprawda.

– Czyżby?

– To przyjaciółka.

– To dziwka.

– Dość ostra ocena w ustach kobiety, która ukradła męża innej. A może swój zawsze pozna swego? – Pauline wzdrygnęła się, jakby ją uderzył. Mariella w duchu rozgniewała się w jej imieniu. Zauważyła, że Papa zmienił postawę. Zgarbił się, patrząc ze skruchą na żonę. Kiedy ją do siebie przyciągnął, Mariella spuściła wzrok na cytrynę. – Nie chciałem tego powiedzieć. Wiesz, że jesteś moją jedyną prawdziwą dziewczyną.

Mariella nie mogła się powstrzymać, musiała znowu spojrzeć. Papa pochylił się i pocałował żonę. Pauline zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Ona jest taka piękna – powiedziała. – W jej obecności trudno nie czuć się jak brzydkie kaczątko.

– Przysięgam, że widzę tylko ciebie. Ona flirtuje z innymi, żeby torturować tego biednego drania, swojego męża.

Pauline pocałowała Ernesta, a Mariella pomyślała, że jeśli kiedykolwiek będzie mogła pozwolić sobie na służących, nigdy nie poznają jej prywatnego życia. To strasznie dziwne być żywą, oddychającą, odczuwającą muchą na ścianie – widoczną dla wszystkich, ale przez nikogo niezauważaną. Na myśl, że jest świadkiem takiego intymnego gestu, z którym nic ją nie łączy, przeszedł ją dreszcz. Nie czerpała z tego żadnej voyeurystycznej przyjemności, czuła tylko splątane emocje, które wprowadziły ją w niepokój: zazdrość, gniew i wyrzuty sumienia.

Gdyby tylko Gavin tu był...

Ale co wtedy? Widziałby jej skrępowanie, zdradziłaby przed nim, że pożąda męża innej kobiety. Nie byłby w stanie dostrzec, że Mariella równie silnie pożąda jego, choć to uczucie jest o wiele prostsze. Nie, lepiej, że go tu nie ma.

*

Przy jasnej, świetlistej urodzie Jane Mason Mariella czuła się mała i ciemna. To złote piękno emanowało z niej, gdy krążyła wśród gości. Włosy miała spięte w ciasny kok na karku, przewiewna jasnozielona sukienka ślicznie kontrastowała z jej opalenizną. Sprawiała, że kobiety się garbiły, a mężczyźni sztywnieli. Obserwowanie jej było fascynujące.

Mariella pragnęła zbliżyć się do Jane, usłyszeć jej głos, choć stojąc za barem, nie miała na to szans – drinki zamawiali sami mężczyźni. Kobiety rozmawiały, śmiały się, paliły i dyrgowały swoimi towarzyszami.

Obserwowała Papę, który obserwował Jane, kiedy Pauline była zajęta gdzie indziej. Jego żądza zdawała się płonąć, przybierać na sile z każdym kolejnym drinkiem. W obecności Jane Pauline straciła cały swój wdzięk i Mariella poczuła dziwną potrzebę, by się nią opiekować. Nie nazwałaby jej może swoją przyjaciółką, ale została przekroczona jakaś granica i Mariella zapragnęła chronić rodzinę Pauline. A ta mizdrząca się piękność stanowiła dla niej zagrożenie.

Irytowało ją to, jak bezpośrednio Jane traktuje mężczyzn – z całkowitą świadomością, że jest najpiękniejsza z wszystkich obecnych tu kobiet. Mężczyźni byli bezbronni wobec jej uroku. Śmiała się za głośno. Zbyt dużo mówiła o strzelaniu i polowaniu. Ciągłe kładła rękę na jakimś męskim ramieniu, choć nigdy nie było to ramię jej męża. On stał przy barze z pustym uśmiechem i obojętnie patrzył na żonę.

Papa przynajmniej uszanował wolę Pauline i trzymał się z daleka od Jane, ale jego oczy zdradzały wszystko. Kiedy wrócili chłopcy, Pauline wyszła, żeby pomóc Adzie położyć ich spać, i wtedy pan domu już bez skrępowania mógł podziwiać Jane. Spojrzenie, które mu posłała, sprawiło, że Mariella się zaczerwieniła. Gdy to dostrzegł, ruszył w kierunku baru, a rumieniec Marielli tylko się pogłębił.

– Córko, dlaczego jesteś taka czerwona?

Wolnymi, okrężnymi ruchami wycierała kontuar. Popatrzyła na Papę z nieskrywaną wrogością.

– Strasznie tu gorąco.

Napił się i zmrużył oczy.

– Wyjdź ze mną na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza. – Mariella powiodła wzrokiem po tłumie. Wszyscy mieli pełne szklaneczki, ruszyła więc w stronę drzwi balkonowych. Kontrast między przyjęciem a nocą był bardzo wyrazisty. Palmy szeleściły w podmuchach wiatru, trawnik pokrywały cienie. – Nie potrzebuję, żeby przez cały wieczór osądzały mnie dwie kobiety.

– Dlaczego miałyby się pan przejmować moim zdaniem? – zapytała.

– Też chciałbym to wiedzieć. Na litość boską, jesteś służącą. – Mariella skrzywiła się, ale Papa ciągnął dalej: – Jane jest nieszkodliwa. Zależy jej tylko na tym, żeby każdy facet ślinił się na jej widok. Nic więcej.

– Jak pan sądzi, co czują ich żony?

– Za te odczucia winne są już ich kompleksy, nie sama Jane.

– A jak odnosi się do tego jej mąż?

– A co ty byś zrobiła na jego miejscu?

– Kazałabym jej z tym skończyć.

– A sama dobrze reagujesz na polecenia?

– Nie, ale nigdy bym czegoś takiego nie robiła.

– Czego konkretnie?

– Nie zadawałabym się z mężami innych kobiet.

– Doprawdy?

Pytanie zawisło w powietrzu między nimi. Gdy w końcu Mariella pojęła jego sens, znów poczuła, że twarz jej płonie. Z trudnej sytuacji uratował ją przedmiot ich dyskusji. Z domu wyszła Jane, w jednej dłoni trzymając butelkę, w drugiej łyżkę.

– Kochanie, przybyła zielona wróżka.

Hemingway pochylił się i pocałował Mariellę w policzek. Jane ujęła go pod ramię i poprowadziła do salonu, gdzie postawiła butelkę na barze.

Absynt.

Jane położyła kostkę cukru na łyżce durszlakowej, którą trzymała nad kieliszkiem do martini. Polała zielonym płynem cukier, po czym go podpaliła. Goście ucichli, obserwując, jak z roztapianej przez płynny niebieski płomień białej kostki do kieliszka sączą się krople. Jane dodała wody i zamieszała, po czym podała kieliszek Hemingwayowi. Drugą porcję przyrządziła dla siebie. Spojrzała na stojącą w progu Mariellę i w geście toastu uniosła szkło.

*

Absynt wprowadził gości na nowy poziom odurzenia i bardzo szybko sprawy potoczyły się w fatalnym kierunku. John i Katy wyszli oburzeni jakąś arogancką uwagą Papy. Niedługo potem w ich ślady podążyli Thompsonowie. Sara Murphy musiała zadzwonić do domu, bo jeden z jej chłopców był chory. Jane i Papa zachowywali się nieznośnie i Pauline zamknęła się w sypialni, trzaskając drzwiami. Grant Mason siedział przy barze, popijał koktajl i rozglądał się z konsternacją. Mariella pilnowała, by miał pełny kieliszek, i patrzyła, jak Papa robi z siebie głupca.

Kiedy zaczął zmysłowo tańczyć z Jane, Grant w końcu zainterweniował i wyprowadził żonę za drzwi. Papa wpadł we wściekłość, bo przyjęcie się skończyło, i oznajmił, że musi iść pisać. Mariella słyszała jego głośne kroki, gdy wchodził po schodach do głównej sypialni, a stamtąd pomostem do swojej pracowni. Skrzywiła się na myśl, jak pijany Papa poradzi sobie na wysokiej kładce, i w duchu zmówiła modlitwę, by nie spadł.

Wyszła na dziedziniec, skąd widziała, jak szamocze się z drzwiami do pracowni. Kopał w nie i walił pięściami, mamrocząc coś o zgubionych kluczach. W końcu chwiejnym krokiem wrócił do domu, wrzasnął na Pauline, a potem znowu poszedł do pracowni. Przez chwilę grzebał kluczem w zamku i o mało się nie przewrócił, gdy wreszcie udało mu się otworzyć drzwi. Zatrzasnął je za sobą z całą siłą.

Mariella weszła do salonu. Serce waliło jej jak szalone.

– Idź do domu – powiedziała Isabelle.

– Jestem pewna, że padł nieprzytomny – odparła Mariella. – Zróbmy najpierw porządek.

Isabelle kiwnęła głową, zabierając do kuchni tacę z talerzami i serwetkami.

Mariella uporządkowała bar, zaniósła krzesła do jadalni, strzepnęła poduchy na kanapie, zmiotła podłogę i pozbierała szkło. Znieruchomiała, gdy trafiła na opróżniony do połowy kieliszek z absyntem. Upewniła się, że jest sama, i podniosła kieliszek do nosa. Pachniał jak mieszanina kwiatów i ziół. Rozejrzała się ponownie i upiła łyk. Absynt smakował jak lukrecja i wcale nie był nieprzyjemny, ale odświeżający. Miała wrażenie, że lepiej jej się oddycha. Naszła ją ochota, by wypić wszystko, ale po chwili namysłu poszła wylać zawartość do zlewu. Po powrocie do salonu przekonała się, że zostało ćwierć butelki. Już miała odstawić ją na półkę, gdy usłyszała cichy odgłos, jakby płacz. Stała przy schodach i nasłuchiwała. Pauline płakała w pokoju na piętrze. Pod wpływem współczucia Mariella ruszyła po schodach, ale w połowie drogi zmieniła zdanie. Co miałaby jej powiedzieć? Pauline na pewno chce zostać sama, Mariella w żaden sposób nie może jej pomóc.

Wróciła do salonu. Absynt stał na środku baru, połyskując w świetle żyrandola. Nocny wiatr delikatnie poruszał zasłonami, a z piętra wciąż dobiegał stłumiony płacz Pauline. Mariella wzięła butelkę, wyszła z nią na dziedziniec i wylała zawartość na trawnik.

Rozdział jedenasty

Rzuciła się przez całą noc, a rano wstała i ubrała się, by pójść do kościoła. Miała nadzieję, że spotka Gavina i będzie mogła go przeprosić. Wstydziła się swojego wczorajszego wahania. Widok Papy i jego przyjaciół w ich najgorszym, jak sądziła, wcieleniu, sprawił, że nieco otrząsnęła się z fascynacji Hemingwayem. Chciała pokazać Gavinowi, ile dla niej znaczy.

Jednak on nie przyszedł. Czepiała się nadziei aż do Ewangelii, ale kiedy zaczęło się kazanie, pojęła, że go nie zobaczy. Nie wiedziała, czy gniewał się na nią, czy też musiał wrócić do pracy, ale była pewna, że minie dużo czasu, zanim znowu się z nim spotka.

Kiedy wróciła do domu, jej wzrok padł na dziesięć puszek lawendowej farby stojących na ganku. Czekwały tam od paru dni, a dostarczono je w ramach rządowych wysiłków, by poprawić wygląd miasta i uczynić z Key West popularny cel turystów. Mariella założyła robocze ubranie, w skrzynce z narzędziami ojca znalazła stary pędzel i zabrała się do roboty. Zaczęła od frontu. Lulu i Estelle postanowiły jej pomóc. Pozwoliła im pomalować dolne panele, do których były w stanie sięgnąć, choć po krótkim czasie obie doszły do wniosku, że zanurzanie pędzli w cuchnącej farbie w obezwładniającym upale nie jest najlepszym sposobem na spędzanie popołudnia.

Została więc sama. Czyściła panele z kurzu i papierem ściernym wytrwale przecierała wybrzuszenia. Pomimo upału i odoru malowanie okazało się zajęciem terapeutycznym, a o zachodzie słońca z satysfakcją przyjrzała się swojemu dziełu. Skończyła frontową ścianę niewielkiego domku i uznała, że z daleka może się on wydać turystom czarujący. Dobrze, że nie widzą, co jest w środku.

Gdy zamykała puszkę, z domu wyszła Eva. Stała na trawniku i oceniła dzieło Marielli, zaciągając się papierosem.

– Wiesz, że to prawie ten sam odcień co w domu *mi abuela* na Kubie? – rozległ się głos. Mariella spojrzała na matkę. W szarzącym świetle dostrzegła, że oczy jej błyszczą. Zeszła z ganku i stanęła obok niej, pragnąc usłyszeć więcej o rodzinie i przeszłości matki. – *Abuela* była silną kobietą – powiedziała Eva jakby do siebie. – Sama wychowała sześcioro dzieci. Jej mąż zmarł na atak serca w bardzo młodym wieku.

– Co za straszliwy zbieg okoliczności – odparła Mariella, myśląc o swoim ojcu.

Eva zamrugała, jakby nie rozumiała sensu jej słów. Dopiero po chwili jej twarz pociemniała.

– Si.

– Pragniesz tam wrócić? – zapytała Mariella.

Pytanie sprawiło Evie wyraźny ból.

– Nawet gdybym chciała, rodzina nigdy by mnie nie przyjęła. Porzuciłam ich.

– Są tacy okrutni?

– Dokonałam wyboru. Muszę ponieść konsekwencje.

– Powinnaś do nich napisać. Na pewno za tobą tęsknią.

Eva pokręciła głową.

– Dla nich dawno umarłam – powiedziała, po czym poszła do domu i zamknęła za sobą drzwi.

Mariellę zaskoczyły zwierzenia matki, nigdy dotąd nie rozmawiały tak otwarcie. I choć temat był smutny, ich chwilowa bliskość ucieszyła ją.

Frustracja dotycząca Gavina nie ustępowała, więc po kolacji Mariella zapytała matkę, czy mogłaby odwiedzić przyjaciela. Eva zmierzyła córkę wzrokiem i najprawdopodobniej doszła do wniosku, że w ubraniu pochłapanym lawendową farbą nie pójdzie na randkę, bo zgodziła się.

Mariella dotarła do domu Johna, gdy zapadła już noc. Dom nie wydawał się taki wesoły jak w dzień, we frontowym pokoju płonęło tylko jedno światło. Zaniepokoiła się, że John może woli być sam, i już chciała odejść, ale Kundel dostrzegł ją przez siatkę na owady. Stanął na tylnych łapach, uderzając głośno ogonem o podłogę.

– Kto tam? – zawołał John.

Nie było odwrotu.

– To ja, Mariella. – Z domu dobiegł szelest, burknięcie i po chwili w progu pojawił się siedzący na wózku John. Wyglądał na zmęczonego, ale Mariella z ulgą odnalazła uśmiech na jego twarzy. Najwyraźniej ucieszył go jej widok.

– Przykro mi, ale Gavin rano popłynął promem na Matecumbe – powiedział John.

– Obawiam się, że nie wróci co najmniej przez tydzień.

– Ale ciebie mogę odwiedzić, prawda? – zapytała.

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej i Mariellę zalała fala ciepła. John na pewno nie miewa wielu gości. Sprawiał wrażenie, że nie wie, co odpowiedzieć.

– Chyba że wolisz, żebym sobie poszła.

– Nie, nie, cieszę się, że przyszłaś – zapewnił. – Wejdz. Przyniosę piwo. – Pojechał do kuchni, z której wrócił po chwili z czterema piwami na kolanach. – Usiądźmy na ganku, wieczór taki przyjemny. – Mariella pomogła mu się usadowić, a potem napełniła miskę Kundla wodą z węża. Kiedy wróciła do Johna, podał jej otwarte piwo. Podziękowała i upiły solidny łyk. Kundel szturchał ją pyskiem, zrzuciła więc buty, by stopami pogładzić go po grzbiecie.

– Co się stało wczoraj wieczorem? – zapytał John po dłuższej chwili milczenia. – Gavin nie pracował na przyjęciu, a po powrocie do domu zachowywał się jak strasznie humorzasty sukinsyn.

Mariella poczuła wyrzuty sumienia. Powinna była za nim pójść.

- Dano mi wybór, a ja nie potrafiłam się zdecydować – wyznała.
- Pomiędzy Gavinem a Hemingwayem? – domyślił się John.
- Tak.
- Aha.
- Ale Papa jest moim pracodawcą, więc oczywiście musiałam pójść za nim.
- Oczywiście – powtórzył John, ale Mariella usłyszała sarkazm w jego głosie.
- A co ty byś zrobił na moim miejscu? – zapytała, zapalając papierosa, po czym dodała szybko: – Na wypadek gdybyś nie zauważył, czasy są ciężkie.
- Rzecz w tym, że oboje dobrze wiemy, że ten wybór dotyczył czegoś więcej niż tylko pracy. Gavin też to wie. – Spojrzała na jego profil ukryty w cieniu, zaciągnęła się i wydmuchała na niego dym. – Nie bądź zła, że zmuszam cię do stawienia czoła faktom. Daj mi macha.
- Mariella podała mu papierosa.
- Wiesz, że kupiłam je za własne pieniądze? – zapytała. – Nie ukradłam ich. – John uśmiechnął się do niej. – Owszem – dodała. – Jestem znana jako złodziejka.
- Papierosów?
- Tak.
- Piwa?
- Też.
- Mężów? – Uderzyła go w ramię. Podniósł dłonie w geście poddania. – Jestem tylko ciekawy.
- Nie.
- Zamierzasz zacząć? – Wydmuchała dym i odwróciła się od Johna. – To dobrze, że jesteś katoliczką.
- Dobrze – powtórzyła. – Kundel odetchnął ciężko, zmieniając pozycję pod jej gołymi stopami. Mariella zmieniła temat. – Często wychodzisz?
- Jasne. Mam miejsce na przystani, gdzie lubię siedzieć i malować. Czasami wpadam do Sloppy’ego. Mamy przyjaciela w mieście, który zabiera nas na ryby. Dlaczego pytasz?
- Chcę się upewnić.
- Nie przejmuj się. Nie siedzę tu sam, pijąc i paląc przez cały dzień. – Zgasił papierosa. – Ale wracając do ciebie. Ile potrzebujesz, żeby otworzyć firmę?
- Według moich obliczeń trzeba mieć od dziewięciuset do tysiąca, żeby zrobić to dobrze. – John zagwizdał przez zęby. – Wiem – powiedziała ponuro.
- Jakie masz doświadczenia z wodą? – Mariella opowiedziała mu o ojcu, o ich wspólnym marzeniu i o jego nagłej śmierci. Łatwo było mówić w ciemności, a John był dobrym słuchaczem. Zapalił tylko kolejnego papierosa i pokręcił głową, kiedy skończyła. – Musisz odnaleźć tę łódź.
- Szukałam w kilku miejscach na Stock Island, ale na razie szczęście mi nie

dopisało. Trudno się tam dostać.

– A mariny w mieście?

– Nie mają miejsca na zniszczone łodzie.

– Gavin mógłby sprawdzić cmentarzyska w drodze na Matecumbe.

– Chyba jest na mnie za bardzo zły, żeby go to obchodziło.

John roześmiał się.

– Przeciwnie, gdyby go to nie obchodziło, nie byłby zły.

– Gdyby nie był taki krytyczny, nie rozgniewałby się.

– Gdybyś nie dała mu powodu do krytyki, nie musiałabyś się tym przejmować – uciął ostatecznie John. Na to Mariella nie potrafiła już odpowiedzieć. – Wiesz, co widzę? – zapytał John. – Widzę ciebie i Gavina prowadzących wspólnie firmę z łodziami. Pobraliście się, macie pięcioro dzieci. Albo sześcioro.

– Hej, sierżancie, zwolnij – powiedziała ze śmiechem.

– Turyści dobijają się o bilety na wasze rejsy o zachodzie słońca, najlepsze na Key West. Najlepsze trunki, najlepsze jedzenie, najlepsze widoki, najśliczniejszy kapitan.

– Rozpędziłeś się.

– Nie widzisz tego?

Uśmiech zniknął z twarzy Marielli. Próbowwała sobie to wyobrazić, ale bez skutku. Zdołała zobaczyć tylko wypełnioną do połowy puszkę pod swoim łóżkiem. Twarz Gavina zaczerwienioną z urazy na protekcyjne potraktowanie Hemingwaya. Łódź ojca uderzającą w skały.

W oddali zaszczekał pies i Kundel na moment uniósł łeb, ale zaraz opuścił go, zbyt rozleniwiony, by odpowiedzieć.

Mariella pomyślała, że rozmowa przestała być łatwa, i nawet mrok już jej nie pomagał.

– Pójdę już – powiedziała. – Robi się późno, a jutro z samego rana muszę stawić się do pracy. To dzień polerowania sreber. – John tylko przewrócił oczami. – Nie powinnam żartować. Dzięki tym bogaczom i ich srebrom mam dach nad głową.

– Amen.

Zawiozła go do domu i pomogła mu przesiąść się na kanapę. Sprawiał wrażenie skrępowanego i Mariella pomyślała, że pewnie rzadko dotyka go ktoś obcy. Na co dzień Lulu ciągle wisiła jej na szyi, Estelle się o nią opierała i nawet matka obejmowała ją w kościele podczas przekazywania znaku pokoju, Hemingway gładził ją jak ulubione zwierzątko, Gavin całował i trzymał za rękę. John dzień za dniem spędzał samotnie, przyjaciel odwiedzał go tylko w weekendy. Poczowała litość, choć postarała się ją ukryć.

– Dasz sobie radę? – zapytała.

– Oczywiście. Chryste, jesteś tak samo okropna jak Gavin. Radzę sobie bez was przez cały tydzień. – Cmoknęła go w policzek i ruszyła do wyjścia, ale John ją

zatrzymał. – Nie odpowiedziałaś na moje pytanie – upomniał się.

– Jakie?

– Czy to widzisz?

Sprawa miała wrażenie zdesperowanego – taką samą desperacją Mariella czuła na myśl o swojej przyszłości. Pragnął, by wydarzyło się coś dobrego i udowodniło mu, że dobro istnieje. Pragnął, by komuś wreszcie się udało.

– Widzę – skłamała.

*

W domu Hemingwaya panował nienaturalny spokój.

Na parterze nikogo nie było, drzwi do małżeńskiej sypialni były zamknięte, a na ganku chłopcy w milczeniu grali w kulki. Stanowiło to jaskrawy kontrast do hałaśliwych, wypełnionych gniewem dni ubiegłego tygodnia, kiedy Papa miotał się i wściekał na wydawnictwo Scribners, na Cosmo, na swojego wydawcę Maxa Perkinsa, na to, że go nie doceniają.

Mariella poszła do Isabelle.

– Co się dzieje? – zapytała bez zbędnych wstępów.

– Sara Murphy musiała wracać do Nowego Jorku – odparła Isabelle. Mariella odebrała jej namydloną szmatkę i sama zajęła się zmywaniem naczyń po śniadaniu, by dać odpocząć poparzonym dłoniom kucharki. Isabelle zaczęła więc wycierać. – Jej syn jest bardzo chory.

– Słyszałam, jak wczoraj o nim mówiła. Wyszła wcześniej, żeby zadzwonić.

– Jest w złym stanie.

– To ten chory na gruźlicę?

– Nie, chodzi o tego starszego. Ma odrę albo zapalenie opon mózgowych, coś w tym rodzaju.

Mariella pokręciła głową, podając Isabelle kolejny talerz. Woda była gorąca, parzyła ją. Zrozumiała, dlaczego ręce kucharki przypominają korę drzewa.

– Gdzie Papa? – zapytała.

– Znowu odezwały się jelita. Ma z nimi problemy, odkąd w Afryce na safari złapał czerwone.

Ich rozmowę przerwała Pauline, która weszła do kuchni. Czoło miała zmarszczone, a oczy chmurne.

– Dlaczego kłopoty zawsze chodzą stadami? – zapytała, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

– Podać pani filiżankę herbaty, pani Pauline? – zaproponowała Isabelle.

– Nie, dziękuję. Mariello, strzeplij poduszki na meblach. Chciałabym usiąść na tarasie i poczekać na telefon Sary. Potem podlej rośliny w domu.

Mariella kiwnęła głową, splukując ostatni talerz. Wytarła ręce w fartuch i przez

salon wyszła na ganek.

Palmy zaszeleściły, a ona poczuła na ramionach gęsią skórę. Było chłodno jak na Keys. Rozwiązała poduchy, wytrzeptała je nad trawnikiem, po czym przywiązała na nowo. Pauline usiadła z książką w ręku, ale jej nie otworzyła. Obgryzając paznokcie, wpatrywała się w synów.

Mariella poszła po konewkę, żeby podlać rośliny na tarasie. Patrick wdrapał się matce na kolana; przytuliła go i pogładziła po włosach. Gregory szarpnął Mariellę za ubranie.

– Mogę ja? – zapytał.

– Jasne, Gig.

Kucnęła, pomagając mu utrzymać ciężką konewkę.

– Dam sobie radę – zapewnił. – Jestem duży.

Uśmiechnęła się i pozwoliła, żeby przechylił konewkę, ale wtedy chłopiec kichnął i woda rozlała się na taras. Siedząca niedaleko Ada wstała i uderzyła go w rękę, na co malec zaniósł się płaczem.

– Wszystko w porządku. – Mariella miała wyrzuty sumienia, że dała Adzie powód do gniewu. – Zaraz się tym zajmę.

– Odłóż kulki i przestań bałaganić – nakazała chłopcu Ada. Greg popłakiwał, wrzucając kulki do woreczka.

Wtedy zadzwonił telefon.

Pauline zdjęła Patricka z kolan i spojrzała znacząco na Adę, która natychmiast wprowadziła chłopców do domu. Mariella poszła po ścierkę, ale zdążyła wrócić na czas, by wysłuchać rozmowy Pauline.

– Saro... – Pani domu słuchała przez chwilę, a potem zaczęła płakać. – O nie... tak mi przykro. Boże, tak strasznie mi przykro...

Z domu wybiegł blady Papa. Mijając Mariellę, pogładził ją po ramieniu. Opadł na krzesło i wsunął dłonie we włosy. Kiedy Pauline skończyła rozmawiać, usiadła mu na kolanach. Przytulił ją, patrząc na Mariellę zmęczonymi oczami. Przyglądała mu się przez chwilę, a potem wzruszona jego troską o żonę weszła do salonu, zostawiając ich samych.

Resztą wody w konewce podlała zioła na kuchennym parapecie, po czym odstawiła ją pod zlew. Serce jej się ścisnęło na myśl o stracie, której doznała rodzina Murphych, choć przecież ledwo ich znała. Każda taka wiadomość podsyciała ból wywołany śmiercią jej ojca. Oczy zapiekły ją od łez. Spojrzała w sufit, próbując je odpędzić. Łzy nie były jej teraz do niczego potrzebne.

Wieszając fartuch w szafie, Mariella miała wrażenie, że ze wszystkich stron dochodzą do niej sygnały mówiące, że lepiej nigdy nie kochać, niż stracić ukochaną osobę.

Rozdział dwunasty

Lower Matecumbe Key

Gavin odwrócił chłopcu głowę i wskazał zacienioną płyciznę od strony sterburty. Chłopiec wstrzymał oddech, gdy zobaczył homara chowającego się za pobliską skałę; od jego skorupy odbijały się promienie księżyca.

– Mogę spróbować? – zapytał.

Sześćoletni Teddy Morrow był synem weterana, który sprowadził rodzinę na Keys. Niedawno urodziło im się drugie dziecko, więc Gavin zaproponował, że zabierze Teddy'ego na wieczorny połów homara.

– Jasne, Ted. Wolisz sieć czy dzidę?

– Dwidę.

– W porządku, ale postaraj się go nie zabić. Chcemy ugotować na parze żywego homara. Zmusz go, żeby wylazł spod skały, i zagoń w sieć.

Teddy kiwnął głową i wstał. Łódź zakołysała się pod wpływem nagłego ruchu, więc poczekał, aż się uspokoi, i dopiero wtedy zanurzył dzidę w wodzie.

Gavin lubił te wyprawy wędkarskie na północny kraniec Key, gdzie komary aż tak nie dokuczały, a słodki chłód wieczoru pomagał niemal zupełnie zapomnieć o dniu. Złapał się na tym, że myśli o Marielli. Bardzo chciałby wybrać się z nią na nocne wędkowanie. Tysiąc razy odtwarzał w wyobraźni ich pocałunek na plaży i z gniewem wspominał ich rozstanie przed domem Hemingwaya.

– Teraz? – zapytał Teddy.

– Kiedy będziesz gotowy.

Chłopiec kiwnął głową, a Gavin zanurzył w wodzie sieć. Teddy wolnym ruchem opuścił dzidę i wsunął ją za skałę.

– Czuję go – powiedział. – Nie chce wyjść.

– Pewnie, że nie chce. Wie, że go zjemy. – Teddy poruszył dzidą i zza kamienia ukazały się odnóża homara, a zaraz za nimi głowa. Gavin poczekał, aż pojawiło się prawie całe ciało. – Okay, a teraz solidnie go szturchnij.

Gdy chłopiec wykonał ruch, homar wybiegł spod kamienia, a wtedy Gavin złapał go w sieć.

– Udało się! – wykrzyknął Teddy, patrząc, jak homar wije się i kręci.

– A niech mnie! Pierwsza próba i sukces. Masz talent, chłopie! Ten homar ma z dziesięć funtów. – W poświacie księżyca Gavin widział, jak chłopiec promienieje. Wytrząsnął zdobycz do naczynia z wodą, gdzie drugi okaz czekał już na śmierć. –

Zbierajmy się. Te homary są wielkie, a musimy je ugotować, żeby twoja rodzina miała kolację.

*

Kiedy Gavin otworzył drzwi, ojciec Teddy'ego, Henry, drzemał na kanapie. Natychmiast się ocknął.

– Udany połów? – zapytał szeptem, by nie zbudzić śpiącego na jego piersi niemowlęcia.

– Tak, tato. Dziesięć funtów!

– Jestem z ciebie dumny. Jak prawdziwa głowa rodziny przynosisz do domu jedzenie.

Teddy uśmiechnął się, gdy ojciec zmierzwił mu włosy. Z sypialni wyszła jego matka Lorraine, ziewająca i nieuczesana, w poplamionej sukni. Gavin uważał, że wyglądałaby ślicznie, gdyby nie musiała żyć w biedzie.

– Która godzina? – zapytała, trąc zaspane oczy.

– Dochodzi ósma – odparł Henry.

– Przepraszam, że cię obudziliśmy – powiedział Gavin.

– Och, nie przejmuj się, i tak niedługo muszę nakarmić Janie.

Gavin postawił talerz na stole i zdjął ręcznik, odsłaniając dwa idealnie ugotowane homary, otwarte i gotowe do zjedzenia. Lorraine westchnęła z zachwytem.

– Cudowne!

– To Teddy je złapał – powiedział Henry.

Kobieta uściśnęła synka, po czym zwróciła się do Gavina:

– Dziękuję ci, że go zabrałaś. Odkąd jestem zajęta przy Janie, dla biedaka nie zostaje mi wiele czasu. Zjesz z nami?

Gavin zastanowił się. Bardzo lubił przebywać z Morrowami, stanowili sympatyczną rodzinę i miłą odmianę od kolegów z obozu, dlatego chętnie skorzystałby z zaproszenia. Wiedział jednak, że Lorraine potrzebuje prywatności, żeby nakarmić Janie, chłopiec niedługo powinien iść spać i dobrze im zrobi, jeśli nie będą musieli dzielić się z nikim kolacją.

– Dziękuję, szanowna pani – powiedział. – Jestem tylko dostawcą. Umówiłem się z Bonefishem na drinka w kantynie.

– W takim razie jeszcze raz bardzo ci dziękuję – odparła Lorraine.

Pożegnał się z gospodarzami, a Teddy'emu zsalutował. Chłopiec odpowiedział mu tym samym gestem.

– Za tydzień w tym samym miejscu i o tej samej porze? – zapytał Gavin.

– Tak jest, sir!

Wyszedł, starając się nie trzasnąć drzwiami; nie chciał budzić niemowlęcia.

*

Powiódł wzrokiem po drewnianych domkach, boiskach i starannie przystrzyżonych krzewach skąpanych w porannym deszczu. Po licznych skargach na warunki bytowe i fatalne zachowanie weteranów FERA przysłała inżyniera, którego zadaniem była reorganizacja obozów. Gavin wierzył, że traktowanie weteranów bardziej po ludzku, zapewnienie im przyzwoitego jedzenia i dachu nad głową będzie skutkowało lepszym zachowaniem i podniesie morale. Miał nadzieję, że się nie myli.

Nie wiedział jednak, czy cokolwiek zdoła pomóc Fredowi.

Wydawało się, że z każdym dniem mężczyzna bardziej zamyka się w sobie. Jego oczy przesłaniał cień, dłonie trzęsły się intensywniej niż kiedykolwiek przedtem. Innych atakował albo zupełnie ignorował. Łatwo było go zdezorientować i nie kończył zleconych mu zadań. Gavin próbował go kryć, nie miał jednak pojęcia, jak długo przetrwa taki układ.

Zapukał głośno do drzwi. Fred nie przyszedł rano do pracy, więc chciał go sprowadzić, zanim Sheeran zauważy jego nieobecność.

Pomyślał o wczorajszym wieczorze, kiedy skończywszy łowić ryby, siedział na brzegu i palił papierosa. Zobaczył, jak Fred skacze do zatoki. Gość musiał być szalony, skoro pływał po ciemku w wodzie, w której roi się od rekinów i barakud, ale Gavin nie miał zamiaru stać się kolacją dla drapieżników, patrzył więc tylko i modlił się, by nie zaszła potrzeba wyruszenia na misję ratowniczą.

Zaczął mieć pretensje do Freda za tę jego obojętność i niewdzięczność. Nie zależało mu na pisemnych podziękowaniach, ale mógłby przynajmniej potwierdzić, że wie, iż gdyby nie Gavin, dawno wyleciałby z pracy.

Zdawał sobie sprawę, że jego posępny nastrój wynika z tego, co stało się podczas ostatniego spotkania z Mariellą, i to dodatkowo go irytowało. Wytarł deszcz z twarzy i zapukał jeszcze raz, tym razem mocniej. W końcu Fred otworzył; cuchnął stęchłym piwem i papierosami, oczy miał przekrwione, włosy rozczochrane, a spodnie wisiły luźno na wychudzonej postaci.

– Dzień dobry. Życzy pan sobie kawę i gazetę razem z budzeniem? – Gavin stłumił rozdrażnienie, próbując humorem rozładować sytuację.

– Zaraz wracam – mruknął Fred i zniknął w mrocznym wnętrzu.

Gdy po chwili pojawił się na ganku, razem wyruszyli w drogę do pracy.

– Nie mogę ciągle cię kryć – powiedział Gavin. – Jesteś dobrym człowiekiem i wiem, że wciąż dręczą cię wojenne demony. I tyle w tej sprawie. – Fred milczał, patrząc przed siebie. – Już i tak ci z północy ciągle mają pretensje, że jesteście bandą leniwych nicponiów. Nie powinniśmy wzmacniać takiego wizerunku. – Fred tylko zakaszłał. – Hej, stary, może coś do mnie powiesz?

– Nie musisz mnie chronić.

Gavin poczuł, jak narasta w nim gniew. Robi, co może, kryje Freda, wycina za

niego namorzyny, osobiście go budzi, a ten ma tupet odpowiadać mu w tak lekceważący sposób.

– Może zaczniesz od nowa. – Położył dłoń na ramieniu kolegi i zatrzymał go. – I na przykład podziękujesz, że przez cały czas osłaniam ci dupę? A co z odrobiną wdzięczności za rozprawianie się z facetami, którzy ci dokuczają?

– Jezu, dzięki, Murray. Nie mam pojęcia, co bym bez ciebie począł – odparł ironicznie Fred.

Gavin zacisnął szczękę. Nigdy dotąd tak bardzo nie pragnął spotkać się z kimś na ringu jak teraz z Fredem. Z przyjemnością położyłby go na deskach za to fatalne nastawienie i sarkazm, choć w głębi duszy wiedział, że Fred nie chce pomocy. Zwalczył impuls, by go przekląć, pokręcił głową i zostawił kolegę stojącego na poboczu.

Rozdział trzynasty

Key West

Mariella dostała list, który sprawił, że puls jej przyśpieszył, topiąc nieco zalegający w sercu lód. List był od Gavina: przeproszał za niezręczne pożegnanie, z czułością wspominał wspólnie spędzony czas i miał nadzieję, że znowu się spotkają. Niestety, prawie cały marzec będzie na Matecumbe, ponieważ szefom zależy na skończeniu odcinka drogi przed sezonem huraganów, a on jako dowódca oddziału musi nadzorować robotników. Nie dość, że wiele trudności sprawia budowa drogi w dusznym, rojącym się od insektów upale ponad ciągnącą się na wiele kilometrów wodą, to jeszcze musi radzić sobie z weteranami w depresji, pijakami i bójkami wszczynanymi przez wałęsających się, zmęczonych i cierpiących na traumę wojenną ludźmi. Tylko myśl o spotkaniu z nią trzyma go przy życiu.

Uśmiechnęła się, wsuwając pomietą od częstego czytania kartkę do kieszeni; w myślach planowała już odpowiedź i chciała jak najszybciej wyjść z pracy, żeby ją napisać. Ale zostało jej jeszcze wiele godzin, a atmosfera w domu Hemingwayów przygnębiała ją, przytłumiając radość z listu.

Ostatnimi czasy Papa był nie do zniesienia; przykuty do łóżka nawracającym zapaleniem gardła, niezadowolony ze swojego pisania, od wszystkich wokół wymagał, by mu usługiwali. Pauline, synów, Johna i Katy traktował niemiło i władczo, a do Marielli nie odnosił się już z dawną żartobliwością. Mimo że bardzo chciała go nienawidzić, nie mogła nic poradzić na to, że ciągnęło ją do tego marudnego pacjenta.

Pewnego popołudnia, gdy John i Katy wyszli, a Pauline była u Lorine Thompson, Papa wezwał ją do swojego pokoju. Siedział na łóżku, od wielu dni tak samo zaniedbany i niechlujny. Ciemne włosy miał zatłuszczone, a twarz nieogoloną. Na pościeli leżały rozrzucone kartki papieru, na tacy w nogach łóżka stały pusta filiżanka po herbacie i do połowy wypita szklanka z whisky. Hiszpańska brama, którą Pauline sprowadziła z Europy i wykorzystała jako wezglowie, nadawała całości wygląd zaniedbanego tronu. Na widok naburmuszonego króla usadowionego na poduchach Mariella stłumiła śmiech.

– Cóрко, przeczytaj mi to na głos – polecił. – Gardło mnie wykańcza, a muszę usłyszeć ten fragment, żeby wiedzieć, czy ma sens.

Mariella usiadła na łóżku. Hemingway cuchnął whisky i długo niemytym ciałem. Na nosie miał okulary, w których wyglądał jak bezbronny intelektualista. Marszczył

brwi, usta wykrzywiał w grymasie.

– Marudzi pan i rozczuła się nad sobą – zauważyła z uśmiechem, ale on jeszcze bardziej się nadał.

– A ty byś chciała mieć zapalenie gardła i sraczkę, a do tego bandę wyrafinowanych krytyków, którzy codziennie rozdzierają cię na strzępy?

– Biedny Papa – odparła, biorąc od niego kartki.

– Nie litujesz się nade mną?

Kryjąc rozbawienie za kartkami, pokiwała głową.

– Owszem, jest pan żaloszny.

W końcu się uśmiechnął.

– Prawdziwy ze mnie wrzód na dupie, prawda?

– To niestosowne, żeby służąca krytykowała szefa. – Mariella zwróciła wzrok na maszynopis i zaczęła czytać o afrykańskiej krainie, bocianach i starcu przewodniku. – Jaki jest tytuł?

– Chyba *Zielone wzgórza Afryki*, ale jeszcze się nie zdecydowałem.

– Brzmi ładnie.

– Dziękuję. A teraz przeskocz do akapitu, gdzie targujemy się o pieniądze. Płacimy, ale stary Afrykańczyk, który z nami polował i był naszym przewodnikiem, nie chce odejść. – Mariella odszukała odpowiedni fragment i szybko zatraciła się w słowach, które przeniosły ją w afrykańską noc. Tubylec błagał białych myśliwych, żeby go ze sobą zabrali – gonił za samochodem i wołał. Wyobrażając sobie tego starca, Mariella poczuła, jak wypełnia ją smutek. – Świetnie – powiedział Papa, zauważywszy to. – Wzruszyłeś się. To dobry obraz.

– Jest o nim coś więcej?

– Tylko to. – Mariella zastanawiała się, czy Papę w ogóle obchodzi ten starzec, czy zależy mu tylko na obrazie. A może otaczający go ludzie mają dla niego wartość tylko jako postaci z jego powieści? – A teraz czemu się dąszasz?

– Myśli pan o tym starcu?

– Ciągle o nim myślę. Jest ważną postacią w książce.

– Ale czy znaczy dla pana coś więcej?

– A co może być większe niż to, że dałem mu nieśmiertelność? Wywarł na mnie wielkie wrażenie.

– Pytam, czy liczy się dla pana poza rolą, którą odgrywa w pana powieści.

– Tak. Nawiedza mnie. Ale takie jest życie. Nie możesz zabrać ze sobą wszystkich.

Mariella nie była pewna, czy mu wierzyć, i na razie miała go dość. Kiedy wstała z łóżka, list Gavina wysunął się jej z kieszeni. Papa błyskawicznie go przechwycił, otworzył i zaczął czytać.

– Proszę mi to oddać – powiedziała. Nie chciała okazać zdenerwowania, więc stała tylko, zaciskała dłonie w pięści i powstrzymywała się od wyciągnięcia ręki. Papa

czytał, najpierw z ciekawością, potem z pogardą.

— Przeczytam ci na głos – powiedział, a w jego głosie zabrzmiała okrutna nuta. Nie czekając na jej odpowiedź, zaczął: – *Najdroższa M, jedyna rzecz, która pozwala mi przetrwać noce w tych marnych, wypełnionych komarami barakach, to myśl o Tobie. O Boże, to straszne. – Mariella czuła, jak twarz jej płonie. – Marzę o czasie, gdy będziemy mogli spędzać ze sobą całe dni.*

Wyciągnęła rękę.

– Niech mi pan to odda.

– Czekaj, zaczyna się robić ciekawie. *Czułem się tak dobrze z Tobą w domu Johna. Byłoby jeszcze lepiej, gdybyśmy mogli być tylko we dwoje.* – Złapała list, ale kawałek został w dłoni Papy. Gdy mu go wyrwała, roześmiał się kpiąco. – Naprawdę cieszą cię te tanie, banalne wyznania? – prychnął pogardliwie. – To cię kręci? – Mariella rzuciła przez ramię jego maszynopis i kartki chaotycznie rozsypały się na podłodze. – Hej, nie były ponumerowane! – wrzasnęła.

– Niech pan idzie do diabła – odparła i wyszła z pokoju.

*

Cały następny dzień Hemingway spędził w pracowni i Mariella była zadowolona, że nie musi go oglądać. Myślała o jego tupecie, gdy zbierała pranie, które następnie zniosła w koszyku do głównej sypialni. Postawiła go na łóżku i zaczęła składać ubrania. Nagle z łazienki dobiegł ją drżący głos Pauline, zupełnie niepodobny do jej zwykłego, wyniosłego tonu. Mariella stanęła w progu łazienki jak wryta. Promienie słoneczne wpadające przez otwarte okno oświetlały pustą butelkę po wodzie utlenionej i ufarbowane włosy Pauline.

– Po wysuszeniu będą wyglądały lepiej, prawda? – zapytała kobieta, ale przerażona Mariella nie potrafiła wykrztusić słowa. Włosy Pauline były złote. Dostojnie piękna ciemna barwa zmieniła się w wyzywającą koronę, gorszą niż u panienek z Bahama Village. Gorszą, bo z całą pewnością powodem tej transformacji była Jane. Gorszą, bo Pauline zrobiła to dla niego. Mariella zbliżyła się i wyjęła ręcznik z jej wysuszonych od wody utlenionej dłoni. Pauline siedziała, wpatrując się w lustro. Mariella stanęła za nią i pasmo za pasmem delikatnie zaczęła wycierać jej zniszczone włosy. Żałowała, że nie potrafi ściągnąć złota, przywrócić dawnego ciepłego i jedwabistego brązu. Kiedy włosy były prawie suche, wzięła z toaletki grzebień z rzadkimi zębami i zaczęła je czesać, upinając loki wokół twarzy. Pilnowała się, by nie ciągnąć za mocno. Pauline zamknęła oczy. Po jej policzkach płynęły łzy. Skrępowana Mariella nie wiedziała, co powiedzieć. Kiedy skończyła, podała kobiecie ręcznik, żeby wytarła nim twarz. – Jestem taka jak Jane? – zapytała Pauline.

Mariella nie mogła skłamać.

– Piękniejsza.

Usta Pauline wygięły się w uśmiechu, choć z jej oczu wciąż wycierał smutek. Wstała i spojrzała przez okno na latarnię morską.

– Muszę spróbować – szepnęła.

Mariella poczuła litość i po raz pierwszy pomyślała, że chyba znienawidzi Hemingwaya.

*

Po południu Mariella zmusiła Isabelle, by oddała jej pastowanie podłóg; chciała oszczędzić kolana pięćdziesięcioletniej kobiety, ale teraz tego żałowała. Zataczała wielkie kręgi i polerowała tak długo, aż w deskach widziała swoje odbicie. Kiedy się podniosła, w stawach jej strzelało i musiała rozmasować sobie krzyże.

Uporawszy się z podłogami, poszła do pracowni pisarza. Celowo zostawiła ją na koniec, bo wiedziała, że Papa pracuje tylko wcześniej rano, a nie chciała na niego spaść, wciąż była wściekła za to, jak potraktował ją i Pauline.

Weszła i zamknęła za sobą drzwi. Oparła miotłę o ścianę, po czym ruszyła w stronę regału z książkami, by je odkurzyć. Mijając biurko, stanęła jak wryta. Obok maszyny do pisania zobaczyła do połowy opróżnioną szklankę z bourbonem. Papa zawsze dopijał drinki.

Jest tutaj.

Poczuła, jak włoski na karku stają jej dęba; pobiegła do drzwi, ale wpadła prosto na Hemingwaya, gdy wychodził z łazienki.

Ujął ją za ramiona. Spojrzała na niego: czoło miał zmarszczone, oczy smutne. Przyjemnie pachniał bourbonem.

– Jestem gówniarz – powiedział, kręcąc głową.

– To prawda – odparła.

– Zasluguje na każdą obelgę, jaka tylko istnieje. – Była świadoma ich bliskości i istniejącego między nimi żaru. To przekłete, uparte pożądanie nie zniknęło, ale tym razem towarzyszyły mu strach i odraza. Mariella nigdy dotąd nie była tak dezorientowana. – Jestem zazdrosny, to wszystko.

Strach i odraza momentalnie odeszły, pozostawiając tylko żądzę i poczucie winy.

– Dlaczego?

Przekrzywił głowę, posyłając jej spojrzenie z rodzaju „Przecież wiesz”. Mariella była rozdartą. Po tym, jak poczuła łączność z Pauline. Po tym, jak postanowiła skoncentrować się wyłącznie na Gavinie. W uszach znów zabrzmiały jej słowa matki: „Żądza wygrywa”.

Wyglądał, jakby czekał na jej ruch, ona jednak wiedziała, że jeśli zacznie, nie będzie w stanie przerwać. Czuła się brudna i zawstydzona, ale nie potrafiła się od niego odsunąć. Nienawidziła własnego niezdecydowania i była zła na Papę, że posunął się tak daleko. Musiała jak najszybciej stąd wyjść.

– Nie należę do pana.

Nagle na pomoście rozległy się kroki i oboje odskoczyli od siebie. Do pracowni weszła Pauline. Mariella zajęła się książkami, tak by Pauline nie zobaczyła jej twarzy.

– Pfeiff, wyglądasz zjawiskowo – powiedział Papa. Mariellę, która obserwowała ich kątem oka, zdumiała jego gładka reakcja. Złapał Pauline, okręcił się z nią i postawił z powrotem na podłodze. Kobieta spojrzała na Mariellę z uśmiechem, który sprawił jej jeszcze większy ból i pogorszył samopoczucie. Pauline mu wierzyła.

– Wspaniałe, prawda? Mariella mi pomogła.

– Bardzo mi się podoba – odparł Papa.

Mariella uznała, że lepiej będzie, jeśli się odezwie. Z entuzjazmem, którego w ogóle nie czuła, powiedziała więc:

– Wygląda pani jak modelka, pani Hemingway.

Pauline wyjaśniała.

– Czuję się bardzo młodo – oznajmiła. – W samą porę na lato i wakacje na Bimini.

– Na wzmiankę o wyspie serce Marielli zabiło mocniej. Wiedziała, że Hemingwayowie planują spędzić lato na Bahamach, i bała się, że ją zostawią. Powodem tego lęku był nie tylko niepokój o pracę, ale też perspektywa rozłąki z nim. Naturalnie wyjazd oznaczałby rozłąkę z Gavinem, rzecz równie złą. Ale po tym, co się przed chwilą zdarzyło, powinna chyba oddalić się do Papy. – Dobrze, że z nami jesteś, Mari – powiedziała Pauline. – Chcielibyśmy, żebyś towarzyszyła nam na Bimini, jeśli twoja rodzina przez ten czas poradzi sobie bez ciebie. Będziemy potrzebowali pomocy przy prowadzeniu domu, gotowaniu i przy chłopcach.

Mariella nie wierzyła własnym uszom. W głowie jej się nie mieściło, że Pauline nie ma żadnych podejrzeń wobec niej i Papy. Wystarczyło, że okazał jej uwagę, i już promieniała, ślepa na wszystko inne.

– Muszę porozmawiać z matką – odparła.

– Zrób to, proszę – nalegała kobieta. – Nie wiem, jak sobie damy bez ciebie radę.

Mariella czuła, że jeśli zostanie w pracowni minutę dłużej, chyba pęknie. Kiedy Pauline odwróciła się do niej plecami, posłała Papie spojrzenie wyrażające surową naganę i powiedziała, że musi wracać do pracy. Przynajmniej miał na tyle przyzwoitości, by wyglądać na zawstydzonego.

Przez cały wieczór była kłębką nerwów; chciała opuścić dom Hemingwayów, a równocześnie bała się, jak powie matce o Bimini. Tuż przed wyjściem przyszło jej do głowy, żeby ukraść papier listowy Pauline, ale uznała, że już i tak za dużo od niej wzięła. Kiedy poprosiła, ku jej zdziwieniu Pauline, wciąż ucieszona zachowaniem Papy, z uśmiechem podała jej kilka kartek. Przynajmniej Mariella nie musiała dodawać kradzieży do stale rosnącej liczby swoich występków.

Gdy wróciła do domu, Eva była w posepnym nastroju, znowu sprawiała wrażenie, jakby popadła w katatonię. Mariella zadawała sobie pytanie, czy matka zawsze już

będzie pogrążona w żałobie. Nienawidziła takich wieczorów, ponieważ przypominały jej o własnym bólu i rzucały cień na dom.

Kiedy dziewczynki zasnęły, siedziała długo w nocy, pisząc list do Gavina. Całą jedną kartkę wykorzystała na notatki, bo musiała wszystko sobie przemyśleć, a potem to, co chciała mu powiedzieć, przepisała na drugą. Miała nadzieję, że Gavin nie odnajdzie między wierszami zamętu panującego w jej głowie, że zobaczy tylko jej uczucia do niego, a nie mrok emanujący z żałoby i beznadziei, a teraz także z pożądania, które budził w niej Hemingway.

Rozdział czternasty

Mariella skończyła strzyc trawnik i poszła do kuchni po szklankę wody. Piła długimi, zachłannymi łykami, a potem zanurzyła palce w szklance i spryskała chłodną wodą twarz i szyję. Stała w progu salonu, obserwując zajętego malowaniem Johna, i zadawała sobie pytanie, jak by to było, gdyby mieszkała sama, przed nikim nie musiała się spowiadać, była całkowicie wolna. Zazdrościła mu samotności.

Na płótnie czerwona smuga przecięła brązy i żółcie zeschniętej trawy. Farba na pędzlu wysychała, zostawiając szorstkie krawędzie, dzięki czemu John uzyskał efekt taki, jaki dałaby zaschnięta na ziemi krew.

– Ponury z ciebie sukinsyn – powiedziała Mariella, podchodząc do niego.

– Za dużo o tym myślę, co?

– Pewnie masz uzasadniony powód.

Mężczyzna postawił obraz koło kanapy, odsłaniając stojący za nim na sztalugach szkic przedstawiający latarnię morską w Whitehead. Zanurzył pędzel z czerwoną farbą w puszcze po zupie. Kolor rozpląnął się w brudnej wodzie.

– Zmienię ją – zaproponowała Mariella i poszła z puszką do kuchni. Kiedy wylewała wodę, kolor zabarwił jej palce i spłynął do rury. Wypłukała puszkę, patrząc na blat z brudnymi talerzami, które jak żołnierze w równym szeregu czekały na umycie. Za nimi dostrzegła stłuczoną filiżankę. Wcześniej wisiała na haczyku pod szafką – teraz trzeciej brakowało. Wyobraziła sobie, jak John sięga po nią i upuszcza na blat.

Napełniła naczynie czystą wodą i wróciła do Johna. Postawiła puszkę na stole obok opróżnionej do połowy butelki whisky, dzbanka i pełnej niedopałków popielniczki. Jej romantyczne wizje samotności nie uwzględniały okaleczonych weteranów, którzy palą i piją do lustra. Odepchnęła od siebie ten obraz.

– Czyżbyś zapomniała, że Gavin nie przyjeżdża na weekend? – zapytał John.

– Wiem. Dlaczego myślisz, że chcę tu przychodzić tylko wtedy, kiedy jest Gavin? Ciebie przecież też mogę odwiedzić, no nie?

– Ze mną możesz robić absolutnie wszystko, na co przyjdzie ci ochota. Żeby było jasne – odparł figlarnie John, a Mariella wybuchnęła śmiechem. – A tak po prawdzie musisz dać sobie ze mną spokój. Nigdy nie widziałem, żeby Gavin tak szalał na punkcie jakiejś dziewczyny.

Ucieszyła się, że to słyszy. Usiłowała skupić się na Gavinie, by przestać myśleć o tym drugim. Takie słowa jej pomagały, choć dręczyło ją poczucie, że i tak o wiele prostsze byłoby życie w samotności. Jeśli nie wkładasz całej siebie w miłość do drugiej osoby, nikt cię nie skrzywdzi. Eva, Pauline; obie za bardzo zależały od mężów. Pierwsza została wdową, perspektywy szczęścia małżeńskiego drugiej nie

rysowały się optymistycznie.

– Warto się w to angażować? – zapytała niespodziewanie dla samej siebie. – To znaczy w związek z Gavinem?

Nie spodobało jej się spojrzenie Johna. Malowało się w nim współczucie.

– Oczywiście – odparł. – A co, myślisz, że samotność jest lepsza?

– Sama nie wiem. Patrzę na ciebie: mieszkasz w domu pomalowanym na kolor, który ci się podoba, masz rozmaite hobby, w lodówce ulubione piwo. Przed nikim nie musisz się spowiadać, nikim opiekować, do nikogo dostosowywać, nikt cię nie osądza.

– Nikt mnie nie dotyka, nikt nie je ze mną kolacji, nikt nie słucha, jak gram na gitarze... Zapomniałaś wspomnieć o tym wszystkim, a upierałbym się, że to jest w całej tej sprawie najważniejsze.

– Owszem, od czasu do czasu ci to dokucza – przyznała Mariella. – Ale potem mija. Myślę, że ból straty jest gorszy niż stan samotności.

– Naprawdę? Więc żałujesz, że spędziłaś tyle lat ze swoim ojcem? – Na to nie miała żadnej odpowiedzi. – Nie wydaje mi się – dodał John. Mariella przypomniała sobie, jak się czuła, kiedy Gavin tamtego wieczoru w barze zmusił ją do tańca, kiedy zabrał ją i dziewczynki na plażę, kiedy byli u Johna. Nie mogła zaprzeczyć, że to były cudowne doznania i że pragnie je powtórzyć. John wytarł mokry pędzel w ścierkę, po czym zanurzył go w czarnej farbie. Odwrócił się od Marielli i zaczął malować czubek latarni morskiej. – Nikt nigdy o mnie nie dbał – powiedział. – Rodzice już dawniej byli chłodni i zdystansowani, a teraz nie wiedzą, co począć z połową swojego syna. Moja dziewczyna przysłała mi list z tych w rodzaju „Drogi Johnie” na tydzień przed tym, jak zostałem ranny. Znam samotność, Mari, i uwierz mi, wcale nie jest lepsza.

Opłukał pędzel w wodzie i wytarł go w ścierkę. Zmieszał białą farbę z niebieską i zaczął malować niebo w tle. Milczenie przerwała Mariella:

– Przykro mi z powodu twoich rodziców i dziewczyny.

– Mnie też. Byliśmy zaręczeni.

– Co teraz robi?

– Wyszła za mojego najlepszego przyjaciela z liceum. Nie mógł walczyć na wojnie z powodu słabego wzroku. Mają dwoje dzieci.

– Jeśli poprawi ci to nastrój, możesz być pewny, że gdybym ją kiedykolwiek spotkała, solidnie bym się z nią rozprawiła.

John roześmiał się i pokręcił głową.

– Jezu, dzięki. Cieszę się, że jesteś po mojej stronie. – Mariella wstała, zbierając się do wyjścia. – Może kiedy znowu do mnie wpadniesz, porozmawiamy po prostu o pogodzie? – rzucił. – No wiesz, o głupotach. Nie wiem, czemu zawsze wracamy do tej sprawy.

– Umowa stoi.

– Dzięki, że skosiłaś trawę.

W drodze do drzwi zauważyła pas z narzędziami Gavina. Nagle zapragnęła go zobaczyć.

– Hej, jak myślisz, co zrobi Gavin, jeśli pojawię się na Matecumbe?

– Wiesz, to jak pytać wyrzuconego na brzeg marlina, czy chciałby się napić morskiej wody. Gdybyś jutro się tam wybrała, trafisz na mecz baseballa. Gavin zawsze gra, kiedy tam jest. Powinnaś jechać na niego popatrzeć.

Mariella wyszła na ganek, uradowana śmiechem Johna.

*

Lower Matecumbe Key

Mariella przekrzywiła głowę, tak żeby daszek czapki osłaniał jej oczy przed blaskiem słońca. Miała na sobie stare obcięte spodnie ojca i koszulę – tak samo była ubrana, kiedy pierwszy raz spotkała Gavina na meczu bokserskim.

– Ciekawe, czy cię pozna – zastanawiał się Bonefish, wysoki i szczupły mężczyzna, mówiący z południowym akcentem. John wysłał do niego telegram, żeby odebrał Mariellę z promu i zawiózł na mecz, tak by mogła zrobić Gavinowi niespodziankę.

– Mam nadzieję, że nie od razu – odparła. – Chcę na niego popatrzeć, kiedy nie będzie wiedział, że tu jestem.

Bonefish uśmiechnął się do niej.

– Nawet w takim stroju trudno cię nie zauważyć – powiedział. – Odwzajemniła uśmiech i znowu spojrzała w okno. – Miło mieć tu kobietę, nawet jeśli jest ubrana jak facet. Dziewczyny, które zwykle się tu kręcą... – Umilkł nagle z zakłopotaniem.

Pikap podskakiwał na wybojach, a Mariella patrzyła na prowizoryczne baraki i drewniane budynki, które kontrastowały z pięknem tropikalnego krajobrazu. We wszystkie strony na wiele kilometrów ciągnęła się woda, na piaszczystych plażach rosły namorzyny i palmy. Zerknęła na Bonefisha i dostrzegła, że ma na palcu obrączkę.

– Twoja żona mieszka tu z tobą? – zapytała, głową wskazując jego dłoń.

– Nie. Żona i dwaj synowie mieszkają w Macon u moich teściów. Próbuję zarobić trochę pieniędzy, żebyśmy mogli stanąć na nogi. Strasznie za nimi tęsknię. Ale od października załatwiłem sobie robotę konserwatora w szkole, do której pójda chłopcy. To nowa szkoła, nie wyrobili się na czas. Miała być otwarta w sierpniu, ale wiesz, jak to jest.

– To wspaniale. Szczęściarz z ciebie, że się stąd wydostaniesz.

– Myślisz, że nie wiem? – Bonefish uśmiechnął się szeroko.

Kiedy zatrzymali się przed boiskiem, Mariellę ogarnęło nagłe zdenerwowanie. Wsiadła z auta i natychmiast dostrzegła Gavina. Rozmawiał z mężczyzną, który wyglądał na sędziego, potem wrócił do ławki rezerwowych i powiedział coś swojej drużynie. Po sposobie, w jaki ludzie zwracali się do niego, domyśliła się, że jest szefem.

Musiła się powstrzymać, by do niego nie podbiec, ale chciała jak najdłużej pozostać anonimowa. Bonefish zaprowadził ją do ławki drugiej drużyny, rzucając do kapitana, że ma rezerwowego. Mariella usiadła w cieniu na samym końcu, tak by nikt się nie zorientował, że jest dziewczyną.

Jej drużyna zaczynała, ale ponieważ Mariella była ostatnia, nie weszła na boisko. Bonefish oddzielał ją od weteranów, choć sądząc po stanie, w jakim znajdowała się większość zawodników, było mało prawdopodobne, by ją zauważyli. Byli hałaśliwą, pijaną, przeklinającą grupą i z każdą chwilą mniej nad sobą panowali. Bonefish przeprosił ją po szczególnie obrzydliwej uwadze o kurwach z pływających burdeli, które obsługiwały weteranów, ale zapewniła go, że na przystani słyszała podobne rzeczy. Wyraźnie się odprężył.

Gavin sprawiał wrażenie, że należy do innego gatunku niż otaczający go prostytutki. To przypomniało jej o rozmowie Fredericka Henry'ego z księdzem w *Pożegnaniu z bronią*; mówili o różnicy pomiędzy ludźmi, którzy stworzeni są na dowódców, i tymi, których przeznaczeniem jest wykonywanie rozkazów i walka. Gavin na pewno miał cechy pierwszego rodzaju, ale czuł też obowiązki wobec drugiego.

Drużyny zamieniły się miejscami.

Mariella przebiegła tuż obok Gavina, ale jej nie poznał. Poczwała dreszcz, że jest tak blisko, a on o tym nie wie. Zajął pozycję pałkarza, ona była na drugiej bazie.

Za pierwszym razem wybił piłkę fatalnie, druga poleciała wysoko nad jej głową, minęła też stojącego na zapolu Bonefisha, musiał ją gonić. Kiedy złapał piłkę, rzucił ją Marielli – wylądowała pewnie w jej rękawicy, powodując pieczenie dłoni. Odwróciła się w samą porę, by dotknąć Gavina, gdy wbiegał na drugą bazę.

Przeszedł ją dreszcz, gdy zobaczyła, jak jego twarz jaśnieje. Podskoczył, wziął ją w ramiona i pocałował. Na boisku zapadła cisza jak makiem zapadł, dopiero kiedy Gavin zdjął Marielli czapkę i na jej plecy spłynęły długie czarne włosy, zebrani zaczęli gwizdać i klaskać. Gestem dał znać swojej drużynie, że odchodzi. Gdy znaleźli się poza boiskiem, Mariella wskoczyła mu na plecy, żeby zaniósł ją do ciężarówki.

*

Kiedy jechali przez obóz na plażę niedaleko domku Gavina, ciągle na nią popatrywał. W jego oczach szok mieszał się z radością.

– Na drogę też powinieneś czasem spojrzeć – powiedziała z uśmiechem.

– Nie chcę spuszczać cię z oczu.

Zatrzymali się. Gavin wysiadł, obszedł samochód i otworzył drzwi z jej strony, po czym poprowadził ją koło kępy namorzynów do chatki ze sklejki, która stała obok trzech innych i nie była o wiele większa od wygódki.

– Wiem. Domek ciasny, ale ze wspaniałym widokiem – powiedział, widząc zdumienie w oczach Marielli. Spojrzała na wodę rozciągającą się we wszystkich kierunkach i zgodziła się z nim. – Chodź. – Wyciągnął do niej rękę i poprowadził plażą do budynku stołówki, gdzie na zapleczu znajdowała się sala gimnastyczna z kilkoma workami, hantlami i prowizorycznym ringiem. Było w niej pusto, ciemno i gorąco. – Ćwiczę tu wieczorami – powiedział. – Dzięki temu uciekam przed owadami i upałem. W ciągu dnia jest tu jak w piecu. – Przez chwilę stali i patrzyli na siebie. Gavinowi serce biło jak szalone, wciąż nie potrafił uwierzyć, że Mariella do niego przyjechała. Sprawiała wrażenie trochę zdenerwowanej i skrepowanej. Przyciągnął ją do siebie. – Tutaj będziemy sami – powiedział. Pochylił się i stęskniony zaczął ją całować, a ona przywarła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. Głosy dobiegające ze stołówki sprawiły jednak, że zaraz odskoczyła. Gavin roześmiał się i trzymając ją za rękę, pociągnął w stronę ringu. Przysiedli na jego krawędzi. – Jesteś dzisiaj jakaś nieśmiała. To zupełnie nie w twoim stylu.

– Myślę o sprawach, o których rozmawiałam z Johnem.

– Super. Jego też muszę wziąć pod uwagę?

– Nie. Rozmawialiśmy o tobie.

– Świetnie, trzymajcie tak dalej.

Zobaczył, że Mariella patrzy na wiszące worki i rękawice bokserskie.

– Chciałabym kiedyś ukradkiem popatrzeć, jak się boksujesz. Chętnie bym cię poobserwowała.

– Myślę, że następnym razem możemy to załatwić. – Posadził ją sobie na kolanach i pocałował w szyję. Zamknęła oczy i odchyliła głowę. – Miło jest być z tobą sam na sam – wyszeptał w jej obojczyk.

– Nikt nie przeszkadza – wymruczała Mariella. – Powinniśmy częściej to robić.

– Owszem, ale w obozie musisz uważać. Tyle tu mężczyzn, bójek i pijaństwa.

– Podobnie jak w Key West.

– Tylko że tu nie ma kobiet i jest jeszcze wcześniej. Wieczorami bywa o wiele gorzej.

– Umiem o sobie zadbać.

Gavin uśmiechnął się i już chciał ją pocałować, ale przeszkodził im Bonefish.

– Przepraszam, Gavin, ale jest telegram do ciebie. Chodzi o twoją mamę.

Gavin spojrzał na Mariellę, delikatnie zdjął ją z kolan, po czym śpiesznym krokiem ruszył na pocztę. Mariella pobiegła za nim.

Gdy tam dotarła, Gavin czytał już telegram, nerwowo przeczesując włosy dłonią. Po chwili zaczął krążyć po pomieszczeniu.

– Co się stało? – zapytała.

– Wuj pisze, że mam natychmiast przyjechać. Mama nie czuje się dobrze.

– Tak mi przykro.

– Nie, to mnie jest przykro. Akurat kiedy mnie odwiedziłaś.

– Nie przepraszaj, wszystko w porządku. Jedź do matki.

Gavin podszedł do Marielli, ujął jej twarz w dłonie i przycisnął czoło do jej czoła.

– Dziękuję, że przyjechałaś. – Pocałował ją, ale ona szybko się od niego odsunęła.

– Idź już – powiedziała, z zaskoczeniem stwierdzając, że ma zaciśnięte gardło. –

Idź – powtórzyła głośniej. Odwróciła go i klepnęła w pośladek. Uśmiechnął się do niej przez ramię i wyszedł.

*

Kiedy Mariella wróciła na przystań w Key West, był tam przyjaciel jej ojca, Mark Bishop. Zdziwiła się, bo jak na niego było dość późno. Mark kłócił się właśnie z Nicolasem. Na widok zbliżającej się Marielli złapał swój wózek z rybami i zaczął ciągnąć go w stronę łodzi. Nicolas ze smutkiem pokręcił głową.

– *¿Qué está mal?* – zapytała Mariella.

– Chce mi sprzedać ryby, których nie potrzebuję. Mam ich aż za dużo. Wiem, że potrzebuje pieniędzy, ale ja też.

– Przypłynął z zatoki?

– *Si.*

– Tak późno?

– *Si.* Dzisiaj był już dwa razy. To smutne. Za dużo rybaków, za mały rynek... – Mariella obserwowała, jak Mark zatrzymuje się na końcu pirsu i zaczyna wrzucać ryby z powrotem do wody. – Nie mogę na to patrzeć – powiedział Nicolas.

– Idź, ja z nim porozmawiam.

Nicolas wrócił do swojej restauracji, a Mariella podeszła do Marka. Kiedy chciał wziąć kolejną porcję ryb, złapała go za rękę. – Puść. – Szarpnęła się.

– Przestań – powiedziała. – Pomogę ci znaleźć inną restaurację.

Mark ciężko oddychał. Jego zmęczona twarz sprawiała, że wyglądał na o wiele starszego niż czterdzieści lat. Miała wrażenie, że w jego oczach widzi łzy, i rozumiała jego ból.

– Byłem we wszystkich. Wszędzie to samo.

– Trzymasz je w łodzi. Może popłyniemy promem na Keys i tam poszukamy szczęścia?

– To bez znaczenia, Mari. Nic z tego nie będzie.

– Mogę kupić od ciebie parę ryb? Muszę nakarmić dziewczynki.

Pokręcił głową.

– Masz kilka osób do wyżywienia, a chcesz mi dać pieniądze. Dzięki, ale nie. Weź, ile ci potrzeba. Uznam to za znak.

– Znak?

Mężczyzna spuścił wzrok, ponownie kręcąc głową, jakby słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

– Wyjeżdżam.

– Co? Dokąd?

– Na północ. Słyszałem, że jest praca w Baltimore, Filadelfii, w Nowym Jorku. Muszę coś zrobić, bo tu nic mi nie wychodzi.

– Ale to kochasz – zauważyła Mariella. – Spędziłeś tu prawie całe swoje życie. Sytuacja się poprawi. Jeśli turyści zaczną przyjeżdżać, restauracje będą potrzebowały większych dostaw...

– Tak jest od dawna – przerwał jej. – Zaczęło się na długo przed śmiercią Hala. Nie będzie lepiej, Mari. Muszę stąd wyjechać. – Mariella zastanawiała się gorączkowo. Nie potrafiła znieść myśli o poddającym się Marku. Miał ten sam straszny wyraz oczu co jej ojciec, zanim umarł. Nie mogła na niego patrzeć i nie wiedziała, co powiedzieć. Może ma rację, może rzeczywiście nigdy nie będzie lepiej. Musiał dostrzec panikę w jej oczach, ponieważ uśmiechnął się smutno i ujął ją za rękę. – Przepraszam, że widziałś mnie w takim stanie. Nie martw się o mnie. Muszę tylko zadbać o siebie. Dam sobie radę.

Oddał jej swoje ryby, nie przyjmując pieniędzy. Mariella ruszyła do domu; od dawna nie czuła się tak źle. Obejrzała się na Marka: stał zgarbiony, patrząc na wodę.

*

Siedziała na kocu nad brzegiem oceanu, gdzie umówił się z nią Gavin; przyszła wcześniej, by pobyć sam na sam z wodą. W dłoni trzymała telegram z informacją o śmierci jego matki. Wiadomość przywołała wspomnienia o ojcu; dokładała wszelkich starań, by nie płakać, chciała być silna dla Gavina. Na próżno. Ocierała więc łzy z nadzieją, że kiedy przyjedzie, będzie ciemno i niczego nie zobaczy.

Słońce nurzało się już w morzu, kiedy zobaczyła go idącego plażą. Okrywały go cienie, ale wiedziała, że to on. Wstała, by wyjść mu naprzeciw, lecz jej stopy same zerwały się do biegu. Kiedy się spotkali, przez długą chwilę w milczeniu trzymali się w objęciach. Potem wzięła jego twarz w dłonie. Mimo zmierzchu Mariella widziała ciemne kręgi pod oczami Gavina. Pocałowała go w oba policzki, zanim odnalazła jego usta.

– Kiedy to się stało? – zapytała, gdy już usiedli na kocu.

– Dwa dni temu, wieczorem siedziałem przy niej, bo nie mogła zasnąć. Chciała, żebym jej poczytał. W szpitalnej poczekalni znalazłem tylko *Pożegnanie z bronią*. –

Roześmiał się pogardliwie. – Byłem taki zmęczony, że prawie bełkotałem. Powiedziała, żebym przestał, że zobaczymy się rano. Pocałowałem ją, wróciłem do domu wuja i położyłem się spać. Kiedy rano poszedłem do szpitala, już nie żyła.

– Tak mi przykro...

– Wiem, że tak jest lepiej. Strasznie się denerwowała, kiedy tak opadała z sił. Nie znosiła tego, że musi we wszystkim polegać na wuju i jego żonie, a mnie nie chciała obciążać. Żałuję tylko, że wcześniej z nią nie zamieszkałem, że więcej się nią nie opiekowałem. Żałuję, że nie zdążyła cię poznać. – Mariella poczuła się nieco lepiej. Dokładnie tak samo myślała o Gavinie i swoim ojcu. – Dowiedziałem się też, że wspólnik wuja nie ma zamiaru odchodzić z firmy. Niepotrzebnie oszczędzałem.

– Przykro mi.

Milczał chwilę.

– Wiesz co? Mnie nie. – Spojrzała na niego pytająco. Zrozumiała w chwili, gdy dodał: – Moje więzy ze stałym lądem są teraz zerwane.

– Więc jesteś mój?

– Tak. Przynajmniej w weekendy, gdy mam wolne.

Pochyliła się ku niemu, a on objął ją w pasie i pocałował w czoło. Potem zapatrzył się w wodę.

Mariella znowu musiała wytrzeć oczy. Jej ojciec, rodzice Gavina i jego przyjaciel z wojny – nikt nie potrafił uchronić się przed stratą. Wydawało się, że zawsze po radosnych okresach pojawia się cierpienie, by umocnić swoją pozycję.

Rozdział piętnasty

Powietrze w domu Hemingwaya drżało ostatnio od tłumionej energii i wyczekiwania. Narastająca ekscytacja dotycząca wyjazdu na wyspę Bimini na Bahamach stanowiła pożądaną odmianę. Goście przychodzili częściej niż zwykle. Patrick i Gregory nieustannie psocili. Pauline odnosiła się do synów i służby z irytacją, ale cieszyła się, że Papa znowu śpiewa, że przestał być nieznośnym pacjentem, który warkliwie wydaje rozkazy z łóżka. W euforię wprowadzała go myśl o dwóch miesiącach spędzonych w towarzystwie przyjaciół i ryb w cichym rajku.

Mariella nie potrafiła jednak w pełni dzielić tej radości. Wciąż nie powiedziała matce o wyjeździe i w miarę możliwości starała się jej unikać. Hemingwayowie zakładali, że będzie im towarzyszyła, a ona nie próbowała wyprowadzić ich z tego przekonania.

Pauline poprosiła, by Mariella przychodziła po niedzielnej mszy. Trzeba było wyprać ubrania Papy i pomóc mu się spakować. Zamierzał pływać na „Pilar” z Dos Passosami i Mikiem Straterem na wyprawy wędkarskie do czerwca, kiedy wszyscy przeniosą się na Bimini i spędzą tam letnie miesiące. Relacje o niesamowitych tuńczykach i rosnąca złość na agresywnych turystów w Key West sprawiały, że Papa nie mógł doczekać się wyjazdu.

Kiedy Mariella zjawiła się u Hemingwayów, Pauline i chłopcy szykowali się akurat na późniejszą mszę. Ucieszyło ją to, bo dzieci przeszkadzałyby jej w pracy, a poza tym pani domu mimo pamiętnej przygody ze swoimi włosami znowu wróciła do swego wyniosłego, pogardliwego zachowania; wydawała się wręcz zakłopotana, że pozwoliła sobie na okazanie słabości.

Mariella przewróciła oczami, widząc chłopców, którzy biegali po domu i udawali, że do siebie strzelają. Wdrapywali się na stół w jadalni i tupali na schodach, na nic nie zdały się nawet klapsy Ady, które wymierzała łobuzom, gdy już zdołała ich złapać.

W całym tym szaleństwie Papa śmiał się i pokrzykiwał z Johnem i Katy w salonie, kompletnie obojętny na panujący wokół chaos. Pauline nie pożegnała się nawet z gośćmi, najwyraźniej zła, że mąż nie zamierza jej towarzyszyć. W drodze do drzwi o mało nie wpadła na wysokiego, przystojnego mężczyznę.

– Witaj, Pauline! – zawołał i wszedł za próg. – Jest tu ktoś?

Do holu wpadł Papa i serdecznie objął przybysza. Mariella, która schodziła po schodach, niosąc kosz na pranie, pośliznęła się na gumowej zabawce. Puszczając kosz, zdołała uchronić się przed upadkiem.

– Hej! Spokojnie! – Papa natychmiast ruszył jej na pomoc. Zarumieniła się z zakłopotania, gdy przedstawił ją potężnemu nieznanemu: – Mariello, to mój najlepszy przyjaciel z Paryża, Mike. Piekielnie dobry bokser. Niewykluczone, że

mógłby pokonać twojego żołnierza. – Spojrzała na niego gniewnie; irytowało ją, że przy każdej okazji próbuje zdeprecjonować Gavina. – Mike, to Mariella, nasza prześliczna gospodyni. Ma charakterek i cała należy do mnie, więc łapy z daleka.

– Uważaj na niego, Mariello – powiedział Mike, puszczając do niej oko, po czym obaj mężczyźni, śmiejąc się, poszli do salonu.

Mariella była zła, że Papa wciąż podkreślał swoje prawa do niej, jakby była meblem, choć zaczynała się do tego przyzwyczajać. Zastanawiała się, czy nie bierze go zbyt poważnie.

Weszła do salonu, gdzie trwały przygotowania do wyprawy na ryby. Katy niosła turystyczną lodówkę, John kamerę wideo, przybyły właśnie Mike przynęty i wędki, a Papa pistolet kaliber 22.

Katy, widząc broń, przewróciła oczami.

– To czyste oszustwo, Papa – stwierdziła.

– Lepiej pilnuj własnego nosa, kochanie – odparł Hemingway, klepiąc ją w pupę.

Prowadząc przyjaciół do wyjścia, mrugnął znacząco do Marielli.

*

W pokoju zalegały wieczorne cienie. Mariella zapaliła światło w głównej sypialni i podeszła do łóżka, by spakować ostatnie ubrania Papy. Dłonie miała spierzchnięte i obolałe od prania. Zażądał tylko strojów wędkarskich, co oznaczało, że torba była pełna spodni khaki, szortów i lnianych koszul. Mariella nie zapomniała o jego szczęśliwej bluzie w paski. Na wszystkich ubraniach widniały plamy po rybiej krwi i rozdarcia. Po pierwszej godzinie na wyspie i tak będą brudne, a na koniec wakacji zapewne same zaczną chodzić, ale miło było na początek mieć wyprane rzeczy. Gdy zapinała torbę, usłyszała trzask otwieranych drzwi i krzyki.

Wybiegła na korytarz i spojrzała w dół. Wstrzymała oddech na widok Mike'a i Johna wnoszących do salonu Papę. Hemingway ile sił w płucach śpiewał pijacką piosenkę. Jego nogi owinięte były zakrwawionym bandażami.

Z kuchni wypadła Pauline, a w krok za nią chłopcy. Mariella też zbiegła na dół. We czworo wkroczyli do salonu, gdzie mężczyźni z wysiłkiem posadzili Papę na kanapie. Jęknął, dotykając bandaży.

– Co się stało? – zapytała przerażona Pauline. – Boże, nic ci nie jest?

– Śmieszna historia – odparł bełkotliwie Papa.

– Chciał zastrzelić rekina, którego złapał na wędkę – wyjaśnił Mike. – Rekin się szarpnął i broń wypaliła.

– Kule odbiły się od relingu i trafiły go w nogę – dodał John.

Pauline zakryła usta.

– Mój Boże! Przecież mogłeś zginąć! Ktoś inny mógł zginąć.

– Tylko mnie drasnęło! – wtrącił Papa. – Przestań lamentować.

Chłopcy stanęli nad Papą, zafascynowani jego obrażeniami. Mariella wiedziała, że jest legendą także dla nich.

Rozejrzała się po pokoju, bo miała wrażenie, że kogoś tu brakuje.

– Gdzie jest Katy? – zapytała po chwili.

Mike spojrział na Johna, a ten odwrócił wzrok.

– Wściekła, okropnie wściekła – mruknął Papa.

– Nie chce z nim rozmawiać – powiedział Mike. – Najpierw wygłosiła mu kazanie, że o mało nie pozabijał nas wszystkich, a w drodze powrotnej prawie się nie odzywała.

– Jest w bungalowie – dodał John.

– Musisz do niej zadzwonić, jak wytrzeźwiejesz – oznajmiła stanowczo Pauline.

W pokoju zapadła cisza, którą po chwili zmaściło chrapanie Papy.

– Wpadnę jutro sprawdzić, jak się czuje – obiecał Mike.

– A ja porozmawiam z Katy – powiedział John.

– Teraz znowu będzie miał fatalny humor – zmartwiła się Pauline. Mariella pomyślała o tym samym. Nastroje Papy były zmienne jak pogoda, a kiedy był w dołku, groziło, że wszystkich za sobą pociągnie. – Przynieś ręcznik i koc – poleciała pani Hemingway. – Będzie tu dzisiaj spał, a nie chcę, żeby poplamił meble krwią.

*

– Oczywiście, proszę pani – odparła pośpiesznie Mariella i poszła na piętro.

Kiedy wróciła, Pauline paliła papierosa na tarasie. Mariella okryła chrapiącego Papę kocem. We śnie wyglądał niewinnie, wręcz chłopięco. Zmówiła w duchu modlitwę, dziękując Bogu za to, że Hemingway nie zginął od kuli na łodzi.

– Możesz już iść! – zawołała z tarasu Pauline.

Marielli nie spodobał się jej ton. Brzmiało w nim oskarżenie, jakby kobieta w jakiś sposób obwiniła Mariellę o to, że Papa się zranił. Jakby uważała, że Mariellę bawiła jego brawura Papy, co tylko zachęcało go do dalszych wybryków.

Może nie było to dalekie od prawdy.

Pragnąc jak najszybciej usunąć się z linii ognia, Mariella zdjęła fartuch, powiesiła go w kuchennym schowku i opuściła dom.

*

Wiedziała, że nie może dłużej unikać rozmowy z matką. Po kolacji odsunęła talerz i odchrząknęła.

– Musimy o czymś porozmawiać. – Wszystkie oczy zwróciły się na nią. – Hemingwayowie chcą, żebym pojechała z nimi na Bimini na czerwiec i lipiec. Nie będę potrzebna w domu, więc jeśli chcę dostać pieniądze za ten okres, właściwie muszę jechać z nimi.

Estelle przeniosła spojrzenie z Marielli na matkę. Pierwsza odezwała się Lulu:

– Możemy też jechać?

– Dlaczego wcześniej tego ze mną nie przedyskutowałaś? – zapytała Eva.

– Robię to teraz.

– To nie jest dyskusja. To brzmi tak, jakbyś już podjęła decyzję. – Matka kiwnęła głową w stronę drzwi. – Estelle, Lulu, idźcie się pobawić.

– Jeszcze nie skończyłam! – zaprotestowała Lulu.

– *Fuera!* – zawołała Eva.

Estelle wstała i wyniosła na ganek dwa talerze. Za nią wlokła się młodsza siostra, marudząc bez przerwy.

– Więc chcesz, żebym dała ci błogosławieństwo na wyjazd na jakąś na wpół opuszczoną wyspę z Hemingwayem i jego bogatymi przyjaciółmi? – zapytała Eva.

– Pauline i chłopcy też tam będą. I nie, nie proszę o błogosławieństwo. Mówię tylko, że podczas mojej nieobecności będziesz musiała zaopiekować się dziewczynkami.

Eva uderzyła w stół tak mocno, że aż naczynia podskoczyły.

– Tak długo, jak długo mieszkasz ze mną, musisz się liczyć z moim zdaniem. Nie obchodzi mnie, ile masz lat.

– Mieszkamy tu tylko dzięki moim zarobkom! – krzyknęła Mariella. – Nie będziemy mieć domu, jeśli stracę pracę! A ty jak dokładasz się do czynszu?

Na te słowa matka rozszlochała się.

– Jestem w żałobie, *por el amor de Dios!*

– A ja nie?

Eva wstała gwałtownie, przewracając krzesło, i pobiegła do swojego pokoju. Po chwili rozległo się trzaśnięcie drzwi. Mariella położyła dłonie na stole i zwiesiła głowę.

Do kuchni wróciły dziewczynki, ale nie zwracała na nie uwagi. Dopiero słysząc szcęk zmywanych przez Estelle naczyń, Mariella wstała, pozbierała resztę talerzy i zaniósła do zlewu. Poczowała na ręce dłoń siostry, buzia dziewczynki ściągnięta była troską, a oczy patrzyły błagalnie.

– Nie będzie mnie słuchać – powiedziała Mariella.

Estelle jeszcze chwilę na nią patrzyła, a potem wróciła do zmywania. Mariella westchnęła i pocałowała siostrę w policzek. Odwróciła się i ruszyła korytarzem do pokoju matki. Nie miała pojęcia, co powinna jej powiedzieć. Czowała impuls, by zawrócić, ale go zwalczyła. Stała przed drzwiami i położyła dłoń na klamce. Na korytarz wybiegła Lulu.

– No dalej – szepnęła, ponaglając ją do działania.

W pokoju panował mrok. Mariella widziała tylko zarys sylwetki leżącej na łóżku plecami do drzwi. Odgłos stłumionego płaczu sprawił, że jej gniew się rozplynął.

Podeszła do łóżka i usiadła na skraju.

– Przepraszam – zaczęła. Odpowiedziało jej milczenie. – Rozumiem, dlaczego się o mnie niepokoisz. Żałuję, że nie mogę być w dwóch miejscach naraz i pomóc ci przy dziewczynkach, ale naprawdę muszę jechać z Hemingwayami. Przyrzekam, że nic złego się nie stanie.

– Nie możesz składać takiej obietnicy.

– Jeśli nie pojedę i stracę tę pracę, żadnej innej nigdzie nie dostanę. Nikt nie ma pracy. To prawdziwy cud, że pani Thompson była w stanie załatwić mi posadę u Hemingwayów. – Milczenie. – To bezpieczniejsze niż inne sposoby zarabiania pieniędzy.

Eva odwróciła się i powoli usiadła na łóżku.

– Masz przed sobą całe życie – powiedziała. – Strasznie się martwię, że je zrujnujesz.

– Umiem o sobie zadbać.

– Ale on jest bogatym, potężnym mężczyzną. Boję się, że cię wykorzysta.

– On ma żonę, która też tam będzie. A poza tym mam chłopaka.

– To ten żołnierz?

– Tak. – Eva przewróciła oczami i skryła twarz w dłoniach. – Przestań – powiedziała Mariella. – Musisz mi zaufać. Nie chcę wymykać się z domu ukradkiem. Nie powinnam, bo nie jestem już dzieckiem. Posłuchaj, chcę od ciebie przyjaźni, czas na krytykę już minął. Jeśli nasza relacja ma być dobra, to musi się zmienić.

Po chwili milczenia Eva ujęła córkę za rękę. Mariella objęła ją i uściskały się serdecznie. Czuła wdzięczność do małej Estelle, że bez słów zachęciła ją do tej rozmowy. Nagle stało się jasne, że powinna była to zrobić dawno temu. Skradanie się i wymigiwanie od prawdy w oczach matki tylko przedłużało jej dzieciństwo.

Zdawała sobie sprawę, że jej słowa nie były całkiem szczerze. Wciąż nie do końca dowierzała sobie, jeśli chodzi o Papę, ale nie potrafiła się do tego przyznać. Wyjazd z nim i jego rodziną był ryzykiem, choć chciała je podjąć.

– Ufam ci – powiedziała Eva.

Mariella miała wrażenie, jakby z ramion zdjęto jej ogromny ciężar, który nosiła od dawna. Była zła, że musiało trwać to tak długo.

Obie wstały i trzymając się pod rękę, poszły do kuchni. Na ich widok dziewczynki uśmiechnęły się szeroko. Matka i córka obejmowały się, zapłakane ze wzruszenia i szczęścia. Kiedy wybuchnęły śmiechem, Estelle i Lulu popatrzyły na nie jak na wariatki, a potem też zaczęły się śmiać.

Rozdział szesnasty

Mariella podziwiała Gavina w promieniach popołudniowego słońca. Był bez koszuli, a jego ciało lśniło od potu, gdy wychylony przez dziób łodzi odwiązywał cumę.

Przyszła na przystań, gdzie się z nią umówił, by wręczyć jej prezent urodzinowy. Miała na sobie pasiastą bluzkę z dekoltem w łódkę, którą dała jej Pauline, i podwinięte do kolan spodnie khaki. Niosła wędkę i torbę z przynętą. Lubiła przyglądać się Gavinowi, zwłaszcza wtedy, gdy jej nie widział. Czując drżenie w brzuchu, miała nadzieję, że uda się jej nie stracić głowy.

– Hej, żołnierzu! – zawołała. – Czy to jest odpowiedni strój na randkę?

Wyprostował się z szerokim uśmiechem.

– Przykro mi, ale taka jest zasada. Zakaz noszenia koszul. – Złapał ręcznik i wytarł się.

– Jasne – mruknęła, wchodząc na łódź. Gavin złapał ją w objęcia i pocałował namiętnie, a potem zaniósł jej rzeczy do kabiny. Chciała pomóc w odwiązywaniu cumy, ale kazał jej usiąść.

– Wyglądasz ślicznie, nie powinnaś zajmować się brudną robotą. Odpocznij. Napij się piwa.

Mariella poszła do kabiny, gdzie Gavin włożył do miski z lodem kilka piw. Przygotował też przyprawy do ryby, cytrynę i chleb.

– Naprawdę się postarałeś! – zawołała. – Chcesz mnie poprosić o rękę?

Zaśmiał się.

– No i wszystko zepsułaś!

Uśmiechnęła się, otwierając dwa piwa. Gavin stanął za sterem i włączył silnik. Podeszła i pocałowała go w szyję, stawiając przed nim butelkę.

Gavin skierował łódź prosto w słońce, potem skręcił na zachód, do zatoki. Słońce mocno grzało i oślepiało ich, odbijając się od wody. Cały świat lśnił wokół nich. Wiatr był mocny, ale nie porywisty. Głód nie psuł im humoru, przypominał jednak, że niedługo będą piec ryby. Bieda zmieniła się w kultywowanie prostoty.

Mariella rozumiała teraz, co miał na myśli Papa.

Znaleźli dobre łowisko tuńczyka i zarzucili kotwicę. Łódź delikatnie podskakiwała na falach, podczas gdy oni siedzieli obok siebie na ustawionych przez Gavina taboretach, z wędkami w dłoniach.

Mariella zamknęła oczy, by na zawsze zapisać tę chwilę w pamięci: zapach słonej wody zmieszany z płynem po goleniu Gavina, dotyk jego ciepłej skóry na jej ramieniu, kojące kołysanie łodzi. Kiedy uniosła powieki, tuż obok zobaczyła jego uśmiechniętą twarz.

– Co? – zapytała.

– Zawsze będę myślał o tobie na tej łodzi.

– Ta chwila jest idealna.

– Rzadka i piękna – przyznał. – Trudno uwierzyć, że istnieją takie chwile, kiedy przeżyło się stratę i wojnę.

Mariella wiedziała, że Gavin jest gotów opowiedzieć jej o przeszłości, milczała więc i patrzyła na wodę, żeby mu to ułatwić. – Gavin opowiedział jej o Argonny. Był szesnastoletnim chłopakiem z Pittsburgha, który zaciągnął się, kłamiąc komisji, że skończył osiemnaście lat. Ojciec wydobywał węgiel, matka nie pracowała. Gdy wysłano go do Francji, po raz pierwszy wyjechał poza granice Pensylwanii. Zerwał wtedy z dziewczyną, by oszczędzić sobie kłopotu, był bowiem pewien, że zaraz po jego wyjeździe ona zerwie z nim. Bardzo zaprzyjaźnił się z Johnem i Jordanem; wszyscy trzej planowali, że po wojnie zamieszkają na Florydzie i zbudują sobie nowe życie pod słonecznym niebem. John mówił im o domu jego rodziców na Key West, postanowili więc, że będą go wynajmować, dopóki nie będzie ich stać na własny dach nad głową. – Tamtego października zima nadeszła szybko i bardzo dała się nam we znaki. – Mariella spojrzała na niego: twarz miał dziwnie pobladłą, a oczy puste. Ta zmiana ją przestraszyła, więc zwróciła wzrok z powrotem na morze. – Było strasznie zimno, ale nie na tyle, by zaczął padać śnieg, za to łało niemiłosiernie i tydzień za tygodniem musieliśmy nosić te przemoknięte do nitki mundury z szorstkiej wełny, które drapały nas w skórę. Byłem przekonany, że zapalenie płuc wykończy nas szybciej niż Niemcy. Spodziewaliśmy się wielkiego starcia i wszyscy byliśmy rozdrażnieni. A potem dostałem telegram, że umarł tato. Nie mogłem jechać na jego pogrzeb. – Mariella poczuła odrętwienie. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że nie mogłaby wziąć udziału w pogrzebie ojca, że nie oddałaby mu ostatniego hołdu. Nie było słów, którymi mogła pocieszyć Gavina, i to sprawiło, że poczuła się mała, nie na miejscu. Nagle Gavin wstał i zaczął zwijać linkę. Po chwili kołowrotek zakręcił się w przeciwną stronę i linka spadła bezwładnie do wody. Podniósł wędkę i włożył do uchwytu, po czym wruszając ramionami, spojrzał na Mariellę. Przywołała go gestem, a kiedy do niej podszedł, wstała, posadziła go na stołku, a sama usadowiła się na jego kolanach. Objął ją, pomagając trzymać jej wędkę. – Mam mówić dalej czy wszystko psuję? – zapytał.

– Nigdy niczego nie jesteś w stanie zepsuć – odparła. – Proszę, mów dalej.

Pocałował ją w nos i podjął:

– Nasz generał Pershing rozpoczął ofensywę, którą większość chłopaków uważała za szaloną. Kazał nam napierać na Niemców. W listopadzie w końcu rozbiliśmy wroga, ale kosztowało nas to dwadzieścia sześć tysięcy żołnierzy. – Mariella poczuła, jak usta jej wysychają. Wiedziała, że to była krwawa łaźnia, ale nie zdawała sobie sprawy, ilu dokładnie Amerykanów wtedy poległo. – Na tamtym etapie to było

straszne – ciągnął Gavin. – Przystajesz być człowiekiem. Od tygodni porządnie nie spałaś. Jesteś przemoczona do nitki. Zabijasz, ciągle zabijasz, czołgasz się po trupach i po konających. W głowie masz pustkę. Jesteś bez reszty skupiona na celu. Nie ma w tobie żadnych emocji, żadnego strachu. Twój umysł włącza się, dopiero gdy twoim kumplom, bliskim kumplom grozi niebezpieczeństwo. Wtedy nie myślisz już o celu, tylko o tym, żeby ich stamtąd wydostać, bo przecież musicie pojechać w to słoneczne miejsce, otworzyć wspólny interes, żenić się z kobietami i wychowywać dzieci, opowiadać wojenne historie. Myślałem o tym wszystkim, kiedy wybuchł pocisk. Jordan poleciał do tyłu. Kiedy do niego dotarłem, nie miał torsu, twarzy też nie miał. Ale chciałem zaciągnąć go w bezpieczne miejsce, bo wiedziałem, że miał dziewczynę, która go kochała i chciała by wyprawić mu pogrzeb. Zawlokłem go więc do rowu. Posuwałem się prostopadle do pozostałych, oni szli naprzód, ja w bok. To nie było łatwe. A potem usłyszałem krzyki Johna. To znaczyło, że żyje i że muszę go znaleźć. Udało mi się. Był w histerii z powodu swoich nóg. Leżały obok, równo obcięte w udach. Wszędzie wkoło wybuchały pociski, a ja ciągnąłem Johna tą samą drogą, co wcześniej Jordana. Kiedy tam dotarliśmy, coś za nami wybuchło i zapadła kompletna ciemność. – Mariella odwróciła głowę, by widzieć jego profil, i przesunęła palcami po bliźnie na jego twarzy. Gavin wzdrygnął się, lecz nie odsunął jej dłoni. Pochyliła się, by pocałować bliznę, tam gdzie się urywała, blisko ust. Zamknął oczy. Po kilku minutach mówił dalej: – Kiedy się ocknąłem, byłem w szpitalu. Niedługo potem wojna się skończyła. John odzyskiwał siły, a ja pojechałem do mamy. To był zły okres. Dużo piłem i nie mogłem utrzymać żadnej pracy, bezsenność mnie wykańczała. Ciągle byłem rozdrażniony i podły, wiedziałem, że ją ranię, ale nie potrafiłem tego przerwać. Potem zdiagnozowano u niej stwardnienie zanikowe boczne i coś we mnie zaskoczyło. Zdałem sobie sprawę, że muszę się nią zaopiekować, że muszę wreszcie dorosnąć. Wielu chłopaków przechodziło przez to samo. Ojciec nie żył, więc musiałem pracować na nasze utrzymanie. Mieszkaliśmy tam przez pewien czas, ale to małe miasteczko wpędzało mnie w klaustrofobię. Dziewczeta, z którymi się wychowałem, powychodziły za mąż. Miałem kilka dziewczyn, tylko że z moją głową wciąż nie wszystko było w porządku. Nikomu nie ufałem. Po dniówce w hucie najczęściej jadłem kolację z mamą, a później siedziałem sam. Kiedy przyszedł kryzys, stan mamy naprawdę się pogorszył. Straciłem pracę w hucie, innej nie potrafiłem znaleźć. Zimy w Pensylwanii są surowe, a ja przez cały czas korespondowałem z Johnem. Wtedy już przeprowadził się na Key West. Mama nie chciała jechać tak daleko na południe, ale powiedziała, że chętnie zamieszka koło mojego wuja w Miami. Spakowaliśmy się i wyjechaliśmy. Interesy wuja nie szły dobrze, nie mógł mnie zatrudnić, więc zacząłem pracować w Overseas Highway.

– A potem poznałeś mnie – powiedziała Mariella.

– I żyli długo i szczęśliwie – zakończył opowieść Gavin. – Oddała mu wędkę, by

pogładzić tatuaż na jego przedramieniu. Kiedy linka się napięła, złapała ją z powrotem i zaczęła kręcić kołowrotkiem. Gavin wypuścił ją z objęć i głośno jej kibicował, gdy walczyła z rybą, która kilka razy mocno szarpnęła, nim Mariella poczuła, że zdobyła przewagę. Wstała, szybciej zwijając wędkę. W końcu z głośnym pluskiem wyciągnęła z wody tłustego, wijącego się strzępiela. Zdjęła go z haczyka i wrzuciła do wiadra z morską wodą, gdzie pływał już mały tarpon złowiony wcześniej przez Gavina. – Idealny sposób na zmianę tematu – powiedział. – Ja skończyłem, teraz twoja kolej.

Objął ją w talii, a Mariella zarzuciła mu ręce na szyję.

– Najpierw znajdziemy sobie jakąś wysepkę – zdecydowała. – Tam wszystko ci powiem. Znam jedną w pobliżu.

Mariella otworzyła przepustnicę i popłynęła na wyspę niedaleko starych torów kolejowych, na którą zabierał ich kiedyś ojciec. Archipelag Keys składa się z setek wysepek otaczających większe wyspy, niektóre miały szerokość ledwo dziewięciu metrów. Miejscowi lubili spędzać na nich wolny czas, choć krążyły też plotki, że wykorzystuje się je do bardziej złowieszczych celów, w tym ukrywania narkotyków i broni.

Po krótkim czasie zakotwiczyli łódź i przez płyciznę przeszli na plażę maleńkiej, niezamieszkaney wysepki. Zebrali suche drewno na ognisko, Gavin oprawił ryby i posypał przyprawami, potem wraz z chlebem upiekli je na ogniu. Usunęli rybi odór z dłoni za pomocą mokrego piasku i cytryny, po czym usiedli do posiłku, popijając piwo.

Kiedy słońce zniżało się nad horyzontem, Mariella opowiedziała Gavinowi o swojej rodzinie. O matce, której po ślubie z Halem wyrzekła się rodzina. O tym, że nigdy nie poznała dziadków, bliskich krewnych matki, jej siostr. O śmierci ojca, która wciąż ją dręczyła. Czowała, że w tej historii jest zbyt wiele brakujących elementów, zbyt wiele pytań bez odpowiedzi. Żałowała, że tamtego dnia nie popłynęła z Halem. Zastanawiała się, czy gdyby to zrobiła, ojciec wciąż by żył.

– Ja też zastanawiam się nad takimi sprawami – wyznał Gavin. – Gdybym nie potknął się na początku ataku, biegłbym przed Jordanem i to ja wyleciałbym w powietrze, a on wróciłby do swojej dziewczyny.

– Ale wtedy tamten mężczyzna na plaży by umarł – powiedziała w zamyśleniu.

– Jaki mężczyzna?

– Człowiek, którego uratowałeś, kiedy z dziewczynkami poszliśmy na plażę. Może miał żonę i sześcioro dzieci? Gdybyś zginął na wojnie, on by utonął.

– Przypuszczam, że do rana moglibyśmy przerzucać się takimi „co by było, gdyby”. Musimy po prostu pogodzić się z tym, co jest.

– I żyć dalej – dodała Mariella, a myśl ta przyniosła jej nieoczekiwaną ulgę.

Łatwiej było rozmawiać o takich rzeczach w mroku rozpraszanym tylko

płomieniem ogniska i światłem gwiazd. Dobrze było wyrzucić z siebie to wszystko. Potem w ich rozmowie pojawił się Papa.

– Wiem, że nie chcesz, żebym ci o tym mówił, ale uważaj na niego – ostrzegł Gavin.

Mariella cieszyła się, że nie widział, jak przewróciła oczami.

– Nie rozumiem, czemu wszyscy muszą mi to powtarzać. Jestem dorosła, a on żonaty.

– Jesteś dorosła – przyznał. – I na pewno nie na tyle naiwna, by myśleć, że małżeństwo powstrzymuje ludzi od romansów.

– On kocha swoją żonę – podkreśliła.

– Nie wątpię.

– A co ważniejsze, ja nie kocham jego.

– Więc co to jest?

Mariella poprawiła patykiem ognisko, grzejąc się w jego żarze. Pomyślała o Papie. Opalony, z włosami rozwianymi przez wiatr, stał na łodzi. Wskakiwał do samochodu. Siedział przy barze u Sloppy’ego w otoczeniu swego dworu.

– On mnie przyciąga – odparła w końcu. – Jest jak bohater jednej ze swoich książek. Domaga się uwagi.

– Jest sławny.

– Nie tylko to. Chodzi o styl jego życia. Sam wiesz, poznałeś go.

Gavin rzeczywiście wiedział. Przy każdym spotkaniu chciał zrobić na Papie wrażenie, stać się częścią jego otoczenia. Kiedy Hemingway poświęcał mu czas, czuł się wyjątkowy.

– Tak, wiem, co masz na myśli.

– Dość o nim – ucięła Mariella.

– Dobra, ja też nie chcę o nim gadać na randce z tobą. – Pociągnął Mariellę na koc i zaczął ją całować. Oparła nogę na biodrze mężczyzny, a kiedy ją pieścił, położyła dłonie na jego klatce piersiowej. Serce waliło mu jak oszalałe. Nagle oderwał się od niej i powiedział: – Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Coś nie tak?

– Owszem. – Ogarnięta nagłą niepewnością, Mariella zmarszczyła czoło. Gavin przesunął dłoń po jej szyi i delikatnie pocałował ją w obojczyk. – Nie wiem, czy zaraz będę mógł przestać – wymamrotał z głową wtuloną w jej piersi. Odetchnęła z ulgą, że nie chodzi o nią, i pogładziła go po włosach.

– Ja też nie wiem.

Jęknął boleśnie.

– Podobno to ty jesteś ta silna.

Roześmiała się, całując go w szyję.

– Przy tobie tracę zdrowy rozsądek!

Odwrócił ją na plecy i przycisnął swoim ciężarem. Poczula, jak zalewa ją mieszanina strachu i tęsknoty. Wiedziała, że nie mogą tego zrobić – jeszcze nie. Nie chciała skończyć jak jej matka. Całował ją coraz mocniej, musiał jednak wyczuć, jak zeszywniała, bo jego ostatni pocałunek był łagodny. Potem oparł głowę na dłoni.

– To nie jest odpowiednia pora – powiedział, gładząc ją po twarzy. Ujęła jego dłoń i pocałowała czule.

– Nie – zgodziła się. – Choć pragnie tego każdy centymetr mojego ciała.

– Wiem.

Stoczył się z niej z głębokim westchnieniem.

Później długo leżeli obok siebie i patrzyli w gwiazdy, trzymając się za ręce.

Rozdział siedemnasty

Mariella była przygnębiona.

Deszcz lał od trzech dni. W małym domu czuła się jak w klatce, słuchając, jak matka po raz trzeci puszcza *Suitę Ponce'a*. Dzisiaj przypadły urodziny ojca. Nikt nie powiedział tego na głos, ale jego nieobecność zajmowała więcej przestrzeni, niż gdyby z nimi był. Sytuacji nie poprawił kolejny atak gorączki i kłopotów z żołądkiem Lulu, co sprawiło, że Mariella zaczęła poważnie zastanawiać się nad wyjazdem na Bimini. Nie pomagały wyrzuty sumienia, że od wielu dni nie odwiedzała Johna, ani to, że zabrakło im papierosów. Kiedy matka po raz kolejny włączyła płytę, miała wrażenie, że oszaleje. Wyszła z domu i usiadła na ganku.

Po obu stronach drogi płynęły strumienie, woda zalewała dziedziniec, tworząc wielką, błotnistą kałużę. Mariella czuła, jak w bok kłuje ją koperta z listem Gavina, którą miała w kieszeni. Wyjęła ją więc i po raz kolejny przeczytała, tęskniąc za nim boleśnie, choć gniewała się na jego słowa.

Chciałbym cieszyć się ze względu na Ciebie, ale myśl, że się rozstaniemy i będziesz z nim na plaży dniami i nocami przez całe tygodnie, sprawia, że jestem nieszczęśliwy. Wiesz, jak bardzo pragnę Cię odwiedzić, ale jeszcze nie wiem, czy to będzie możliwe. Szanse są niewielkie, bo musimy skończyć nasz odcinek drogi przed porą huraganów...

Wsunęła list do koperty, schowała do kieszeni i potarła oczy. Kropla wody spadła jej na ucho, a stamtąd na koszulę. Przesiadła się w bardziej suche miejsce, ale do domu nie zamierzała wracać. Zdecydowana była unikać żałoby matki i wspomnień o ojcu.

Cały ubiegły tydzień był trudny. Papa popłynął na Bimini na pokładzie „Pilar”, a bez niego dom wydawał się martwy. Obrażenia od kul były powierzchowne, szybko się wyleczyły. Przepraszył Katy i swym urokiem sprawił, że znowu kochała go jak dawniej. Działał tak na każdego. Świadomość, że zobaczy Papę dopiero za jakiś czas, budziła w Marielli chłód i rozczarowanie.

Pauline pojechała do St. Louis po najstarszego syna Ernesta, Jacka zwanego Bumby, który spędzał tam wakacje u dziadków ze strony matki. Potem wszyscy mieli czekać na Key West na Jinny, a następnie lecieć na Bimini. Mariella czuła ekscytujący dreszczyk na myśl o tym, że po raz pierwszy poleci samolotem na prymitywną wyspę, by spędzić tam lato z Hemingwayami. Z jednej strony chciała już jechać, z drugiej bała się zostawić mamę i dziewczynki.

Pomyślała o Gavinie i poczuła dotkliwą tęsknotę. Czas, który wspólnie spędzili w jej urodziny, był dla niej bardzo ważny, i bała się, że to, jak się wtedy do siebie zbliżyli, może stracić na znaczeniu podczas kilkutygodniowej rozłąki.

Z zamyślenia wyrwał ją odgłos kroków rozchlapujących kałuże. Wstała i spojrzała w tamtym kierunku, ale widok przesłaniała jej ściana deszczu. Dopiero po chwili dostrzegła postać zbliżającą się do jej domu.

Gavin!

Wbiegł na ganek – wojskowy T-shirt i szorty kleiły mu się do ciała – i złapał Mariellę w objęcia, kręcąc się z nią w deszczu. Śmiejąc się głośno, wymierzyła mu klapsa i zażądała, by ją puścił. Zrobił to, ale zaraz wziął w dłonie jej twarz i pocałował w usta.

– Mój Boże, jak ja za tobą tęskniłam.

– Wiem, to straszne – zgodził się.

– Dlaczego wałęsasz się w deszczu?

– Musiałem się z tobą zobaczyć.

Uśmiechnęła się i pocałowała go, rozkoszując się jego niespodziewaną obecnością.

Gdy muzyka w domu ucichła, Mariella odsunęła się od Gavina.

– Mari! – zawołała matka. – *¿Quéin está ahí?*

Czuła, jak ciepło wywołane pocałunkami Gavina ulatuje, zastąpione nagłym zdenerwowaniem. Podczas ostatniego spotkania z Gavinem Eva zachowywała się jak udręczona wariatka i intuicja podpowiadała Marielli, by kazać mu odejść. Jej relacje z Evą były wprawdzie coraz lepsze, obie uczyły się porozumiewać ze sobą, ale Mariella wciąż nie wierzyła w równowagę psychiczną matki i nie chciała komplikacji.

– Martwisz się, że jeszcze nie da sobie rady? – szepnął Gavin.

Martwiła się, choć równocześnie zdawała sobie sprawę, że Eva może ją zaskoczyć. Musi dać jej szansę. Spojrzała przez ramię na dom i poczuła, jak wraca jej pewność siebie. Teraz albo nigdy.

– Przekonajmy się – odparła.

Chwyciła Gavina za rękę i wprowadziła do domu. Eva, która stała obok swojego fotela, na widok gościa spuściła wzrok, wykręcając dłonie. Mariella domyślała się, że matka jest zażenowana swoim zachowaniem podczas ich pierwszego spotkania. Z niezręcznej sytuacji wybawiła ich Lulu, rzucając się Gavinowi na szyję. Mężczyzna stęknął i roześmiał się.

– Hej, Lulu!

Oczy Ewy przez chwilę błędziły od Marielli do Gavina i Lulu. W końcu wzięła głęboki oddech i podeszła do Gavina z wyciągniętą dłonią. Uścisnął ją, na drugiej ręce trzymając Lulu.

– Zacznijmy od początku – powiedziała. – Przepraszam za tamto.

Pokręcił głową, delikatnie stawiając Lulu na ziemi.

– Nie, to ja muszę przeprosić. Powinienem był się przedstawić, zanim zabrałem dziewczęta na plażę.

– Próbowałeś – wtrąciła Mariella. – To była moja wina.

– Dość już tych przeprosin – ucięła Eva. – Miło mi cię poznać. Moje córki cię kochają i jestem pewna, że ja też cię pokocham.

Mariella poczuła, jak ogarnia ją ulga.

– Przyszedłem tu w ważnej sprawie – rzekł Gavin, nie potrafiąc powstrzymać radości. – John i ja chcielibyśmy zaprosić was dzisiaj na kolację, bo to ostatni wieczór Marielli przed wyjazdem na Bimini.

Po twarzy Evy przemknął uśmiech; Mariella wyczuwała aprobatę matki i bardzo ją to ucieszyło.

– Z wielką przyjemnością, o ile to nie będzie dla was zbyt wielki kłopot – odparła Eva. – Mogę coś przynieść?

– Tylko siebie.

– Upiękę ciasto.

Mariella spojrzała na matkę zaskoczona. Nie pamiętała, by Eva kiedykolwiek piekła ciasto.

– Wspaniale – powiedział Gavin. – A teraz lepiej już pójdę.

Zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Mimo ekscytacji kolacją Mariella nie mogła pozbyć się niepokoju. Miała nadzieję, że matka nie żałuje, że się zgodziła. Martwiła się, jak dziewczynki zareagują na kalectwo Johna. To wszystko było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, modliła się więc w duchu, by przynajmniej ten wieczór upłynął w spokoju.

*

Gavin otarł pot z czoła i przeklinając, zmywał z podłogi drugie piwo, które rozlał. Deszcz jakimś cudem przestał padać, ale pozostawił po sobie wilgotne i lepkie powietrze.

– Uspokój się – powiedział John, podjeżdżając do drzwi. – Mówiłeś, że była miła.

– Chcę zrobić na niej dobre wrażenie. Mariella mówi, że matka jest bardzo niestabilna emocjonalnie. Na plaży była w złej formie i wolałbym drugi raz tego nie oglądać.

– To dalej rozlewaj piwo po całym domu. Zrobisz naprawdę dobre wrażenie, jak będzie tu cuchnęło jak u Sloppy’ego.

Przyjaciel posłał mu mordercze spojrzenie znad okruchów szkła. John uśmiechnął się, rzucając mu ręcznik, który wisiał na uchwycie szafki, po czym wrócił do salonu wypatrywać gości.

Gavin wykręcił ręcznik nad zlewem i umył ręce. Woda na piecu zaczęła syczeć i bulgotać.

– Cholera! – Skoczył do kuchni i przykręcił palnik. Kiedy udało mu się wrzucić do niej ziemniaki, nie powodując przy tym katastrofy, otworzył kolejne piwo i opróżnił je jednym haustem.

– Już są! – zawołał John.

Z walącym sercem pobiegł do drzwi. Widok całej czwórki, śniadej, ślicznej i roześmianej, sprawił, że kamień spadł mu z serca. Spojrzał na Johna: on też się uśmiechał.

Zanim zdążył powstrzymać Kundla, ten wypadł na ganek. Lulu niosła ciasto, więc oczywiście pies skoczył na nią, wytrącając jej talerz z rąk. Dziewczynka zaniósła się płaczem, ale ucichła, gdy John zjechał po rampie i ostro skarcił Kundla, który już dobrał się do ciasta. Pies zwiesił łeb i polizał Lulu. Dziewczynka zachichotała, widząc jego umazany kremem pysk.

– Przepraszam, panienko Lulu – powiedział John. – Nie mogłem się powstrzymać.

– Wiesz, jak mam na imię? – zdziwiła się.

– Jasne. Mariella i Gavin opowiedzieli mi wszystko o tobie, Estelle i waszej mamie.

– I mimo to zaprosiłeś nas na kolację? – zapytała Eva.

John spojrzał na nią wesoło.

– Słyszałem tylko dobre rzeczy. – Twarz Ewy pojaśniała. – Masz ochotę na przejażdżkę, Lulu?

Dziewczynka spojrzała niepewnie na jego nogi.

– A nie zrobię ci krzywdy?

– Nie, ale dzięki za troskę. – Gdy podeszła, John wziął ją na ręce, a Mariella chwyciła poręcz wózka.

– Trzymajcie się mocno – ostrzegła, pchając szybko wózek przez podwórko na podjazd.

Gdy Gavin otworzył przed nią drzwi, Mariella pocałowała go spontanicznie. Spojrzał na nią znacząco, jakby chciał powiedzieć: „Twoja mama!”, ale ona tylko się roześmiała. Za Mariellą szła Estelle, uśmiechając się nieśmiało. Procesję zamykała Eva.

– Tak się cieszę, że mogła pani przyjść, pani Bennet – powiedział Gavin.

– Mów do mnie po imieniu. – Wzięła go za rękę. – Dziękuję za zaproszenie.

Gavin patrzył, jak Eva wchodzi do salonu. Uderzyła go jej serdeczność i uroda. Rozpuszczone włosy kręciły się pod wpływem wilgoci, rysy złagodniały od uśmiechu. Miała skromny makijaż, a wyprasowana czarna sukienka podkreślała jej drobną figurę. Zadziwiający był ten kontrast z kobietą dręczoną gniewem i depresją, którą spotkał wtedy na plaży. Zamykając drzwi, po raz pierwszy tego dnia się rozluźnił.

Gdy wszyscy byli już w salonie, Gavin przystanął w progu, obejmując wzrokiem zebranych. Lulu skakała radośnie po całym pokoju, John opowiadał Estelle o gitarze, dostrzegł bowiem, że dziewczynka przygląda się instrumentowi z zainteresowaniem, a Mariella pokazywała matce obrazy na ścianach i na sztalugach. Ta scena sprawiła,

że wezbrało w nim uczucie, którego się nie spodziewał. Gardło mu się ścisnęło, a oczy zaszyły łzami. Pomyślał, że w tym pokoju jest wszystko, co kochał w przeszłości i będzie kochał w przyszłości, i zapragnął, by ta chwila trwała wiecznie.

*

Pomimo radości Mariella była zdenerwowana. Przeżyła już tak wiele rozczarowań, że nie dowierzała momentom czystego szczęścia.

Kiedy Gavin poprosił, by wszyscy napełnili sobie talerze w kuchni i zanieśli je do salonu, spojrzała na jego wykrochmaloną białą koszulę, wyprasowane spodnie i świeżo ostrzyżone włosy. Zmarszczone czoło i schludny wygląd świadczyły, jak bardzo zależało mu na zrobieniu dobrego wrażenia – i za to go kochała.

Kolacja była pyszna. Gavin podał pieczone kurczaki, gotowane ziemniaki i marchewki. Przyprawił wszystko solą morską, którą kupił na targu. Ciasta, które upiekła Eva, nie dało się uratować, ale tak się najedli, że na deser i tak nie mieliby miejsca.

Po kolacji Estelle i Mariella pomogły Gavinowi zmywać, a John cierpliwie odpowiadał Lulu na pytania o jego nogi. Mariella wtrąciła się, dopiero gdy dziewczynka oznajmiła, że chce je zobaczyć. Wszyscy rozsiedli się w salonie: Eva na kanapie koło wózka Johna, Mariella obok niej, Estelle na podłodze z drugiej strony Johna, a Gavin oparty o nogi Marielli. Lulu wdrapała się Johnowi na kolana.

Rozmowa o Keys i Overseas Highway doprowadziła do wyprawy Marielli na Bimini.

– Mama się o mnie martwi – powiedziała Mariella, biorąc Evę za rękę. – Niepokoją ją ci wszyscy bogaci mężczyźni zajęci piciem i hazardem.

– Nic na to nie poradzę – odparła Eva.

– Zrobię wszystko, żeby pojechać tam na weekend – zapewnił Gavin.

– Gdyby ci się udało, byłabym spokojniejsza – powiedziała Eva.

– A ja szczęśliwsza – dodała Mariella, kryjąc uśmiech. Nigdy by nie przewidziała, że tamta Eva z plaży będzie chciała, żeby żołnierz dla dobra Marielli spędził z nią weekend na odległej wyspie.

Po chwili milczenia Eva poprosiła Johna, by zagrał na gitarze. Wybrał *Gymnopédie nr 1* Satiego; utwór brzmiał jak kołysanka. Kiedy skończył, w pokoju zapadła cisza.

– Gdzie nauczyłeś się grać? – zapytała Eva.

– Moja matka była pianistką – odparł John. – Nauczyła mnie grać na fortepianie, a na gitarze nauczyłem się sam. Chciałem pójść do konserwatorium Peabody’ego w Baltimore, ale wybuchła wojna i czułem, że muszę wziąć w niej udział. Pomyślałem, że muzyką zajmę się po powrocie do domu.

– Nadal możesz to robić – powiedziała Eva.

– Nie wydaje mi się, żeby bywalcy Sloppy Joe zainteresowali się utworami na

gitarę klasyczną.

– Oni nie. Ale możesz udzielać lekcji albo uczyć w szkole.

– Bardzo bym chciał, choć obawiam się, że obecnie mało kto może sobie pozwolić na taki luksus.

To była prawda. Mariella wiedziała, że John nienawidzi konieczności życia na koszt rodziców, ale nie ma wyboru. Wybawiła go z niezręcznej sytuacji, prosząc, by zagrał coś jeszcze. Wybrał *Suitę* Ponce'a. Zerknęła na matkę, bojąc się jej reakcji, i już chciała powiedzieć Johnowi, by zmienił utwór, ale Eva położyła jej dłoń na ramieniu i pokręciła głową z uśmiechem. Estelle nie odrywała niespokojnego wzroku od matki, ale ta zdawała się bez reszty pogrążona w muzyce. Kiedy John przestał grać, Lulu powiedziała:

– To piosenka mojego taty.

Mariella była zaskoczona, że dziewczynka to pamięta.

– Przepraszam – John zwrócił się do Ewy. – Nie chciałem cię zdenerwować.

– Wręcz przeciwnie, sprawiłeś mi przyjemność – odparła. – Może to zabrzmie śmiesznie, ale dzięki temu Hal znalazł się tu między nami i tak było dobrze.

W pokoju zapanowało milczenie, które przerwała Lulu głośnym ziewaniem.

Eva wstała i wzięła córkę na ręce.

– Chyba musimy już iść – powiedziała Mariella.

– Jeśli chcesz zostać, ja zaprowadzę dziewczynki do domu – zaproponowała Eva.

Mariella o niczym innym nie marzyła, ale nie chciała, żeby matka wracała do domu sama z dziewczynkami, a poza tym rano musiała wstać wcześniej.

– Chętnie bym została, ale muszę się wyspać.

– Odprowadzę was – zaproponował Gavin.

Eva postawiła Lulu na ziemię. Dziewczynka podeszła do Johna i pocałowała go w policzek. Przez chwilę wpatrywała się w koc okrywający kikuty.

– Mam nadzieję, że odrosną – powiedziała z powagą.

Eva schowała twarz w dłoniach, a Mariella wstrzymała oddech, bezgłośnie przeproszając Johna. Ten jednak wybuchnął śmiechem.

– Ja też – odparł serdecznie.

W środku tego chaosu do Johna zbliżyła się Estelle.

– Dziękuję, że grałeś dla nas na gitarze – powiedziała.

Mariellę wzruszyło, że siostrzyczka otworzyła się przed Johnem. Gavin spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się.

– Gdybyś kiedyś chciała, nauczę cię za darmo – odparł John.

Estelle pojaśniała i uścisnęła mężczyznę, po czym pobiegła do drzwi.

Eva podeszła do Johna i wzięła go za ręce.

– Dziękuję ci za cierpliwość do nich. I za piękną muzykę. – Pochyliła się, by go uściskać, a kiedy się wyprostowała, Mariella zobaczyła na twarzy Johna rumieniec.

Pomyślała, że nie jest przyzwyczajony do kobiecej uwagi i że musi mu to sprawiać przyjemność.

Pocałowała Johna w rozpalony policzek i wyszła. Lulu zasypiała na rękach Gavina, który powiedział Evie, że z przyjemnością zanieśie małą do domu i położy do łóżka.

Mariella ruszyła za wszystkimi po schodach, ale po kilku krokach odwróciła się jeszcze, by pomachać do Johna. W bladym świetle padającego z domu widziała tylko zarys jego sylwetki – ze zgarbionymi plecami i twarzą skrytą w dłoniach. Wyglądał, jakby płakał.

Rozdział osiemnasty

Bimini, Bahamy

Kiedy samolot zniżył się do lądowania, Mariella poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Choć była podniecona pierwszym lotem, szybko przekonała się, że taki sposób podróżowania jej nie odpowiada. Musiała ze wszystkich sił nad sobą panować, by powstrzymać nudności, zwłaszcza kiedy Ada zaczęła wymiotować. Jinny śpiewała z chłopcami, opowiadała im kawały i robiła wielkie zamieszanie na pokładzie małej awionetki. Pauline siedziała tyłem do nich, w milczeniu obserwując wodę. Mariella wyczuwała, że kobieta nie może doczekać się widoku wyspy.

Wreszcie przed ich oczami zamajaczył zarys Bimini. Mariella trzymała się za brzuch, gdy samolot chaotycznie wznosił się i opadał, nim wylądował na wodzie. Uspokoiła się, gdy zaczął sunąć w stronę przystani, a kiedy zobaczyła, kto na nich czeka, prawie zapomniała o nudnościach. Papa stał na palach, górując nad nimi, opalony bóg machający jak szalony i udający, że strzela do chłopców. Bardzo im się to spodobało, więc podskakiwali, chcąc jak najszybciej znaleźć się na małej łodzi wiosłowej, którą prowadził Carlos, bosman Papy na „Pilar”. Kiedy z jego pomocą wszyscy wysiedli z samolotu i zapakowali się na pokład, łódź popłynęła, podskakując na falach.

Hemingway jaśniał szczęściem. Nigdy przedtem Mariella nie widziała, by tak bez reszty zatracił się w swoim żywiole. Miał na sobie tylko pochłapane krwią, podwinięte do kolan spodnie. Jego okazały zarost świadczył o tym, że nie golił się od kilku dni, a bandaż na ręce o nowym obrażeniu, ale jego białe zęby błyskały w promiennym uśmiechu.

Pauline przechyliła się przez dziób niczym galion, jakby chciała wskoczyć do wody i popłynąć na przystań wpław. Kiedy dobili do pomostu, Hemingway pomógł im wsiąść. Namiętnie pocałował i przytulił żonę. Bumby, Patrick i Gregory wyskoczyli sami, otaczając Papę, który zmierzwił im włosy i uściskał. Kiwnął głową Adzie i pocałował Jinny. Kiedy przyszła kolej na Mariellę, złapał ją i wyciągnął z łodzi, jakby nic nie ważyła.

– Córko, dzięki tobie te wakacje będą udane. – Gdy ujął jej twarz w dłonie, pomyślała, że zaraz ją pocałuje, ale on tylko na nią patrzył. Po chwili Patrick pociągnął go za sobą po pomoście.

Mariella pomogła Carlosowi wylądować bagaże, po czym ruszyła za Hemingwayem, wciąż zarumieniona od ciepła jego dotyku.

*

Nad plażą przeleciała mewa. Mariella śledziła jej lot aż do płycizny odległej o jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu. Tuż za nią woda nabierała głębokiej niebieskozielonej barwy. Widziała, że roi się tam od ryb płynących na północ do Zatoki Meksykańskiej. Błękit nieba i wody niemal zlewał się w jedno, wiatr niósł ze sobą zapach soli. Teraz rozumiała euforię Papy.

Ruszyła z powrotem do Compleat Angler, jedyne „wielkiego” hotelu na wyspie. Miał dwanaście pokoi, werandy na każdym piętrze i hałaśliwy bar. Pauline i Ernest zajmowali pokój numer 1, chłopcy i Ada pokój numer 2, Mariella pokój numer 3. Pozostałe pokoje zajmowali przyjaciele, niczym poddani Papy podróżujący jako jego dwór.

Otworzyła drzwi ciemnego, wykładanego boazerią pokoju i weszła do środka. W powietrzu unosił się zapach wilgotnego drewna i morza, na ścianach wisiały obrazy przedstawiające wielkie ryby, a zasłony i baldachim na łóżku obszyte były kremowymi koronkami. Mariella podeszła do okna i spojrzała na plażę z piaskiem białym jak mąka. Zbliżał się zachód słońca, blaknące światło ogrzewało krajobraz. Nad fale wyskoczyła wielka ryba. Chłopcy najwyraźniej też ją zobaczyli, bo zeskoczyli z pomostu. Ada krzyczała na nich, ale oni wiedzieli, że w żadnym razie nie zdoła ich dogonić, i tańczyli w falach jak dzikusy.

Mariella odwróciła się od okna, uświadamiając sobie, że po raz pierwszy w życiu jest tak daleko bez matki i sióstr. Zawsze tęskniła za tym rodzajem wolności i prywatności, a teraz go zyskała. Nie wiedziała tylko, jak to będzie.

Powiesiła sukienki w szafie, a kostium kąpielowy i plażowe stroje włożyła do szuflady komody. Zajrzała do małej łazienki i ucieszyła się, że jest czysta. Potem z szerokim uśmiechem pobiegła do łóżka i rzuciła się w miękką, chłodną pościel, patrząc na kręcący się na suficie wentylator.

Nareszcie!

*

Mężczyźni byli tu tacy, jak obawiali się Eva i Gavin.

Mariella weszła do zadymionego baru, witana gwizdami opalonych i pijanych bogaczy. Z tłumu wyłonił się Papa, objął ją i przy wtórze głośnych okrzyków zaprowadził na koniec baru.

Zebrani podrygiwali w rytm piosenek śpiewanych przez barmanów, szkło uderzało o drewno, co chwila rozlegały się wybuchy śmiechu. Mariella dość szybko zorientowała się, że jest tu jedyną kobietą, i pomyślała, że powinna była pójść spać tak jak jej towarzyszki. Ale z drugiej strony, dlaczego nie miałyby się zabawić? Ile razy w życiu będzie miała okazję przebywać w takim towarzystwie?

Papa zamówił dla niej owocowy, przepyszny drink, po czym usiadł tak blisko, że czuła bijący od niego zapach alkoholu i morza.

– To drink dla turystów – powiedziała, uśmiechając się znacząco.

– Przecież jesteś turystką, prawda?

– Owszem.

Wypił pierwszą z trzech szklanek i głośno czknął.

– Połowy są gówniane – powiedział. – Kubie, ten konował, terapeuta Jane, napisał oszczerczy artykuł, za który zamierzam go pozwać, a „Pilar” znowu ma humory.

– Więc dlaczego jest pan taki szczęśliwy? – zapytała Mariella.

– Bo są tu wszystkie moje miłości. – Trącił szkłem jej kieliszek i znowu jednym haustem wypił zawartość.

– Jasne. A poza tym tutaj jest raj, człowiek nie może być tu nieszczęśliwy – zauważyła.

– Nigdy.

– Kto to jest Kubie?

– Jakiś psychiatra, który twierdzi – między innymi – że poprzez moich nadmiernie męskich bohaterów okazują pogardę kobietom.

– Faktycznie przedstawia nas pan w fatalnym świetle. – Spojrzał na nią podejrzliwie. – Czytałam pańskie książki.

– Które?

– Wszystkie.

– Pochlebiasz mi.

– To prawda. Od czasów szkoły nie miałam książki w ręce.

– A według ciebie faceci to fiuty? – Uniósł brew, patrząc na nią uważnie.

– Chodzi raczej o to, jak przedstawia pan kobiety.

– Jak?

– Według pana są słabe.

– Cholera, nie! – Hemingway trzasnął szklanką w bar. – To mężczyźni wychodzą na dupków, nie widzisz tego?

– Niech pan to wyjaśni.

– Rolą kobiet jest podkreślenie, jakimi durnymi macho są mężczyźni.

– Sam pan w to nie wierzy.

– Wierzę. Ale one też mają swoje wady. Wszyscy moi bohaterowie mają wady, są głęboko ludzcy. Przykro mi, jeśli przez to nie wyglądają najlepiej, ale czy kiedykolwiek przyglądałaś się uważniej ludzkości? – Mariella rozejrzała się po sali wypełnionej opalonymi, pijanymi mężczyznami, którzy podpierali się wzajemnie i klepali po plecach. Wyciągnęła papierosa i zapaliła, wydmuchując dym w kierunku przeciwnym, niż siedział Papa. – Pewnego dnia to cię zabije – powiedział po opróżnieniu trzeciej kolejki. Mariella znacząco spojrzała na puste szklanki. – Strzał w

dziesiątkę – dodał.

– Wracając do pańskich bohaterów. – Poczula, że alkohol ją ośmielił. – Czy w ogóle można ich nazwać postaciami fikcyjnymi? To wygląda raczej tak, jakby zmienił pan nazwiska, żeby chronić niewinnych – albo winnych.

Papa uśmiechnął się do niej, gestem dając znać barmanowi.

– Przyłapałaś mnie.

Mariella upiła kolejny łyk i poczuła, jak kręci się jej w głowie. Rozejrzała się po sali, nie potrafiąc opędzić się od myśli, że wszyscy ci ludzie pojawią się w jego utworach, by służyć jakiemuś celowi – wyłącznie dla jego korzyści.

– Powinien pan przestać ich kolekcjonować.

– Słucham?

– Są istotami ludzkimi.

– Nie zaczynaj od nowa.

– Zaslugują na godność.

Przyjrzał się jej ze zmarszczonym czołem.

– Zawsze będę ich kolekcjonował.

– Ale nie mnie.

– Wiem. Nie ciebie. Powiedziałem ci to, kiedy jedliśmy ciasto na Key West.

Barman podał mu whisky i Papa wolno zakręcił szklanką, unikając wzroku Marielli. Zastanawiała się, czy już tego nie zrobił – czy już nie przedstawił jej w jakimś utworze. A jeśli tak, to czy teraz to wykreśli.

Zdawała sobie sprawę, że jutro będzie żałowała, jeśli wypije kolejnego drinka, podniosła się więc ze stołka.

– Idę spać. Po raz pierwszy w życiu mam pokój tylko dla siebie! – Papa uśmiechnął się smutno, jakby wcześniej nie wpadło mu do głowy, że Mariella jest biedna. – Dziękuję, że pan mnie tu zaprosił. Wiem, że nie jestem potrzebna, więc traktuję to jak prezent.

Położył dłonie na jej talii, a Mariella zrobiła krok w jego stronę.

– Prezent dla mnie – powiedział, patrząc jej w oczy.

Jego żądza była wręcz namacalna. Mariella poczuła pokusę, by go pocałować, ale zamknęła oczy i zwalczyła ją.

– Dla pana. – Podniosła swój kieliszek i dopiła drinka, po czym cofnęła się. – Dobranoc, Papo.

– Dobranoc, córko.

Wyszła z baru, odprowadzana okrzykami mężczyzn, którzy błagali ją, by jutro tu wróciła. Uśmiechając się, podniosła rękę na pożegnanie. Ich wołania towarzyszyły jej do drzwi, i o dziwo, sprawiały jej przyjemność.

Wróciła chwiejnie do swojego pokoju, zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Serce biło jej mocno. Podeszła do okna i otworzyła je, by wpuścić świeże powietrze.

Wiatr niósł ze sobą szum fal, choć zaraz zagłuszył go dobiegający z baru hałas. Słyszając śmiech Papy, uśmiechnęła się do siebie. Położyła się na łóżku i słuchała odgłosów nocy. Już po chwili zapadła w głęboki sen.

*

W środku nocy obudził ją ból głowy. Stoczyła się z łóżka i po omacku poszła do łazienki. Napiała się wody i napełniła na zapas szklanek, którą postawiła na nocnym stoliku.

Mariella podeszła do otwartego okna i patrzyła, zahipnotyzowana niesamowitą urodą krajobrazu. Do pokoju wpadała nocna bryza, a plażę oświetlała pełnia księżyca. Nagle poczuła potrzebę pospacerowania boso po piasku. Otworzyła drzwi i wyszła na werandę. Siła wiatru zaskoczyła ją, ale cieszyła się z porywistych podmuchów, ponieważ odpędzały komary.

Piasek pod stopami był chłodny, ale woda przyjemnie ciepła. Mariella miała ochotę popływać, ale wiedziała, że byłoby to głupie, więc stała i kontemplowała tę cudowną noc. Spojrzała w kierunku Key West, myśląc o mamie, siostrach i Gavinie. Wyobraziła sobie, że wszyscy śpią teraz spokojnie, i poczuła, jak jej serce wypełnia miłość.

Po długiej chwili wróciła do hotelu; zdawała sobie sprawę, że jeśli nie chce, by ból głowy się wzmógł, powinna się położyć. Po cichu weszła po schodach na werandę. Gdy mijała pokój Papy, usłyszała jakiś hałas. Okno było otwarte i wiatr podniósł firankę. Ból głowy nie ustępował, jakby ponaglając ją do powrotu, ale nie potrafiła się oprzeć pokusie. Chciała tylko popatrzeć, jak śpi.

Podkraśniała się do okna, przytrzymała firankę i zerknęła do pokoju.

Minęła sekunda, zanim jej oczy przyzwyczyły się do mroku, ale zaraz w poświacie księżyca zobaczyła Hemingwaya i Pauline poruszających się rytmicznie pod pościelą. Gdy pojęła, na co patrzy, serce zaczęło walić jej jak szalone. Nie potrafiła oderwać od nich wzroku, czując mieszaninę odrazy, podniecenia i zazdrości. Łóżko stało równoległe do okna, przez co widziała kochanków z profilu. Hemingway z głową wtuloną w szyję Pauline trzymał jej ręce przygwożdżone do poduszki nad głową. Na twarzy kobiety malowała się ekstaza.

Nagle Papa spojrział w okno. Mariella wstrzymała oddech, przywierając do ściany. Co robić? Czy ją zauważył? Jeśli dalej będzie tak stała, może wyjść i znajdzie ją tutaj, a wtedy... *O Boże...* Kucnęła i przekradła się pod oknem najciszej, jak potrafiła. Popędziła do swojego pokoju, zamknęła drzwi na klucz i oparła się o nie, próbując wyrównać oddech. Mogłaby przysiąc, że słyszy kroki na werandzie. Wskoczyła do łóżka i przykryła się po same uszy.

Do rana nie zmrużyła oka.

*

Strasznie się bała spotkania z Papą. Nie mogła uwolnić się od dręczącego ją pytania, czy widział ją w oknie. Wiedziała, że odpowiedzią będzie sposób, w jaki ją powita. Długo nie wychodziła ze swojego pokoju, kiedy jednak z werandy dobiegły ją głosy pozostałych, musiała do nich dołączyć.

Mężczyźni rozmawiali, palili i pili kawę. Oczy mieli zaczerwienione, ale byli w doskonałych nastrojach. Planowali wyprawę na ryby i już czuli, że dopisze im szczęście. Papa miał na sobie białą koszulkę i poplamione szorty ze sznurkiem zamiast paska. Stroju dopełniała zielona rybacka czapka założona na zmierzwione włosy.

Chłopcy w kółko wbiegali po schodach i zeskakiwali z werandy. Pauline obserwowała ich z bujanego fotela. Ubrana w domową suknię, odpychała się bosą stopą od balustrady; na stoliku obok stała filiżanka herbaty. Rozmawiała z Jinny, Katy i Dosem. Wszyscy śmiali się głośno.

Widząc swobodę Pauline i zadowolenie jej gości, Mariella pomyślała, że bogactwo musi dawać wolność – mogą tygodniami przebywać na wakacjach, o nic się nie troszcząc. Łatwo było zapomnieć o reszcie świata, ciesząc się własną wygodą. Zrozumiała, dlaczego Papa nazwał to narkotykiem.

– Popłyniesz z nami na ryby, Mari?! – zawołał. Uśmiechał się do niej ciepło, bez cienia kpiny. Zalała ją fala ulgi.

– Nie dzisiaj – Pauline uprzedziła jej odpowiedź. – Dziś jest dzień targowy, więc pojedziemy do Alice Town po żywność.

– Nie ma mowy – zaoponował Hemingway. – Na wakacjach jemy tylko to, co złowię. Mąż poluje. Żona gotuje.

– Żona nie jada ryb na każdy posiłek. Mąż się stąd wynosi – zripostowała Pauline i boje się roześmiali.

– Mam nadzieję, Mariello, że umiesz gotować – powiedziała Katy. – Jedzenie tutaj jest straszne, a my wszystkie w kuchni jesteśmy do niczego.

– Nieźle sobie radzę – odrzekła Mariella. – Isabelle wiele mnie nauczyła.

– Złe jedzenie przygotowane przez kogoś jest lepsze od dobrego, które muszę zrobić sama – skomentowała Katy. – Nie mogę się doczekać.

– Jane przysłała sporą paczkę kawioru i innych delikatesów – wtrącił Papa. – Możecie jeść do woli.

Pauline przestała się bujać, wyraźnie sztywniejąc na wzmiankę o Jane i jej „delikatesach”. Katy przewróciła oczami.

– Proszę cię, już wolałabym głodować.

Jinny przyjęła pozę modelki, w wyciągniętej dłoni trzymając papierosa, i naśladując Jane, powiedziała:

– Och, *kochanie*, myślałam po prostu, że wszyscy lubią wyrafinowane jedzenie tak

jak ja. I chcę, żebyście wszyscy mieli o mnie dobre zdanie, ponieważ jestem *taka* wyjątkowa, a wy macie *takie* szczęście, że mnie znacie.

Pauline odprężyła się nieco, Katy i Dos wybuchnęli śmiechem, a Ernest przewrócił oczami i zszedł z werandy.

– Czekajcie na nasz powrót, dobrzy ludzie. Spotkamy się na przystani w szczęśliwą godzinę. – Posłał Pauline całusa i ruszył. Po kilku krokach obejrzał się na Mariellę i pomachał. – Popłyniesz ze mną w moje urodziny – rzucił.

*

Nastrój mężczyzn przybijających do przystani był o wiele posępniejszy niż rano. Zwłaszcza Papa z nachmurzoną miną narzekał na brak wielkich okazji, wykrzykując, że banda bogatych sukinsynów przetrzebiła ryby, Najwyraźniej siebie wyłączył z tej grupy. Mężczyźni w większości przyjmowali z rozbawieniem fochy Papy i tylko Joe Knapp, wydawca z Nowego Jorku, nie krył rosnącej irytacji. Przy koktajlach na przystani panowała napięta atmosfera, podobnie jak przy kolacji i drinkach w barze.

Mariella chciała położyć się wcześniej, ale nie potrafiła oderwać się od rozgrywającej się w barze sceny. Papa chełpił się swoimi wyjątkowymi wędkarskimi umiejętnościami, na co Knapp reagował narastającą wrogością. Dla wszystkich było jasne, że docinki z dobrodusznych zmieniają się w złośliwe, reagowali więc nerwowym śmiechem na otwartą już kłótnię mężczyzn.

W końcu Knapp nazwał Papę „tłusciochem i oszustem”, pięści Papy poszły w ruch i zanim Mariella się zorientowała, Joe leżał na podłodze. Zapanowała śmiertelna cisza, którą przerwali dopiero pracujący w barze miejscowi, podejmując idiotyczną przyśpiewkę o nokaucie. Załoga Knappa pomogła mu się podnieść, po czym wyprowadzili go z baru na przystań, gdzie cumowała ich łódź.

– Nie rozumiem was, mężczyzn, ale dłużej tego nie zniósę – powiedziała Pauline, z irytacją kręcąc głową. – Żona idzie spać.

– Mąż później przyjdzie do żony! – zawołał Papa ku uciecze przyjaciół, gdy oddaliła się w stronę wyjścia.

Mariella zarumieniła się mimowolnie.

Dokończyła drinka i wstała. Papa natychmiast znalazł się przy niej.

– Nie powiedziałaś „dobranoc”.

– Bałam się nokautu.

Uśmiechnął się i pocałował ją w czoło.

– Dobranoc, córko.

– Dobranoc.

Odwróciła się, ale znowu ją zatrzymał.

– Może powinnaś zamknąć drzwi na klucz.

- Dlaczego?
- Lunatykowanie bywa niebezpieczne.
Mrugnął do niej i wrócił do przyjaciół.

Rozdział dziewiętnasty

Nastał dzień urodzin Papy.

Mariella wiedziała, że widział ją tamtej nocy, ale postanowiła, że nie pozwoli, by wprawilo ją to w zakłopotanie. Unikała go po prostu, pomagając Carlosowi załadować rzeczy na „Pilar”, gdy tymczasem Ernest w słomianym kapeluszu i okularach przeciwsłonecznych poszedł po najstarszego syna, który wraz z młodszymi chłopcami odwracał na plaży kamienie w poszukiwaniu morskich stworów.

Kiedy z nim wracał, Bumby jak żołnierz niósł strzelbę opartą o ramię, a Patrick i Gregory biegli za nimi i błagali, żeby ich także ojciec zabrał na wyprawę.

– Jesteście za mali – powiedział Papa. – Musicie poczekać, aż będziecie mieć tyle lat co Bumby.

Oczy Patrycka pociemniały; zaczął gniewnie kopać w pomost. Gregory wpadł w histerię.

– Chcę strzelać z wielkiej broni – szlochał.

Papa zignorował go, wchodząc z Bumby na pokład.

Mariella zastanawiała się, dlaczego nie kazał Bumby’emu oddać zabawkowej strzelby młodszemu przyrodniemu bratu, przecież na jachcie nie będzie mu potrzebna. Przyjrzawszy się jednak dokładniej, stwierdziła, że to nie jest zabawka, ale prawdziwy karabin maszynowy.

Gregory zamknął oczy, tupiąc tak mocno, że Mariella złękła się, że spadnie do wody. Rozejrzała się po pomoście, ale Ady nigdzie nie było. Pomyślała, że pewnie leczy kaca.

Papa i Carlos sprawdzali liny i sprzęt wędkarski, a Mariella wysiadła na pomost. Uklękła przed Gregorym i łagodnie chwyciła go za ręce. Otworzył oczy i ucichł.

– Jeśli zachowasz się jak duży chłopiec i przestaniesz płakać, po powrocie zabiorę cię na ryby z kuszą.

Chłopiec zastanawiał się przez chwilę, w końcu pokiwał głową, wstrząsany nagłą czkawką.

– Obiecaj – powiedział.

– Obiecuję.

Pojaśniał, po raz ostatni spoglądając na jacht. Kiedy Papa odwrócił się do niego plecami, chłopiec pokazał mu język i pobiegł do Patrycka, który wrócił już na plażę.

– No to płyniemy! – zawołał Hemingway, kiedy Mariella wskoczyła na pokład.

– Skąd pan to ma? – zapytała, wskazując karabin.

– Kupiłem od jakiegoś bogatego drania.

– Kiedy?

– Ze dwa miesiące temu.

– Jak to się stało, że nigdy go nie widziałam?
– Nigdy wcześniej nie wypływałaś ze mną na ryby.
– W głowie mi się nie mieści, że nie wspomniał pan o tym karabinie.
– Wiesz, wkurzyłem Stratera, zanim wyjechał. Miał na haczyku wielkiego marlina, a ja strzelałem do rekinów, żeby trzymać je na dystans. Kompletnie oszalały, kiedy poczuły krew, i zżarły mu rybę.

– Więc nie chciał mu pan o tym przypominać.

– Bingo.

– To pokazuje, że jest pan zdumiewająco wrażliwy. – Mariella była pod wrażeniem.

– Potrafię być wrażliwy.

Nagle od strony sterburty dobiegł plusk; Bumby przesunął lufę, żeby wycelować w źródło hałasu, po drodze mijając Carlosa. Mariella wstrzymała oddech, ale Papa tylko trzepnął syna w głowę.

– Uważaj.

– Przepraszam, Papa.

Mariella spojrzała pytająco na Carlosa; wstrząsnęło nią, że tylko taką naganę dostał chłopiec za beztrioskie obchodzenie się z bronią, a przecież mógł zabić człowieka. Ten jednak tylko pokręcił głową i ustawił jacht w kierunku zatoki.

*

Papa siedział z karafką whisky w dłoni, z karabinem opartym o pierś i z synem przytulonym do jego nóg. Mariella, zachwycona tym obrazkiem, znalazła aparat fotograficzny i zrobiła zdjęcie.

– Mam to wysłać do redakcji „Life”? – zapytała i nie zważając na prychnięcie Papy, ciągnęła: – Już widzę podpis: „Legendarny pisarz dla sportu odrzuca bezpieczeństwo”.

– Tylko nie pozwól, żeby zobaczyła to mama – wtrącił Papa.

– Mamie to by nie przeszkadzało – oznajmił Bumby.

– Miałem na myśli mamę Pauline, nie mamę Hadley – wyjaśnił Papa.

– Aha. Mamie P. bardzo by się to nie spodobało – odparł chłopiec.

Papa zmierzwił mu włosy, patrząc na ocean.

– W dzisiejszych czasach zbyt wielu rodziców wychowuje chłopców na cholernych mazgajów – powiedział smętnym tonem. – Nie uczą ich polowania, nie uczą przeklinać. Do diabła, jak z nami skończą, wszyscy będziemy nosić sukienki.

– Ja nie! – oznajmił Bumby. – Chcę być taki jak ty.

Papa ciepło uśmiechnął się do syna.

– Jesteś lepszy ode mnie, bo masz w sobie sporo cech swojej matki.

Chłopiec nie wiedział, jak odpowiedzieć, więc tylko z podziwem spojrzał na ojca.

Mariellę po raz kolejny ogarnęła dezorientacja wobec tego ciągłego uznania Papy wobec pierwszej żony. Czasami można było odnieść wrażenie, że darzy ją większą sympatią i uczuciem niż samą Pauline.

Linka drgnęła, wrywając Mariellę z zadumy. Papa zerwał się i złapał wędkę akurat w momencie, gdy z wody wyskoczył potężny marlin. Carlos, Mariella i Bumby podbiegli do burty.

– *Putta madre!* – krzyknął Carlos.

Mariella wybuchnęła śmiechem, słysząc przekleństwo w ustach tego drobnego, dobrodusznego człowieka. Wstrząsnęło nią, gdy Papa kazał Bumby’emu strzelać do rekinów, podczas gdy sam walczył o utrzymanie kontroli nad wędką. Nie czuła się dobrze przy chłopcu z bronią w ręku, nie sądziła jednak, że jej interwencja jest wskazana.

Papa kręcił i ciągnął, kręcił i ciągnął, a biała koszula przykleiła mu się do pleców, uwydatniając mięśnie. Mariella podziwiała jego siłę i żałowała, że sama taką nie dysponuje.

Bumby był niezłym strzelcem, zdołał odpędzić rekiny, ale też przestraszył marlina. Ryba ponownie wyskoczyła z wody i Mariella wstrzymała oddech na widok jej majestatycznego piękna.

Papa bardzo się namęczył, w końcu jednak zdołał przyciągnąć marlina do jachtu, po czym przekazał wędkę Carlosowi. W oczy rzucał się kontrast pomiędzy jego drobną postacią a ciężarem i siłą ryby i Mariella cieszyła się, że nie podjęła próby. Nie zniosłaby utraty takiej zdobyczy.

Carlos z całych sił trzymał marlina blisko jachtu. Słońce błysnęło na grocie, gdy Papa uniósł harpun, po czym nagłym ruchem wbił go w serce ryby, która zwinęła się i zadrżała.

Wszyscy wpatrywali się z podziwem w potężny srebrny brzuch połyskujący na tle nieba. Ryba otworzyła skrzela i z jej oczu zniknęło światło.

– Wracajmy, zanim rekiny się o nim dowiedzą – powiedział Papa po chwili ciszy.

*

Próżniacy wiecznie kręcący się po przystani brzęczeli jak muchy, wieszając marlina. Ważył pięćset czterdzieści funtów – rekordowy połów. Zawisł obok drugiego, złowionego przez Papę parę dni wcześniej, i wszyscy po kolei robili sobie z nim zdjęcia.

Kiedy Papa dowiedział się, że miejscowi nie chcą mięsa, wpadł w zły nastrój. Narzekał, że nie lubi zabijania dla samego zabijania, a ludziom zarzucił, że nie mają szacunku dla zwierzęcia, wygłaszając przy tym rasistowskie obelgi, które sprawiły, że Mariella się skuliła, a im pociemniały oczy. Widziała wyraźnie, że Papa nie cieszy się ich sympatią, ale jemu najwyraźniej wcale na tym nie zależało.

Wieczorem w barze paliła i obserwowała Papę. Wciąż mówił źle o miejscowych, choć więcej czasu poświęcał na zabawianie słuchaczy opowieściami o polowie, które z każdym powtórzeniem stawały się bardziej dramatyczne. Gasząc trzeciego papierosa, przyznała w duchu, że zaczyna nim pogardzać. Te wieczne przechwałki w towarzystwie bogatych ludzi, ordynarny rasistowski język, skargi na krytyków, nadmuchane historie o polowaniach w Afryce, flirtowanie z Jinny, to, jak przy żonie wykorzystywał słabość, którą miała do niego Mariella – wszystko to umniejszało go w jej oczach. Kiedyś wydawał się autentyczny, ostatnio jednak stwierdziła, że tamtego mężczyzny już nie ma, a w jego miejsce pojawiła się opalona i tłusta legenda, którą sam stworzył. Wyczuwała, że Papa dokłada wszelkich starań, by w oczach otoczenia zachować swój obraz.

Katy gestem zaprosiła ją na werandę, gdzie siedziała z Johnem. Mariella z radością posłuchała. Siedzieli w cieniu, sącząc drinki i obserwując bawiących się w piasku chłopców, którzy cieszyli się, że są na dworze, choć powinni już spać.

– Dlaczego nie słuchacie opowieści o rybach? – zapytała Mariella ironicznie. Lubiła towarzystwo Dos Passosów, z którymi zawsze mogła rozmawiać otwarcie.

– Błagam – zachnęła się Katy. – Chyba na to lato wyczerpałam już zdolność tolerowania Papy.

– Tak. Ostatnimi czasy Katy może go przyjmować tylko w małych dawkach – dodał John.

Mariella pokiwała głową. Doskonale rozumiała, co mają na myśli.

– Ale ty nie wyglądasz na znużoną – zwróciła się do niej Katy.

Dziewczyna zerknęła na nią pośpiesznie. Pomimo żartobliwego tonu zaniepokoiło ją to, co kryło się pod słowami Katy. Nie chciała, by ktokolwiek zauważył jej zainteresowanie Papą.

– Już niewiele mi brakuje – odparła ze swobodą, której wcale nie czuła. – On zajmuje strasznie dużo miejsca. – John zaśmiał się, kiwając głową. – A gdzie jest Ada?

– Padła jakiś czas temu – odparła Katy.

– Posłaliśmy Pauline do łóżka i obiecaliśmy, że przypilnujemy chłopców – powiedział Dos. – Młodszy przez cały dzień doprowadzali ją do szaleństwa, odetchnęła dopiero, kiedy zabrałaś ich na ryby.

– Miło z twojej strony, że pomimo wszystkich swoich obowiązków jeszcze się nimi zajmujesz – zauważyła Katy.

– Zabawy z chłopcami nie uważam za obowiązek – odrzekła Mariella. – Lubię z nimi przebywać. Brakuje mi moich siostrzyczek.

Straszliwie tęskniła za dziewczynkami, bardziej, niżby się spodziewała. Głosy chłopców, śmiech i zabawa przypominały jej o Lulu i Estelle. Już nie mogła się doczekać, kiedy znowu się z nimi zobaczy. Szkoda, że nie mogła zabrać ich ze sobą.

– Patrzcie! Patrzcie! – wrzasnął nagle Patrick. Mariella wraz z Dos Passosami pobiegli na plażę, by zobaczyć, co go tak podnieciło. Księżyc świecił jasno, ale musiała minąć sekunda, nim jej wzrok przywykł do mroku. W piasku coś się poruszało.

– Żółwie! – pisnął Gregory.

Stłoczyli się, by obserwować małe istotki wykopujące się z zagłębień i przewracające na plecy.

– Popatrz, idą do wody – powiedziała Mariella. Wzięła Gregory’ego na ręce i ruszyła z nim na brzeg obok żółwi z wysiłkiem wdrapujących się na wzniesienia w piasku.

Bumby zaproponował Patrickowi, że obaj wygładzą „piaskowe góry”, co ułatwi żółwikom dotarcie do wody. Pomógł im John, który znalazł gdzieś wiosło. Katy przenosiła małych wędrowców na szlak.

Greg objął Mariellę za szyję i położył głowę na jej ramieniu. Czowała zapach wiatru w jego słonych włosach i pulchny, ciepły policzek na skórze.

Boże, jak strasznie tęskniła za dziewczynkami.

Stała, zwrócona twarzą do Key West, i z wieczornym wiatrem posyłała swoje myśli bliskim. Potem odwróciła się do oświetlonego księżycową poświatą szlaku, rozkoszując się pięknem tej chwili.

*

Przez całą noc śniła o Gavinie.

To były dobre sny. Sny, od których się rumieniła. Rozmyślała o nich rano, gdy wykonywała zwykłe prace, i o mało nie wpadła na Pauline, gdy wchodziła do domu ze zdjętymi ze sznura plażowymi ręcznikami. Kobieta zmierzyła ją podejrzliwym spojrzeniem.

– Czy wszyscy dzisiaj muszą być nie w sosie? – zapytała.

– Przepraszam – odparła Mariella. – Śniłam na jawie. A kto jeszcze jest nie w sosie?

Pauline odgarnęła z oczu włosy, spoglądając w kierunku przystani.

– Papa przez całe rano burczy na temat „Pilar”. Chyba zaczyna się nudzić. Wyzwał miejscowego mistrza na pojedynek bokserski.

Jej słowa podsyciły zainteresowanie Marielli. Przez ostatnie dni Papa zakładał się z tubylcami, że żaden nie wytrzyma z nim na ringu trzech trzyminutowych rund. Ten, komu by się to udało, miał dostać dwadzieścia dolarów, ale jak dotąd nikt taki się nie znalazł. Mariella z przyjemnością obejrzałaby mecz. By ukryć swój zapał, odwróciła głowę w stronę przystani. Kiedy jednak zerknęła na Pauline, dostrzegła na jej twarzy dezaprobatę.

– Boi się pani, że Papa przegra? – zapytała, poważniejąc.

– Oczywiście! Jego przeciwnik przenosi fortepiany na plecach. – Mariella wstrzymała oddech. – Nie będę na to patrzeć – dodała Pauline, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.

Mariella miała zgoła odmienny zamiar. Szybko zaniosiła ręczniki do swojego pokoju i popędziła na przystań.

Przybiegła za późno – było już po walce. Zobaczyła tylko potężnego jak góra faceta, który leżał na pomoście, i wiwatujący tłum, poklepujący Papę po plecach. Na widok Marielli uśmiechnął się i podszedł do niej.

– Ten facet nosi na plecach fortepiany – oznajmił.

– Imponujące – mruknęła.

– Kiedy przyjeżdża twój żołnierz? Chętnie bym go znokautował.

Spojrzała na niego przez zmrużone powieki.

– Mój żołnierz nigdy nie przegrywa.

– Ja też nie, więc to powinien być piekielnie dobry mecz – odparł Papa na odchodnym.

Mariella z całej siły pragnęła, by Gavin przyjechał i dał Papie posmakować klęski, ale wciąż nie wiedziała, czy uda mu się wyrwać. Ta rozłąka ją dobijała. Od wielu dni nie dawał znaku życia i zaczynała się martwić, czy o niej nie zapomniał.

*

Wreszcie nazajutrz po południu ktoś zapukał do jej drzwi. Kiedy otworzyła, w progu stała jedna z pokojówek z telegramem w ręce.

Mariella drżącymi dłońmi rozłożyła kartkę.

Pierwszy weekend sierpnia. Wyrazy miłości, Gavin. Skakała po całym pokoju z radości. Wciąż nie potrafiła uwierzyć w dobre wiadomości.

Wybiegła z hotelu na przystań, bo wiedziała, że Papa pracuje na „Pilar”. Miała zamiar podkuczać mu, powyśmiewać się z jego strachu przed walką, ale kiedy dotarła na miejsce, spocona i zadyszana, ze zdziwieniem zobaczyła, że Hemingway wyszedł spod łodzi i patrzy na przystań, do której przybił właśnie niewielki samolot.

Wysiadła z niego Jane Mason.

Rozdział dwudziesty

Mariella stała na przystani i obserwowała Jane otoczoną wianuszkami mężczyzn. Jej włosy na tle opalonych adoratorów lśniły niczym korona z czerwonego złota. Była z nimi na rybach, zabiła rekina i złapała tuńczyka – zadziwiający wyczyn, zważywszy, że bez niej aż tyle im się nie udało. Ku zaskoczeniu Marielli Papa nie spijał z ust Jane każdego słowa, wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie zde gustowanego.

Ale wieczorem w barze po kilku drinkach zaczął traktować ją serdeczniej, co bardzo nie spodobało się Pauline. Tak manewrowała z siedzeniami, że Papa wylądował w kącie obok niej, choć kiedy poszła do toalety, jej miejsce natychmiast zajęła Jane. Mariella wzdrygnęła się, gdy Pauline wróciła do baru.

– Och, skarbie, to twoje miejsce? – zapytała Jane niewinnie.

– Możesz je zająć. Ja i mój mąż idziemy do łóżka.

Mariella zdziwiła się, bo tego rodzaju pewność siebie nie była w stylu Pauline. Papa roześmiał się i posadził sobie żonę na kolanach.

– Zostańmy na jeszcze jednego drinka, mamó – powiedział.

Mariella wypuściła dym, kręcąc głową. Nie powinien był tak mówić.

Pauline uwolniła się jednak z jego objęć, wygładziła sukienkę i powiedziała stanowczo:

– Chodźmy.

Barman musiał usłyszeć słowa Papy, ponieważ postawił przed nim pełną szklaneczkę, co mężczyzna przyjął za dobry znak.

– Popatrz, nie mogę marnować pełnego drinka. – Uniósł szklanekę i upił łyk.

Pauline wyszła bez słowa. Tak naprawdę nie musiała nic mówić. Wystarczyło jej spojrzenie. Mariella zgasiła papierosa i usiadła w pobliżu Papy i Jane. Ona też nie była jeszcze gotowa iść do pokoju.

– Będziesz miał z tego powodu kłopoty – powiedziała Jane.

– Nie, wszystko będzie w porządku – zapewnił.

Jane roześmiała się i zamówiła daiquiri.

– Świetnie się dzisiaj bawiłam na rybach, kochanie – oznajmiła.

– Jak za starych dobrych czasów.

– Chciałabym, żebyś mógł w tym roku pojechać z nami na safari. – Papa nie odpowiedział. Mariella spojrzała na niego i zobaczyła, że twarz mu pociemniała. Niebezpiecznie pociemniała. – Pan Cooper to świetny sportowiec – ciągnęła Jane jak gdyby nigdy nic. Papa osuszył szklanekę, patrząc przed siebie nieruchomym wzrokiem. Mariella wyczuwała emanujące od niego napięcie. Zastanawiała się, czy Jane też dostrzegła tę zmianę. – Afryka z nim była cudowną przygodą, kochanie, ale z

tobą byłoby wspanialej.

– Nie chciałbym być nigdzie indziej niż tu.

– Nawet ze mną?

– Miałaś pana Coopera, który cię zabawiał – odparł Papa przez zaciśnięte zęby. Jane ucichła, pewnie dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo się rozgniewał. Mariella zastanawiała się, kim jest ten pan Cooper, ale nie trzeba było być geniuszem, by zrozumieć, że Papa jest zazdrosny. – A przy okazji, jak twoje plecy? – zapytał. – Pilnujesz, żeby okna w domu były pozamykane?

Jane wyglądała, jakby ją spoliczkował. Mariella wstrzymała oddech.

Boże, ależ on potrafi być okrutny.

Stołek zazgrzytał po podłodze, gdy Jane wstała. Papa odprowadził ją wzrokiem; złapał przy tym spojrzenie Marielli, która nie kryła potępienia. Patrzył na nią przez całą minutę z twarzą wypraną z emocji. W myślach wyrzucała mu jego zachowanie i zdawało jej się, że słyszy, jak Papa się usprawiedliwia. W końcu odwrócił wzrok.

*

Mariella zajrzała do paczki papierosów. Został ostatni. Trzy wypaliła, czekając na przystani na samolot Gavina. Krążąc tam i z powrotem po pomoście, wodziła wzrokiem po niebie, choć widziała tylko strzępiaste cirrusy sunące wysoko nad błękitem wody. W końcu zapaliła ostatniego.

Tuż pod taflą wody przesuwały się potężne ciemne kształty. Mariella zadrżała, wiedząc, że rekiny zabijają czas do zapadnięcia nocy, kiedy wyruszą na polowanie. Ponad fale wyskakiwały mniejsze ryby. W duchu życzyła im powodzenia w ucieczce przed drapieżnikami.

Wreszcie rozległ się cichy warkot silnika i na niebie pojawił się samolot. Zaczęła podskakiwać, machając rękami jak szalona. Mężczyzna, który czekał w łodzi na Gavina, roześmiał się.

– Ładne powitanie! – zawołał do niej.

Pojaśniała, obserwując samolot gładko siadający na falach. Mężczyzna podpłynął, by odebrać przybysza. Kiedy Gavin do niej pomachał, miała ochotę skoczyć do wody, by szybciej się z nim spotkać. W końcu łódź dobiła do pomostu, Gavin wyrzucił worek i wyskoczył na ląd. Objął Mariellę i całując ją, zakreślił się wkoło. Gdy postawił ją z powrotem na ziemi, wziął jej twarz w dłonie.

– Zapomniałem już, jaka jesteś piękna. Nie pozwoliłbym ci wyjechać, gdybym zdał sobie z tego sprawę – powiedział, a ona roześmiała się i raz jeszcze go pocałowała. – Widzę, że ty też się cieszysz na mój widok. To znaczy, że mi ciebie nie odebrał.

Mariella przewróciła oczami.

– Och, proszę cię. Teraz jestem bardziej twoja niż kiedykolwiek wcześniej.

– To znaczy, że moje modlitwy zostały wysłuchane.
Zarzucił worek na plecy i trzymając się za ręce, ruszyli przystanią.

*

Gavin nie zatrzymał się w hotelu, ale wynajął mały, tani pokoik przy porcie. Uparł się, że sam za niego zapłaci.

Pani Duncombe, właścicielka hotelu Compleat Angler, tego wieczoru wydawała przyjęcie. Zaproszeni zostali wszyscy, od Marielli i Gavina do Ady Stern i Jane Mason.

Mariella pomagała personelowi hotelowej kuchni, podczas gdy jej ukochany poszedł się odświeżyć. Nauczyła się gotować potrawkę ze ślimaków i robić johnny’ego cake’a – smażyony chleb kukurydziany. Przygotowali też kraby, ryż i kilka gatunków ryb. Mariella nie została, by pomóc przy deserach, ponieważ musiała jeszcze ułożyć włosy Pauline, a poza tym chciała mieć trochę czasu, żeby się umyć i ubrać.

Gdy zbliżała się do pokoju Hemingwayów, usłyszała dobiegające ze środka podniesione głosy. Wzniosła oczy do nieba, zirytowana, że znowu trafiła na kłótnię Papy i Pauline. Nie wiedziała, co robić, stała na wień korytarzu, grając na czas.

– Ja po prostu mam wrażenie, że ona odbiera mi moją własność – powiedziała Pauline. – Żałuję, że tu przyjechała!

– Sama mówiłaś, żebym ją zaprosił – odparł wyraźnie rozdrażniony Papa.

– Wiem, ale wydaje mi się, że ona chce mnie wypchnąć z mojego życia.

– Co za idiotyzm. Skoro insynuujesz, że mnie zdobyła, to równie dobrze mogę ją bzyknąć. Przecież już mnie oskarżyłaś! – W pokoju na dłuższą chwilę zapadła cisza. – Co z ciebie za masochistka, że zaprosiłaś kogoś, kto cię tak unieszczęśliwia? – zapytał w końcu Papa.

– Myślałam, że powinnam sobie poradzić z moimi uczuciami wobec niej.

– Cóż, najwyraźniej jednak sobie nie radzisz. Więcej, sprawiasz, że to jest też mój problem, a mnie się to cholernie nie podoba. Chryste, przyjechałem tu odpocząć!

Mariella słyszała, jak Pauline wybucha płaczem. Nie chciała mijać okna ich pokoju, na palcach zeszła więc na plażę, by obejść hotel.

Rozmyślając o tym, co przed chwilą usłyszała, uznała, że Papa zachował się okrutnie, choć równocześnie zdawała sobie sprawę, że niepewność Pauline tylko pogarsza sytuację. Gdyby potrafiła zachować się stanowczo przy Jane i Papie, zdobyłaby kontrolę. Wnioskując z wczorajszej rozmowy Papy i Jane w barze, nie wątpiła, że nawet jeśli kiedyś byli kochankami, to teraz na pewno nimi nie są. Wyglądało raczej na to, że Jane ma romans z tym całym „panem Cooperem”.

Z niesmakiem myślała o zamężnej kobiecie, która zadaje się z innymi mężczyznami. Dlaczego Mason stoi z boku i pozwala żonie na zdrady? Po co w ogóle

brać ślub? Czy bogaci grają według innego zestawu reguł? A może jednak Pauline zasłużyła sobie na to? Przecież kiedy nawiązała romans z Papą, on był żonaty z Hadley.

Mariella poczuła, jak zalewa ją wstyd, że pozwalała sobie tak ryzykownie flirtować z Papą. Teraz cieszyła się, że ich relacja nigdy nie nabrała charakteru fizycznego. To była bardzo niebezpieczna gra.

Gdy zbliżała się do swojego pokoju, zobaczyła Papę. Trzasnęła drzwiami i zbiegł po schodach, nie zauważając jej. Poczekała, aż zniknie jej z oczu, i weszła do siebie.

Przebrała się w białoczerwoną suknię w kwiaty, upięła włosy i pomalowała usta. Szminka ostro kontrastowała z opaloną skórą i Marielli bardzo spodobał się ten efekt. Na koniec spryskała się perfumami, które zrobiła z jedną z kucharek. Kobieta pokazała jej, jak zmiażdżone kwiaty ardziji zmieszać z wódką i wodą, uzyskując lekki i słodki aromat.

Poszła do pokoju Hemingwayów. Nasłuchiwała chwilę, zanim zapukała. Zdawało się jej, że słyszy skrzyp sprężyn, po czym w progu stanęła Pauline. Oczy miała podpuchnięte, ubranie w nieładzie.

– Wejdz – powiedziała słabo.

W pokoju było ciemno. Powietrze przepęniał zapach człowieka, który po całym dniu spędzonym na łowieniu ryb wykapał się w oceanie. Mariella pomyślała, że odciąży hotelowy personel i sama tu posprząta.

– Musimy otworzyć okno i wpuścić świeże powietrze – powiedziała.

Pauline potaknęła bez słowa.

Mariella otworzyła drzwi i oba okna. Z podłogi pozbierała mokre ręczniki i powiesiła je na balustradzie werandy, wysypała na piasek zawartość popielniczki stojącej koło łóżka, po czym postawiła ją na stole na zewnątrz. Po powrocie do pokoju zauważyła piasek i wodorosty na kapie, zdjęła ją więc i solidnie wytrzepała na werandzie, a potem starannie przykryła nią łóżko.

Pauline obserwowała ją jak bezradne dziecko i Mariella uświadomiła sobie, że sytuacja jest bardziej tragiczna, niż przypuszczała. Poleciała Pauline, by poszła ubrać się do łazienki, a sama w tym czasie sprzątnęła brudne ubrania i na wpół opróżnione szklanki z alkoholem, rozstawione po całym pokoju. Ustawiła też przy drzwiach mokasyny Papy i espadryle Pauline.

Ujawszy się pod boki, powiodła wzrokiem dokoła i z zadowoleniem stwierdziła, że otoczenie wygląda dużo lepiej. Morskie powietrze przepędziło stęchliznę i najsilniejszym zapachem w pokoju był teraz przyjemny aromat oceanu.

Kiedy Pauline wyszła z łazienki, też wyglądała lepiej. Zmieniła podomkę na śliczną, długą do połowy łydki sukienkę z falującymi rękawkami. Umyła twarz i mokrym grzebieniem uczesała włosy. Usiadła przed toaletką, patrząc w lustro na Mariellę, która zaczęła nakręcać jej loki i mocować je spinkami.

– Nie wiem, czemu stałam się taka bezradna – powiedziała Pauline. Mariella pomyślała, że brzmi to bardziej jak pytanie zadane wszechświatowi niż początek rozmowy, więc milczała. – Pewnie przez sposób, w jaki zaczął się nasz związek – ciągnęła kobieta, patrząc Marielli prosto w oczy.

– A jak się zaczął? – zapytała Mariella, choć doskonale знаła odpowiedź na to pytanie.

– Był żonaty z Hadley, kiedy się w sobie zakochaliśmy. A teraz ciągle myślę, że jak się mną znudzi, zakocha się w innej. Szczęściara z ciebie, że masz swojego żołnierza. – Mariella w milczeniu układała jej włosy. Nie miała ochoty rozmawiać z Pauline ani o Gavinie, ani o Papie. Nie wiedziała, jak powinna zareagować, choć Pauline wyraźnie szukała pociechy. – Widziałas ich oboje. Myślisz, że on kocha Jane?

Dziewczyna zastanawiała się nad odpowiedzią, nie chciała bowiem zdradzić zbyt wiele ze swoich spostrzeżeń. Gdyby powtórzyła to, co podsłuchiwała w barze, potwierdziłaby, że w swoim czasie coś było między Papą a Jane. A przecież nie o to chodziło.

– Myślę, że Jane narzuca się ludziom – odparła dyplomatycznie. – Jest urocza i piękna, mężczyźni na to reagują, ale nie sędzę, że Papa ją kocha. On kocha panią.

– Wiem – przytaknęła Pauline. – Nie mam pojęcia, dlaczego chciałam zaprosić Jane na wyspę. Chyba próbowałam udawać, że wszystko jest w porządku. A teraz nie potrafię sobie z tym poradzić.

– Kiedy wyjeżdża?

– W przyszłym tygodniu, dzięki Bogu.

– To dobrze. Nie będzie pani musiała więcej się martwić. – Stała przed Pauline, oceniając swoje dzieło. – Mam panią umalować?

– Nie, moja droga, idź do swojego chłopaka. Nacieszcie się sobą.

Mariella poczuła, jak zalewa ją wdzięczność.

– Dziękuję, pani Hemingway. Proszę poczekać, aż włosy trochę wyschną, zanim wyjmie pani spinki.

Ruszyła w stronę drzwi, ale zatrzymał ją głos Pauline:

– Wiesz, Mariello, muszę cię przeprosić. Podejrzywałam, że między tobą a Papą coś jest. – Mariella spuściła wzrok na buty. Ze wstydu piekła ją twarz, ale stała w cieniu i liczyła, że Pauline tego nie dostrzeże. – Teraz myślę, że zazdrość podsuwała mi najdziwniejsze pomysły. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Niezdolna wykrztusić słowa, Mariella kiwnęła głową, odwróciła się i wyszła.

*

Wieczorem Hemingwayowie z gronem przyjaciół zebrali się w barze. Oprócz nich było też kilku miejscowych, para z wielkiego, eleganckiego jachtu i Gavin. Mariella przedstawiła go Pauline, Jinny i Dos Passosom. Jane i Jinny były nierozłączne, Papa i

Pauline natomiast siedzieli nadąsani na końcu baru. Gavin od razu poczuł się swobodnie w towarzystwie Johna i Katy, którzy zaprosili ich do swojego stolika. Johna interesowała praca Gavina przy Overseas Highway.

– Bardzo lubiłem jeździć pociągiem na Key West – powiedział John. – Nic nie da się porównać ze spoglądaniem na wodę z wysokości sześćdziesięciu metrów. To było jak latanie.

– Tam, gdzie się da, wykorzystujemy tory, ale nie wszystkie są w dobrym stanie – odparł Gavin.

– Szaleństwem wydaje się myśl, że te drogi wytrzymają sztormy, które szaleją na Keys – odezwała się Katy. – Obawiam się, że nic nie przyjdzie z waszej harówki.

– Przynajmniej pracuję – powiedział Gavin. – Na północy nie miałbym na to szansy. Chociaż trudno poradzić sobie z ludźmi.

– Weterani ciągle wszczynają awantury w mieście – stwierdziła Katy.

– Ja znalazłam porządnego – wtrąciła Mariella. – Ale to wyjątek. – Gavin wziął ją za rękę i pocałował w policzek.

– Niestety, wielu z nas ma poważne problemy – powiedział. – Pijaństwo, bójki, nerwice frontowe.

– Tyle lat po wojnie... To takie smutne – zauważyła Katy.

Podszedł do nich Papa, odwrócił krzesło i wcisnął się między Gavina a Katy. Był pijany.

– Coś tu za poważnie – oznajmił, stawiając szklankę na stole.

– Rozmawiamy o weteranach na Matecumbe – wyjaśnił John.

– Aha. I jak traktuje was wuj Sam?

– Jakby się cieszył, że jesteśmy tak daleko od Waszyngtonu, jak to tylko możliwe.

– Tak myślałem – powiedział Papa. – Nigdy nie wierz rządowi. Ale dość gadania o poważnych sprawach. Lepiej porozmawiajmy o boksie.

Słyszając to, mężczyźni stłoczyli się wokół nich, a Kate poszła usiąść koło Pauline, która sączyła dzin, przyglądając się Jane rozmawiającej z Jinny.

Na stole przed Gavinem wylądowały dwa dziesięciodolarowe banknoty. A po nich dwudziestka. Mężczyźni robili zakłady, stawiając na wszelkie możliwe kombinacje.

– Papa nigdy nie przegrywa – powiedział John.

– Gavin też nie – odparł Papa.

– Papa znokautował miejscowego gościa, który na plecach przenosi fortepian.

– Zwycięzca bierze wszystko – powiedział mężczyzna z jachtu, rzucając dwadzieścia dolarów. – Jedna runda, nokaut, wygrywa Papa.

– W takim razie kiedy walka? – zainteresowała się Mariella.

– Jutro o dziewiątej rano – zdecydował Papa. – Na przystani, na którą przypłynąłeś. – Gavin z powagą pokiwał głową, upijając spory łyk. – Oszczędzę twój twarz – dodał Papa.

– Tym niech się pan nie przejmuję. I tak jestem już naznaczony – odparł Gavin.

Mariella spojrzała na bliźnię przecinającą jego twarz, a potem na Papę.

– Jak z panem skończy, też może pan taką mieć – powiedziała zadziornie.

– Oho! – wykrzyknęli chórem mężczyźni.

Twarcz Papy wykrzywił grymas.

– Myślisz, że on wygra? – zapytał.

– Jestem tego pewna – odparła Mariella przy kolejnym okrzyku tłumu.

– Ile stawiasz?

Gavin pomyślał, że Mariella nie powinna obstawiać walki. Zdawał sobie sprawę, że Papa próbuje wpędzić ją w kłopotliwą sytuację, ponieważ przegrał konkury. Mariella wyjęła jednak z kieszeni pieniądze i położyła je na środku stołu.

– To moja pensja za ten miesiąc – oznajmiła, patrząc ostro na Papę. – Trzy rundy, nokaut.

– Nie rób tego. – Gavin wyciągnął rękę, próbując przesunąć pieniądze z powrotem do niej.

– Już to zrobiła – powiedział Papa. – Nie może się wycofać.

Wstał i z hukiem postawił szklankę na pieniądzech. Nie odrywał wzroku od Marielli, dysząc ciężko i zaciskając pięści. Gavinowi ta postawa się nie spodobała, więc wstał ostrzegawczo. W sali zapadła cisza, wszyscy patrzyli na nich w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń.

– Możesz wstrzymać się do rana, żołnierzu? – zapytał Papa, drżąc ze zdenerwowania.

– Skoro pan może – odparł Gavin spokojnie.

Hemingway znów się skrzywił, po czym wyszedł z baru. Chwilę potem barmani wysunęli się przed kontuar i zaczęli jedną ze swoich idiotycznych piosenek: „Wielki Człowiek i Żołnierz, będzie walka, będzie walka!”.

Gavin usiadł obok Marielli, podczas gdy goście obstawiali zakłady. Do stołu podeszła Jane w towarzystwie Jinny i rzuciła na blat dwadzieścia dolarów.

– Trzy rundy. Nokaut. Na Papę.

John poszedł po kopertę, do której włożył pieniądze i skrupulatnie zapisał wszystkie zakłady. Zakleił ją, schował do tylnej kieszeni i wyszedł wraz z Katy i Pauline.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał Gavin. – On nigdy nie przegrywa.

– Wiem, że wygrasz – odparła.

– To było głupie. Stracisz zapłatę za całe lato. Cholera, nie potrzebuję dodatkowej presji.

– Przepraszam, ale nie mogłam znieść jego arogancji.

– I teraz twoją pensję zabiorą ci bogacze.

– Nie myśl o tym w ten sposób.

– Wiesz, dlaczego wygra? – zapytał. – Bo teraz musi coś udowodnić. Bo mnie nienawidzi. Bo chce ci zaimponować. Rzuciłaś wyzwanie jego męskości, a czegoś takiego nie robi się Ernestowi Hemingwayowi bezkarnie.

Mariella wyjęła papierosa z paczki, którą przywiózł jej Gavin, odpała, podała mu, po czym zapaliła drugiego dla siebie.

– Mylisz się, kochany.

Pokręcił głową, wziął ją za rękę i wyszli na werandę.

Na ławce siedziały Jinny i Jane. Ta ostatnia opierała się o swoją towarzyszkę, jedną ręką gładząc ją po nodze, a w drugiej trzymając papierosa. Jinny szepnęła jej coś do ucha i Jane wybuchnęła śmiechem. Sprawiała wrażenie, że zaraz pocałuje Jinny, ale odwróciła się ku Marielli i Gavinowi.

– Dziewczyno – powiedziała.

– Ma na imię Mariella – skorygowała przeciągle Jinny, śmiejąc się w obłoku snującego się przed jej twarzą dymu.

– Mariella – powtórzyła Jane. – Masz jaja. To mi się podoba. – Gavin dostrzegł zdumienie na twarzy Marielli. – Jesteś jedyną spośród znanych mi kobiet, która potrafi go przerazić. – Jane przeniosła wzrok na Gavina, zaciągając się głęboko. – Skop mu dupę, zrób to dla mnie i dla swojej dziewczyny, kochanie.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparł.

– Nie postawiłam na ciebie, ale chcę, żebyś wygrał.

– Mariella – powtórzyła Jinny i ze śmiechem opróżniła szklanekę.

– Dobranoc – rzuciła Mariella i pociągnęła Gavina ku schodom. Odprowadzał ich głos Jinny, powtarzającej imię Marielli w ten przeciągły, kpiący sposób.

*

Zostawili buty na ostatnim stopniu i zeszli na piasek. Gavin podwinął nogawki spodni, wziął Mariellę za rękę i ruszyli ku linii wody. Księżyc mrugał zza grzbietów fal, przecinanych wielkimi płetwami polujących rekinów.

– Domyślam się, że na tej wyspie nie ma nocnych kąpiei nago – powiedział Gavin.

– Nie, chyba że chcesz wrócić bez istotnych części ciała – odparła Mariella, a gdy roześmiał się głośno, dodała: – Tak miło tego słuchać. Zwykle rzadko śmiejesz się na głos.

– Zwykle nie mam wielu powodów do śmiechu. Ale mój Boże, poza tym, że jutro będę miał rozkwasoną twarz, dobrze mi tu z tobą.

Przytuliła się do niego.

– Tak się cieszę, że przyjechałeś. Boję się tylko, że ten weekend minie, zanim zdążymy się zorientować.

– Owszem, ale już za dwa tygodnie wrócisz do domu i znowu będziemy razem.

– Tęsknię za mamą i dziewczynkami. Widziałeś się z nimi od mojego wyjazdu?
– Widziałem – odparł krótko. Za krótko.
– Co u nich? Mama nigdy nie była dobra w pisaniu listów... – Gavin milczał i Mariella wyczuła w nim napięcie. Nie miała pojęcia, co to może oznaczać. – O co chodzi? – zapytała, zatrzymując się.
– Nie będę kłamał – westchnął. – Na początku było źle.
– Dlaczego? Co się stało?
– Lulu miała gorączkę i twoja mama już chciała do ciebie napisać, ale Estelle namówiła ją, żeby sprawdziła, czy jestem u Johna. Na szczęście byłem.
– Co zrobiłeś?
– Uspokoilem twoją mamę i przekonałem, żeby postąpiła jak zwykle. W końcu wezwaliśmy lekarza. Pomógł i gorączka na drugi dzień ustąpiła.
Mariella poczuła, jak w poczuciu winy ściska się jej żołądek.
– Nie powinnam była ich zostawiać.
– Wręcz przeciwnie. Twoja mama musi się nauczyć, jak znowu być mamą. – Mariella milczała. Wiedziała, że ma rację. – I lepiej sobie radzi. Panuje nad sytuacją. Wprowadza pozytywne zmiany... – Urwał i Mariella wyczuła kolejne kłopoty.
– O co tym razem chodzi?
– Jestem przekonany, że ci się to spodoba, ale po części będziesz zła.
– Boże, o czym ty mówisz? – Niepokój w jej sercu narastał gwałtownie.
– Pozwól, że najpierw powiem ci, że cię kocham i moim zdaniem wynikną z tego tylko dobre rzeczy.
– Mów wreszcie!
– Chciałem ci powiedzieć, ale nie w telegramie ani w liście...
– Gavin, jeśli natychmiast mi nie powiesz, jeszcze dziś będziesz miał rozkwaszoną twarz.

Spojrzał na nią i roześmiał się.

– Dobrze, już dobrze. Widzisz, myślę, że twoja mama i John zakochali się w sobie.

Mariella spojrzała na ocean. Na myśl o matce umawiającej się na randki ogarnął ją niepokój. Jakby zdradzała ojca. Nie chciała stracić matki w chwili, gdy ją odnalazła. Potem jednak pomyślała o Johnie i jej serce wypełniła bezbrzeżna miłość. Pragnęła, by był szczęśliwy, pragnęła, by Eva była szczęśliwa. A dziewczynki polubiły go od pierwszej chwili. John miałby kogoś jeszcze poza Gavinem, kogoś, kto by się nim opiekował. A jej rodzina nie potrzebowałaby jej tak bardzo jak teraz.

Spojrzała na Gavina.

– Widziałam to już tamtej nocy w waszym domu – powiedziała z uśmiechem. – Kiedy się zegnaliśmy. Uściskali się wtedy. Myślę, że to może być najlepsza rzecz, jaka przydarzyła się mojej rodzinie od długiego czasu.

Mężczyzna objął ją, uniósł w powietrze i radośnie zakołysał w ramionach. Kiedy

Mariella znów stanęła na ziemi, pocałował ją delikatnie, najpierw w usta, potem w szyję. Kiedy odchyliła głowę, zobaczyła wysoko nad nimi księżyc i pomyślała, że nigdy nie była bardziej szczęśliwa.

– Wiesz, co powiedziała Lulu, kiedy wszystkie trzy przyszły na lunch do Johna? – zapytał. – Że twoja mama mogłaby wyjść za Johna, ty za mnie i wymienilibyśmy się domami.

– Naprawdę Lulu tak powiedziała? – Mariella roześmiała się. – A wy co na to?

– Twoja mama i John byli zbyt zajęci ukrywaniem rumieńców, żeby się odezwać. Ja powiedziałem, że to świetny pomysł.

– Gavinie Murray, czy w ten sposób prosisz mnie o rękę?

– Jeszcze nie. – Mariella otworzyła usta, udając zszokowaną, i wymierzyła mężczyźnie kuksańca. – Hej, spokojnie! – zawołał. – Nie bij mnie przed jutrzejszą walką.

– Więc dlaczego ze mnie kpisz?

– Chciałem tylko zobaczyć twoją reakcję. Poza tym muszę zarobić trochę pieniędzy, żebym mógł cię utrzymać.

– Nie bądź taki praktyczny – szepnęła i musnęła ustami jego szyję. – Zbyt długo nie dam rady na ciebie czekać.

Gavin jęknął i pocałował ją mocno.

– Ja też nie.

– Mam nadzieję – odparła z żarem w głosie.

Ruszyli na pomost, gdzie w rytm fal kołysała się zacumowana „Pilar”. Mariella położyła dłoń na burcie i zamknęła oczy.

– Brakuje ci wody – powiedział Gavin.

– Okropnie – przyznała.

– John mówił mi, co chcesz robić. – Mariella otworzyła oczy i spojrzała na Gavina. Czekala, aż powie jej, co sądzi o firmie wynajmującej łodzie. – Myślę, że to świetny pomysł. Uda się.

Nagle zrozumiała, że rzeczywiście się uda. Po raz pierwszy potrafiła to sobie wyobrazić. Jasno i wyraźnie. Uda się. Zbyt wzruszona, żeby się odezwać, przeniosła wzrok na „Pilar”.

Gavin stanął za nią, objął ją w talii i zaczął całować jej kark. Poczula, jak każdy nerw w jej ciele drży rozpalany jego ciepłym oddechem. Odwróciła się i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Chciałbyś to ze mną zrobić? – zapytała nagle.

– Tutaj? – Zaśmiał się cicho i Mariella znów szturchnęła go w bok. – Bardzo bym chciał, ale mielibyśmy mnóstwo drzazg. – Po kolejnym kuksańcu uwolniła się z jego objęć, ale przyciągnął ją do siebie, pocałował i powiedział: – A tak poważnie, miałem nadzieję, że to powiesz. Zawsze chciałem pracować na wodzie, ale uznałem, że to

beznadziejne, wzięwszy pod uwagę, jak fatalnie radzą sobie rybacy. Ale dzięki twoim związkom z bogaczami poprzez Hema nawet przy obecnym kryzysie to się może udać.

– Jest tylko jeden mały problem – powiedziała Mariella.

– Łódź – dokończył za nią Gavin.

Kiwnęła głową.

– Próbowałam oszczędzać, kiedy jeszcze żył tata, ale czynsz i opieka nad rodziną szybko opróżniły moją skarbonkę. Mam jakieś trzydzieści dolarów. To znaczy do jutra, kiedy pokonasz Tłustego Flejtucha.

– Mam trochę oszczędności – powiedział Gavin, zaśmiewając się z przezwiska, jakie wymyśliła dla Hemingwaya. – Będziemy dalej oszczędzać i uda nam się.

Odgłosy pijackiej kłótni zwróciły ich uwagę na plażę.

– Wracajmy – powiedziała Mariella. – Jutro wielki dzień.

Gavin wziął ją za rękę i wrócili do hotelu. Pożegnał ją pod drzwiami pokoju kolejnym pocałunkiem, który sprawił, że trudno jej było się od niego oderwać. Gdy w końcu zamknęła drzwi i otworzyła okno, wsunął głowę do środka i znowu ją pocałował, a potem ruszył po schodach. Po kilku krokach zawrócił, żeby dać jej ostatniego całusa. Schodził po schodach tyłem, nie odrywając od niej wzroku, i na ostatnim stopniu potknął się. Mariella parsknęła śmiechem, a Gavin teatralnie położył dłoń na sercu. W końcu odwrócił się i ruszył ku drodze prowadzącej do jego hotelu. Patrzyła za nim, póki nie zniknął jej z oczu.

Nad morzem zadudnił grzmot i zerwał się wiatr. Mariella roztarła zmarznięte ramiona i położyła się do łóżka.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Zaciągnięte chmurami poranne niebo groziło deszczem. Mariella obudziła się wcześniej, spięła włosy i poszła do jadalni, by pomóc przy śniadaniu. Szybko znalazła wspólny język z personelem hotelu i mogłaby sobie wyobrazić, że tu pracuje, gdyby tak wiele nie trzymało jej na Key West. Właścicielka hotelu, pani Duncombe, była bardzo sympatyczna i życzliwa. Wcale jej nie dziwiło, że Hemingwayowie przywieźli na Bimini swoją gospodynię i kazali jej pracować w hotelu.

– Dzisiaj wielka walka, co? – zapytał kucharz Laney, potężny Bahamczyk o głębokim głosie.

– O tak – odparła podekscytowana Mariella.

– Twój chłopak i Tłusty Niechluj? – Zaśmiała się. Personel nazywał tak Papę ku rozbawieniu jego i całej reszty od czasu, gdy znokautował Knappa. – Są jakieś szanse na wygraną twojego chłopaka?

– Nigdy dotąd nie przegrał, więc szanse są spore.

– Tłusty też nie, w dodatku powalił Williego Saundersa.

– Nawet mi nie przypominaj... – zachnęła się i pomogła Laneyowi przy kawie, jajkach i krojeniu ananasa.

Goście wcześniej przyszli na śniadanie i w sali uniósł się gwar. Papa przyszedł z plaży po porannym pływaniu, wciągając baskijską pasiastą bluzę i przeczesując palcami włosy. Mrugnął do Marielli i usiadł przy stoliku z Dos Passosami. Śmiał się głośno z czegoś, co powiedziała Katy – wyglądało na to, że jest w doskonałym nastroju.

Mariella ze zdenerwowania nie potrafiła nic przełknąć, więc poszła na przystań dodać otuchy Gavinowi. Był tam, razem z większym niż zwykle tłumkiem miejscowych, którzy grali w kości i śmiali się hałaśliwie. Powietrze aż iskrzyło od zbliżającej się burzy i wyczekiwania na walkę.

– Jezu, wieści szybko się rozchodzą – powiedział Gavin.

Mariella przewróciła oczami, sięgając do kieszeni. Wyjęła z niej króliczą łapkę.

– Na szczęście.

– Nie wiedziałem, że jesteś przesądna.

– Nie jestem, ale Papa dał mi tę łapkę i powiedział, że przynosi szczęście.

– Nie wierzę ani w szczęście, ani w pecha – oznajmił Gavin. Mariella wzruszyła ramionami i schowała łapkę do kieszeni. – Ale poczekaj, przypominam sobie, jak ktoś mówił o przynoszących szczęście całusach.

Uśmiechnęła się i pocałowała go, zachęcana aplauzem miejscowych. Odskokzyła, gdy poczuła, że przystań drży. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła Papę. Szedł dumnie na czele swojej świty. Tego poranka wyglądał jak szczęśliwy król. Na jego

widok Mariellę opuściła pewność siebie.

Podszedł i uściśnął dłoń Gavinowi.

– Przepraszam za wczorajszy wieczór – powiedział.

– Niepotrzebnie.

– Jeśli jesteś gotów zapomnieć o całej tej głupocie, możemy po prostu pójść na drinka i mieć to z głowy.

Mariella znów poczuła się pewniej. Czyżby Papa był nerwowy?

– To zależy od pana – odparł grzecznie Gavin.

Pomyślała, że postąpił sprytnie, posyłając piłeczkę na połowę Papy. Jeśli teraz się wycofa, wyjdzie na tchórza.

– W takim razie walczymy – zdecydował Hemingway. – W rękawicach czy bez?

– Bez.

Przez tłum przeszedł nerwowy szmer i Mariella się wzdrygnęła. Papa rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć, że próbował uniknąć starcia.

Tłum rozstał się, robiąc miejsce na prowizoryczny ring. Mariella powiodła wzrokiem po zebranych. Jane mrugnęła do niej, zaciągając się papierosem, i Mariella natychmiast pożałowała, że swoją paczkę zostawiła w pokoju, Pauline wyglądała na niespokojną. Na plaży synowie Papy boksowali się i przewracali do wody pod pełnym dezaprobaty wzrokiem Ady. John wyciągnął zegarek i oznajmił, że będzie odmierzał czas podczas trzymiutowych rund. Obok niego stała Katy, obgryzając paznokcie.

Walka się zaczęła.

Papa i Gavin okrążali się powoli, każdy usiłował zmusić przeciwnika do wykonania pierwszego ruchu. Trwało to tak długo, że z tłumu rozległy się gwizdy, co skłoniło Papę do działania. Wymierzył silny cios w twarz Gavina, ten jednak uchylił się i hakiem uderzył go w szczękę. Papa jęknął, a wraz z nim zebrani.

Zrobił krok w tył, potem w przód i wycelował tym razem w brzuch przeciwnika. Gavinowi zabrakło tchu, ale szybko odzyskał panowanie nad sobą i zdołał uniknąć ciosu w prawy policzek. Znowu zaczęli się okrążać. Gavin wyprowadził cios w twarz, Papa zbyt wolno odwrócił głowę i dostał. Policzek momentalnie mu spuchł.

Chłopcy przestali się bić i głośno dopingowali ojca, pozostali kibicowali jednemu i drugiemu. Mariella pomyślała, że chyba wszyscy z wyjątkiem Pauline chcieliby zobaczyć Papę znokautowanego, ale nikt nie ośmielił się wyrazić tego na głos.

John ogłosił koniec pierwszej rundy. Mariella podała Gavinowi wodę, Pauline wytarła krew z twarzy Papy. Mężczyźni szybko wrócili na ring i rozpoczęła się druga runda.

Papa oszalał. Czerwień krwi na białym ręczniku musiała rozpalić w nim dzikie instynkty i uświadomić powagę sytuacji. Wyglądał jak byk trafiony szpadą na korridzie – rozwścieczony i gotowy rozszarpać przeciwnika na strzępy.

Zaatakował Gavina krótką serią praworęcznych ciosów, po których chciał wymierzyć lewy prosty, ale chybił. Kolejny cios, prawy hak, lekko trafił Gavina w bok i dał mu szansę na uderzenie przeciwnika w twarz. Rana na twarzy Papy powiększyła się, a on sam był coraz bardziej wściekły. Uderzył Gavina w pierś. Mężczyzna zatoczył się, ale zaraz odzyskał równowagę i szybko okrążył przeciwnika. Papa, który wyprowadził wiele mocnych ciosów, oddychał teraz ciężko. Do końca rundy obchodzili się tylko i zadawali lekkie ciosy.

Z chmur, które od jakiegoś czasu gromadziły się na niebie, nagle lunęło jak z cebra. Gavin odchylił głowę, rozkoszując się kroplami, które chłodziły jego ciało. Mariella znowu podała mu szklanekę i pocałowała dla otuchy.

– Jeszcze raz uderz go w policzek – poradziła.

Gdy wrócili na ring, tłum falował z podniecenia. Wyczuwali gniew Papy i wiedzieli, że przestaje nad sobą panować, zaczynali więc dopuszczać możliwość, że Gavin zwycięży. Mariella poczuła w żołądku przyjemnie łaskotanie i nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

John dał znak do walki. Gavin zrobił krok i Papa go zaatakował. Poruszał się ociężale, ale pięści miał mocne. Gavin błyskawicznie uchylał się przed ciosami. Trafił Papę w bok, lecz ten zrewanżował mu się ciosem w szczękę, choć pięść zsunęła się po mokrej od deszczu skórze.

Gavin zaczynał odczuwać zmęczenie i zdawał sobie sprawę, że Papa także traci siły, zdecydował się więc na uderzenie w twarz. Zadał dwa krótkie ciosy z lewej i jeden z prawej, który trafił w zakrwawiony policzek Papy. Widzowie jęknęli i rozległy się krzyki.

Z głośnym warknięciem i furią w oczach Papa cofnął się i uderzył Gavina prosto w twarz.

Mariella widziała to jakby w zwolnionym tempie. Usłyszała trzask pękającej kości i straszliwy huk, z jakim głowa padającego na plecy Gavina uderzyła w pomost. Nogi miała jak z ołowiu, nie była w stanie się ruszyć. Widzowie ucichli. Słyszać było tylko fale rozbijające się o falochron i szum deszczu.

W końcu podbiegła do Gavina i położyła jego głowę na swoich kolanach. Z nosa płynęła mu krew, oczy miał zamknięte. Z przerażeniem pomyślała, że nie żyje. Papa machając w powietrzu dłonią, ukląkł obok nich. Widać było, że on także się martwi. Otoczył ich krąg widzów. Mariella czuła, jak po policzkach toczą się jej gorące łzy.

– Nic mu nie jest? – zapytał Papa.

Przycisnęła palce do nadgarstka Gavina i odetchnęła z ulgą, gdy wyczuła puls. Zebrani głośno odetchnęli, kiedy powoli uniósł powieki.

– Tłusty Niechluj – mruknął. Papa i Mariella uśmiechnęli się, a tłum zawiwatował. Hemingway pomógł Gavinowi wstać i poklepał go po plecach.

– Nie powtarzajmy tego może – powiedział.

Wtedy podbiegła do nich Pauline i dała Gavinowi ręcznik, by powstrzymał krwotok z nosa. Mężczyzna chwiał się nieco, usiadł więc na odwróconej dnem do góry łódce.

Chłopcy pokrzykiwali na plaży, nie wiadomo, czy bardziej zachwyceni wyczynem swego wspaniałego ojca, czy możliwością niekontrolowanej zabawy w deszczu. Przez tłum przecisnęła się Ada. Odebrała Gavinowi ręcznik i wepchnęła w rękę piersiówkę.

– Pij – poleciła. Posłusznie upił spory łyk i zatelepał się. – Podziękujesz mi później – dodała, po czym przycisnęła mu ręcznik do nosa i jednym niespodziewanym szarpnięciem ustawiła kość na miejscu. Zebrani wstrzymali oddech, a Gavin o mało nie zemdlał, ale Papa i Mariella zdążyli go podtrzymać. Potem Ada odwróciła się i odeszła bez słowa.

– Tłusty Niechluj... – sapnął znowu Gavin, odprowadzając kobietę wzrokiem.

Papa ryknął śmiechem. Przepełniona ulgą Mariella także się roześmiała.

– Chodźmy – powiedział Hemingway. – Schowajmy się przed deszczem.

*

Przez otwarte okno wpadał świeży zapach deszczu. Gavin leżał na łóżku Marielli i wpatrywał się w sufit. Nos pulsował bólem i było mu niedobrze. Miał nadzieję, że aspiryna, którą przyniósł mu Papa, niedługo zacznie działać. Mariella leżała obok i trzymała mu na nosie kostki lodu owinięte w ręcznik. Po chwili podniosła pakunek.

– Opuchlizna już zesza – oceniła. – Mam teraz przyprowadzić Adę, żebyś mógł jej podziękować?

Gavin zerknął na nią z ukosa.

– Najchętniej bym ją znokautował.

– Przykro mi, ale masz większą szansę na pobicie Papy. – Roześmiał się, ale zaraz z grymasem bólu dotknął nosa. Mariella znowu położyła na nim lód. – Naprawdę wyświadczyła ci przysługę – dodała.

– Wiem, przynajmniej zrośnie się prosto. Gdybym do tej paskudnej blizny zafundował sobie jeszcze krzywy nos, pewnie byś mnie rzuciła.

Odłożyła ręcznik na nocny stolik i pochyliła się nad Gavinem. Przesunęła palcem po bliźnie i delikatnie pocałowała go w kącik ust, gdzie się kończyła.

– Nie, dzięki niej wyglądasz na twardszego. Poza tym nie możemy pozwolić, żebyś był ładniejszy ode mnie.

Odgarnął jej kosmyk włosów z oczu i założył za ucho.

– Przykro mi, że straciłaś swoje pieniądze – powiedział poważnie.

– Przestań. Wszystko ułożyło się idealnie.

– Co? – W jego oczach dostrzegła zdziwienie.

– Naprawdę. Po pierwsze, cała ta podróż była zabawą. Prawie nie pracowałam. Przykro mi, że nie mogę posłać pieniędzy do domu, ale po powrocie będę pracować

dwa razy więcej. Po drugie, wyobraź sobie, co by się stało, gdybyś pokonał Papę. Myślisz, że dobrze by to przyjął?

– Nie, ale w ostatecznym rozrachunku co mnie to obchodzi?

– A powinno, ponieważ teraz on cię lubi i czuje się za ciebie odpowiedzialny. Szanuje cię, że się nie wycofałeś i że o mało go nie znokautowałeś. Teraz w barze zawsze będzie ci stawiał kolejkę i wyśpiewywał pochwały na twoją część. Gdybyś go pokonał, stałby się podły jak zmija.

– Chyba masz rację – przyznał Gavin. – Ale to gówniany charakter.

– Gówniany czy nie, Papa już taki jest.

Za oknem zadudnił grzmot. Mariella odwróciła się, by popatrzeć na błyskawicę, a Gavin przytulił się do jej pleców. Leżeli tak, wpatrzeni w strugi deszczu, aż oboje zasnęli.

*

W porze kolacji niebo się przejaśniło. Wszyscy mieli doskonałe humory. Jedli, pili, śmiali się, palili i znowu pili. Jane zbierała gratulacje za wygraną. Papa chełpił się nokautem, choć przyznawał też, że Gavin był godnym przeciwnikiem, i chętnie opowiadał jego walkach w Key West. Rozmowa o sporcie szybko zmieniła się w rozmowę o wojnie. Zebrani spoważniali, gdy Papa przepowiedział, że Stany Zjednoczone wezmą udział w drugiej wojnie światowej, i to wcześniej niż później. Mariella zadrzała na tę myśl i uważniej wsłuchiwała się w dyskusję, ale nagle poczuła, jak ktoś delikatnie ciągnie ją za rękę. To była Jane. Głową dała znak, by Mariella wyszła z nią na werandę. Tam poczęstowała ją papierosem i obie oparły się o balustradę. Milczenie kobiety wprawiało Mariellę w zakłopotanie.

– Mam nadzieję, że możemy zostać przyjaciółkami – powiedziała wreszcie. Mariella nie miała pojęcia, jak zareagować na tę propozycję, więc po prostu się uśmiechnęła. – Zdaję sobie sprawę z tego, że mnie nie lubisz, ale chcę, żebyś wiedziała, że nie jestem kochanką Papy. – Marielli wydawało się, że Jane zawiesiła głos, jak chciała dodać „już”, ale tego nie zrobiła. – Nie mogę znieść myśli, że ludzie tak uważają. – Mariella od razu pomyślała, że przez „ludzi” Jane rozumie Pauline i pewnie chce, żeby jej to powtórzyła. – Kocham go, ale nie tak, jak sądzisz. Przypuszczam, że kocham go tak samo... jak ty.

Mariella odwróciła głowę. Zdenerwowało ją, że Jane dostrzegła jej uczucia do Papy, nieważne, czy były jeszcze aktualne, czy nie. Nie chciała, by ta kobieta ją oceniała.

– Dlaczego pani mi to mówi? – zapytała. – Jestem tylko służącą.

– Nie, o nie. – Jane energicznie pokręciła głową. – Ty jesteś czymś więcej. Potrafisz nad nim zapanować.

– Nie wydaje mi się, by ktokolwiek to potrafił.

– Nie w dosłownym znaczeniu. Chodzi mi o to, że on cię szanuje i lubi w dobry, zdrowy sposób. Chciałabym cię prosić o jedno. – Jane zaciągnęła się głęboko dymem i spojrzała na ocean. Gwar w barze przybrał na sile, barmani znowu śpiewali o Wielkim Tłustym Niechłuju. Uśmiechnęła się do siebie i podjęła: – Wiesz, między nami też kiedyś tak było. Ale pozwoliłam, byśmy posunęli się za daleko. – Odwróciła twarz i spojrzała na Mariellę. – Nie pozwól, by tobie też się to przydarzyło. Trzymaj go na odległość ramienia, nie tylko ze względu na siebie czy Pauline, ale ze względu na niego. On potrzebuje dobrych, prawdziwych przyjaciół. I wraz z upływem lat będzie ich potrzebował coraz bardziej. Nie sądzę, by wiek dobrze się z nim obchodził.

– Dlaczego pani to mówi?

– Definiuje siebie poprzez swoje wysportowane ciało, pisanie, siłę i kiedy pewnego dnia wszystko to zniknie, nic mu nie zostanie. Zbyt wiele osób do siebie zraża i za bardzo polega wyłącznie na sobie. Żałuję, że nie mogę być jego przyjaciółką, ale ta szansa odeszła bezpowrotnie. – Słowa Jane sprawiły, że Mariella poczuła chłodny dreszcz. Rzeczywiście nie potrafiła wyobrazić sobie Papy inaczej jak opalonego na brąz półboga stojącego na pomoście. – Będiesz jego przyjaciółką, Mariello?

Głos Jane drżał i Mariella poczuła szczere wzruszenie. Nie była pewna, czy w pełni rozumie sens jej słów, ale pojmowała ich powagę i to, że pochodziły z dobrego źródła.

– Będę – odparła.

Jane uśmiechnęła się, ocierając łzę z policzka.

– Dobra z ciebie dziewczyna.

Marielli ścisnęło się gardło, choć nie rozumiała dlaczego. Pragnęła wrócić do Gavina. Jane pochyliła się i pocałowała ją w czoło. Potem wyrzuciła papierosa i poszła do swojego pokoju. Mariella odprowadziła ją wzrokiem, po czym wróciła do baru. Rozejrzała się i zobaczyła, że Gavin i Papa stoją nachyleni ku sobie i z ożywieniem rozmawiają – pewnie o wojnie albo o polityce. Pauline i Jinny śmiały się i tańczyły, a chłopcy skakali wokół nich radośnie. John i Kate, przytuleni, tańczyli wolno w kącie.

Poczuła, że głęboko kocha tych ludzi, i nagle ogarnęła ją melancholia z powodu kończących się wakacji. Niedługo wszyscy stąd wyjadą i wrócą do zwykłych obowiązków. Gavin w tygodniu będzie pracował w obozie, zacznie się pora huraganów. Zamiast radości, że wakacje jeszcze trochę potrwają, ogarnął ją strach przed ulotnością chwili. Pomimo wielkiej tęsknoty za rodziną zasmucała ją bolesna świadomość, że ci ludzie nigdy więcej nie spotkają się razem na tej wyspie, gdzieś na krańcu świata.

*

Gavin i Mariella rozpalili ognisko na plaży w pewnej odległości od hotelu, nie chcieli bowiem, by ktoś im przeszkadzał. Przytuleni do siebie, siedzieli na kocu, całowali się i obserwowali gwiazdy. Na krótko zasnęli, ale owady strasznie żądliły, więc musieli się rozstać, choć nie przyszło im to łatwo.

Po powrocie do pokoju Mariella przebrała się w nocną koszulę, uczesała włosy i położyła się do łóżka. Kątem oka dostrzegła na nocnym stoliku kopertę, a na niej czerwony kwiat hibiskusa. Usiadła, odsunęła kwiat i otworzyła kopertę.

W środku były wszystkie pieniądze, które obstawiła przed walką.

Rozdział dwudziesty drugi

Mariella ze smutkiem patrzyła, jak samolot podrywa się z morza, po czym maleje na tle błękitnego nieba, zabierając Gavina do miejsca, za którym tak tęskniła. Bała się powrotnego lotu i wiedziała, że będzie się niepokoić o Gavina, dopóki nie dostanie od niego wiadomości. Długo stała samotnie na końcu pomostu, przypominając sobie jego pocałunki i rozpaczliwie żałując, że nie mogła polecieć z nim.

Tęsknota za matką i siostrami zmieniła się w fizyczny ból. Mariella martwiła się, czy u matki znowu nie nastąpił regres. Brakowało jej wyjść z dziewczynkami na plażę, wieczornego czytania bajek Estelle i rysowania z Lulu. Brakowało jej Johna.

Nastrój na Bimini uległ zmianie. Po Gavinie wyjechała Jinny, a zaraz potem Jane.

Wszyscy poszli odprowadzić ją na przystań.

– Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę was wszystkich na Kubie – powiedziała. – Mam nadzieję, Mariello, że ty też przyjedziesz.

Mariella oczywiście chętnie pojechałaby na Kubę, może nawet zdołałaby odszukać rodzinę matki, nie miała jednak zbyt wiele czasu na takie myśli, bo dostrzegła, że Pauline zalała się rumieńcem gniewu.

– Co to znaczy? – zwróciła się do Papy.

– Jane była taka miła i zaprosiła nas w sierpniu na Kubę na łowienie marlinów – odparł. – Będę mógł zostawić „Pilar” z Carlosem na porę huraganów.

Zdawało się, że nagle cały świat ucichł. Nawet fale nie odważyły się szumieć zbyt głośno.

– Zamierzałeś to ze mną omówić? – zapytała Pauline. – Muszę przygotować chłopców do szkoły, wybrać odpowiedni czas na wizytę u mojej rodziny w Arkansas, zaplanować podróż do Nowego Jorku.

– Cóż, nie musisz jechać – rzucił beczelnie.

Mariella wzdrygnęła się. Papa najwyraźniej nie dbał o to, czy rani żonę. Można było wręcz odnieść wrażenie, że rozmyślnie próbuje ją zdenerwować.

Pauline przez chwilę wpatrywała się w męża, a potem przeniosła wzrok na Jane. Ta zaś podeszła do niej i ścisnęła ją za ramiona.

– Naprawdę liczę, że będziesz mogła z nami pojechać – powiedziała ze szczerością w głosie. – Bez ciebie to już nie będzie to samo. – Pocałowała Pauline w policzek, po czym odwróciła się i wsiadła do samolotu.

Zawiązała jeszcze na włosach chusteczkę, mrugając do Marielli znacząco. Pomachała do zebranych z elegancją i wdziękiem gwiazdy filmowej, gdy samolot startował. Po kilku minutach zniknął im z oczu.

Mariella ruszyła do hotelu. Pragnęła jak najszybciej oddalić się od Pauline i Papy. Już po paru krokach usłyszała ich krzyki. Nie rozumiała słów, ale i bez tego

wiedziała, co Pauline mówi.

*

Dni stały się nieznośnie długie i gorące. Temperatura osiągała rekordowe wysokości, wiatr prawie nie wiał, a komary wszystkich wprawiały w fatalny humor. Urok wyspy bladł wraz z kolejnymi sprzeczkami. Pauline rzadko odzywała się do Papy, który był w szczególnie podłym nastroju. Nie miał książki, która zajmowałaby mu czas, ryby nie brały, a i „Pilar” stroiła fochy.

Wkrótce Mariella dostała list od Gavina, którego treść niemożliwie wręcz ją udręczyła.

7 czerwca 1935

Kochana Mariello!

Tak mi przykro, że Ci o tym piszę, ale muszę z kimś porozmawiać. W zeszłym tygodniu, kiedy bawiłem się z Tobą w tropikalnym raju, jeden z moich ludzi wszedł pod pociąg jadący na Key West. Świadcami tego zdarzenia był prawie cały oddział. Mówili, że poczekał, aż pociąg nadjedzie, wszedł na tory w chwili, kiedy maszynista nie dał już rady zwolnić, i podniósł rękę. Zginął na miejscu.

Na imię miał Fred. Zdawałem sobie sprawę, że od jakiegoś czasu ma problemy. I wiem, że miał nerwicę wojenną, ale nie rozumiałem, jak bardzo poważny jest jego stan. A może rozumiałem, a mimo to zostawiłem go samego. Powinienem być zapewnić mu pomoc, gdy pojawiły się znaki ostrzegawcze, a teraz jest za późno. Kiedy zamykam oczy, widzę straszne obrazy, wyobrażam sobie, jak musiał wyglądać ten wypadek, i nie potrafię się od nich opędzić.

Zastanawiałem się, czy wysłać Ci ten list, ale uznałem, że powinnaś się o tym dowiedzieć, zanim wrócisz do domu i zobaczysz, że rozpadłem się na kawałki. Kiedy modlę się za duszę Freda, na myśl przychodzisz mi Ty, jakby Bóg chciał mi powiedzieć to, co już wiem: jesteś dla mnie drogą do spokoju i dobra. Po Twoim powrocie nigdy nie pozwolę Ci o tym zapomnieć. W każdej godzinie dnia będę Ci powtarzał, jak wiele dla mnie znaczysz, aż oboje się zestarzejemy i posiwiejemy, a Ty nie będziesz już mogła dłużej tego słuchać.

Kocham Cię

Gavin

Schowała list do koperty i drżącymi rękami odłożyła ją na nocny stolik. Wsunęła się pod kołdrę, ale tej nocy prawie nie zmrzyła oka.

Do stanu graniczącego z histerią doprowadził ją telegram, który nadszedł nazajutrz.

Lulu jest chora. Proszę, wróć do domu. Mama.

Mariella bez pukania wpadła do pokoju Hemingwayów. Pauline przerwała malowanie paznokci, a Papa spojrział na Mariellę znad okularów.

– Muszę wracać do domu – powiedziała. – Lulu jest chora, mama przysłała mi telegram.

Papa odłożył gazetę.

– Dzisiaj jest wtorek, Mari, następny samolot odleci w piątek. Czy w telegramie było coś więcej?

– Nie. – Gwałtownym ruchem podała mu kartkę, walcząc ze łzami.

Papa przeczytał wiadomość, zdjął okulary i potarł oczy. Potem spojrział na Mariellę i oznajmił:

– W takim razie jedziemy.

– Dzisiaj? – zapytała ostro Pauline.

– Dzisiaj to niestety niemożliwe – odparł. – Mam trochę roboty na „Pilar” i modłę się do Boga, żeby jacht poradził sobie z rejsem powrotnym. Ale na pewno nie możemy czekać do piątku. Sprawa wydaje się nagląca.

Mariella rzuciła mu się na szyję z takim impetem, że o mało nie przewróciła go razem z krzesłem. Pauline tymczasem podeszła do okna i spojrzała na baraszkujących w falach chłopców. – Nie wiem, jak w takim krótkim czasie spakujemy wszystkie rzeczy – powiedziała, nie odwracając się. – A przecież kilka dni nie robi różnicy. Wszak stan twojej siostry często się pogarsza, prawda?

W Marielli wezbrała panika. Nie chciała błagać, ale naprawdę musiała wrócić do domu. Od poniżenia uratował ją Papa.

– Powiedz Adzie, żeby zaczęła pakować chłopców. Naszymi rzeczami zajmiesz się, kiedy wyschnie ci lakier na paznokciach. O ile to nie jest za duży kłopot – zakończył sarkastycznie.

Mariellę ogarnęły wdzięczność i ulga, które jednak zniknęły bez śladu, kiedy zobaczyła wzrok Pauline. Ostatni raz widziała to jadowite spojrzenie skierowane na Jane Mason.

*

Pomogła Adzie, a potem spakowała swoje rzeczy i poszła wysłać telegram do Gavina. Prosiła, żeby sprawdził, co się dzieje u Evy i dziewczynek, złożyła kondolencje z powodu samobójstwa weterana i zapewniła, że po powrocie może liczyć na jej wsparcie.

Przygotowania nie zajęły jej wiele czasu, więc czekanie na wyjazd było straszne, zwłaszcza w obliczu otwartej wrogości Pauline. Ironia losu, że akurat wtedy, gdy

Mariella otrząsnęła się z zadurzenia w Hemingwayu, Pauline tak bardzo się na nią gniewała. Postanowiła nie wchodzić jej w drogę i miała nadzieję, że po powrocie na Key West humor Pauline się poprawi.

W nocy nie mogła zasnąć. Żarliwie modliła się o zdrowie dla Lulu, o szybki powrót do domu na „Pilar” i o to, by Pauline nie żywiła do niej nienawiści. Sen w końcu przyszedł, ale wypełniały go koszmary.

Śniło jej się, że Gavin zachorował. Miał gorączkę, z nosa płynęła mu krew. Jego ręka zwisała z łóżka, tatuaż z datą 11.11.18 wyglądał jak wykrzyknik. Kiedy się odwróciła, w drugim łóżku zobaczyła rozpaloną Lulu. Zaraz też się zorientowała, że ma na sobie biały fartuch. Była pielęgniarką w szpitalu wojennym. Za jej plecami ktoś jęczał – to był John, z jego czerwonych kikutów tryskała krew. Krzyknął i złapał się za uda, a lekarz próbował go uspokoić. Chciała uciec, ale wtedy zobaczyła ojca. Leżał na noszach, mokry, siny i zimny. Pielęgniarka przykryła jego ciało i dwaj mężczyźni wynieśli nosze.

Obudził ją dudniący za oknem grzmot. Koszmar i upał sprawiły, że była zlana potem. Okno przypominało otwarte usta łapiące powietrze, ale do pokoju wpadał tylko szum fal.

Leżała, próbując wymazać sen z pamięci, ale wyraziste obrazy wciąż stawały jej przed oczami. Wstała i poszła do łazienki, gdzie spryskała twarz zimną wodą. Potem podeszła do okna. Gdzieś daleko nad zatoką niebo przecięła błyskawica, głęboki grzmot wolno toczył się ku wyspie. Na linii wody Mariella dostrzegła samotną postać. Wytężyła wzrok: to był Papa. Wpatrywał się w błyskawice i ocean. Plecy miał zgarbione, a ręce splecione na piersiach. Sprawiał wrażenie bardzo samotnego.

Niewiele myśląc, poszła do niego.

Schody prowadzące na plażę wciąż były rozgrzane od słońca, najłżejszy wietrzyk nie przynosił ulgi. Mariella klepnęła się w kark, czując, że przysiadł na nim komar. Papa usłyszał plaśnięcie i odwrócił się do niej. Bez słowa stanęła przy jego boku.

– Nie możesz spać? – zapytał.

– Straszne sny. A pan?

– Nie potrafię zasnąć, więc nawet nie mam okazji się przekonać, czy przyśnią mi się koszmary. Światło księżyca mnie męczy.

– Nocą wszystko jest gorsze.

– To prawda. Nie martw się o Lulu. Zawieziemy cię do niej.

– Musi być naprawdę źle, skoro mama przysłała telegram.

– Ona cię potrzebuje, Mari. Nie powinniśmy byli zabierać cię od niej na tak długo.

– To była wspaniała podróż. Nie wiem, czy podziękowałam panu jak trzeba. Nie musiał mnie pan zabierać.

– Wiem, ale bez ciebie pobyt tutaj nie sprawiłby mi takiej przyjemności. – Westchnął i przeczesał włosy dłońmi.

– Co się stało? – zapytała Mariella.

– Słowa zaczynają do mnie wracać, ale kiedy siadam, nie potrafię przenieść ich na papier.

– Kiedy wróci pan do domu i stałego rozkładu dnia, znowu się pojawią.

– A jeśli nie?

– To napisze pan o Key West, o tym, co pan tu robi, i przekona się, czy wyjdzie z tego opowiadanie.

– Zastanawiam się nad opowiadaniem o morskim przemytniku alkoholu. Mam już sporo szczegółów. Zobaczę, dokąd to mnie doprowadzi.

– Kończy się dobrze?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem, czy w to wierzę.

– Chryste, Papa, przyszedł, żeby lepiej się poczuć, a to mi wcale nie pomaga.

Hemingway roześmiał się, obejmując ramiona Marielli.

– Mógłbym cię pokochać, Mari, wiesz? – Niedaleko brzegu z morza wynurzył się rekin, jego płetwa leniwie kreśliła zygzaki na powierzchni wody. Mariella poczuła na stopach muśnięcie ciepłej fali. – Jestem zmęczony upałem i latem. Widziałaś kiedyś, jak zmieniają się pory roku?

– Nie. Od zawsze mieszkam na Key West.

– Boże, człowiek nie zna życia, dopóki nie zobaczy, jak na północy liście zmieniają kolor. Jesienią muszę to zobaczyć. Chciałbym, żebyś była tam ze mną.

– Kiedyś zobaczę. Jest mnóstwo rzeczy, które chcę zobaczyć. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak wygląda śnieg.

– Najlepsza w śniegu jest cisza. Otula świat i tłumi odgłosy. Założę się, że nigdy nie słyszałaś takiej ciszy, jaką powoduje solidna warstwa śniegu.

Mariella próbowała sobie to wyobrazić, ale słyszała tylko szept oceanu. Papa zniżył dłoń, obejmując ją w talii, a ona położyła mu głowę na ramieniu. Pomyślała, że gdyby przed przyjazdem tutaj taka scena przyszła jej do głowy, serce wyrwałoby się jej z piersi. W tej chwili czuła tylko serdeczne przywiązanie. Przypomniała sobie słowa Jane i teraz w pełni je zrozumiała. Wiedziała, że Papa też zawsze będzie jej przyjacielem.

Rozdział dwudziesty trzeci

Key West

„Pilar” przybiła do przystani po dwudziestosześciodzinnym rejsie, który rozpoczął się poprzedniego dnia przed północą. Jacht wymagał więcej zachodu, niż Papa przypuszczał, ale przez cały dzień ciężko pracował z Carlosem i Mariellą, aż doprowadzili go do stanu pozwalającego na wypłynięcie. Pauline powiedziała, że powinni poczekać z wyjazdem do następnego dnia, jednak Papa, widząc minę Marielli, nie chciał nawet o tym słyszeć. Kazał położyć chłopców spać, by obudzić ich, gdy przyjdzie pora.

Pora przyszła o północy.

„Pilar” piła olej jak smok; nie ulegało wątpliwości, że potrzebny jest jej generalny remont silnika. Podczas rejsu Papa był zły i humorzasty, więc wszyscy starali się trzymać od niego tak daleko, jak tylko było to możliwe na małym jachcie. Chłopcy marudzili, wszyscy potrzebowali snu. Mariella martwiła się strasznie i jej napięcie udzielało się pozostałym. Wyczuwała też niechęć Pauline, ale miała nadzieję, że po powrocie do domu jej nastawienie się zmieni.

Pauline odprawiła ją, gdy tylko przybili do przystani. Papa protestował, że dziewczyna nie powinna włóczyć się sama po ulicach o pierwszej w nocy, ale Mariella odeszła, zanim zdążył wygrać ten spór.

Biegła z workiem objającym się jej o bok. Czuła wielką radość z powrotu do domu, ale miała też dziwne wrażenie, jakby była w obcym miejscu. Po raz pierwszy w życiu towarzyszył jej strach. Budynki okrywał cień, w nielicznych oknach paliły się światła. Miasto sprawiało wrażenie opuszczonego i Mariellę przeszedł dreszcz.

Gdy w końcu w zasięgu wzroku pojawił się jej dom, zerwała się do biegu. Oblana potem, popędziła po rampie prowadzącej do frontowych drzwi. Zauważyła, że John istotnie spędza tu czas, ale nie zastanawiała się nad tym długo. Przede wszystkim musi zobaczyć Lulu.

Rzuciła worek na ganek i przystanąła, by wyrównać oddech. W pierwszym pokoju i w kuchni nikogo nie było. Wszędzie panował bałagan, zasłony były zaciągnięte, powietrze stęchłe. Talerze z wyschniętymi resztkami jedzenia zapełniały stół i blaty, na podłodze leżały stosy brudnych ubrań, rośliny w oknie uschły, a z popielniczki koło fotela matki wysypywały się pety.

Serce ścisnęło się jej na ten widok.

Poszła do swojego pokoju. Estelle siedziała na materacu i kołysała się miarowo.

Widząc starszą siostrę, zerwała się na nogi. Mariella przytuliła ją, wdychając słodki aromat zaplecionych w warkocz włosów.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam – szepnęła. – Jak się czuje Lulu?

Estelle milczała, choć za odpowiedź wystarczyło jej zachowanie. Mariella położyła siostrę na materacu i przykryła. Potem poszła do pokoju matki.

Nie paliło się światło, ale mimo mroku widziała, że Eva klęczy koło łóżka i odmawia cicho różaniec. Poza tym słychać było tylko wysilony, urywany oddech Lulu. Matka jej nie zauważyła, a Mariella nie chciała jej straszyć, więc tylko delikatnie położyła jej dłoń na ramieniu. Eva skoczyła na równe nogi. Potem objęła córkę i rozpłakała się.

– Ona umiera... – wyszeptała. – Nic nie możemy poradzić. Lekarz powiedział, że nic się nie da zrobić.

Mariellę ogarnął nagły gniew na lekarza i na Evę. Odsunęła matkę na bok i usiadła na łóżku, kładąc dłoń na czole Lulu. Było rozpalone.

– Dlaczego nie zrobiłaś jej zimnej kąpieli? – zapytała.

– Tak strasznie się wtedy trzęsie.

– Ale to jedyny sposób. Jej ciało potrzebuje pomocy, żeby zbić temperaturę.

Wpadła do łazienki i odkręciła kurek. Potem wróciła do pokoju, delikatnie podniosła Lulu i nakazała matce przynieść lód. Dziewczynka jęczała, gdy Mariella ją rozbierała.

Zaniosła Lulu do łazienki i włożyła do wanny. Odetchnęła z ulgą, gdy siostra z krzykiem zaczęła się rzucać. To dobrze, że tak reaguje. Szepcząc, trzymała ją, póki Lulu się nie uspokoiła. W końcu otworzyła oczy: były podkrążone i przekrwione, ale patrzyła prosto na Mariellę. Dziewczynka zamrugnęła, a po jej buzi przemknął uśmiech.

– Mari wróciła – szepnęła i znowu zamknęła oczy. Mariella roześmiała się krótko, czując, jak pod powiekami wezbrały jej łzy.

– Czy przed chwilą coś powiedziała? – zapytała Eva, wchodząc do łazienki. Mariella kiwnęła głową, wycierając oczy. – Nie odzywała się od wielu dni.

Lulu zaczęła gwałtownie dygotać, więc Mariella wyjęła ją z wody i owinęła w ręcznik, który leżał na podłodze, wciąż wilgotny po czyjejs kąpieli. Spojrzała na matkę z naganą.

– Nie odchodziłam od jej łóżka – powiedziała Eva. – Nie miałam czasu na sprzątanie.

Mariella pomyślała, że dom wygląda, jakby nikt w nim nie sprzątał od dawna, a nie od kilku dni, ale zachowała to dla siebie. Zaniosła Lulu do pokoju, położyła ją do łóżka i troskliwie okryła. Zmoczyła niewielki ręcznik, z którego zrobiła okład na czoło siostrzyczki, a do jej ust wsunęła kostkę lodu. Po kilku minutach Lulu zasnęła.

– Co dokładnie powiedział lekarz? – zapytała Mariella.

– Że nic nie może zrobić.

– My nie możemy nic zrobić czy on?

Eva sprawiała wrażenie zdezorientowanej. Mariella jęknęła – była zła, że tak długo niepokoiła się stanem Lulu, podczas gdy działo się to, co zwykle, że zmusiła Hemingwayów do nagłego opuszczenia Bimini i dwudziestosześciodzinnego irytującego rejsu, choć sprawa wcale nie była pilna.

– Tak mi przykro... – powiedziała niepewnie Eva. Mariella była zbyt wyczerpana, żeby się kłócić. Potarła skronie i spojrzała na matkę. Sądząc z wyglądu, od wielu dni się nie kąpała, suknię miała brudną, włosy tłuste, a oczy podkrążone. Z jej twarzy odczytywała cierpienie i ogarnęło ją współczucie. Zwykle to ona opiekowała się Lulu podczas ataków choroby, więc przed wyjazdem powinna była zostawić matce dokładniejsze instrukcje. Ale szczerze cieszyła się z powrotu do domu. Objęła matkę i uściskała. – Jestem szczęśliwa, że już jesteś – powiedziała Eva.

Mariella cofnęła się i z uśmiechem odparła:

– Ja też.

Eva wzięła jej twarz w dłonie i spojrzała w oczy.

– Życie na wyspie dobrze ci robi. Wyprawa była cudowna?

– O tak. – Mariella ziewnęła.

– Na pewno jesteś wyczerpana. Połóż się tutaj, a ja się prześpię w fotelu. Jutro opowiesz mi o Bimini.

Mariella nie protestowała, że zmęczenia aż kręciło się jej w głowie. Wsunęła się pod pościel obok Lulu. Dziewczynka nie była już tak rozpalona jak wcześniej, choć gorączka nie ustąpiła. Mariella nasłuchiwała jej oddechu. Był spokojniejszy, ale wciąż urywany. Przez chwilę obserwowała, jak jej klatka piersiowa unosi się i opada. A potem sama zapadła w sen.

*

Gwałtownie zerwała się ze snu. Coś się zmieniło, w pokoju panowała grobowa cisza. Nie słyszała chrapliwego oddechu Lulu.

Odwróciła się do siostry, przerażona tym, co może zobaczyć. Przez zasłony sączyły się promienie wschodzącego słońca, ale Mariella widziała tylko zarys sylwetki Lulu. Nie słyszała oddechu. Dotknęła jej ręki. Była zimna.

Do oczu napłynęły jej gorące łzy.

– O Boże... nie, nie, nie, błagam, nie!

Wsunęła dłoń pod koc i położyła na klatce piersiowej siostrzyczki. Wtedy poczuła delikatne bicie, nieznaczny ruch.

Gorączka minęła.

Z twarzą zalaną łzami odmówiła modlitwę dziękczynną. Nigdy w życiu tak się nie bała i nigdy w życiu nie czuła takiej ulgi. Usiadła i czekała, aż się uspokoi; nie chciała

przerazić matki. W końcu na palcach wyszła z pokoju, bo przekazać dobrą nowinę.

Eva była w kuchni, smażyła jajka. Estelle siedziała przy stole. Naczynia były pozmywane, brudne ubrania uprzątnięte, a popielniczka opróżniona. Mariella zauważyła, jak bardzo Estelle wyrosła i wyładniała podczas jej krótkiej nieobecności, i po raz pierwszy od wielu dni odprężyła się.

Zapach szynki sprawił, że zaburczało jej w brzuchu. Estelle odwróciła się, słysząc skrzypnięcie desek pod stopami Marielli. Podeszła do siostry i uściskała ją.

– Przepraszam, że wcześniej nie posprzątałyśmy – powiedziała Eva. – Gavin twierdził, że przyjedziesz dopiero jutro, a nie chcieliśmy niepokoić Lulu. Tu naprawdę było czysto, zanim zachorowała...

– Przestań – przerwała jej Mariella. – Nic się nie stało.

– Gavin naprawił różne rzeczy – dodała Eva.

Mariella ucieszyła się, że jej obawy były bezpodstawne. Rozejrzała się i zobaczyła dobudowane do sofy stoliki i naprawioną siatkę przeciw komarom na drzwiach.

Rozległo się pukanie i w progu pojawili się Gavin i John. Mariella i Eva podbiegły do nich ze śmiechem. Gavin przytrzymał drzwi, żeby John mógł przejechać przez próg.

– Jak się trzymasz? – zapytała Mariella, obejmując ukochanego. Gdy się odsunęła, zauważyła, że ma ciemne kręgi pod oczami.

Gavin na moment opuścił wzrok.

– Teraz, kiedy wreszcie wróciłaś, o wiele lepiej.

– Jesteś tutaj, nie w obozie?

– Wracałem, żeby dowiedzieć się, co u Lulu. Nie cierpię tam być, więc kiedy szef ma jakąś sprawę do załatwienia poza obozem, zgłaszam się na ochotnika. Ale niestety po południu muszę wracać.

– Dziękuję, że tu przychodziłeś – powiedziała Mariella. – W nocy gorączka Lulu ustąpiła.

– Dzięki Bogu – odparł Gavin.

Eva uściskała Johna i nieśmiało się cofnęła. Najwyraźniej między tymi dwójkiem nie padły jeszcze żadne wyznania. Mariella zrobiła krok, by też przywitać się z Johnem, i wtedy jej uwagę zwrócił wiszący na ścianie obraz. Przedstawiał łódź jej ojca zacumowaną w przystani o zachodzie słońca. Poczwała, jak gardło ściska jej wzruszenie.

John dostrzegł, na co patrzy Mariella.

– Mam nadzieję, że ci się podoba – powiedział.

– Skąd... – Nie była w stanie wydobyć z siebie słów.

– Gavin zabrał mnie na cmentarzysko koło mariny i pokazał mi łódź – wyjaśnił John. – Chyba nie masz nic przeciwko temu.

– Której mariny? Tu, na Key West?

W pokoju zapadła cisza. Mariella podeszła do ściany i położyła dłoń na obrazie. Targały nią emocje, a nie chciała, by pozostali to widzieli. Potem pojawił się gniew. Kiedy Gavin się dowiedział, że łódź tam jest? Dlaczego jej o tym nie wspomniał? Dlaczego szukał bez porozumienia z nią? Czuła się zdradzona i nie mogła na to nic poradzić.

Eva przerwała napięcie, ogłaszając, że śniadanie niedługo będzie gotowe. Potem wyszła zajrzeć do Lulu. Mariella próbowała złapać wzrok Gavina, ale ten najwyraźniej jej unikał.

Po chwili do pokoju wróciła Eva z Lulu na rękach. Dziewczynka od razu usadowiła się Marielli na kolanach. Karmiąc siostrzyczkę, nadal bezskutecznie usiłowała odnaleźć wzrok Gavina; pomyślała, że sprawia wrażenie winnego. Miała nadzieję, że łódź znalazł dopiero niedawno i po prostu nie zdążył jej o tym powiedzieć. Ale John zdążył namalować i oprawić obraz, a to na pewno wymagało czasu. Czy wiedział już, kiedy przyjechał na Bimini? Dlaczego trzymał to przed nią w sekrecie?

Lulu zjadła i Mariella posadziła ją matce na kolanach, a sama zajęła się sprzątnięciem ze stołu. Gdy odkręciła wodę w zlewie, Gavin stanął koło niej i szturchnął ją lekko. Spojrzała mu w oczy. Czoło miał zmarszczone i wyglądał na skruszonego.

– Chciałem ci powiedzieć... – Urwał, bo Lulu pociągnęła go za rękę. Podniósł dziewczynkę, a Mariella wróciła do zmywania. – Tak się cieszę, że lepiej się czujesz, Lu. – Gavin zaczął ją łaskotać. Mała wiła się i piszcziała, nadal jednak tuląc się do niego.

– Hej, Gavin – odezwał się John. – Przykro mi to mówić, ale jeśli szybko nie wyjdziemy, nie zdążysz na prom.

Gavin postawił Lulu na podłodze i spojrział na zegarek.

– Faktycznie musimy już iść – powiedział. Objął Mariellę i pocałował w policzek. Dłonie miała pokryte pianą, serce pełne zamętu, w odpowiedzi tylko kiwnęła głową. – Boże, nienawidzę rozstań.

Mariella znów poczuła pod powiekami gorące łzy. Unikała wzroku Gavina, kryjąc przed nim twarz. Nie wiedziała nawet, czy ma prawo się gniewać, a nie chciała dodawać mu kolejnych powodów do zdenerwowania po samobójstwie tamtego weterana. Była wściekła, że nie może z nim spokojnie porozmawiać. W końcu jednak zapanowała nad swoimi emocjami i odparła:

– Ja też.

Gavin zawahał się, a potem pocałował ją w głowę i odszedł.

Rozdział dwudziesty czwarty

Nazajutrz rano Mariella wróciła do domu Hemingwayów. Panowała w nim pełna napięcia cisza. Papa zaszył się w pracowni, próbując przywrócić zerwaną łączność z muzą. Chłopcy bawili się ciężarówkami na trawniku. Pauline instruowała Jima, gdzie ma zasadzić krzewy, które wybrał na południowy trawnik. Usiłując zetrzeć plamy z rybiej krwi, słonej wody i inne pamiątki z Bimini, Mariella na tarze zdarła sobie palce do krwi. Pasiaste bluzy Papy i spodnie khaki wisiały na sznurze niczym duchy.

Choć wcześniej nie mogła doczekać się powrotu, teraz marzyła o szczęśliwych dniach na Bimini i dręczyła się obrazem namalowanym przez Johna. Była zła na wszystkich, choć tak naprawdę nie wiedziała, czy ma rację. Zdawała sobie sprawę, że jest zazdrosna, bo życie na Key West toczyło się przez jakiś czas bez niej; nie była dla rodziny tak niezbędna, jak jej się wydawało, choć często miała tego dość. Ale zazdrości towarzyszyły też złość i ciekawość, bo rodzina wiedziała o Halu coś, o czym nikt jej nie powiedział. Miała wrażenie, jakby ukrywali przed nią ważną informację, i czuła żal. Rozpieściły ją te tygodnie lenistwa i prywatności na Bimini, a teraz ma czerwone i opuchnięte od gorącej wody palce, smaży się w słońcu na podwórku, robiąc pranie, znowu jest tylko jedną ze służących. Była zmęczona, bo w nocy źle spała, dziewczynki rzucały się, wierciły i krzyczały przez sen. Złościła się na Gavina, a równocześnie za nim tęskniła.

A do tego łaknęła towarzystwa Papy.

Wyjdź i porozmawiaj ze mną, nakazywała mu w myślach, patrząc gniewnie na zamknięte drzwi pracowni, ale na próżno.

– Mariella! – usłyszała krzyk Isabelle i przewróciła oczami, wykręcając ostatnie z kąpielówek Papy. Powiesiła je na sznurze, wytarła dłonie w fartuch i poszła do kuchni.

– Słucham?

– Jesteś zajęta? – zapytała Isabelle.

– Uch... tak.

Kobieta ujęła się pod boki.

– Patrzcie no, jaka pyskata. Teraz jesteś ponad domowe prace?

– Przepraszam – jęknęła Mariella. – Mam dzisiaj straszny dołek.

– Też bym miała, gdybym przez całe lato łowiła ryby z Papą, a potem musiała wrócić do roboty – odparła wyrozumiale Isabelle. – Idź na przystań i kup świeże ryby na kolację. – Uszczypnęła Mariellę w policzek i wróciła do krojenia warzyw.

Kiedy Mariella wychodziła z kuchni, wdzięczna, że ma coś do załatwienia poza domem, na dół zbiegł Papa. Na jego widok humor jej się poprawił, ale on wpadł na nią, o mało nie zwalając jej z nóg, i nawet nie przeprosił. Wpatrywał się w kartkę,

którą trzymał w dłoni. Ponownie przygnębiona, Mariella zdjęła fartuch i rzuciła go na krzesło. Nie starała się nawet cicho zamknąć za sobą drzwi.

*

Chmury zasłaniały słońce, choć nadal było gorąco. Zerwał się wiatr i Mariella przeklęła go w duchu, że nie pojawił się wcześniej, kiedy robiła pranie na podwórku. Ulice były dziwnie ciche i puste. Podmuch pognał gazetę na pień pigwicy, nagłówek wielkimi czarnymi literami krzyczał: REKORDOWE BEZROBOCIE. Zza płotu dobiegło warczenie, dwa kundły z obnażonymi kłami walczyły ze sobą. Mariella przeszła na drugą stronę i skręciła w Virginia Street. Nadkładała drogi, ale nie musiała się śpieszyć z powrotem, a poza tym miała ważny powód. Chciała się przekonać, czy łódź jej ojca rzeczywiście jest przy starej marinie.

Kątem oka dostrzegła bezdomną kobietę człapiącą po przeciwnej stronie ulicy. Spalona słońcem i pomarszczona, miała na sobie brudną koszulę bez rękawów i długą, zbieraną spódnicę, która niegdyś mogła być jasnoniebieska, ale teraz przybrała bezbarwny odcień tkaniny noszonej dłużej, niż przewidywał okres użytkowania. Wiatr niósł słowa piosenki, którą śpiewała: *Nobody knows the trouble I've seen*. Mariella z wysiłkiem oderwała od niej wzrok i przyśpieszyła kroku.

W marinie rzeczywiście było niewielkie cmentarzysko zniszczonych łodzi i Mariella dziwiła się samej sobie, że nie pomyślała, by wcześniej tu zajrzeć. Matka powiedziała wprawdzie, że łodzi nie ma na Key West, ale i tak powinna była tu przyjść.

Zardzewiała brama wyglądała na zamkniętą, wystarczyło jednak mocne pchnięcie, by otworzyła się z przykrym, raniącym uszy odgłosem metalu przesuwającego się po utartej ścieżce. Mariella wytarła w suknię płatki rdzy z dłoni i powoli weszła na cmentarzysko.

Wszędzie dokoła jak pozostałości po strasznym sztormie leżały łuszczące się, zniszczone łodzie, zardzewiałe śruby i beczki, potłuczone szyby. O starego forda bez kółek opierała się łódź rybacka. Jej nazwa „Leniwe dni” nabrała w tej scenerii nowego, zapewne niezamierzonego znaczenia.

Pomiędzy większymi łodziami Mariella dostrzegła skiffa, był taki malutki pośród starych olbrzymów, że zrobiło się jej go żal. Pogładziła go po dziobie, ale gwałtownie cofnęła dłoń, gdy w palec wbiła się drzazga. Wyciągnęła ją zębami i wypluła, śmiejąc się w duchu z tego, jak personifikuje kawałki drewna i resztki śrub. I wtedy przed sobą zobaczyła kuter ojca. Zabrakło jej tchu.

Dno było popękane w miejscu, gdzie uderzyło o skały, silnik zniknął. Mariella z trudem stawiała kroki, nogi miała jak z ołowiu. W końcu przestała próbować i tylko patrzyła na łódź.

„ForEva”2.

2 Gra językowa: „ForEva” – „Dla Evy” – wymawia się podobnie jak „forever” – „na zawsze” – przyp. tłum.

Kiedyś śmiała się, że ojciec wybrał dla swego kutra niemądrą nazwę. W tamtych czasach w zakłopotanie wprawiała ją ta prosta próba użycia poetyckiego, romantycznego języka, a gdy dorosła na tyle, by docenić mężczyznę, który dla swojej ukochanej godził się na docinki innych rybaków, ten mężczyzna zginął. Jak mogła z niego żartować... Pragnęłaby cofnąć czas i powiedzieć mu, że chciałaby, by ktoś nazwał łódź jej imieniem. Tęskniła za wspólnie spędzonym czasem i żałowała, że nie może opowiedzieć mu o Papie, Gavinie i swoich przygodach tego lata.

Nazwa śmiała się jej w twarz. Nic nie jest na zawsze. Nic i nigdy. Oczy zasły jej łzami, zniekształcając widzenie. Wytarła je gniewnym ruchem, czując, jak w gardle wzbiera jej szloch. Nagle zapragnęła stąd odejść. Nie była w stanie dłużej stać i patrzeć na tę łódź.

Za jej plecami skrzypnęła brama; kiedy się odwróciła, zobaczyła mężczyznę z tłustymi białymi włosami i zatkniętym za ucho papierosem. Zakaszał i splunął flegmą. Ubrany był w robocze spodnie i brudną żółtą koszulę.

– Poczekaj! – zawołała. Spojrzał na nią i uśmiechnął się, odsłaniając zepsute zęby. – Wychodzę.

– Zostań – odparł kpiąco. Pobiegła do bramy, ale mężczyzna zagradał jej przejście. Z trudem przecisnęła się obok niego. Cuchnął bimbrem i niemytym ciałem.

– Mam wszystkie części, których potrzebujesz. – Roześmiał się obleśnie.

– Odpieprz się – warknęła i wybiegła za bramę, nie patrząc na niego.

Po kilku krokach usłyszała szcęk zamka.

Czwartek, 15 sierpnia 1935

Kochana Mariello!

Idziemy do przodu, lecz zaraz się cofamy. Nie chcę, by to wyglądało jak wojna. Poddam się w każdej sprawie. Musisz tylko zapytać, a ja Ci odpowiem. Powiedz mi, dlaczego jesteś zła? Obraz Johna zdenerwował Cię ze względu na to, co oznacza dla niego i Evy? A może chodzi o to, że łączą ich sprawy, w których nie masz udziału? Gniewasz się na mnie, że pokazałem kuter Johnowi?

Rozumiem.

Jeśli chcesz poznać mój sekret, zdradzę Ci go. Często odwiedzam kuter Twojego ojca. Coś mnie tam ciągnie. Zobaczyłem go, kiedy szukałem części zapasowych, i od tamtego czasu kilka razy do niego wracałem. Nie wiem, dlaczego to robię. Trafiłem na niego, gdy byłeś na Bimini. Czuję, że łączy mnie z Tobą, więc tam chodziłem. Jeśli będziesz chciała, pójdziemy tam razem. Chcę o tym z Tobą porozmawiać, chcę, żebyś mi powiedziała, co wiesz o śmierci swojego ojca.

Chwile, które spędzamy razem, ciągle zakłócają nam inni ludzie. To dobrze, bo ich kochamy, lubimy z nimi być, ale też źle, bo tak wiele rozmów nie potrafimy dokończyć, o tylu sprawach nigdy nawet nie wspominamy. Kiedy jestem z Tobą, chcę po prostu Ciebie, czasami spokojnie, innym razem zachłannie i łapczywie. Nie potrafię pomieścić wszystkich słów, pocałunków i pieścizot w tych kilku godzinach.

Muszę więc pisać listy. Zawieram w nich małe urywki tego, co próbuję Ci powiedzieć, choć nie wydaje mi się, bym robił to umiejętnie. Nie jestem pisarzem jak ten drugi, ale dobrze wiem, co do Ciebie czuję. Nie potrafię tylko przekazać tego na papierze.

Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Mam nadzieję, że niedługo znowu będziemy razem.

*Kocham Cię
Twój Gavin*

Mariella schowała list do kieszeni, wchodząc po rampie do domu. Pod pewnymi względami czuła się lepiej, pod innymi gorzej. Frustrowała ją niemożność rozwiązywania spraw z Gavinem, listowne prowadzenie rozmów o tym, o czym powinni mówić sobie w cztery oczy. Wciąż martwiła się, że trzymał przed nią w tajemnicy miejsce, gdzie znajdowała się łódź ojca, a równocześnie wyrzucała sobie, że złościła się na niego, choć miał tyle problemów na głowie.

W domu zastała Johna. Trzymając Lulu na kolanach, dawał Estelle lekcję gry na gitarze. Eva w kuchni przygotowywała warzywny gulasz, w piecu piekł się chleb. Mariellę uderzyła ta scena doskonałego rodzinnego spokoju, dopiero gdy przyjrzała się uważniej, zobaczyła biedną wdowę, weterana kalekę i osieroczone dzieci. Coś w niej krzyczało z gniewu, ale gdy na nich patrzyła, poczuła, że to jest dobre i słuszne.

John spojrział na nią i uśmiechnął się. Musiała odwzajemnić uśmiech. Lulu podbiegła do niej po całusa, Estelle poprosiła, by posłuchała, jak gra na gitarze. Mariella podeszła do Johna, posadziła Lulu z powrotem na jego kolanach, a sama usiadła obok na kanapie.

*

Dziewczynki poszły się położyć, a Eva zasnęła w fotelu, gdy słuchali płyt Cole Portera. John powiedział, że wróci do domu bez pomocy – nie chciał, żeby Mariella chodziła sama po nocy – ale ona chciała rozprostować nogi i porozmawiać z nim o Gavinie.

Gdy wyszli z domu, na niebie wisiał półksiężyc. zaproponowała, że będzie pchała wózek, ale John upierał się, że nie jest zmęczony. Zaskoczyła ją jego siła. Zapaliła papierosa; podawali go sobie, zatrzymując się, gdy John chciał się zaciągnąć. On

pierwszy przerwał milczenie:

– Mam nadzieję, że nie jesteś zła na mnie i mamę.

– Wręcz przeciwnie, bardzo się cieszę.

– Przepraszam, jeśli obraz cię zdenerwował. Myślałem, że dzięki temu ty i dziewczynki nie pomyślicie, że próbuję zastąpić waszego ojca albo wyrzucić wspomnienia o nim. – Mariella milczała. – Przypuszczam, że czułaś się wykluczona – ciągnął John, zaciągając się dymem.

– Faktycznie – przyznała. – Miałam wrażenie, że nie jestem potrzebna.

– Ta rodzina zawdzięcza ci wszystko, co jest w niej dobre, to, że tak długo przetrwała. Zająłaś się domem, dając mamie czas na żałobę. Zaopiekowałaś się nią i siostrami. Teraz przysłała pora, żebyś zadbała o siebie.

– Tylko że ja mam wrażenie, że wszyscy coś przede mną ukrywacie, że przeżyliście coś beze mnie, a ja nie wiem, jak do tego dotrzeć.

John bez słowa oddał jej papierosa. Z niezręcznej przerwy w rozmowie wybawiły ich głośne okrzyki. Mijali Niebieską Gęś. Mariella przyjrzała się widzom otaczającym bokserów. Zobaczyła Papę. Sędziował.

– Gavin powiedział, że w końcu zyskał pewność, że należysz do niego, a nie do Hema – odezwał się John. – To prawda?

– Tak. – Mariella wypuściła dym z ust. – Papa i ja w końcu ustaliliśmy, kim dla siebie jesteśmy.

– Kim mianowicie?

– Zjednoczonymi siłami.

John wybuchnął śmiechem.

– Gavin też należy do tych sił?

– Nie wiem, w tym sojuszu nie można mieć przed sobą tajemnic. – Zaciągnęła się po raz ostatni i przydeptała niedopałek. Jeden z bokserów padł na ziemię i tłum zaczął wiwatować. Papa klaskał w dłonie, skacząc wokół nich jak dziecko. Mariella i John w milczeniu ruszyli dalej.

Kiedy dotarli do domu, usiedli na ganku, pijąc na spółkę schłodzone piwo i paląc kolejnego papierosa.

– Musisz wiedzieć, że Gavin robi dla ciebie wszystko – powiedział po chwili John.

– Ja dla niego też.

– Więc rozmawiaj z nim otwarcie. Trudno nam zaufać ludziom, potrzebujemy czasu. Musisz spróbować to zrozumieć.

– Wiem – odparła Mariella. Rzeczywiście wiedziała i była na siebie zła za pochopne sądy i wybuchy gniewu.

Zerwał się porywisty wiatr.

– Muszę ci się przyznać, że martwię się o Gavina, kiedy jest na Matecumbe –

powiedział John.

– On chyba też się martwi – przyznała.

– Ostatnio sporo się mówiło o porze huraganów na wyspie. Ci chłopcy w obozie nie mają szans.

– Ale mają plan ewakuacji – powiedziała Mariella. – W razie sztormu przyślą pociąg, który odwiezie ich do Miami.

– Tak powinno być, ale przełożony Gavina mówi, że w dyrekcji są ludzie, którzy nie traktują huraganów dostatecznie poważnie. Nazywa się Ed Sheeran, przeżył potężny sztorm w tysiąc dziewięćset szóstym i próbuje im o tym powiedzieć, tylko że tak wysoko go nie dopuszczają.

Marielli zrobiło się niedobrze.

– Ale rząd na pewno nie zostawi ich samych. Wydostaną ich. Poza tym jest tam dość miejscowych, którzy orientują się w znakach poprzedzających huragany i ostrzegą ich o sztormie.

– Też mam taką nadzieję – odrzekł John. – Gavin nie martwi się o siebie, tylko o kumpli, którzy mieszkają w obozie z rodzinami.

Gavin opowiadał jej o kilku rodzinach, między innymi o Lorraine i Henrym Morrowach z dwójką dzieci. Lubił jadać z nimi, kiedy zostawał w obozie, bo dzięki temu mógł się zdystansować od pijaków, a małego Morrowa często zabierał na ryby.

– Kiedy wraca na Key West? – zapytała.

– Dopiero w Święto Pracy. Chce stamtąd wyjechać, zanim chłopcy przepiją całą wypłatę i zaczną się awantury.

Mariella dopiła piwo, a dopalającego się papierosa oddała Johnowi.

– Skoro o tym mowa, lepiej już pójdę – powiedziała i dodała z ironią: – Jak zwykle obdarzyłeś mnie mnóstwem wesołych myśli, John.

– Znowu, prawda?

– Tak, masz do tego wyjątkowy talent. Ale i tak cię kocham. – Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

– Bądź ostrożna, Mari. Dzięki, że mnie odprowadziłaś.

Wracała do domu, innymi oczami patrząc na wiatr poruszający koronami drzew. Niebo było czyste i Mariella cieszyła się, że na razie pogoda nie przyniosła wielkich burz, choć zdawała sobie sprawę, że mogą przyjść bez ostrzeżenia, często po wielu dniach pięknej aury. Zdecydowała, że napisze do Gavina i poprosi go, by w razie niepokojących prognoz przyjechał na Key West. Wszyscy zamieszkają w małym murowanym domku Johna.

Sobota, 17 sierpnia 1935

Kochany Gavinie!

Przez całą noc martwiłam się o Ciebie. Bałam się, że masz tajemnice, o których mi jeszcze nie powiedziałaś, a potem niepokoiłam się, że swoimi wybuchami złości odpycham Cię od siebie. Martwiłam się, że nie zobaczę Cię dość wcześnie, i martwiłam się, że nie będziesz chciał się ze mną widzieć po tym, jak dziecinnie się zachowałam.

A potem zaczęłam się martwić huraganami.

Tak, tym razem też możesz podziękować Johnowi za zasianie ziarna niepokoju w moim sercu, ale on wspomniał o istotnych szczegółach dotyczących ewakuacji, a mnie pozostaje nadzieja, że macie plan. Jasne, że macie, jesteście byłymi żołnierzami, zorganizowanymi i skutecznymi, a władza nigdy nie zapomniaby o tych, którzy tyle lat temu bez szczypty egoizmu poświęcili się dla kraju. Gdyby jednak zapomniała, wskocz na pierwszy prom i płyn do mnie. Wszyscy przetrwamy huragany w małej fortecy Johna.

Ale dość o pogodzie. Nie chcę, żeby wiatr porwał moje rozmyślenia i zamienił w przerażający huragan.

Teraz dobre wiadomości: doktor Lulu myśli, że wie, co jej dolega. To jakieś zapalenie jelit. Ludzie, którzy na nie cierpią, mają skłonność do wysokich gorączek i bólów żołądka. Zaczął od zastrzyków witaminowych, żeby wyleczyć anemię, i próbuje ustalić najlepszy sposób leczenia. Na razie nie ma większych zmian, ale przynajmniej więcej wiemy, a najważniejsze, że choroba nie wydaje się śmiertelna.

Tak czy owak, parę rzeczy musisz wiedzieć. 1. Kocham Cię, więc nigdy nie musisz się przejmować, że moje wybuchy oznaczają coś innego niż to, że jestem niedojrzała i czeka mnie wiele pracy nad sobą. 2. Wolałabym zostać „panią Murray” wcześniej niż później i jestem gotowa wpaść „w kłopoty” z Tobą, jeśli to przyspieszyłoby sprawę. 3. Jesteś całkowicie pozbawionym egoizmu i pięknym człowiekiem, Twoja obecność poprawia mi samopoczucie, więc proszę, jeśli możesz, przyjeźdź do mnie jak najszybciej.

Kocham Cię i tęsknię za Tobą.

Na zawsze Twoja

M.B.

*

Czwartek, 20 sierpnia 1935

Kochana Mariello!

Odliczam dni do Święta Pracy. Zmywam się stąd, gdy tylko dostanę wypłatę, i będę z Tobą przez całe trzy dni. A jeśli nie będziesz ostrożna, skorzystam z propozycji numer 2.

Z wyrazami miłości

Gavin

Rozdział dwudziesty piąty Biuletyn Amerykańskiego

Instytutu Meteorologicznego

Sobota, 31 sierpnia 1935

Tropikalne zaburzenia atmosferyczne o małej średnicy, lecz znacznej sile, koncentrujące się około 60 mil na wschód od Long Island na Bahamach, przesuwały się na północny zachód. Towarzyszą im silne wiatry zmienne i przypuszczalnie huragany w pobliżu centrum. Szczególną ostrożność powinni zachować mieszkańcy południowo-wschodnich Bahamów oraz pozostające w tamtej okolicy statki.

Mariella była zła, że musi pracować w wolny dzień. Przygotowywała dom na piknik w Święto Pracy, który urządziła Pauline. Polerowała stół i krzesła z orzecha w jadalni. Komplet był piękny, pochodził z hiszpańskiego klasztoru i Pauline sprowadziła go razem z wielką żeliwną bramą, którą zamieniła w wezglowie łóżka. Mariella przesunęła dłonią po gładkim ciemnym blacie, wyobrażając sobie hiszpańskich mnichów, którzy wcześniej spożywali przy nim posiłki. Szmata z delikatnym świstem wędrowała po drewnie zamaszystymi kręgami. Drugie przetarcie suchą ściereczką usunęło pastę i Mariella mogła przejrzeć się w blacie.

Z sąsiedniego pokoju dobiegły szepty Papy i Pauline. Mariella na palcach zbliżyła się do drzwi.

– No, chodź – usłyszała głos Papy i cichy śmiech, a po nim odgłos plaśnięcia.

– Przestań, wszędzie są ludzie – opierała się Pauline.

– Chłopcy i Ada wyszli.

– A pozostali?

– Jim jest na dworze, Isabelle na targu, a Toby naprawia auto.

– Mariella? – syknęła Pauline. Zesztywniała, słysząc swoje imię. Czując, jak żołądek podskakuje jej do gardła, po cichu odeszła na drugi koniec jadalni. Usłyszała, jak się całują, ale po chwili Pauline znów powiedziała: – Przestań.

Przez chwilę panowała cisza, potem lód zagrzechotał w szklance, którą ktoś z dużą siłą odstawił na stół. Mariella wiedziała, że zrobił to Papa.

– Same wymówki – zabrzmiał jego pełen gorczy głos.

– A co, spodziewasz się, że weźmiesz mnie w biały dzień na dywan, kiedy służąca kręci się po domu? – parsknęła Pauline.

– Wymówki – powtórzył. – A jaki był problem wczoraj wieczorem, przedwczoraj, poprzedniego dnia?

– Bolała mnie głowa.

– Brednie.

Znowu zapadła cisza. Słyszając pociąganie nosem, Mariella domyśliła się, że Pauline płacze.

– Lekarz powiedział, że następne dziecko mnie zabije.

– Więc użyję gumki, na litość boską!

– Wiesz, że jestem katoliczką!

Prychnął pogardliwie.

– Kiedy ci to pasuje?!

Boże, potrafi być naprawdę okrutny – pomyślała Mariella, słysząc jak Pauline biegnie na górę.

Wypolerowała stół do końca, po czym poszła do kuchni. Wrzuciła szmatki do kosza przy drzwiach i zabrała się do zmywania, wciąż przygnębiona tym, co przed chwilą słyszała.

Podskoczyła, gdy ktoś położył jej dłoń na plecach.

Papa.

Palily ją policzki i wiedziała, że pewnie jest czerwona od stóp do głów.

– Gorąco tutaj.

Poczuła na karku jego pachnący alkoholem oddech. Co on wyprawia? Z walącym sercem upuściła ścierkę do naczyń do garnka w zlewie. W głowie jej się kręciło i wiedziała, że musi przerwać napięcie.

– Mam przynieść jeszcze jednego drinka? – wyjąkała.

Oparł się o nią i zakręcił wodę, która wciąż płynęła. Z garnka w zlewie wylała się piana. Papa mocniej napał na Mariellę, która stała jak sparaliżowana, owładnięta strachem i niechcianym pożądaniem. W końcu się cofnął. Mariella położyła dłonie na zlewie, nie patrząc na niego.

Kącikiem oka dostrzegła ruch w progu. To była Pauline.

Mój Boże, widziała ich?

– Pójdę do Josiego na drinka – powiedział Papa i odszedł.

Mariella wstrzymywała oddech do chwili, gdy trzasnęły drzwi wyjściowe, potem wylała do zlewu mydliny z garnka. Pauline stała w milczeniu. Wreszcie znalazła w sobie odwagę, by na nią spojrzeć.

Kobieta ciężko oddychała, oczy miała podpuchnięte, ręce skrzyżowane na piersiach. Wyglądała bardziej na pokonaną niż rozgniewaną.

– Chciałaby się pani czegoś napić, pani Hemingway? – zapytała Mariella. – Może

herbaty? – Pauline pokręciła głową. – Więc może pani coś zje? Przyniosę na werandę. – Pauline westchnęła i spojrzała w okno. Mariella podążyła za jej wzrokiem na tylne podwórko, gdzie wiatr unosił liście, a chmury okrywały krajobraz cieniami. – Mam coś pani podać? – zapytała Mariella, pragnąc, by wyszła albo zaczęła krzyczeć zamiast stać bez słowa.

– Chcę odzyskać swoje małżeństwo – odezwała się wreszcie.

*

Nie podobało mu się to. Pałac, obserwował ogromne fale, wolno toczące się ku brzegowi. Zwykle były małe i szybkie.

Myślał też o niedawnym artykule w „Key Veteran News” o możliwości zamknięcia obozów. Cytowano w nim tekst z „Time Magazine”, w którym pisano, że weterani to banda włóczęgów, alkoholików i psychopatów. Koło niego chwiejnym krokiem przeszło kilku mężczyzn, skacowanych po wczorajszej nocy, kiedy do rana przepijali wypłatę. Gavin spojrzał w niebo. Tak, wielu było pijakami, ale kto mógłby ich obwiniać? Bonus Marchers, weteranów wojny światowej, którzy domagali się zatrudnienia, choć zatrudnienia nigdzie nie było, wysłano na opuszczoną, pełną komarów wyspę, gdzie zamieszkali w brudnych namiotach i barakach i w upale wykonywali niebezpieczną pracę dwadzieścia dwa metry nad wodami rojącymi się od rekinów.

Pokręcił głową. Nie chciał myśleć o Bonus Marchers, o Roosevelcie czy fatalnych warunkach. Pragnął tylko pojechać na Key West i zobaczyć się z Mariellą. Wczoraj wieczorem nie wsiadł na prom, bo trzeba było pomóc Sheeranowi przy zabezpieczeniu konstrukcji. Sheeran nie zamierzał ryzykować utraty wartego tysiące dolarów sprzętu, skoro wiadomo było, że zbliża się sztorm.

Ruszył w stronę swojego baraku w obozie trzecim, żeby się spakować, kiedy dziwny widok przyciągnął jego uwagę. Zbliżył się do wąskiej drogi prowadzącej między zatoką a oceanem, by to sprawdzić. Kraby, setki krabów opuszczających ocean i wskakujących do zatoki. Na początku uśmiechnął się rozbawiony, ale potem przyszło mu do głowy, że te stworzenia przed czymś uciekają. Spojrzał na potężne fale toczące się do brzegu pod niebem zasnutym wysokimi, strzępiastymi cirrusami. Droga przejechał samochód, miażdżąc pod kołami skorupiaki.

W obozie wrzało. Gavin zatrzymał weterana, w którym rozpoznał rysownika pracującego w „Key Veteran News”, i zapytał, co się dzieje.

– Wygląda na to, że będziemy mieć huragan – odparł tamten, nie kryjąc podniecenia, i zniknął między barakami.

Gavin dostrzegł Sheerana biegnącego do biura i popędził za nim.

– Złe wieści?

Sześćdziesięcioletniemu mężczyźnie brakowało tchu. Czoło miał pokryte

zmarszczkami, a koszulę poplamioną plamami potu.

– Ten na pewno nas nie ominie – odparł.

– Co mam robić?

– Zostać i mi pomóc. Musimy dopilnować, żeby chłopcy byli trzeźwi i gotowi na najgorsze.

– Może jednak nas ominie – powiedział z nadzieją Gavin.

– A może nie – odrzekł Sheeran. – Widziałem, co się stało w tysiąc dziewięćset szóstym, i zapewniam cię, że wolałbym być w Argonny. A teraz idź przekonać rodziny, żeby odjechały ciężarówkami. Ja mam zebranie.

– Tak jest, sir.

Gavin był zrozpaczony. W tej sytuacji nie będzie mógł wrócić na Key West. Wiedział, że Mariellę także to zasmuci, pobiegł więc na pocztę wysłać telegram. Byłoby o wiele gorzej, gdyby nie dał znać, że nie przyjedzie. Później ruszył ku rodzinnym barakom, żeby ostrzec przed zbliżającą się burzą.

Rozdział dwudziesty szósty

Key West

Niedziela, 1 września 1935

Mariella pomagała Jimowi trzymać deski, podczas gdy Toby przybijał je gwoździami. Skończywszy z bocznymi oknami, przeszli na front, zamieniając się miejscami.

Gdy Mariella biła młotkiem, usłyszała krzyki Pauline.

Odwróciła się. Pauline wracała z Adą, Gregorym i Patrickiem. Chłopcom na pięty następowała opiekunka. Wszyscy wpadli do domu, żeby zdjąć odświętne ubrania, tylko Pauline została na podwórku.

– Czy to naprawdę konieczne? – zapytała niezadowolona. – W gazecie napisano, że to tylko tropikalne zaburzenia atmosferyczne.

– Tak, proszę pani – odparł Toby. – Papa wczoraj to zaplanował, bo stwierdził, że wskazówka barometru spada. To może być silny huragan.

– I właśnie teraz, kiedy urządzam piknik.

Papa wyszedł z domu.

– Możesz zapomnieć o pikniku.

– Kupiłam już całe jedzenie. Isabelle i Mariella pracują po godzinach, żeby wszystko przygotować.

– No cóż, teraz pracują po godzinach, żeby przygotować dom na sztorm.

– Możemy urządzić sztormowe przyjęcie – powiedziała Pauline.

– Tak, z rodziną Marielli – odparł Papa. – Powiedziałem jej, żeby ich tu przyprowadziła, jeśli sytuacja będzie poważna. Pauline zacisnęła wargi, krzyżując ręce na piersiach. Mariella wodziła spojrzeniem po ich twarzach. Powiedziała przecież Papie, że jej rodzina będzie bezpieczna u Johna. Mówiąc to, rozmyślnie chciał sprowokować Pauline? – A teraz, jeśli skończyłaś przedstawienie, pójdę zająć się „Pilar” – dodał. – Mariello, chodź ze mną.

Ze ściśniętym żołądkiem oddała młotek Jimowi. Dlaczego Papa wykorzystuje ją jako pionka w swojej grze z Pauline, skoro i bez tego Mariella stąpa po cienkim lodzie?

Pauline pobiegła do domu, mamrocząc coś o tym, że łódź jest ważniejsza niż ona i że niedługo założą schronisko dla półkrwi Kubanek. Zdenerwowanie Marielli ustąpiło miejsca gniewowi i energicznie zeszła z ganku.

*

Niebo było szare, deszcz padał krótkimi zrywami. Na latarni morskiej dwie czerwone lampy wisały jedna na drugiej. Wszędzie ludzie stali na drabinach, przybijając deski do okien, albo porządkowali podwórza. Nie licząc tych odgłosów przygotowań, panowała niesamowita, przerażająca wręcz cisza.

Serce Marielli zadrżało, kiedy na przystani zobaczyła powiewające flagi, całe czerwone albo z czarnymi kwadratami. Prognozy były jednoznaczne.

– Cholera. – Papa wskazał flagi. – Miałem nadzieję, że jednak pomyliłem się w obliczeniach.

Tego ranka w marinie było tłoczno. Kolejka ciągnęła się od biura do bramy. Papa pomaszerował wzdłuż niej, a Mariella za nim. Dręczyło ją sumienie, gdy mijała rybaków, idąc w towarzystwie bogatego człowieka.

– Hej, człowieku, możesz wyciągnąć na brzeg „Pilar”?! – zawołał.

Kapitan portu skrzywił się.

– Obejrzyj się, Hem. Nie mamy dość czasu, żeby wyciągnąć ich łodzie, a co dopiero twoją.

– Dajże spokój, wyświadczyć mi przysługę.

– Twoja łódź jest dla przyjemności. Wielu z tych gości dzięki swoim zarabia na życie.

– Nie musisz robić z tego takiej wielkiej sprawy – obruszył się Papa. – Niedawno ją naprawiłem. Nie zniósłbym, gdyby coś się z nią stało.

– Przestań, Hem. Na twoim miejscu poszukałbym liny i solidnie przywiązał łódź. To zapewni jej bezpieczeństwo.

Papa burknął coś pod nosem i wypadł z biura.

W bardziej sprzyjających okolicznościach Mariella dokuczałaby mu, że próbował wykorzystać swój status do wymuszenia przysługi, ale po jego minie widziała, że nie miał nastroju na takie żarty.

Zaklął cicho na widok kolejki wijącej się w sklepie Thompsona. Oboje z Mariellą weszli do środka. Chucka znaleźli na zapleczu.

– Potrzebuję tyle liny, ile masz. Muszę przywiązać „Pilar”.

– Prawie wszystko sprzedałem.

– Jasny gwint, Chuck – zirytował się Papa. – Kapitan portu powiedział mi, że nie może ściągnąć jej z wody, a ty mi mówisz, że nie masz liny. Pomóż mi, człowieku!

– Mam jeszcze ciężką cumę okrętową. Sprzedam ci ją po kosztach, ale zapłacisz fortunę.

– Biorę. Ile?

– Pięćdziesiąt dwa dolce.

Mariella nieświadomie wstrzymała oddech.

– Zgoda – powiedział Papa. – Tego lata zbyt wiele w nią włożyłem, żeby teraz zniszczył ją sztorm.

Próbowała go nie osądzać, gdy pokręcił głową i ruszył z powrotem do mariny.

*

Ludzie Gavina skończyli układać deski w głębi stołówki. Nie podobało mu się, że ściany się trzęsą, ale nigdzie indziej nie można było schować drewna. Gdyby deski zostały na dworze, huragan ciskałby nimi jak strzałami.

Sheeran posłał go, żeby sprawdził, czy weterani i ich rodziny przygotowują się do ewakuacji, a sam usiłował dowiedzieć się, kiedy jego szef, Ray Sheldon, wróci do obozu. Pomimo ostrzeżeń meteorologicznych Sheldon spędzał weekend na Key West ze świeżo poślubioną żoną. Sheeran był oburzony beztróską, z jaką traktował sztorm. Sam wciąż miał koszmary po huraganie, który pozbawił życia setki robotników budujących kolej.

Gavin dziwił się, że niektórzy z weteranów nie mogą się doczekać huraganu. Najwyraźniej byli zdania, że jeśli przeżyli wojnę, to przeżyją wszystko. Byli też tacy, co pili pomimo rozkazu zachowania trzeźwości, jeszcze inni grali w karty. Ktoś przyprowadził do stołówki sukę ze szczeniakami, ale zwierzęta były zbyt przerażone, żeby się bawić. Szczenięta dygotały, wtulone w zdeorientowaną matkę.

Żonaci stali w grupach z żonami i dziećmi. Gavin rozejrzał się bacznie, ale nigdzie nie widział Morrowów. Poczuł, jak wzbiera w nim panika. Przygotowując się na porywisty wiatr, wyszedł na zewnątrz, gdzie stała ciężarówka. Wsiadł i pojechał do obozu trzeciego, żeby przeczekać tam resztę sztormu. Czuł, jak wiatr trzęsie ciężarówką. Woda wdzierала się już na drogę i Gavin próbował zwalczyć straszliwe przecucie, że nigdy więcej nie zobaczy ludzi z obozu piątego. Przycisnął mocniej gaz. Musi zrobić, co w jego mocy, żeby przekonać dowództwo, że weteranów i ich rodziny trzeba ewakuować.

W obozie trzecim poszedł od razu do Sheerana, ale to, co tam zastał, nie poprawiło mu nastroju. Sheeran szeroko otwartymi oczami obserwował barometr, nerwowo pocierając czoło.

– Będzie gorzej, niż myślałem – powiedział.

– Instytut Meteorologii jeszcze nie potwierdził, że huragan tutaj uderzy – odparł Gavin. – Twierdzą, że jeśli nawet do tego dojdzie, wciąż mamy czas.

– Gównu mnie obchodzi, co mówi Instytut Meteorologii – zachnął się Sheeran. – Mój barometr regularnie spada, pokazuje wartości niższe niż na Key West. Przed chwilą rozmawiałem ze Strażą Nadbrzeżną.

Gavin poczuł ulgę, że sztorm może nie uderzy na Key West. Przez cały weekend dręczyła go niemożność dotarcia tam. John wprawdzie przysłał telegram, że dziewczęta są u niego, ale to nie uspokoiło obaw Gavina.

– Zamówiono pociąg? – zapytał.

– Prom Sheldona powinien tu być wiele godzin temu. Jeśli on nie zadzwonił do Freda Ghenta na północy, nigdzie nie pojedziemy, a ten przeklęty Ghent gra w golfa i nikt nie potrafi go złapać.

Gavin przeczesał włosy dłońmi, krążąc po pokoju.

– Mój Boże, co możemy zrobić?

– Zadbaj o siebie najlepiej, jak się da.

– To nie wystarczy.

Sheeran spojrział na Gavina, potem przez okno na ciężarówkę.

– Może zaczniesz przewozić kobiety i dzieci do Tavernier? Będą tam bezpieczniejsze – powiedział. – U nich barometry wskazują wartości wyższe niż u nas, prawdopodobnie dasz radę kilka razy obrócić, zanim sam będziesz musiał się schronić.

Gavin pobiegł do drzwi, zadowolony z możliwości pomocy, choć wciąż martwił się o przyjaciół. Kiedy wracał do obozu piątego, minęła go ciężarówka z Sheldonem. Ogarnęła go ulga, ale jechał dalej, bo wiedział, że biurokraci nigdy nie działają szybko. W jadalni nastrój się pogorszył. Nikt już nie pił ani się nie śmiał, niektóre z kobiet płakały skrycie.

Gavin przypomniał im, że mają się przygotować do ewakuacji, nie zapowiedział jednak, że zabiera ludzi ciężarówką. Zdawał sobie sprawę, że wzbudziłoby to panikę, co nikomu by nie pomogło. Podszedł do Wilsonów, bo ich pierwszych zauważył, i powiedział Mike'owi, że jego żona i dzieci pojedą do Tavernier. Mike odetchnął z ulgą, klepiąc go po plecach. Ucałował Eugenię i czwórkę potomstwa, po czym wyprowadził ich na dwór.

Wiatr podrywał tumany kurzu, więc nikt nie mógł jechać z tyłu. Eugenia i dwoje starszych dzieci ścisnęło się na siedzeniu obok Gavina, dwoje mniejszych siedziało im na kolanach. Niewiele się odzywali, ale na ich twarzach malowała się wdzięczność. Niemowlę, które trzymała Eugenia, ciągle kładło rączkę na ramieniu Gavina, który ze ściśniętym sercem modlił się w duchu o ich bezpieczeństwo. Usiłował uśmiechem dodać im otuchy, ale nie znalazł w sobie pewności, więc patrzył tylko przed siebie.

Porywy wiatru i deszcz przybrały znacznie na sile, drogę pokrywała kilkunastocentymetrowa warstwa wody. Eugenia modliła się cicho, a dzieci obserwowały sztorm szeroko otwartymi oczami. Gavin musiał wytrzeć zaparowaną szybę, bo nic już nie widział. Zastanawiał się, czy nie byłoby bezpieczniej jednak zostawić ich w obozie.

Dziewięćmiłowa podróż trwała trzy razy dłużej niż normalnie, ale w końcu Gavin dowiózł swoich pasażerów bezpiecznie do budynku kina w Tavernier, stojącego przy głównej szosie. Pomógł Eugeniei wprowadzić dzieci do betonowego

budynku i odwrócił się, by odejść, ale kobieta zatrzymała go.

– Niech Bóg cię błogosławi – powiedziała i uściskała go serdecznie.

Był wzruszony, choć starał się tego nie okazywać. Wiedział, że jeśli się rozklei, nie da rady wrócić, a przecież wciąż tyle osób wymagało jeszcze pomocy. Kiwnął tylko głową i wyszedł.

Kiedy wracał do kwatery głównej w hotelu Matecumbe, deszcz i wiatr ustały, ale zamiast spokojem Gavina napełniło to strachem. Jakby wessała je jakaś potężna siła znad wody i za chwilę zamierzała wypluć z impetem.

Z hotelu wyszedł Sheeran i ruszył w stronę ciężarówki. Gavin zahamował i otworzył okno.

– I jak? – zapytał.

– Chcą czekać – odparł Sheeran drżącym głosem. Gavin domyślał się, że przełożony czuje się bezradny. Trząśnięcie z frustracji.

– Co?! Dlaczego?

Sheeran wskazał niebo.

– Sheldon uważa, że nie ucierpimy. Argumentuje to tak, że deszcz i wiatr ustały. Zupełnie ignoruje barometr, a ten nadal spada. Te momenty lepszej pogody to po prostu kolejny etap huraganu.

– Ile czasu zabierze mu zatelefonowanie?

– Powiedział, że pociąg przyślą w ciągu czterech godzin od zgłoszenia. Jego zdaniem mamy czas. A ja myślę, że oni po prostu nie chcą, żeby po północy plątała się im banda bezrobotnych weteranów. Sheldon powiedział, że jeśli będziemy go potrzebować, to wieczorem gra w remika w hotelu.

– Mój Boże...

– Słyszałem, jak Sheldon kazał kanceliście powiadomić go, gdyby pojawiły się nowe prognozy pogody – ciągnął Sheeran. – Chyba podejrzewa, że sytuacja może być na tyle poważna, że zakłóci jego sen.

– Naprawdę nic więcej nie możemy zrobić? – Gavin nie mógł uwierzyć w jego słowa.

Sheeran pokręcił głową.

– Postaraj się wywieźć jak najwięcej kobiet i dzieci, potem wróć do obozu trzeciego, żeby pomóc mi w zabezpieczeniu sprzętu. Poza tym nic więcej nie jest w naszych rękach.

Gavin spojrział w okno kwatery głównej: Sheldon ze śmiechem klepał kogoś po plecach. Złapał wzrok jego świeżo poślubionej żony Gayle, w jej oczach dostrzegł troskę. Pokręcił głową i ruszył do obozu piątego.

Rozdział dwudziesty siódmy

Ostrzeżenie Amerykańskiego

Biura Meteorologicznego

Niedziela, 1 września 1935, godzina 21.30

Centrum burzy znajduje się teraz 260 mil na wschód od Hawany i wolno przesuwa się w kierunku zachodnim. Przewidywana huraganowa siła wiatru. Załogom statków przebywających w Cieśninie Florydzkiej zaleca się zachowanie ostrożności.

*

Ostrzeżenie Amerykańskiego

Biura Meteorologicznego

Poniedziałek, 2 września 1935, godzina 3.30

Tropikalne zaburzenie pogodowe o wciąż małej średnicy, ale znacznej sile przesuwa się wolno na zachód wzdłuż północno-środkowego wybrzeża Kuby. Towarzyszą mu sztormy i wiatry o sile huraganów w centrum. Ostrzeżenie: wysokie fale i wichury na archipelagu Keys.

Kancelista wysłuchał podawanej przez telefon prognozy pogody i ziewnął. Odwiesiwszy słuchawkę, obudził jednego z członków personelu, by powtórzyć mu prognozę i uzgodnić, czy powinni obudzić Sheldona. Zdecydowali, że nie będą go niepokoić. Do rana i tak nie zostało już wiele czasu.

*

Poniedziałek, 2 września 1935

Gavin usiadł na pryczy. Nie zmrużył oka, ale nie był w stanie dłużej leżeć i czekać. Włożył roboczy mundur i nie ogoliwszy się, wyszedł.

Wzburzone grzywacze z hukiem biły w brzeg, ciężkie obłoki wisały nisko nad ziemią. Padał drobny deszcz, nieustannie wiał wiatr. Zbliżając się do domu Sheerana, Gavin zobaczył światło w oknie. Zapukał i po chwili gospodarz stanął w progu. Miał ciemne kręgi pod oczami i był w tym samym ubraniu co poprzedniego dnia. Gestem dłoni zaprosił Gavina do środka i wskazał barometr.

29.89.

Wczoraj wieczorem wskazywał 29.96. Zwykle rzadko spadał poniżej trzydziestu. Tak wielka różnica, która nastąpiła w tak krótkim czasie, mogła oznaczać tylko kłopoty. Niewiele mówiąc, pojechali do hotelu.

Kiedy zahamowali, właściciel hotelu, Ed Butters, żegnał się z żoną. Razem z synem wyjeżdżał na dzień do Miami. Gavinowi wydało się dziwne, że zostawiają Fran, ale uznał, że przecież ci ludzie urodzili się tutaj i na pewno wiedzą, kiedy sytuacja jest naprawdę fatalna. To poprawiło mu nastrój.

Sheeran nie podzielał jego optymizmu, zwłaszcza gdy zobaczył, że barometr wskazuje 29.87. Wciągnął Sheldona do gabinetu i zamknął drzwi. Gavin został z Fran i Gayle, nasłuchując coraz bardziej podniesionych głosów. Gayle położyła mu dłoń na ramieniu.

– Co pan o tym sądzi? – Była śliczna i młoda, ledwo dwudziestosiedmioletnia. Widział, że się niepokoi, i chciał dodać jej otuchy, ale teraz też nie znalazł odpowiednich słów.

– Sheeran już kiedyś to przeżył. Jeśli on się martwi, to ja także – odparł.

Fran pokiwała głową.

– Ja też nie mam najlepszych przeczuć.

Do hotelu wszedł Bonefish, wpuszczając do środka wiatr, który zdmuchnął papiery ze stołu obok drzwi. Gayle poszła je pozbierać.

– Latarnia morska na Alligator Reef wywiesiła huraganowe flagi – oznajmił Bonefish.

W tym samym momencie z gabinetu wyszli Sheeran i Sheldon.

– Dzwonię do Ghenta – powiedział Sheldon.

*

Gavin i Sheeran patrzyli na pociąg towarowy wjeżdżający do obozu trzeciego. Wiózł dziesięć tysięcy galonów wody. Lało jak z cebra. Ghent gdzieś przepadł i nikt

nie mógł się z nim skontaktować. Minęły niemal dwie godziny od telefonu Sheldona i wszystkich zaczynała już ogarniać panika.

– Powinniśmy im kazać wypompować wodę do zbiorników w obozie? – Gavin zwrócił się do Sheerana, który nie odrywał wzroku od wdzierających się do obozu fal.

– Nie. Woda może nam być potrzebna po sztormie.

Kiedy wracali do kwatery głównej, Gavin przypomniał sobie o Morrowach. Odwrócił się i pobiegł drogą, walcząc z wiatrem.

– Zaraz wrócę, chcę sprawdzić jedną rodzinę! – zawołał przez ramię.

Ledwo widział przez ścianę deszczu, na twarzy czuł bolesne uderzenia piasku. Wytarł oczy mokrym rękawem i parł naprzód, póki nie dotarł do skały w pobliżu domu Morrowów.

Woda z zatoki biła w drzwi, chata trzęsła się niebezpiecznie, targana porywami wiatru, i Gavin modlił się, by jego przyjaciół w niej nie było. Udało mu się otworzyć drzwi i rzeczywiście dom był pusty. Wyczuwał kwaśno-słodki zapach niemowlęcia, który świadczył o tym, że musieli wyjść stąd niedawno. Nie wiedział, czy powinien czuć ulgę, czy strach. Przez całą drogę do kwatery głównej modlił się o ich bezpieczeństwo.

Kiedy wszedł do hotelu, Fran nerwowo krążyła w kółko.

– Ed wraca, a Sheldon wysłał Gayle na północ z jakimiś cywilami – powiedziała. – Barometr spadł do 28.9.

Gavin spojrział w okno i zobaczył niesiony wiatrem kawałek dachu. Wiało z ukosa, w podmuchach trudno było już ustać na nogach. Porzucony trójkołowy rowerek przeleciał nad drogą i utknął w zaroślach. Zastanawiał się, jak radzą sobie Mariella i jej rodzina. Wiedział, że na Key West barometry wskazywały wyższe wartości, ale mógł liczyć tylko na Johna i jego dom.

Doszedł do wniosku, że dalej tak być nie może. Musi się przenieść na Key West. Wykorzysta oszczędności na zakup łodzi i otworzą firmę. Dłużej nie zniesie rozłąki z Mariellą.

*

Przybiła ostatnią deskę na okno w swoim domu i rozmasowała sobie ramię. Mokry od potu koński ogon przykleił jej się do karku, stara koszula ojca była zupełnie przemoczona.

Mimo że wymagało to wiele pracy, przygotowywanie domu na huragan przynosiło jej ulgę. Mama i dziewczynki były u Johna, a Mariella potrzebowała fizycznego wysiłku, by oderwać myśli od Gavina i huraganu.

Słyszac hamujący samochód, wyszła z domu. To był Papa w swoim fordzie.

– Masz coś do roboty? – zapytał.

Roześmiała się.

– Hmm, całkiem sporo.
– No, chodź. Zawołaj rodzinę, pojedziemy do mnie.
– Przyjechał pan po nas? – zapytała, szczerze wzruszona.
– Oczywiście, córko.
– Mówiłam panu, są u Johna, przyjaciela Gavina. Na Olivia Street.
– Na pewno są tam bezpieczne?
– To wielki niebieski dom z pustaków.
– Stoi ponad poziomem morza?
– Tak jest, sir. – Deszcz osłabł, ale wiatr przybierał na sile. – Tu już skończyłam. Może pomogę u pana w domu? – zapytała. – Nie jestem w stanie siedzieć w zamknięciu, dopóki nie będzie to naprawdę konieczne.

*

W samochodzie Mariella nieświadomie obgryzała paznokcie, podrygiwała kolanami i wierciła się na siedzeniu.

– Martwisz się czymś poza sztormem? – zapytał Papa.
– Strasznie się martwię o Gavina – odparła od razu.
– Kiedy ostatnio z nim rozmawiałaś?
– Przysłał telegram, że nie może przyjechać. Musi przygotować obóz na huragan. – Papa milczał, marszcząc niespokojnie czoło. – Poślą po nich pociąg, prawda? Przewiozą ich do Miami albo gdzieś w głąb lądu?

– Ci ludzie wyszli cało z jednej z najkrwawszych bitew w historii. Teraz też sobie poradzą – odparł, ale jego słowa brzmiały nieszczerze i unikał wzroku Marielli.

Kiedy zahamowali przed domem, Toby znosił akurat do piwnicy meble z tarasu. Chłopcy wybiegli im na powitanie, ubrani w peleryny przeciwdeszczowe i gumowce. Na ich widok Mariella musiała się uśmiechnąć.

– Gotowi na wielki sztorm? – zapytała.

– Nie boję się jakiegoś głupiego wiatru – odparł hardo Patrick.

Mariella spojrzała na Gregory'ego. Trzymał palce w buzi, czoło miał zmarszczone. Wyglądał jak miniaturka Papy. Schyliła się i wzięła go na rękę.

– Wiedziałaś, że wasz dom jest najbardziej bezpieczny na calutkiej wyspie? – Gregory pokręcił głową. – Naprawdę. A twój tata będzie się wami opiekował, aż wiatr przestanie wiać. – Postawiła chłopczyka na ziemi. – Chodź, pochowasz zabawki, żeby nie wywiało ich na Kubę.

Patrick i Gregory pobiegli, by pozbierać swoje rzeczy i zanieść do piwnicy, a Mariella wskazała pawie, patrząc pytająco na Hemingwaya.

– Później weźmiemy je do domu – powiedział.

Weszła na ganek i chwyciła stół z telefonem, żeby zanieść go do środka. W progu Pauline zagroziła jej drogę.

– Proszę, najpierw strzepnij wodę – poleciła. Mariellę zdumiał jej lodowaty ton. Zatupała i potrząsnęła dłońmi, wytarła stopy i dopiero wtedy weszła do salonu. Pauline wciąż jednak patrzyła na nią z niesmakiem. – Gdzie reszta? – zwróciła się do Papy.

– Są w domu ich przyjaciela, Mariella też tam będzie – odparł. – Zaprosiłem ich, ale Mariella mówi, że są tam bezpieczne.

– Skoro już tu jesteś – powiedziała Pauline, nie patrząc na Mariellę – nakryj do stołu. Isabelle upiekła mięso na przyjęcie, a ja chcę, żebyśmy zjedli solidny lunch, na wypadek gdyby w porze kolacji wysiadł prąd.

Mariella ruszyła do kuchni, ale Papa wyciągnął rękę i zatrzymał ją.

– Nie. Powinna iść teraz do swojej rodziny.

– W porządku – wtrąciła Mariella, widząc, jak Papa patrzy z wściekłością na Pauline. – Najpierw pomogę przy lunchu.

W kuchni pieczeń grzała się już w piecyku. Mariella nastawiła wodę i zabrała się do obierania ziemniaków. Zamieszała fasolkę smażoną w oleju, pokroiła mięso. Papa i Pauline kłócili się w jadalni, ale nie rozróżniała słów. Kiedy do kuchni wbiegli chłopcy, Ada złapała ich za ręce i poprowadziła na piętro, polecając Marielli, by tam przyniosła im jedzenie, kiedy już obsłuży Papę i Pauline.

Ziemniaki się ugotowały, rozgniotła je więc i dodała śmietanę, masło, sól i pieprz, po czym nałożyła porcje na talerze. Głos Papy brzmiał donośnie, Pauline syczała. Mariella usłyszała swoje imię i zastanawiała się, czy Pauline jest zazdrosna o to, że Papa chciał sprowadzić ją do domu.

Patrick i Gregory z holu wpadli z powrotem do kuchni, a stamtąd do jadalni.

– Ada, na litość boską! – wykrzyknęła Pauline. – Zabierz ich na górę!

Opiekunka z piętra zawołała chłopców, którzy popędzili po schodach, uciekając przed burzą, która szykowałą się w jadalni.

Widok Marielli z talerzami w dłoniach uciszył Hemingwayów. Pauline zgarbiła się na krześle jak skarcone dziecko.

– Nie wiem, czemu wciąż się dąszasz – powiedział Papa. – Wyszło na twoje. Nie popłyniemy na Kubę odwiedzić Masonów.

– Tylko dlatego, że twój jacht jest niesprawny. W przeciwnym wypadku na pewno byśmy popłynęli.

– Zaprosili nas. Nie chciałem być niegrzeczny.

– Och, proszę cię!

– I tylko ty masz problem.

– Jeśli to mój problem, to także twój.

– To akurat doskonale wiem, uwierz mi.

Mariella przy kredensie odkorkowała czerwone wino i rozlała je do kieliszków. Pragnąc jak najszybciej wyjść z jadalni, zabrała pustą butelkę do kuchni, gdzie

zaczęła sprzątać. Słyszała, że Hemingwayowie wciąż się kłócą, więc pracowała tak szybko, jak tylko była w stanie. Wiatr wiał coraz mocniej, dlatego najlepiej będzie, jeśli pójdzie do Johna, zanim aura nie tylko poza domem, ale i w nim się pogorszy.

Kiedy weszła do jadalni, żeby pożegnać się z Hemingwayami, poczuła, jak powietrze drży z napięcia. Śmiertelną ciszę przerywał tylko odgłos przeżuwania wydawany przez Papę. Odcinał krwiste kawałki pieczeni, gryzł i popijał wielkimi haustami wina. Sos ściekał mu po brodzie.

– Poprosimy Mariellę, żeby z nami usiadła? – odezwała się nagle Pauline. – Może na przykład wypije kieliszek wina? – Papa przestał odcinać mięso i spojrzał na żonę. Mariella pomyślała, że chybaby umarła, gdyby ktoś spojrzał na nią w ten sposób. Pauline jednak nie przejęła się tym, jakby nie miała nic do stracenia, bo i tak już przegrała. Na mięsie Papy wylądowała mucha, ale nie odgonił jej. Małżonkowie wpatrywali się w siebie przez minutę, a może to trwało godzinę? Pierwszy wzrok odwrócił Papa. – Jestem po prostu ciekawa, dlaczego ma większe względy dla służącej niż dla własnej żony – powiedziała Pauline w przestrzeń. – Rozumiesz coś z tego, Mariello? Bo mój mąż sprawia wrażenie, jakby nie miał pojęcia, o czym mówię.

Świat zastygł. Tylko zegar w holu tykał głośno. Mariella zerknęła na Pauline. Zaszła w niej jakaś zmiana. Skuliła się na krześle, jakby chciała cofnąć swoje słowa. Byłoby lepiej, gdyby pozostała wyprostowana, ale lew wyczuł już, że zwierzę zostało zranione. I zaatakował, by dokończyć dzieła.

Jednym ruchem podniósł dębowy stół i przy akompaniamencie szelestu obrusu i szczęku rozbijanej porcelany przewrócił go do góry nogami, po czym rzucił na ścianę. Mariella nie wierzyła w taki pokaz przemocy, bała się zrobić krok. Spojrzała na Pauline, która gwałtownie odsunęła krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

Papa jednym susem przemierzył jadalnię i ścisnął oparcie krzesła żony, oddalone o kilka centymetrów od jej twarzy. Pauline zaczęła lamentować. Tak jej przykro, tak bardzo przykro. Ona go kocha, jak on może coś takiego jej robić? Zachowała się brzydko, ponieważ tak bardzo jej na nim zależy. On tymczasem wyrzaskiwał jakieś pozbawione sensu słowa, pełne gniewu i ordynarne. Mocno dźgnął ją palcem w ramię i Mariella przestraszyła się, że sprawił jej ból. Wyczuwała jego okrucieństwo. Ale przemoc rozpałała też coś w Pauline. Wstała, obrzucając go oskarżeniami dotyczącymi Jane, Jinny, Marielli i masy innych kobiet.

Mariella wiedziała, że ma swój udział w tej awanturze, i zrobiło jej się niedobrze. Nie miała pojęcia, jak powinna postąpić: milczeć, bronić się czy po prostu wyjść. Nade wszystko jednak pragnęła rozwiązać ten problem, naprawić sytuację, więc spokojnie powiedziała:

– Pauline, proszę przestać. – Pauline ucichła, spoglądając na Mariellę. – Mylisz się. Papa wobec mnie nigdy nie posunął się za daleko.

– Nie mów mi, że się myślę – rzuciła cynicznie. – Od kiedy to służba mi się

sprzeciwia?

– Nie mów do niej w taki sposób – wtrącił Papa. – Nie zrobiła nic złego. A ty przez tę swoją zazdrość stajesz się brzydka.

Pauline skuliła się, jakby ją uderzył. Wszystkie jej obawy, że jest nieatrakcyjna, znalazły potwierdzenie w tym jednym zdaniu. Wbił nóż w miejsce, o którym wiedział, że jest najbardziej czułe na ból, i Mariella nie miała wątpliwości, że sytuacja stała się beznadziejna.

– Papa, proszę... – szepnęła bezradnie.

Na twarzy Pauline pojawiło się szyderstwo.

– Papa – wysyczała. – Tak samo słaby, jak twój żaloszny ojciec.

Mariella poczuła, jak serce na moment przestaje jej bić.

– Co pani powiedziała? – zapytała metalicznym głosem.

– Pauline, nie... – wtrącił Papa ostrzegawczo.

– Co? Zamierzasz teraz odgrywać rolę papy Marielli?! – krzyknęła kobieta.

– Nie, Pauline, przestań!

– Ona i jej żaloszni rodzice – prychnęła.

Mariella zacisnęła dłonie, o krok zbliżając się do Pauline.

– Jak pani może mówić w ten sposób o moich rodzicach? Nawet nie znała pani mojego ojca. Nie zna pani mojej matki.

– Nie znałam twojego ojca, ale dość o nim wiem – odparła Pauline.

– Pauline, nie! – powtarzał Papa, a jego twarz była bordowa z nerwów.

– Do diabła, co to ma znaczyć? – zapytała Pauline.

– Przestań!

Mariella nie rozumiała, o czym mówi Pauline i dlaczego Papa tak uparcie próbuje ją uciszyć.

– Twój ojciec był słaby – oznajmiła Pauline, szarpiąc się z mężem, który próbował wypchnąć ją z pokoju. – Tak samo słaby jak ojciec Ernesta!

Mariella wpatrywała się w Paulinę całą minutę, zanim dotarł do niej sens jej słów. Oczy zaszkły jej łzami, tajemnica uderzyła w nią z siłą huraganu. Tajemnica, którą znali wszyscy prócz niej.

Papa wepchnął Pauline do kuchni, krzycząc, żeby się wynosiła. Kobieta z płaczem wybiegła do holu, a stamtąd na piętro. Ernest zrobił krok w kierunku Marielli, ale ta cofnęła się przed nim.

– Mari...

Odwróciła się i wybiegła z domu.

*

Deszcz uderzał o jej twarz, ale to wiatr najbardziej ją spowalniał. Czując wzbierające mdłości, oparła się dłonią o banian na podwórzu Hemingwaya i

zwymiotowała. Rękawem wytarła usta, po czym zerwała się do biegu.

Wkrótce stanęła przy bramie cmentarzyska łodzi. Widziała kuter ojca, ale brama była zamknięta na klucz. Mariella waliła w nią pięściami, jęcząc z frustracją.

Musi być jakieś inne wejście.

Pobiegła wzdłuż płotu; od pewnego momentu cmentarzysko ogradzają druciana siatka. Za kępą trawy pampasowej dostrzegła dziurę. Przepchnęła się przez nią, czując, jak druty drapią ją w szyję i wyrrywają włosy. Po drugiej stronie wyprostowała się i wytarła brud z dłoni.

Padało coraz mocniej i Mariella wiedziała, że powinna iść do domu Johna, ale jeszcze nie była gotowa stanąć z rodziną twarzą w twarz. Najpierw chciała zobaczyć łódź.

Kuter leżał na burcie z napisem „ForEva”. Mariella zbliżyła się i położyła na nim obie dłonie. Drewno w dotyku było zimne i miękkie, miała wrażenie, że mogłaby skruszyć je w palcach. Obeszła dziób i zajrzała w puste miejsce po silniku.

Rozmyślała o tropach, które przegapiła: depresja ojca w tygodniach poprzedzających jego śmierć, nadmiar rybaków i wynikający z tego brak pracy, jego frustracja, gdy Eva zasugerowała, że powinien zmienić zawód. Jego nagła śmierć. Spotkania Ewy z księdzem z kościoła Przenajświętszej Marii Panny, rezygnacja z kupowania prasy, depresja matki.

Gavin wiedział, John wiedział, Hemingwayowie wiedzieli. Wiedziało całe Key West. Mariella przypomniała sobie, jak tamtego dnia zastępca szeryfa zrobił wszystko, żeby nie zbliżyła się do łodzi, jak Nicolas nalegał, żeby z nim poszła. Teraz rozumiała, że nie chciał, by zobaczyła kuter, bo wówczas wiedziałaby, że ojciec popełnił samobójstwo.

Pokręciła głową. Czuła się jak idiotka.

Nagły podmuch wiatru oderwał kawałek drewna z kutra i rzucił na nogę Marielli. Skrzywiła się, dotykając łydki. Kiedy podniosła dłoń, na palcach miała krew.

Najwyższy czas iść do Johna.

*

Przed domem stał samochód Papy.

Kiedy Mariella otworzyła drzwi, podbiegła do niej Eva i objęła ją mocno. Potem przesunęła dłońmi po jej ciele, jakby chciała się upewnić, że córka naprawdę tu jest, że nic się jej nie stało. Kundel, który także rzucił się na powitanie, zaczął obwąchiwać jej zranioną nogę. Eva wstrzymała oddech, gdy zobaczyła krew, ale Mariella wymamrotała, że to powierzchowna rana.

Papa i John obserwowali ją uważnie. Estelle bawiła się z Lulu lalkami na podłodze, ale nie spuszczała wzroku z dorosłych.

– Mari, przepraszam za Pauline. Nigdy nie naprawię tego, co zrobiła, ale musisz

wiedzieć, jak bardzo mi przykro.

– Przynajmniej ona powiedziała mi prawdę.

John spuścił wzrok.

– Nie rozumiesz, chciałam cię chronić – odezwała się Eva.

– Musiałaś wiedzieć, że kiedyś się dowiem.

– Modliłam się, żebyś się nie dowiedziała. – Eva zaczęła płakać. – Codziennie odmawiałam różaniec za duszę Hala i za to, żebyś się nie dowiedziała. Błagałam Boga, żeby przynajmniej ukrył to przed tobą. Byłaś oczkiem w głowie ojca, kochałaś go głęboko. Nie wiem, jak mógł ci to zrobić... Jak mógł to zrobić nam wszystkim. – Mariella czuła płynące po twarzy łzy, ale ich nie wytarła. – Miałam straszne wyrzuty sumienia, że za bardzo na niego naciskałam – ciągnęła Eva. – Dlatego nie mogłam znieść myśli, że poznasz prawdę, bo wiedziałam, że będziesz mnie obwiniać. Boże, nie przeżyłabym, gdybym ciebie też straciła, Mariello.

Z płaczem opadła na sofę i ukryła twarz rękach. Mariella wpatrywała się w podłogę, niezdolna wykrztusić słowo i niepewna, co o tym myśleć. Może i powinna obwiniać Evę, ale gdzieś na dnie serca wiedziała, że matka nie ponosi za to odpowiedzialności. Halowi czegoś brakowało, tej samej cechy, której nie mieli ojciec Hemingwaya, tamten weteran i każdy człowiek odbierający sobie życie: ogromnej niemocy do walki. To choroba.

Magle Estelle wstała i podeszła do Marielli.

– Byłaś nam potrzebna – powiedziała, a wszyscy spojrzeli na nią, zaskoczeni. – Żebyśmy się jakoś trzymały. Gdybyś wiedziała, przeżywałabyś to jak mama.

Mariella spojrzała na siostrę szeroko otwartymi oczami.

– Ty... ty też wiedziałaś? – wydusiła.

Estelle zerknęła na Evę.

– Słyszałam, jak mama rozmawia z księdzem.

Mariellę zalała fala współczucia dla młodszej siostry. Ukrywała prawdę przed Mariellą, by ją chronić, a równocześnie sama dręczyła się tą wiedzą. Wytarła łzy wierzchem dłoni.

Odgłos krzesła przesuwanego po ganku przypomniawszy wszystkim o sztormie. Papa wyszedł, zaniósł krzesło do sypialni, po czym wrócił do pokoju.

– Muszę jechać – powiedział. – Na pewno nie chcecie pojechać ze mną?

– Tutaj będą bezpieczne – zapewnił John.

Hemingway spojrzał na Mariellę; widać było, że jest bardzo przygnębiony. Wyczuwała jego gniew i smutek. Bała się o Pauline.

– Cieszę się, że mi powiedziała. Niech pan jej za to nie nienawidzi. Postąpiła słusznie.

Patrzył na nią długo, potem kiwnął głową i wyszedł.

O piątej po południu barometr wskazywał 28.42. Nie było prądu. Ghent zamówił pociąg dopiero na dwudziestą.

Nie dojedzie na czas.

Po Morrowach wciąż nie było śladu, więc Gavin zabrał z obozu trzeciego kilka kobiet z dziećmi, kazał im wsiąść do ciężarówki, po czym polecił młodemu weteranowi, by zawiózł ich na północ. Oczy dzieci były wielkie niczym tylne światła auta odjeżdżającego pośród szalejącego wiatru. Gavin pomodlił się za nich; miał nadzieję, że im się uda – na północy mieli większe szanse niż na Lower Matecumbe. Tymczasem pod hotel zajechał Ed Butters. Ledwo brnął z synem do hotelu, więc Gavin pobiegł im na pomoc. W powietrzu błyskały ogniki.

Wpadli do hotelu; musieli we trzech napierać na drzwi, żeby je zamknąć. Gavin przesunął dłoń po karku. Miejsca, gdzie piasek przeciął mu skórę, były lepkie od krwi.

– Cholera, skąd się biorą te iskierki? – zapytał.

– Piasek – wyjaśnił Ed, wycierając oczy. – Siła wiatru sprawia, że ziarenka eksplodują w powietrzu. – Fran znieruchomiała nad kanapkami, które przygotowywała dla weteranów, i zakryła usta dłonią. – Dojechaliśmy tu nie dzięki silnikowi, ale dzięki wiatrowi.

Donośne trzaski na zewnątrz chwilami zagłuszały regularny szum deszczu i syk piasku. Gavin poczuł panikę, patrząc na deski chroniące okna; wyobraził sobie weteranów skulonych w barakach, które na pewno nie stawią czoła żywiołowi. Podniósł wzrok, gdy z dachu dobiegło walenie.

– Zaraz odleci! – wrzasnął Bonefish.

Gavin rzucił się na Fran i jej syna, w momencie gdy na ich głowy spadła ulewa deszczu i piasku.

– Do samochodu! – ryknął Ed, ciągnąc rodzinę na dwór.

Sheeran polecił Gavinowi, żeby poszedł z nim na pogłębiarkę cumującą na kanale, gdzie jest już około trzydziestu ludzi z obozu trzeciego.

We trójkę z Bonefishem złapali się za ręce, tworząc łańcuch, i wyszli z hotelu. Gavin ze spuszczoną głową wpatrywał się w ziemię, ponieważ piasek sypał się do oczu. Wiatr zwałił ich z nóg, ale wspólnymi siłami zdołali się podnieść. Czerwony trójkołowy rowerek, który utknął w namorzynach, uderzył Gavina w bok z taką siłą, że mężczyźnie zabrakło tchu. Przycisnął dłoń do bolącego miejsca, próbując ustać, lecz wiatr był zbyt mocny.

– Cholera, czołgajcie się! – krzyknął Sheeran, kiedy padli na ziemię.

Gdy mijali samochód Buttersów, usłyszeli trzask zamykanych drzwiczek. Gavin miał nadzieję, że wszyscy troje zdołali wsiąść.

Wiatr wył tak strasznie, że bolały go uszy, mimo to dosłyszał odgłos pękającego

drewna. Odwrócił się i osłaniając oczy dłońmi, patrzył, jak hotel, przed którym przed chwilą stał, składa się i rozlatuje jak domek z kart. Boczna ściana budynku złamała się na pół i spadła na stojący w pobliżu wóz strażacki, włączając syrenę. W powietrze poleciały odłamki drewna.

Niebo przecięła błyskawica w chwili, gdy obok Gavina przefrunęła ostro zakończona belka. Wbiła się w głowę Bonefisha, zabijając go na miejscu. Gavin wpatrywał się w niego z przerażeniem. Kiedy Sheeran złapał go za rękę, był w stanie myśleć tylko o tym, że nawet nie znał prawdziwego nazwiska tego człowieka.

Uwolnił się z uchwytu Sheerana i wyciągnął rękę po Bonefisha. Wiedział, że miał rodzinę, która będzie chciała go pochować. Musiał umieścić jego ciało w jakimś bezpiecznym miejscu. Próbował ciągnąć go po mokrym piasku pełnym kałuż, ale sam ledwo mógł ustać na nogach.

Nagle nad nim rozbiła się fala i porwała ciało. Gavin poczuł, jak Sheeran szarpie go, zmuszając do ukłęknięcia. Rozejrzał się za Bonefishem, ale nigdzie go nie widział, pozwolił więc, by Sheeran wyciągnął go na drogę.

Przemieszczali się w kuckach, mimo to kamienie, muszle i resztki budynków uderzały ich ze straszliwą siłą. Nagle kolejna ściana wody rozdzieliła ich i zaczęła spychać Gavina w stronę zatoki. Kiedy odzyskał równowagę, nadeszła następna, zalewając mu usta. Próbował złapać się czegoś, ale wciąż tylko kręcił się w kółko.

Fala rzuciła nim o skałę. Napierała na niego i już myślał, że to koniec, lecz cofnęła się i zobaczył, że woda sięga mu tylko do kolan. Kiedy próbował zebrać myśli i odszukać Sheerana, niebo znowu rozdarła błyskawica. Obok niego na wodzie w płątanie połamanych desek, łóżek, sprzętów budowlanych i koralu unosiły się ciała kolegów. Mike. Wilson. Al.

Na tle nieba zobaczył wielką grupę z trudem brnącą po torach kolejowych. To był najwyższy punkt na Matecumbe, zaczął więc brodzić w ich stronę. Woda sięgała mu już do pasa, ale nie poddawał się. Gdy dotarł na płyciznę, padł na ziemię i zaczął się czułgać.

Grupa składała się z około stu weteranów z rodzinami, którzy byli w stołówce obozu trzeciego.

Gavin potknął się i wpadł na kobietę.

Lorraine!

Była z Teddym i płaczącą Janie, Henry'ego nigdzie nie widział. W pewnej chwili wiatr zepchnął ich z torów i niemowlę wypadło z objęć matki, jednak Gavin zdążył je złapać, nim porwała je fala. Wsunął Janie za koszulę, tak żeby materiał ją podtrzymywał, a potem złapał Lorraine za rękę i pomógł jej wejść na tory. Teddy przywarł do szyn i nie chciał się ruszyć.

Nagle poczuł, jak szyny drżą, i pomyślał, że za moment huragan je zerwie, ale wtedy rozległy się krzyki. Ludzie w tłumie z ust do ust podawali sobie wiadomość o

przyjeździe pociągu. Zdołał wreszcie oderwać palce Teddy'ego od szyn. Tłum odsunął się, by przepuścić pociąg. Przednie światła były dla nich wyczekiwany symbolem nadziei.

Pociąg się zatrzymał i tłum naparł na drzwi. Gavin podsadził Teddy'ego i delikatnie wyciągnął Janie zza koszuli. Lorraine podziękowała mu z płaczem, odbierając dziecko. Gavin pomógł jeszcze wsiąść weteranowi z uszkodzonymi plecami, a potem sam wskoczył do pociągu, wdzięczny za schronienie przed straszliwym sztormem. W wagonie słychać było tylko ciche popłakiwania, zagłuszone przez ryk wichury.

Gavin czuł ból w boku i pieczenie pociętej piaskiem twarzy. Gdy pociąg ruszył, po jego drugiej stronie rozległ się huk. Spojrzał ponad głowami ludzi i zobaczył wznoszącą się za oknem ścianę czerni. Zanim zdążył sobie uświadomić, że to atak huraganu, wagon oderwał się od torów. Gavin z całej siły trzymał się poręczy przy drzwiach, ale po chwili ciśnienie wewnątrz wagonu wypchnęło go na zewnątrz. Zaczął płynąć, by oddalić się od pociągu i nie dać się zmiażdżyć.

Zdołał dotrzeć do kępy namorzynów. Chwycił się gałęzi i czekał. Nie potrafił uwierzyć, że huragan zrzucił pociąg z torów. Czuł, jak wzbiera w nim wściekłość na Sheldona, Ghenta i wszystkich biurokratów, którzy do tego doprowadzili. Pomyślał, że jeśli ujdzie z życiem, udusi ich gołymi rękami.

Przy każdej błyskawicy jego oczy trafiały na nowe przerażające widoki. Mężczyzna przebity stalową rurą. Zaplątana w krzaki martwa kobieta, z której wiatr zerwał ubranie. Dziecko... Musiał się odwrócić. Henry... Boże, Henry.

Poczuł ciężar w piersi. Nagła wizja Marielli w całym tym chaosie odebrała mu dech. Zaczął odmawiać różaniec za bezpieczeństwo jej, jej rodziny i Johna. Nie zniósłby, gdyby coś im się stało.

Nieoczekiwanie, jakby ktoś przekręcił wyłącznik, burza ucichła.

Nad głową Gavina gwiazdy mrugały na niebie. Księżyc oświetlał krajobraz łagodną poświatą. Powietrza nie mącił najłżejszy powiew.

Oko cyklonu.

Wyplątał się z zarośli i zobaczył, że wokół podnoszą się inni. Powłókł się do pociągu, by pomóc ludziom wydostać się z wagonów. Znalazł Lorraine i niemowlę, ale Teddy'ego z nimi nie było.

– Nie wiem, gdzie jest – szlochała Lorraine.

– Skończyło się? – zawołał jakiś mężczyzna.

– Nie, zaraz będzie jeszcze gorzej – uprzedził Gavin.

– Gorzej? – krzyknęła Lorraine. – Myślałam, że Bóg zlitował się nad nami!

– Jesteśmy w oku. Musimy poszukać schronienia.

– Najpierw musisz mi pomóc znaleźć Teddy'ego!

Gavin wiedział, że jak najszybciej trzeba się gdzieś schronić, ale też zdawał sobie

sprawę, że musi znaleźć chłopca, żywego albo martwego. Rozejrzał się, ale ku jego zaskoczeniu nie zobaczył żadnych domów. Horyzont gdzieś tam znaczyła jakaś ściana czy fragment budynku, cała reszta jednak zniknęła z powierzchni ziemi.

– Tędy – polecił, gdy dostrzegł autobus zaparkowany przed gruzami hotelu.

– Mój syn! – krzyknęła rozdzierając Lorraine.

Gavin mocno złapał ją za ramiona.

– Musisz się schronić, w przeciwnym razie stracisz Janie. Ja pójde poszukać Teddy’ego. Ale najpierw cię tam doprowadzę.

Podtrzymał ją w pasie i ruszyli przed siebie. Wszędzie dokoła słyhać było płacz, ludzie wymiotowali na widok dryfujących w wodzie trupów. Omijali leżące słupy i gęste kępy namorzynów. Kiedy dotarli do autobusu, drzwi otworzył im Ed Butters.

– Wsiadajcie, na litość boską, zanim huragan wróci – powiedział. Twarz miał bladą i pokrytą potem.

Lorraine wsiadła i Gavin podał jej niemowlę.

– Znajdę go – obiecał.

– Błagam... – zaszlochała Lorraine.

Odwrócił się i ruszył z powrotem na tory. Próbował biec, ale utrudniały to liczne przeszkody na ziemi i w wodzie. Bolał go bok, kiedy przedzierał się przez namorzyny i poprzewracane palmy. Pomyślał, żeby poszukać ciała Henry’ego, ale po chwili zrezygnował; ważniejsi byli żywi. Kiedy zobaczył przed sobą przewrócony wagon, zaczął głośno wołać chłopca po imieniu.

Przystanął, nasłuchując, ale zamiast odpowiedzi usłyszał narastający w oddali hałas. Fale coraz mocniej biły o jego nogi. Coraz wyraźniej słyszał wycie wiatru i szum pędzącej szaleńczo wody.

Spojrzał przed siebie i zobaczył to, czego się obawiał.

Oko przesunęło się i krawędź huraganu, ta najpotężniejsza, wracała, poprzedzana falą tak wysoką, że Gavin ledwo wierzył własnym oczom. Ziemia zadrżała pod jego stopami. Wiedział, że musi znaleźć Teddy’ego, inaczej chłopiec zginie. Pobiegł do torów, bo miał nadzieję, że tak jak poprzednio chłopiec będzie się ich czepiał. Ku swojej uldze rzeczywiście go tam zobaczył.

Objął malca, ale ten nie chciał puścić szyn. Gavin musiał siłą oderwać mu palce. Szybko wziął Teddy’ego na ręce i ruszył z powrotem do autobusu. Nie patrzył za siebie. Wiedział, że woda go dogania, a nie chciał oglądać własnej śmierci.

Chłopiec wstrzymał oddech, gdy wycie się zbliżyło. Wiatr pchał Gavina, gdy przedzierał się przez namorzyny, krzycząc do Eda, żeby otworzył autobus.

Wreszcie dotarł na miejsce i wrzucił chłopca do środka. Nim sam zdążył wsiąść, za plecami usłyszał straszliwy huk, a kiedy się odwrócił, porwał go potężny nurt.

Pod wodą było cicho. Wycie wiatru jakby ustało. Z dziwnego spokoju, który ogarnął Gavina, wyrwał go ból w boku, którym uderzył w drzewo. Poczł, jak żebra

mu pękają. Otworzył usta do krzyku i woda wlała mu się do gardła. Nie próbował z nią walczyć. Pragnął zostać w tym cichym świecie. Huk huraganu był tak daleko. Pomyślał, że napije się wody i ucieknie przed tym piekłem. Przez moment jego ciało jakby instynktownie miało się jeszcze, jednak zaraz znowu znieruchomiło.

Niesiony wodą, myślał o Marielli, która tuliła się do niego w łóżku po tamtej walce na Bimini. Czuł jej ciepło, gdy siedzieli obok siebie w kościele. Czuł na dłoniach gorący piasek, gdy budował z Lulu zamek na plaży. Widział roześmianą twarz Marielli, gdy pomagał jej wstać, kiedy tamtego wieczoru na tańcach upuścił ją na podłogę. Widział jej słodką buzię pod chłopięcą baseballówką i czuł mocny uścisk jej dłoni.

A potem zobaczył matczyną trumnę opuszczaną do grobu.

I trumnę ojca.

Zobaczył plamę krwi na białym śniegu.

Poczuł dłonie ojca na swoich, gdy trzymał kij baseballowy.

I smak karmelków, które matka kupiła mu w cukierni.

A potem usłyszał, jak śpiewa mu kołysankę.

Rozdział dwudziesty ósmy

Lower Matecumbe Key

Mariella stała w kabinie, zaciskając dłonie na drewnie i w myślach ponaglając jacht. Wytarła twarz, choć nie potrafiła stwierdzić, czy była mokra od łez, czy od morskiej wody.

Wcześniej tego dnia ci, którym udało się uratować, dotarli na Key West i zdali wstępne relacje, ale ani Mariella, ani Papa nie uwierzyli, że zniszczenia osiągnęły aż taki rozmiar. Papa zaproponował, że swoim jachtem zawiezie niezbędne produkty, a Mariella postanowiła mu pomóc. Nie chciała słyszeć o odmowie, choć błagał ją, by została.

Wpatrywała się uważnie w wyspę, do której się zbliżali. Nie było na niej żadnych zabudowań, choć niewielkie trawiaste wzniesienie wyglądało jak Veteran's Key.

– To niemożliwe... – szepnęła.

Hemingway tylko pokiwał głową.

Zmniejszył prędkość, kierując się do przystani, po której nie pozostał żaden ślad.

Więc było tak źle, jak mówili.

Rozejrzała się i dostrzegła pogłębiarkę i łódź, obie solidnie poturbowane, ale wciąż utrzymujące się w pozycji pionowej. Spojrzała w miejsce, gdzie przedtem był most. Krążyli tam ludzie – w głębokim szoku, z licznymi obrażeniami. Pośród nich zobaczyła umundurowaną Gwardię Narodową i pracowników Czerwonego Krzyża. Wszyscy mieli na twarzach maski.

Kiedy Papa przybił do samotnego słupa, skąd bez problemu można było wyskoczyć na drogę, poczuli smród. Mariella otworzyła szeroko oczy, zakrywając dłonią nos.

– Mari, to nie jest dobry pomysł. Sytuacja jest naprawdę fatalna.

– Wsiadam – nie podjęła dyskusji.

Papa westchnął, chwytając słup. Przekazał Marielli ster, a sam przywiązał jacht. Wrócił na pokład, zszedł do kabiny i wziął stamtąd ręcznik. Sprawnym szarpnięciem rozerwał go na dwie części, jedną zawiązał na twarzy Marielli, a drugą na swojej.

Wyszedł pierwszy na drogę, a raczej to, co po niej pozostało, potem pomógł Marielli.

Ciała w większości były nagie, żywoił zdarł z ludzi ubrania, niektórych pozbawił także kończyn. Twarze były napuchnięte, tak że nie można ich było rozpoznać. Koło oczu i pomiędzy nogami unosiły się bzyczące roje much.

Mariella spojrzała w niebo, zastanawiając się, gdzie są myszołowy. Potem na ziemi dostrzegła jednego – szaroczną kupkę namokniętych piór. Więc przynajmniej nie dobiórą się do zmarłych.

Szli, ostrożnie stawiając kroki pomiędzy trupami i namorzynami. Pod jakimś drzewem zobaczyli dwie nagie, napuchnięte kobiety, nad którymi unosiła się chmara much. Mariella musiała się odwrócić.

– Jezu... Pracowały w barku z kanapkami na przystani – powiedział Papa.

Ruszył przed siebie. Mariella próbowała złapać oddech w tym strasznym smrodzie, usiłowała pokonać narastające mdłości, być odważna, ale straciła kontrolę nad swoim ciałem. To był jakiś niewyobrażalny koszmar.

Spojrzała na Papę. Zatrzymał się nad brzegiem wody i zwymiotował. Ten widok nią wstrząsnął. Sądziła, że po tym wszystkim, co widział w życiu, będzie bardziej odporny.

Ich oczy spotkały się na chwilę. Panika malująca się we wzroku Papy napełniła ją przerażeniem, jakiego dotąd nie czuła. Ruszyła w jego stronę.

– Stój! – krzyknął, unosząc dłonie. – Nie podchodź!

– Co tam jest? – zapytała Mariella, nie zatrzymując się.

Papa wytarł usta, podbiegł i odepchnął ją.

– Wracaj!

– Nie. – Mariella wyminęła go jak w amoku. Próbował ją zatrzymać, ale wyrwała się i zrobiła kilka kroków w stronę unoszących się na wodzie zwłok.

Twarz była zakryta linami. Mariella znieruchomiała, gdy zobaczyła rękę. Na płamistej, poznaczonej siniakami skórze przedramienia widniały groteskowo powiększone liczby: 11-11-18.

Jęknęła. W uszach słyszała dudnienie serca.

Jak przez mgłę widziała postać Papy. Objął ją mocno.

Kilku robotników podeszło i zajęło się odplątywaniem ciała ze zwojów liny. Mariella krzyknęła, chcąc rzucić się w ich stronę, ale Papa ją odciągnął, choć kopała go i drapała. Walczyła z nim przez całą drogę do jachtu. W końcu wziął ją na ręce i przerzucił przez burtę na pokład „Pilar”, po czym wskoczył sam.

Mariella próbowała wyjść, ale wrzasnął ostro:

– Przestań!

– Dlaczego?

– Po prostu przestań.

Ujął w dłonie jej twarz. Mariellę opuszczały siły, woła walki gasła.

– Nie... Papa, nie...

W końcu się poddała i pozwoliła, by po prostu trzymał ją w objęciach.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Płakała tak długo, aż w końcu zasnęła, wyczerpana. Kiedy przybili do przystani, zebrani tam gapie domagali się szczegółów, ale Papa nie zwracał na nich uwagi. Poprowadził Mariellę przez tłum do samochodu, ciągle podtrzymując ją za ramiona. Pojechał do swojego domu, a tam zaniósł ją do pracowni i położył na sofie. Z był milczeniem pytania, które zadawali mu Pauline i służący.

– Jadę do Johna – powiedział. Jego słowa ledwo dotarły do świadomości Marielli.

Spędziła w pracowni sześć dni, pozwalając jedynie Papie przynosić jedzenie. Nie myła się, a z kanapy wstawała tylko wtedy, gdy musiała skorzystać z toalety. Nie płakała i nie odzywała się. Próbowwała po prostu wydostać się ze swojego bólu i wspomnień, dotrzeć w miejsce, w którym będzie w stanie podejmować decyzje.

Szóstego dnia rano, gdy rodzina siedziała przy śniadaniu, Mariella zeszła do jadalni. Tłuste strąki włosów oklejały jej bladą twarz. Była przerażająco chuda, cień dawnej siebie, ale w jej oczach znowu płonął blask.

– Chcę wrócić do domu – powiedziała.

Papa wstał od stołu, zostawiając do połowy zjedzone grzanki z jajkiem. Chłopcy popatrzyli po sobie, ten jeden raz spokojni. Pauline nie była w stanie spojrzeć jej w oczy.

Odwiózł ją do domu, który na szczęście nie ucierpiał podczas burzy. Eva podlewała z Estelle świeżo zasadzone kwiaty. Lulu siedziała na kolanach Johna i czytała z nim książkę. Kiedy siostry i matka zobaczyły Mariellę, pobiegły do samochodu. Objęły ją, ze łzami dziękując Papie.

Obejrzała się na niego przez ramię, w myślach posyłając mu słowa wdzięczności. Wiedziała, że je odczyta.

*

Mark Bishop podniósł głowę, widząc zbliżającą się dziewczynę. Miała na sobie białą koszulę Gavina i podwinięte do kolan spodnie.

– Cześć, Mari – powiedział, a ona tylko kiwnęła głową. Pragnęła mówić, ale nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. – Wyrazy współczucia. Straszna sprawa...

Wpatrywała się w wodę za jego plecami, spokojną niczym jezioro, bez śladu niedawnej straszliwej burzy. Na jej powierzchni lśniło słońce, niewielkie fale z cichym szumem odbijały się od falochronów.

W końcu Mariella odzyskała głos:

– Cieszę się, że cię tu widzę.

– Do diabła, próbowałem wyjechać, ale nie dałem rady. Jakoś to przetrwam.

Spojrzała na jego łódź i na wodę. Potem wyciągnęła rękę do steru.

– O tym właśnie przyszedłam z tobą pogadać. Mam pomysł, który może nas oboje uratować.

*

Tonęła na suchym lądzie.

Leżała w łóżku i wpatrywała się w sufit, słuchając oddechów sióstr. Nie potrafiła opanować drżenia, łzy moczyły jej poduszkę, koszula nasiąkała potem. To była koszula Gavina i wciąż miała jego zapach.

Ile dni minęło od jej powrotu do domu? Cztery? Siedem? Dziesięć? Nie miała pojęcia. Wiedziała tylko, że zdaniem Marka jej pomysł czarterowania łodzi może się udać i że to ją uratuje. Musi wrócić na wodę, w przeciwnym razie umrze. Na wodzie też może zginąć, ale przynajmniej odejdzie tam, gdzie ogarnia ją spokój.

Usiłowała przypomnieć sobie twarz Gavina, ale widziała tylko obrzmiałe, martwe ciało. Z takich ciał zsuwała się skóra, kiedy robotnicy próbowali wydobyć je z wodnych mogił. Poczula nudności, ale umiała już je zwalczać.

Papa przyjechał wczoraj po południu z artykułem, w którym dał upust swemu gniewowi, pełnym goryczy i pogardy. Mariella także je czuła. Musiała przeczytać artykuł kilka razy, z ponurą desperacją zatrzymując się na najbardziej obrazowych opisach. Czytając, mogła uwierzyć, że to naprawdę się zdarzyło.

KTO ZAMORDOWAŁ WETERANÓW?

RELACJA Z PIERWSZEJ RĘKI

DOTYCZĄCA HURAGANU NA FLORYDZIE.

Ernest Hemingway

„Kto posłał ich na Florida Keys i zostawił tam na czas huraganów?

Kto odpowiada za ich śmierć?

Autor mieszka daleko od Waszyngtonu i nie zna odpowiedzi na te pytania, wie natomiast, że ludzie bogaci, żeglarze, wędkarze tacy jak prezydent Hoover i prezydent Roosevelt, nie przyjeżdżają na Florida Keys podczas pory huraganów. Trwają one przez sierpień, wrzesień i październik – i w tym czasie nie zobaczysz tu jachtów. Nie zobaczysz, ponieważ właściciele wiedzą, że ich własność narażona byłaby na wielkie, nieuniknione niebezpieczeństwo, gdyby rozpuętała się burza. Z tego samego powodu nie zdołasz latem namówić żadnego bardzo bogatego wędkarza na wyprawę na Kubę, kiedy są tam największe ryby. Zagrożenie dla własności. Ale weterani, zwłaszcza ci,

którzy brali udział w protestach, nie są własnością. To zaledwie pechowe istoty ludzkie, do stracenia pozostało im tylko życie. Wykonują prace kulisów za płacę wynoszącą w najlepszym wypadku 45 dolarów miesięcznie i zostali umieszczeni na Florida Keys, gdzie nie będą sprawiać kłopotów. Jest pora huraganów, jasne, ale jak coś się zacznie dziać, zawsze można ich ewakuować, prawda?...

Kto zatem wysłał niemal tysiąc weteranów wojennych, wielu zwyczajnych, ciężko pracujących ludzi, którym po prostu nie dopisało szczęście, ale też wielu na granicy choroby psychicznej, żeby mieszkali w marnych barakach na Florida Keys podczas pory huraganów?

Dlaczego nie ewakuowano ich w sobotę albo w najgorszym razie w poniedziałek rano, kiedy wiadomo było już, że huragan prawdopodobnie uderzy w archipelag, a ewakuacja stanowiła dla nich jedyną możliwą ochronę?...

Kiedy dopłynęliśmy na Lower Matecumbe, ciała unosiły się na wodzie. Zarośla były brunatne, jakby jesień przyszła na te wyspy, na których jesieni nigdy nie ma. Rzecz w tym, że wszystkie liście zwiął wiatr. Najwyższą część wyspy pokrywało pół metra piasku naniesionego przez morze, ciężki sprzęt budowlany leżał na boku. Wyspa wyglądała jak opuszczone dno rzeki, zmyte przez morze. Nasyp kolejowy zniknął, a ludzie, którzy się za nim schronili i kiedy przyszła woda, czepiali się torów, zginęli razem z nim. Można ich znaleźć leżących w różnych pozycjach w namorzynach. Najwięcej zmarłych zaplątało się w wiecznie zielone, choć teraz brunatne namorzyny za cysternami i wieżami wodnymi. Chronili się tam do chwili, gdy wiatr i woda ich porwały. Niektórych znajdziecie wysoko na drzewach, gdzie rzucił ich żywioł. Na słońcu wszyscy jakby wyrosli ze swoich niebieskich dżinsów i kurtek, które zawsze wisały na nich, bezrobotnych i głodnych.

Wielu z nich znałem z knajpy Josiego Granta i z miasta, dokąd przyjeżdżali w dzień wypłaty, i wiem, że niektórym brakowało piątej klepki, a niektórzy byli inteligentni. Jedni nie mieli roboty niemal od czasu bitwy pod Argonny, a inni stracili pracę przed ostatnim Bożym Narodzeniem. Jedni mieli żony, a inni nie potrafili nic zapamiętać. Jedni byli dobrymi ludźmi, a inni wpłacali pieniądze do Kasy Pocztowej i przychodzili wypraszać kolejki, kiedy ci lepsi już byli pijani. Jedni rwali się do bitki, inni lubili spacerować po mieście. Jednym słowem, byli tacy, jacy są ludzie, którzy brali udział w wojnie.

Ale kto wysłał ich na śmierć?

Słyszę już, jak ten, co ich posłał, tłumaczy sobie, że teraz jest im lepiej. Nie można przewidzieć katastrof ani woli Boga. Byli dobrze odżywieni, dobrze traktowani, mieszkali w dobrych warunkach, a teraz, miejmy nadzieję, jest im dobrze po śmierci...

Zatkajcie więc nosy... Idziemy do kępy namorzynów, gdzie do góry nogami wisi kobieta rozdęta jak balon, a obok na brzuchu leży druga. Wyjaśnię wam – to dwie

cholernie miłe dziewczyny, które prowadziły bar z kanapkami i stację benzynową. Dwie cholernie miłe dziewczyny, które miały strasznego pecha, że się tu znalazły...

Idziemy dalej nasypem, choć po nasypie nie został ślad, i zobaczycie, że panuje tu spokój, a niebo jest czyste i błękitne, że jest tu niemal tak samo jak wtedy, gdy na zimę zjeżdżają milionerzy – wyjątkiem są tylko muchy, komary i odór zmarłych, którzy cuchną zawsze tak samo we wszystkich miejscach na świecie, a teraz cuchną w waszym kraju. A może chodzi o to, że zmarli żołnierze wydają ten sam zapach, niezależnie od tego, jakiej są narodowości, niezależnie od tego, kto posłał ich na śmierć?...

Jesteś teraz martwy, bracie, ale kto zostawił cię w porze huraganów na Keys, gdzie wcześniej w podobnych okolicznościach zginęło tysiąc ludzi budujących drogę, którą teraz zmyła woda? Kto cię tu zostawił? I jaka jest kara za zabójstwo?”

Kto? – pomyślała Mariella.

Spuściła nogi z łóżka i poszła do salonu, gdzie usiadła na fotelu matki. Przycisnęła kolana do piersi i spojrzała w okno. Posąg Matki Boskiej w ogrodzie po drugiej stronie ulicy patrzył na nią smutnymi, współczującymi, pełnymi miłości oczami. Mariellę wypełnił niespodziewany spokój. Wpatrywała się w posąg, usiłując zachować to doznanie, aż wreszcie powieki jej opadły.

*

Na ulicy było jakieś zamieszanie.

Mariella gwałtownie otworzyła oczy. To brzmiało jak parada, ale gorączkowa i chaotyczna. Mężczyzna palący cygaro siedział po drugiej stronie ulicy. Odwrócił się w stronę hałasu, a potem wstał, by lepiej widzieć. Z pokoju wytoczyły się zaspiane dziewczynki, a w krok za nimi podążała zatroskana Eva.

Mariella otworzyła drzwi, wyszła na ganek.

Ulicą szła grupa ludzi, niektórzy podskakiwali, wszyscy krzyczeli, śmiali się albo płakali. Najpierw zobaczyła Papę: górował nad pozostałymi, a jego twarz rozjaśniał ten sam uśmiech jak w dniu, gdy wiele miesięcy temu wysiadła na przystani w Bimini. Poza nim w grupie byli też John, Nicolas, Mark Bishop, Thompsonowie, Skinner, Isabelle, Jim i Toby.

Papa wykrzykiwał jej imię – inni też.

Do diabła, co się dzieje?

Mariella zeszła po rampie, matka i siostry trzymały się tuż za nią. Słońce oślepiło ją i tłum na ulicy zmienił się w cienistą plamę. Przysłoniła dłonią oczy przed blaskiem.

Usłyszała jego imię, zanim go zobaczyła.

– Gavin! – pisnęła Lulu i popędziła w stronę tłumu.

Marielli zabrakło tchu.

Był tam, biegł ku niej, mimo iż wyraźnie kulał. Śmiał się, płakał i wołał jej imię. Obejrzała się na Evę. Matka szlochała, zakrywając usta dłońmi.

– Gavin! – krzyknęła Estelle.

Mariella stała jak sparaliżowana.

Lulu dobiegła do niego pierwsza, wpadła mu w objęcia i zaczęła łaskotać. Skrzywił się, ale nie krył radości. Wyglądał, jakby wrócił z wojny. Zasypał Lulu gradem pocałunków i podniósł zdrową ręką.

Papa odebrał mu dziewczynkę, żeby szybciej mógł spotkać się z Mariellą.

Dopiero wtedy to do niej dotarło!

On żyje! Tamten zmarły żołnierz... tamta ręka – to nie był Gavin, tylko inny weteran z Argonny.

Mój Boże!

Wystrzeliła jak z procy i w sekundę pokonała przecznicę.

Ramiona, o których myślała, że nigdy więcej jej nie obejmą, zamknęły ją w uścisku. Przyciśnięte do siebie serca biły jednym rytmem.

Epilog

Key West

16 lipca 1961

Była jedenasta wieczorem, od samobójstwa Papy minęły dwa tygodnie. Ludzie, którzy tłoczyli się przy płocie domu Hemingwayów, robiąc zdjęcia i wymieniając się opowieściami, wreszcie odeszli. Ktoś zostawił bukiet kwiatów i szklanę na whisky, ktoś inny starą wędkę.

Mariella przyciskała do piersi listy, idąc do furtki. Spojrzała przez żelazne pręty i przypomniała sobie, jak drżała przed frontowymi drzwiami, czekając na rozpoczęcie pierwszego dnia pracy.

Teraz też drżały jej ręce i nie była w stanie trafić kluczem do zamka, więc Jake łagodnie jej go odebrał i otworzył furtkę, a potem zamknął.

Jake spędził z Mariellą te dwa tygodnie. Wiedział teraz wszystko o roku, kiedy poznała Papę, zakochała się w nim i odkochała. Znał historię zalotów ojca do matki, jego przegranej walki bokserkiej na Bimini i wygranej walki o życie podczas huraganu, kiedy uratowali go pracownicy Czerwonego Krzyża i zawieźli do szpitala w Homestead, gdzie przez wiele dni leżał nieprzytomny. Później przesłuchiwali go śledczy z Biura Prokuratora Stanowego Florydy i Amerykańskiego Legionu. Gwardia Narodowa spaliła większość zwłok, ponieważ nie można było ich zidentyfikować, a szybko postępujący rozkład zagrażał zdrowiu ratowników.

Dowiedział się, że huragan pochłonął życie co najmniej dwustu pięćdziesięciu weteranów i czterystu cywilów. Przeżyło tylko dziesięcioro z liczącej sześćdziesięciu pięciu uczniów szkoły w Matecumbe.

Mariella mówiła, że dzięki zeznaniom Gavina i innych w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku przyjęto uchwałę, by rodziny zmarłych weteranów otrzymywały co miesiąc dwieście siedemnaście dolarów; byli wśród nich Lorraine, Teddy i mała Janie, którzy zamieszkali na północy u rodziców Lorraine i od tamtego czasu nie dali znaku życia. Blizny emocjonalne z tamtego okresu były rozległe i potężne, Gavin i inni nigdy w pełni się ich nie pozbyli, choć nowe życie jako kapitana łodzi czarterowej pomagało mu z dnia na dzień powoli odnajdywać dawnego siebie.

„Listy od Papy opowiedzą resztę”, tymi słowami Mariella zakończyła opowieść. Miała na myśli zwłaszcza list, który nadszedł przed trzema dniami. Napisał go tuż przed samobójstwem, ale dostała go już po jego śmierci.

Poszła na tył domu, słuchając cykania owadów i słabych odgłosów nocnego życia toczącego się kilka przecznic dalej na wschód. Wspomnienia otoczyły ją niby duchy przeszłości. Widziała w oknie Pauline spoglądającą na ogród. Czowała zapach zupy z krabów gotowanej przez Isabelle. Słyszała szelest sukni Jane Mason tamtego wieczoru, gdy wyniosła do ogrodu zieloną wróżkę.

Zbliżając się do pracowni Papy, zobaczyła, że Toby zostawił dla niej zapalone światło, tak jak prosiła, kiedy zadzwoniła kilka godzin wcześniej. Toby, który przez wszystkie te lata zajmował się domem i przygotowywał go na wizyty Papy i chłopców, był załamany, ale powiedział, że ten wieczór na cześć Papy spędzi u Sloppy'ego i nie będzie jej przeszkadzał.

Zatrzymała się, patrząc na drzwi, i poczuła, jak pod powiekami wzbierają jej łzy. Boże, jak strasznie by chciała usłyszeć przecinający ciemność stukot klawiszy, w które Papa uderzał z szybkością karabinu. Jakże by chciała zobaczyć go siedzącego przy biurku.

Zasłoniła usta dłonią i poczekała, aż się uspokoi.

– Mamo, może powinniśmy przyjść kiedy indziej – powiedział nieśmiało Jake.

– Nie. Chcę, żebyś czytał te listy, kiedy będę się z nim żegnała.

Jake kiwnął głową i ruszył za nią po schodach do pracowni.

Biorąc głęboki wdech, Mariella przekroczyła próg. Biurko było puste. Gestem dała znać synowi, by usiadł i zaczął czytać. Sama krążyła po pokoju, przesuując dłońmi po książkach i wypchanych zwierzętach. Za plecami słyszała szelest papieru, któremu wtórowały śmiechy i westchnienia Jake'a.

Obchód zakończyła przy oknie wychodzącym na ulicę, którą przyszli, i po raz pierwszy uświadomiła sobie, że widzi stąd swój dom na Whitehead Street. Nagle ogarnęło ją uczucie, że Papa stoi za nią, i pojęła, że jakimś sposobem zawsze tu będzie, że nigdy nie przestanie się nią opiekować.

*

31 grudnia 1940

Najdroższa Córko!

Co u Ciebie i Twojej rodziny?

W ostatnich dwóch miesiącach opublikowałem Komu bije dzwon, rozwiodłem się i ponownie ożeniłem – choć pewnie wiesz już o tym z plotek krążących po mieście.

Kiedy żeniłem się z Marty, myślałem o Twoim ślubie. Wspominałem, jak oddałem Cię temu żołnierzowi; to był najlepszy i najtrudniejszy gest, jaki wykonałem wobec kobiety, którą kocham, ale nigdy nie czułem się lepiej, ponieważ gest ten należał do

moich najszlachetniejszych czynów. Mój ślub był inny z powodu poprzedzających go cierpień i wywlekania brudów. Jestem rozdarty pomiędzy wyrzutami sumienia a nienawiścią do Pauline i czasami zastanawiam się, czy Ty też ją nienawidzisz. Nigdy nie zapomnę, jak okrutnie Cię potraktowała w wieczór huraganu, chociaż wiem, że byłaś zadowolona, dowiadując się prawdy.

Ale dość o tym.

Jak się miewa mały Jake? Musi już mieć z pięć lat – mały drań urodził się dziewięć miesięcy od dnia ślubu, a może osiem? Jest jak skóra zdjęta z Gavina, ale widzę wyraźnie, że charakter ma po Tobie. Kiedy ostatnio go widziałem, ukradł mi kieszonkowy nóż i oznajmił, że będzie nim zabijał ryby. Moi chłopcy szaleją na jego punkcie i chcą, żeby odwiedził ich w Finca na Kubie, kiedy znowu tam będą.

Co u Lulu, Twojej mamy i Johna? Dostałem list Estelle z Peabody. Nauczyciel gry na gitarze wystawił jej najlepszą ocenę w klasie. Jestem z niej dumny i z radością będę opłacał jej naukę, jak długo będzie chciała tam studiować.

Wciąż dochodzę do siebie po hiszpańskiej wojnie domowej. Po raz pierwszy w życiu miałem wrażenie, że robię się za stary na całe to gówno. Mam nadzieję, że pobyt w Finca mi pomoże, gdy płaczę nad ludzkością i starymi przyjaciółmi, którzy odeszli, przede wszystkim za F. Scottem. Kiedy na początku miesiąca nadeszła wiadomość, że umarł na atak serca, o mało sam nie dostałem zawału. Nie spodziewałem się, że go przeżyję. Na myśl o nim jestem smutny i trochę zły. Przy większej dyscyplinie, lepszej tolerancji na alkohol i bez Zeldy mógłby być wielkim człowiekiem. Wszystko to jednak (z wyjątkiem tolerancji) zależało wyłącznie od niego, więc nie powinienem się nad nim litować.

Poza tym kim jestem, by wydawać sądy o innych w kwestii picia czy kobiet?

Liczę, że dodasz mi otuchy. Nigdy nie pozwalalaś, żebym się nad sobą użalał i popadał w depresję. Napisz szybko, nagadaj mi do słuchu i popraw mi samopoczucie. Przyślij fotografie Jake'a. Zastanów się nad wizytą na Kubie.

Zawsze Twój

Ernesto

PS Jasny gwint, przed chwilą zobaczyłem wycinek, który mi przysłałaś. Hrabia von Cosel, ekscentryk z Key West. Jezu! Trzymał w domu zwłoki ukochanej przez siedem lat, zanim to odkryto! Mało co mnie szokuje, ale to cholernie mną wstrząsnęło.

*

21 lipca 1951

Najdroższa Córko!

Bez wątpienia jesteście pokrewnymi duszami, skoro matki straciliśmy w tym samym dniu. Jak to jest, że kiedy umierają, wszystkie kłótnie, ostre słowa, manipulacje i wady umierają wraz z nimi, a pozostają tylko wspomnienia o opatrzonych skaleczeniach, przyjęciach urodzinowych, bajkach na dobranoc i miłości – miłości, jakiej nikt nigdy ci nie da, miłości pomimo twoich wad, a czasami z ich powodu.

Oboje jesteście sierotami, nasi ojcowie zginęli z własnej ręki, matki umarły ze starości. Samotnie i zimno jest nie mieć poprzedniego pokolenia, na które można by zwalić winę, zwrócić się o radę, okazywać szacunek. Nie jestem gotowy na pełnienie tej roli, przypuszczam, że Ty też nie. Ale co możemy poradzić?

Powiem Ci co: żyć dalej.

Życie raz po raz zwala na człowieka kupę gnoju. Przykrywa go, a on się wyczołguje, otrząsa i idzie dalej, gdzie czeka następna porcja. Pod tym względem czyny naszych ojców zaczynają mieć dla mnie sens. Samobójcy uważani są za chorych psychicznie, ale czy Einstein nie zdefiniował choroby psychicznej jako powtarzania tej samej czynności i oczekiwania, że za każdym razem przyniesie inny rezultat? Może szaleńcami są ci, którzy upierają się przy życiu?

Tak więc po raz kolejny, Mari, powiedz mi, co jest dobre. Wyprowadź mnie z tego stanu. Opowiedz mi o firmie czarterowej, którą tak świetnie prowadzicie, że utrzymujecie z niej całą rodzinę, opowiedz o swoich siostrach, ich cudownych mężach i pięknych córkach, o tym, jak radzi sobie John, i jak wyglądają walki bokserskie w mieście. Opowiedz o ostatniej najlepszej książce, którą czytałaś. O postępach Jake'a w szkole i w sporcie, o jego nowych dziewczynach i zawodach miłosnych.

Mary (moja czwarta) przesyła pozdrowienia i mówi mi, że zawsze z czułością będzie pamiętała Waszą wizytę w Ketchum, kiedy spadł śnieg, a Ty po raz pierwszy zobaczyłaś białe płatki. Ty i Jake biegaliście w kółko, łapiąc je na języki – Wasze brązowe ciała czyniły z Was bogów słońca w tym północnym mieście i chociaż śnieg okrywał nas wszystkich, na Tobie się nie utrzymywał, roztapiany Twoim ciepłem.

Moje najczulsze wspomnienie o Tobie dotyczy czasu, kiedy po raz pierwszy pojechałaś z nami do Hiszpanii i zobaczyłaś byki. Chociaż otaczały nas tłumy, byliśmy tylko Ty, ja, byk i toreador. Obserwowałem Cię z taką samą uwagą jak byka, ale patrzenie na Ciebie sprawiało mi większą przyjemność. Wiedziałem, że jesteś prawdziwym aficionado – miałaś w sobie pasję – kiedy płakałaś, zanim byk zginął, a potem brakowało Ci słów. Pamiętam gonitwę byków, w której wzięłaś udział, zmuszając Gavina do wycofania się, żeby Jake nie został sierotą. Nie wiem, czy kochałem kogoś w życiu tak mocno jak wtedy Ciebie.

Będę o tym myślał do dnia, gdy dostanę od Ciebie odpowiedź. To pomoże.

Twój Papa

*

2 września 1951

Droga Mariello!

Myślę o Tobie co roku w rocznicę huraganu w Święto Pracy. Myślę o Tobie także w inne dni roku, ale w ten szczególnie jesteś ze mną – Twoja siła i odwaga, rozpacz i podźwignięcie się. Przede wszystkim jednak myślę, jak bardzo Cię zraniłam.

Nigdy Cię za to nie przeprosiłam. Och, wiem, Ernest przekazał moje przeprosiny, ale sama nigdy z Tobą o tym nie porozmawiałam. Przestałaś u nas pracować, ja podróżowałam, potem moje małżeństwo zaczęło się psuć. Wiem, że przypuszczalnie mnie nienawidzisz i nie dziwi mnie to, ale przyjmij, proszę, moje najgłębsze i najszczerze przeprosiny.

Tamtego lata gniew i zazdrość rozpoczęły swą powolną, acz ostateczną pracę, doprowadzając do klęski. Mogę obwinać wyłącznie siebie. Jestem przekonana, że rozpad mojego małżeństwa z Ernestem był sprawiedliwą zapłatą za to, co zrobiłam z jego pierwszym związkiem. Podobnie jak wiele „tych drugich” byłam na tyle głupia, by sądzić, że jestem jego prawdziwą miłością. A przecież wszyscy wiemy, że prawdziwą miłością Ernesta jest jego pisarstwo. My wszyscy egzystujemy tylko na otaczającej go orbicie, zwraca się do nas, gdy jesteśmy mu potrzebni, ale zawsze wraca wyłącznie do pisarstwa, tylko jemu jest wierny.

Odbiegam od tematu.

Cieszę się bardzo, że Twoja rodzina jest zdrowa, a Ty tak dobrze sobie radzisz. Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką znam. Dobrze bym na tym wyszła, gdybym zwracała na Ciebie większą uwagę, obserwowała Twoją pewność siebie, nauczyła się szczerości i traktowania wszystkich jak równych sobie, może wtedy moje życie potoczyłoby się inaczej.

Jeszcze raz przepraszam za to, że tak mocno Cię zraniłam. Byłabym zaszczyczona, gdybyś mi odpisała, a potem na bieżąco informowała o sobie i rodzinie. Zrozumiem jednak, jeśli tego nie zrobisz.

Z wyrazami szacunku

Pauline

*

6 maja 1959

Moja najdroższa Córko!

Z całego serca Ci współczuję. Opis śmierci Gavina wzruszył mnie do łez. Jakież miał szczęście, że byłeś przy jego boku, kiedy umierał. Nigdy nie przestanie mnie zdumiewać, dlaczego rak zabiera ludzi tak młodych, a innych oszczędza, ale jedno wiem: Gavin był człowiekiem czystym jak najczystszy kryształ, miał najlepsze z możliwych życie, więc odpocznie w pokoju. Modłę się tylko, byś Ty po jego odejściu dała sobie radę.

Naturalnie tak będzie.

Pamiętam, jak po huraganie myślałaś, że zginęłaś. Pozwoliłaś sobie na sześciodniową żałobę, a potem wyszłaś, wróciłaś do domu i żyłaś dalej. Później nastąpił najwspanialszy dzień mojego życia, dzień, który przywrócił mi wiarę w Boga – kiedy prowadziliśmy do Ciebie Gavina, żywego, wskrzeszonego z martwych, wyleczonego, byście mogli żyć długo i szczęśliwie.

Wy dwoje: Wasza praca, która wciąż przynosi owoce. Ty i Gavin zrealizowaliście swoje marzenie i teraz Wasze łodzie zajmują połowę przystani w porcie View, a ich kapitanami są Mark Bishop, John, mężowie Twoich sióstr. Mój Boże, jesteście flotą Key West i połowa miasta zawdzięcza Wam przetrwanie.

Ciało Gavina odeszło, ale on wciąż jest przy Tobie. Będzie z Tobą na wodzie, kiedy wybierzesz się na ryby. Będzie unosił się pośród podnieconych okrzyków na walkach bokserkich. Będzie patrzył na Ciebie oczami waszego syna.

Posyłam zdjęcie, które zrobiła mi Mary, kiedy czytałem Twój list. Nie wiedziałem, że mnie fotografuje, ale czy to nie mówi Ci o Bogu i naszych relacjach? Na mój związek z Tobą, jedyną czystą rzecz w moim życiu, z góry przychylnie patrzy sam Bóg.

Niewiele wiem o Bogu. Nasze relacje w najlepszym razie bywały napięte, wiem natomiast, że Bóg jest bardzo zadowolony z Ciebie i Gavina i że oboje prowadziliście najbogatszy rodzaj życia. Niech spoczywa w pokoju.

Na zawsze Twój

Papa

*

30 czerwca 1961

No cóż, Córko...

Na pewno już wiesz.

Pozwól, że zacznę od przeprosin, żeby później nam nie przeszkadzały. Przepraszam, jeśli Cię zraniłem. Jesteś prawdziwą przyjaciółką i żałuję, że tak musiało się stać.

W lepsze dni myślałem, żeby pojechać na Key West i przekonać się, czy to miejsce wskrzesi część mojej osoby, ale wiedziałem, że tylko będzie mnie dręczyć banda przeklętych oszustów i duch mnie samego, gdy byłem młody, zdrowy i beztroski.

Więc dlaczego? Ona pyta.

Zima była ciężka. Duchy zmarłych żon (nawet jeśli wciąż żyją), synów z problemami, rodziców, którzy nie chcą zamilknąć, przyjaciół kochanych i utraconych, krytyków, wydawców, poetów, rybaków – ich głosy tak przybrały na sile, że nie słyszałem własnego głosu. Nie potrafiłem też zrozumieć, co do mnie mówią.

Pojechałem do Mayo po pomoc i zaaplikowali mi elektrowstrząsy.

Głosy umilkły, ale na Boga, umilkł także mój głos.

Nie potrafię tworzyć literatury. Nie potrafię nawet opisywać prawdy. A jeśli nie potrafię pisać, jestem niczym.

Ten list dał mi nadzieję – widok drobnych czarnych znaczków na stronie, który przez wszystkie te lata trzymał mnie przy życiu, był zarazem przygnębiający i pocieszający. Kiedy jednak próbowałem wykorzystać je w opowiadaniach, nie chciały się pojawić.

Pojawiają się tylko sny. Śnię o akwarium z morświnami, o którym Ci opowiadałem, o Bimini, o zatoce. Śnię o jesieni z potężnym płomieniem życia i koloru, nim wszystko zmiecie zima. Żałuję, że nie odszedłem u szczytu, zamiast czekać, aż wszystkie barwy spłowieją i pozostanie tylko sucha, brunatna łupina dawnej wielkości.

Pamiętaj: będę mnie z tego powodu wyklinać i kanonizować, ale nie jestem ani gorszy, ani lepszy od innych. Nie trzeba mi współczuć – przeżyłem więcej, niż ktokolwiek na to zasłużył.

Jedno wszakże muszę Ci wyznać. Pamiętasz, jak w tamtym pamiętnym roku, roku wielkiego sztormu, przez całe lato powtarzałaś mi, że muszę przestać kolekcjonować ludzi i wykorzystywać ich w swoich utworach? Powiedziałaś, że traktuję ludzi jak przedmioty jednorazowego użytku. Kłóciłem się z Tobą, ale miałaś rację. Nie chciałaś, bym wykorzystał Ciebie. Przyrzekłem, że nigdy tego nie zrobię.

Nie dotrzymałem słowa.

Wykorzystałem Cię w Starym człowieku i morzu, jedynej rzeczy, z której jestem naprawdę dumny. Nigdzie indziej moje pisarstwo nie było bardziej szczerze. Santiago jest najlepszym bohaterem, jakiego stworzyłem, ryba najlepszą rybą, polowanie najlepszym polowaniem.

Bez wątplenia myślisz, że jesteś chłopcem. Jesteś jak chłopiec, ponieważ jesteś dla mnie dobra i zawsze pragnęłam, byś była przy mnie. Ponieważ nigdy nie myślałem, że

coś się zdarzyło, dopóki Tobie o tym nie opowiedziałem, i zawsze mówiłem sobie: „Szkoda, że nie ma tu Marielli”, jak tych świateł na łodziach w wierszu o Key West cholernego Stevensa. Ale to nie wszystko.

Morze – la mar – było najlepszym morzem, jakie opisałem. Wielką piękną, która trzymała starego człowieka przy życiu. Która dawała i zabierała – ale też zawsze żywiła, rzucała wyzwania, uczyła.

Moja dziewczyno – jesteś morzem.

Twoje cudowne światło trzymało mnie przy życiu dłużej i bardziej skutecznie, niż kiedykolwiek się dowiesz.

Przepraszam, że Cię wykorzystałem, ale Twoja dobroć i wielkość były zbyt potężne, by je zignorować. Jeśli mam serce, należy ono do ciebie.

Twój Ernest Hemingway

Ostatnie słowa Jake odczytał na głos, nie kryjąc wzruszenia. Drżącą dłonią odłożył kartkę na biurko i spojrzał na matkę.

Tutaj, w tym miejscu, w obecności Jake’a spoglądającego na nią oczami Gavina, gdy słuchała, jak syn czyta przesłanie Papy chrapliwym jak u Hala głosem, Mariella poczuła wokół siebie wszystkich mężczyzn, których kochała i dzięki którym naprawdę otrzymała najbogatsze z możliwych życie.

Bibliografia

Nic nie pomogło mi bardziej w stworzeniu postaci Ernesta Hemingwaya niż jego dzieła. Kocham każdą z jego książek, ale moimi ulubionymi, tymi, które wywarły największy wpływ na portret pisarza i motywy przedstawione w niniejszej powieści, są *Pożegnanie z bronią*, *Zielone wzgórza Afryki*, *Ruchome święto* (nowe wydanie), *Słońce też wschodzi*, a przede wszystkim *Stary człowiek i morze*.

Pomocne okazały się też liczne biografie, artykuły i strony internetowe dotyczące Hemingwaya, Florida Keys i huraganu w Święto Pracy tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku, zwłaszcza gdy chodzi o czas i miejsce. Oto ich lista: 1. Baker Carlos. *Ernest Hemingway: A Life Story*. New York: Charles Scribner's Sons, 1969.

2. Drye Willie. *Storm of the Century: the Labor Day Hurricane of 1935*. Washington, D.C.: National Geographic Society, 2002.

3. Hemingway Ernest. *Who Murdered the Vets? A Firsthand Account of Florida Hurricane*, „New Masses” 16 (17 September 1935): 9-10. New York: Za pozwoleniem International Publishers.

4. Hemingway Gregory H., M.D. *Papa: A Personal Memoir*. Boston: Houghton Mifflin Company, 1976.

5. Historical Preservation Society of the Upper Keys. *The Natural History Room, Hurricanes Case, 1935 Labor Day Hurricane Shelf*. www.keyshistory.org

6. Kert Bernice. *The Hemingway Women*. New York: W.W. Norton & Company, 1983.

7. Lynn Kenneth S. *Hemingway*. Cambridge, Massachusetts: Harvard University Press, 1987.

8. Manning Robert H. *Hemingway in Cuba* (Part Two), „The Atlantic Monthly Volume” 216, No. 2 (August 1999): page 101–198.

9. McIver Stuart B. *Hemingway's Key West*. Sarasota, Florida: Pineapple Press, Inc., 2002.

10. Meyers Jeffrey. *Hemingway: A Biography*. New York: Harper & Row, 1985.

11. Reynolds Michael. *Hemingway: the 1930s*. New York: W.W. Norton & Company, 1997.

12. Samuelson Arnold. *With Hemingway: A Year in Key West and Cuba*. New York: Random House, 1984.

13. Scott Phil. *Hemingway's Hurricane*. Camden, Maine: International Marine/McGraw-Hill, 2006.

14. Standiford Les. *Last Train to Paradise: Henry Flagler and the Spectacular Rise and Fall of the Railroad that Crossed an Ocean*. New York: Three Rivers Press,

2002.

Podziękowania

Książka nigdy nie jest dziełem powstającym samotnie i winna jestem podziękowania wielu osobom, które pomogły mi w jej ukończeniu. Oto one: Przede wszystkim – i jak zawsze – Bóg, który dał mi historię do opowiedzenia.

Mój agent Kevan Lyon i moja redaktorka Ellen Edwards, których entuzjastyczna wiara we mnie i w tę opowieść, a także wskazówki dotyczące wszelkich kwestii związanych z biznesem i sztuką dodawały mi otuchy i były niezastąpione.

Prowadzący warsztaty Breakout Novel Intensive, Donald Maass, Jason Sitzes, Roman White i przede wszystkim Lorin Oberweger, których porady i pomoc redaktorska okazały się bezcenne. Moja grupa krytyczna na tych warsztatach, Dianna Barker, Mary Edelson, Karen Uhl i Laura Vogel – nie potrafię wyrazić mojej wdzięczności za pomoc i wsparcie.

Personel JFK Library and Collections w Bostonie. Informacje zawarte w listach, fotografiach i czasopismach z 1935 roku stanowiły wielką pomoc w ustalaniu czasu akcji, tworzeniu charakterystyk i namalowaniu portretu życia domowego rodziny Hemingwaya w tamtym okresie.

Moi przyjaciele z www.ernesthemingwaycollection.com oraz eHemingway.com, a także Paul Tryon w *Key West Pro Guides*, który udzielił mi informacji o łowieniu ryb na głębokich wodach, cudowny personel domu Hemingwaya w Key West, Ivan Lopez-Muniz, Sarah McCoy i Alison Treppel, który pomógł przy hiszpańskich zwrotach, Jim Leithoff, który opowiedział mi, jak się strzela do rekina, by sceny w powieści brzmiały wiarygodnie, Karina i Jason Opdyke, którzy na spotkaniu klubu książki dali mi pozycję *With Hemingway* i wypełnili mnóstwo luk dotyczących życia rodzinnego pisarza. Michael i Melissa Bison, którzy przysłali mi piękną książkę *Historic Photos of Ernest Hemingway* – stanowiła wielką pomoc w tworzeniu postaci i tła.

Członkowie wszystkich klubów książki, z którymi spotykałam się po wydaniu pierwszej powieści, a którzy gorąco zachęcali mnie do napisania tej. Chciałabym zwłaszcza podziękować klubowi książki nauczycieli ze Spalding oraz Hidden Garden Book Cluba za wsparcie okazane mi przed publikacją.

Moi pierwsi czytelnicy, Linda Andrus, Jami Carr, Sheri i Frank Damico, Alexis i Chris McKay, Vivian Mullen, Heather i Jeff Pacheco, Patricia i Rich Robuck, Adam i Alison Shepard, Charlene i Robert Shepard.

Anonimowy żołnierz, którego wrażliwość, bogactwo przekazanych mi szczegółów i szczerłość istotnie przyczyniły się do stworzenia postaci Gavina i Johna.

W końcu mój mąż Scott i dzieci, którzy pozwalali mi bez końca opowiadać o Papie, znosili wzloty i upadki pisarza i przez cały czas cierpliwie wspierali. Nie

potrafię wyrazić, jak bardzo Was kocham.

Oraz moja droga partnerka w pisaniu, Kelly McMullen, która pomogła mi przejść przez każdy etap tworzenia książki. Dziękuję za krytyczne sesje w knajpce Hardbean. Za setki godzin nocnych rozmów krążących wokół naszego życia, duchowości, związków, procesu twórczego – i nieodmiennie słów. Jestem bardzo, bardzo wdzięczna Tobie i *nous*.